



Vintila Corbul



HOLLYWOOD, PIEKŁO MARZEŃ

Tytuł oryginalny: Hollywood, enfer des rêves

I

Anna zbudziła się w środku niespokojnego snu erotycznego, który ją przejął dreszczem. Macho o wydatnych mięśniach, sobowtór Schwarzeneggera czy Stallone'a, głaskał jej piersi. Podniosła umalowane powieki, zatrzepotała rzęsami, a że leżała na wznak, w sufitowym zwierciadle ujrzała swe nagie ciało na ciemnoniebieskiej pościeli obok gołego chłopaka, śpiącego również na plecach. Obróciła się ku niemu z uśmiechem i patrzyła nań pożądliwie; dał jej tej nocy wiele rozkoszy, ponawiając miłosne szturmy aż do zupełnego wyczerpania. Anna lubiła wystawiać swych kochanków na ciężkie próby, jakby chciała z nich wycisnąć wszystko i upewnić się, że rywalki nie będą miały z nich pożytku.

Chłopak nazywał się Joe. Oddychał cicho, a jego twarz, której sen nadawał bezbronny, niemal dziecinny wyraz, wydawała jej się znowu ponętna i podniecająca. Przepadała za chłopaczkami ledwo wchodzącymi w wiek młodzieńczy.

Obfitość luster zdobiących ściany jej sypialni odpowiadała modzie lat osiemdziesiątych, zmieniającej wnętrza mieszkalne w zwierciadlane sale: powielały się w nich nieskończenie sylwetki ludzi, kandelabry, obrazy, niskie stoliki wśród tak przepastnych foteli, że siedziało się w nich niemal na poziomie podłogi. Bardziej wyrafinowani esteci mawiali, że ten nadmiar luster przypominał raczej salony fryzjerskie aniżeli lustrzane galerie Wersalu.

Anna pieściła wzrokiem łagodny profil nowo pozyskanego kochanka. Wybierała ich sobie na los szczęścia przy wyjściu z dyskotek. Sobolowe futro, olśniewające klejnoty, wspaniała limuzyna budziły podziw wyrostków. Bez

namysłu zbliżali się na jej skinienie. Co prawda, zdobywała ich nie tylko swym ostentacyjnym bogactwem. Mimo że przekroczyła pięćdziesiątkę, śmiało mogła wytrzymać porównanie z takimi aktorkami jak: Joan Collins, Linda Evans, Morgan Fairchild, Victoria Principal, Jane Fonda i Sybill Shepard, zachowała bowiem wygląd i wdzięk pięknej, niespełna trzydziestoletniej kobiety.

Ilekroć przemierzała trójkąt miasta ograniczony ulicami Wilshire, Santa Monica i Doheny Drive, zatrzymywała swego rollsa, żeby wstąpić do najwspanialszych magazynów. Firmy Courrages, Giorgio, Hermes, Cartier, Battaglia, Cardin i Tiffany otwierały przed nią swe podwoje. Przechodnie odwracali głowy, aby popatrzeć z zachwytem, jak przechodziła w smudze francuskich perfum. Bardziej oblatani wyrażali gwizdem swój podziw, pochlebiający jej próżności.

Nie musiała się obawiać, że wśród jej zdobyczy znajdzie się jakiś łajdak, zwabiony blaskiem brylantów. Zarówno kierowca Sam, niegdyś zawodowy bokser, jak i liczni służący w jej domu gotowi byli zawsze przybiec z pomocą.

Napawała się teraz widokiem nowego kochanka. Nosił wprawdzie pospolite imię, lecz miał dla niej powab młodości i przygody. Jego męskość w pełni erekcji porannej przyprawiała ją o zawrót głowy. Przysunęła się od niego i muskała ustami jego tors, brzuch, złote runo. Otworzył oczy, objął spojrzeniem Annę, lustrzane ściany, kwiaty w porcelanowych wazonach, przepych całego wnętrza. Wydawał się zdziwiony, jakby dopiero teraz to wszystko zobaczył. Co prawda poprzedniego wieczora gospodyni poczęstowała go odurzającym napojem. Uśmiechnął się na wspomnienie nocy spędzonej w jej ramionach. Ten uśmiech towarzyszący napięciu jego męskości

rozognił Annę. Przygniotła go swoim ciałem i samochcąc wbiła się na pal pojękując z rozkoszy.

Szalała za mężczyznami i wcale się z tym nie kryła. Ilekroć przyjaciele żartowali, że jest nimfomanką, wybuchała śmiechem.

– Jestem po prostu normalną kobietą, nie znajdującą przyjemności w towarzystwie męża, który się starzeje, opowiada wciąż te same kawały, ziewa ze znudzenia i staje się powoli niemową na skutek współżycia przypominającego pańszczyznę. Przyzwyczajenie zabija miłość.

Biały rolls Anny nierzadko zatrzymywał się też przed księgarniami, w których były stoiska z prasą. Na oczach klientów prosiła z wyzywającą miną o *Playgirl*, *America*, *Playguy* lub inne pisma, skromnie ukryte przed dziećmi, zamieszczające fotosy nagich efebów.

– Umieszczenie ich na indeksie, czego domagają się rzekomi konformiści, jest tylko odrażającym przejawem hipokryzji samczej – twierdziła Anna. – Zakaz ich rozpowszechniania w tym samym czasie, kiedy czasopisma pełne zdjęć nagich kobiet mnożą się bez ograniczenia, jest perfidną zмовą mężczyzn. Chcą nas powstrzymać od porównywania fotosów tych urodziwych młodych samców z naszymi mężami, którzy po trzydziestce zaczynają tracić linię, łysieją, nie dbają o to, że zaczynają im obwisać policzki i brzuchy, że pojawiają się im potrójne podbródki, albo przeciwnie, że ukrywają pod szlafrokiem odrażającą chudość; widok takich szkieletów wywołuje skutek wręcz odwrotny niż afrodyzjaki. Mamyż pogodzić się z taką dyskryminacją? Natomiast mężczyźni przeglądając *Playboya*, *Penthouse* i tym podobne pisma mogą nasycić oczy zdjęciami wspaniałych dziewczyn i stwierdzić kontrast między ich urodą a niepowabnością swoich małżonek. Rozpaleni widokiem prowokujących modelek dobierają się do swoich sekretarek lub

kochanek i wracają do domu skonani, rzekomo wyczerpani pracą zawodową. Grymaszą przy obiedzie, odpowiadają półsłówkami. Ilekroć raczą uścisnąć swe żony lub poświęcić się i pójść z nimi do łóżka, to prawdziwe święto dla biednych, zaniedbywanych kobiet.

Z podniesionym czołem, z niemym wyzwaniem w oczach Anna opuszczała księgarnię, unosząc pod pachą plik czasopism ze zdjęciami nagich efebów. Cały ten cyrk był niepotrzebny, gdyż wszyscy w Los Angeles wiedzieli, że zabierała do domu nie tylko fotosy, ale i chłopaków z krwi i kości. Afiszowała się bezczelnie swymi upodobaniami, żeby dać nauczkę kobietom zbyt potulnym wobec swoich mężów.

Mając to wszystko w pamięci przypatrywała się chłopcu i rozczulała jego młodością. Gdyby Charlie, jej tytułarny gigolak, dowiedział się, że spędziła noc w objęciach innego, może zrobiłby jej scenę zazdrości. Ale byłaby to jedynie gierka, przyjęta przez oboje partnerów. Miał dość rozsądku, by zdawać sobie sprawę, że poróżnienie się z Anną pozbawiłoby go sporych dochodów, dzięki którym mógł żyć na szerokiej stopie i mieć wszystkie dziewczęta, na które by mu przyszła ochota.

Pomiędzy Anną a jej mężem, Piotrem O'Neillem, wielkim reżyserem, istniał od dawna pakt nieagresji, zostawiający im całkowitą swobodę seksualną. Anna wiedziała, że jej małżonek, nie wyróżniający się fizycznymi walorami, lubił kobiety, lecz zapewne uprawiał również miłość grecką. To upodobanie, aczkolwiek nie potwierdzone w sposób oczywisty, bynajmniej jej nie przeszkadzało, gdyż z kolei ona używała dla urozmaicenia uciech lesbijskich. Mówienie z Piotrem o miłości przez duże M byłoby wręcz komiczne i całkiem nie na miejscu. W doborze erotycznych atrakcji Anna nie znała granic. Nieraz obnażała się w obecności swoich kochanków, żeby

zaszkować cnotliwe damy i mężczyzn, którzy głosili wierność małżonkom. Towarzystwo hollywoodzkie nie mogło poszczycić się zresztą przykładową moralnością. Podobnie jak za czasów cesarstwa rzymskiego wiele aktorek obliczało swój wiek wedle ilości rozwodów. Niezależność finansowa pozwalała im na luksus zmiany męża przy pierwszych oznakach znużenia lub przesytu. Pewną powściągliwość zachowywały tylko te kobiety, które mogły się poszczycić jedynie tytułem małżonek wielkich gwiazd filmowych, wszechmocnych producentów lub sławnych reżyserów zarabiających krocie. Dopóki były małżonkami tych znakomitości, cieszyły się względną popularnością, jaśniały światłem odbitym. Uczestniczyły w wielkich galach urządzanych przez potentatów filmowych, były obecne przy wręczaniu Oscarów, ich wejście do restauracji wywoływało poruszenie na sali, pokazywano je sobie na ulicy, ich olśniewający zbytek budził zazdrość. Po rozwodzie zapadały w anonimowość. Mogły wprawdzie żądać bajecznych alimentów i odszkodowań, lecz miliony dolarów nie robiły w tym świecie większego wrażenia. Rozwiedzione damy traciły swoją pozycję w błyskotliwym kręgu filmowców. Powiększały liczbę kobiet, które wlokły za sobą żal i wspominały cudowną, na zawsze utraconą przeszłość. Bezczyne, rozgoryczone, obnosiły nudę i piękne toalety, nie znajdując na ogół amatora. Niekiedy stawały się łupem pięknego gigolaka, który w perfidny sposób oskubywał je z majątku, a gdy konto w banku stopniało, ulatniał się pozostawiając za sobą żal i nędzę.

Anna nie obawiała się takiego losu, gdyż dysponowała wielkim majątkiem osobistym, a jej małżonek milcząco akceptował wspólny *modus vivendi*. Ewentualny rozwód przyniósłby jej dodatkowe dochody. Ponieważ

jednak nie zakochała się w żadnym ze swych gigolaków, nie ryzykowała ruiny majątkowej.

Wspólnie z Joe zjadła w łóżku śniadanie podane im przez portorykańską pokojówkę Marię, młodą i nader pociągającą dziewczynę, na którą i Joe miałby chrapkę. Przezornie jednak powściągnął swe zachcianki, obawiając się gniewu Anny, która natychmiast spostrzegła zmieszanie chłopaka; rysie oczy i stale czujne zmysły bezbłędnie ujawniały jej sekrety ludzi, zwłaszcza tych, którzy dzielili z nią łoże. Jeśli któryś z kochanków przesypiał się z Marią, odprowadzała go i bez żalu zastępowała innym, ponieważ Hollywood oferował jej całą chmurę wspaniałych chłopaków, uganiających się za nieosiągalną karierą, w oczekiwaniu której gotowi byli zrobić wszystko. Kupczenie własnym ciałem należało do względnie wygodnych, choć nie zawsze przyjemnych sposobów utrzymania się na powierzchni. Ale w razie potrzeby nie robi się ceregieli. Rozwody, wiarołomstwo, rozpusta, wszelkiego rodzaju prostytutka i seksualne dewiacje czyniły z Los Angeles współczesną Sodomę, której, o dziwo, wszechmocny Pan Bóg nie obracał w popiół. Fanatyczni purytanie daremnie wzywali pomsty na grzeszników i groźba osunięcia się brzegu wisiała nad Kalifornią. Zapominali, że w dniu, w którym miasta i wioski, góry i nadbrzeżne autostrady, drapacze chmur i parki narodowe, wytwórnie filmów, bary, burdele i banki osunęłyby się w głąb oceanu, wody zatopiłyby zarówno ludzi bezecnych jak i cnotliwych. Ale osuwanie się terenów powodowało od czasu do czasu tylko takie trzęsienia ziemi, które miały przypomnieć mieszkańcom Kalifornii, że ruchy tektoniczne istnieją i że ten raj ziemski może zamienić się w piekło. Jednakże ta ponura perspektywa nie zaprzętała myśli O'Neillów. Byli zbyt zajęci oboje: ona grą na strunach miłości, on kręceniem filmów i zgarnianiem milionów.

Peter O'Neill jadąc rozklekotaną taksówką – niegdyś barwy kanarkowej, obecnie zaś zielonkawej jak odchody niektórych ptaków tropikalnych – patrzył przez szyby na szare ulice Nowego Jorku, po których w obu kierunkach mknęły pod parasolami przygarbione widma tłocząc się na chodnikach. Szary, chłodny deszcz, przesycony czarniawym dymem wygrzanym przez drapacze chmur, siąpił z równie szarego nieba.

„Upiory to czy kukły poruszane ręką afrykańskich czarowników?”

Wyobraźnia reżysera i scenarzysty malowała najdziwniejsze obrazy na tle widzianej rzeczywistości. Ach, gdyby można było popuścić wodzy fantazji, tworzyć i łączyć najbardziej zaskakujące pomysły i realizować filmy, które sprowadzałyby widzów na złudne szlaki pozornie autentycznych przeżyć!

Zaśmiał się do siebie. Należało trzymać w ryzach wyobraźnię. Zachować jasność myśli. Zwłaszcza teraz, gdy czekało go spotkanie z członkami Rady administracyjnej, gigantycznej multinarodówki, która wchłonęła również jego wytwórnię. „Jego wytwórnię” – to się tylko tak mówi. Nigdy nie należała do niego. Była jedną z siedmiu ogromnych firm, które zrealizowały setki filmów w epoce świetności Hollywoodu. Ale zmierzch olbrzymów nastąpił już dawno. Peter przepracował dwadzieścia lat w „swojej wytwórni”. Dawni władcy ustąpili miejsca nowym, a wytwórnię filmów wepchnięto do konglomeratu różnych dobrze prosperujących przedsiębiorstw, fabryk produkujących kiełbaski, napoje orzeźwiające, samochody, broń i tysiące innych artykułów. Przedsiębiorstwa te, ściśle powiązane z bankami na zachodzie i na antypodach, polowały na rywalizujące z nimi firmy podobnie jak nasi przodkowie polowali na króliki czy bażanty.

Peter O'Neill domyślił się z łatwością, dlaczego żaden z wysłanników rady administracyjnej nie przybył służbowym samochodem na lotnisko, aby go

powitać. Panowie, którzy rozsiadali się w miękkich fotelach wokół ogromnego stołu, ci wszyscy święci świętych multinarodówki, chcieli mu okazać, że był dla nich mało znaczącą osobą – aczkolwiek sami go zaprosili do centralnej siedziby w Nowym Jorku. Szefowie konglomeratu, którzy obracali bilionami i trylionami, patrzyli z lekceważeniem na wytwórnię, przynoszącą im sporadycznie kilkaset milionów, a więc mizerny zysk, zaledwie kompensujący straty niekiedy dość poważne. Wszelako konglomerat chciał mieć coś do powiedzenia i o tej gałęzi produkcji, tym bardziej, że jego własna sieć telewizyjna i koncern prasowy mogły zrobić filmom głośną reklamę, albo też całkowicie je przemilczeć.

Peter O'Neill, znakomitość w świecie filmu, byłby zaledwie karłem, gdyby go porównano z tytanami wielkiej finansjery. Nic sobie jednak nie robił z okazywanego mu lekceważenia, gdyż najcięższe ciosy nie mogły przebić pancerza jego cynizmu. Skończył dawno pięćdziesiątkę, a więc schodził już z góry. Osiągnął niewątpliwie szczyt kariery. Jego filmy przynosiły setki milionów zysku, ale i deficyty, albowiem gust publiczności jest kapryśny. Wychwalała ona pod niebiosa filmy, na które wytwórnia i decydenci patrzyli nieufnym wzrokiem, i stawiała pod pręgierzem opinii realizacje, uważane przez ich autorów za arcydzieła.

Dzięki geniuszowi, trafności sądu, bezkompromisowości, awersji dla partactwa, jak również dzięki nieugiętemu, autokratycznemu charakterowi, a także właściwym sobie sposobom surowego karania winnych niezależnie od tego, czy byli to zwykli technicy, czy gwiazdy o światowej sławie, O'Neill zrealizował wiele filmów najwyższej klasy, które wzbudziły podziw jego przyjaciół i wrogów. Co prawda nie należałoby tu używać określenia „przyjaciele”, ponieważ ludzie pracujący u jego boku nigdy nie zdołali

naruszyć zbroi, jaką nakładał przed światem. Nikogo nie darzył zaufaniem. Współpracownicy podziwiali go i nienawidzili zarazem. Podziwiali przejawy geniuszu, osiągnięcia twórcze i nienawidzili go za nieznośny charakter.

Wnętrze taksówki cuchnęło stęchlizną i niedopałkami tanich papierosów. Na szczęście kierowca nie okazał się gadułą. Peter potrzebował ciszy, żeby się skoncentrować, i obmyślić własne argumenty, którym nie powinno brakować zjadliwości. Atak jest najlepszą obroną. Wiedział, że w gronie wybitnych osobistości znajdowali się również ludzie, którzy doceniali jego zalety i którzy go poprą. Naraził się jednak dyrektorowi finansów tym, że zażądał dodatkowej subwencji w wysokości – bagatelka! – piętnastu milionów dolarów na film, który właśnie kręcił. Nie po raz pierwszy zresztą przekraczał budżet skąpo ułożony przez „wielkich”.

...I ta kaskada zielonych, czerwonych, niebieskich i żółtych świateł, których odblask padał na twarze widm, idących w deszczu... Gdy tylko z lotniska Kennedy'ego wjechał na autostradę, ciąg samochodów posuwających się jak karaluchy za czerwonymi światłami poprzedzających je wozów, stworzył ruchomy, kojący pejzaż. Ale ulice Manhattanu, wtłoczone pomiędzy drapacze chmur, przyprawiły go o mdłości. On, który lubił męską woń płynów po goleniu, francuskich i włoskich *aft er shaves*, musiał wdychać smrody taksówki. Wszystko śmierdziało, nawet siedzenia tak zatłuszczone, że trudno było odgadnąć ich pierwotną barwę. Drażnił go również kierowca. Jego tłusty, biały kark, którego mleczną, chorobliwą biel podkreślały rude włosy i brudna czapka, budził złość O'Neill.

Od pewnego czasu byle drobiazg wyprowadzał go z równowagi. Odnosił się do ludzi opryskliwie, co prawda nie bez jakiegoś powodu, ale z gwałtownością niewspółmierną do przewinienia. Należałoby zasięgnąć porady

psychiatry, który wyjaśniłby mu dokładnie przyczyny takiego zachowania. Co by mu jednak z tego przyszło? Czy mógłby zmienić swoje przeznaczenie, gdyby jakiś lekarz, chlubiący się dyplomami w złotych ramach, zawieszonymi na ścianach gabinetu, zalecił mu przeprowadzenie kuracji, używając naukowych, niejasnych i zawiłych terminów, aby wywrzeć na nim wrażenie? Zresztą teraz było już za późno. ZA PÓŹNO!

Zerknął na zegarek. Czy przybędzie w porę, aby nie kazać im czekać na siebie? Układał w myślach przebieg rozmowy z prezesem Rady i dyrektorem finansów. Wiceprezes i dyrektor departamentu

„Rozrywek”, który rozumiał również mechanizm wytwórni, będzie także obecny. Peter będzie musiał zmierzyć się z trzema buldogami, mogącymi rozszarpać go na kawałki. Jedynie prezes zachowałby olimpijski spokój, żeby swą pozycją i osobowością zmiażdżyć upokorzonego i zastraszonego petenta. Zapytywał się w duchu, jakby zareagował ten pewny siebie biznesmen, unoszący się nad multinarodówką rozciągniętą jak dywan pod jego stopami, gdyby wiedział, że jego żona – którą wyciągnął z lichego kabaretu – była niegdyś, przed zamażpójściem, kochanką człowieka, który przybył, aby prosić go o dodatkowe fundusze? Cóż za burzliwy związek! Peter był w owych czasach młodym studentem z głową pełną marzeń! On i ta dziewczyna kłócili się jak dzicy, a później kochali się bez pamięci. Gdy Peter ją porzucił, Margaret zagroziła mu zemstą. Mimo że była stuprocentową Amerykanką, urodzoną w miasteczku na Środkowym Zachodzie, gdzie tylko w sobotę wieczorem wyświetlano jakiś film, miała gorący, gwałtowny temperament Hiszpanki. Upłynęło wiele lat. Zbliżała się również do sześćdziesiątki. Ale chirurgia kosmetyczna służąca jedynie bogatym kobietom, mogącym płacić bająnskie sumy, zacierała ślady czasu. Chirurdzy z pomocą czarodziejskiej

różdżki odpędzali starość, która zmykała jak wiedźma na miotle, i przemieniali zrozpaczone utratą młodości matrony w prześliczne sylfidy. Można by je zatrudnić jako modelki na pokazach mody. Margaret!

Margaret była taka namiętna, tak gwałtowna, że pewnego dnia w przypiływie zazdrości goniła go z nożem w rękę dookoła kuchennego stołu. Cóż to za upokorzenie, że ją porzucono! Zawsze sama podejmowała inicjatywę i opuszczała mężczyzn, którzy przestali się jej podobać, więc nie mieściło jej się w głowie, że jakiś smarkacz mógłby mieć jej dosyć. Zresztą wkrótce później zdobyła swą wulgarną urodą Leslie Cartera. Ten człowiek, który mógłby otrzymać rękę najbogatszej, najładniejszej debutantki z amerykańskiego *high life-u* stał się niewolnikiem podstarzałej kelnerki. Poślubił ją. Aby uświetnić pochodzenie ukochanej suto opłacił heraldyka, który wśród jej przodków doszukał się paru angielskich lordów i niemieckich książąt. *Jet-set* przyjęła to za dobrą monetę. Instytut piękności poprawił rysy i wygląd Margaret, nauczycielka tańca wpoila jej maniery wielkiej damy, a sprowadzony z Anglii profesor nauczył ją pięknej wymowy z akcentem charakterystycznym dla angielskiej arystokracji. Mimo to wrodzona wulgarność niekiedy dawała znać o sobie. Wyrywały się jej mimo woli gwarowe powiedzonka. Jej przyjaciółki z Piątej Avenue, w których żyłach płynęła błękitna krew, śmiały się serdecznie z tych słownych ekscesów i uważały je za kaprys, świadczący o cudownej oryginalności.

Jedynie Peter znał tajemnicę Margaret. Niedyskrecja dawnego kochanka mogła ją całkowicie skompromitować. *Jet-set* odsunąłby się od niej z pogardą, nie bacząc na miliardy Cartera. Snobi nie lubią, gdy się ich ordynarnie oszukuje. Peter wszakże dowiódł, że potrafi zachować milczenie.

Zazdrość Margaret nie osłabła z wiekiem. Jednakże Leslie Carter, który zbudował niemal całe imperium dzięki swej pomysłowości, wytrwałości, brawurze oraz brakowi skrupułów, z łatwością znalazł sposób uspienia jej podejrzeń. Otaczała go zawsze armia cieni, niezwykle zręcznych ochroniarzy, którzy tworzyli wokół niego jakby ekran, czyniąc go niewidzialnym zarówno dla wrogów, terrorystów, jak i dla detektywów Margaret.

O'Neill darzył szczerym podziwem tego człowieka, który nie wahał się iść po trupach do celu. Mieli podobne charaktery. Wspólna im była żądza władzy, przyjemność rozkazywania, jak również chęć realizacji przedsięwzięć, które zaspokoilyby najdziwniejsze ludzkie ambicje. Ilekroć się spotykali, odnosili wrażenie, że przeglądają się w lustrze. To podobieństwo powinno by ich może zbliżyć, lecz nienawidzili się właśnie z racji podobnych cech charakteru. Oglądanie w krzywym zwierciadle swoich wad i zalet budziło wprawdzie tylko niejasne uczucia, lecz wywoływało następstwa wyraźnie skryształizowane: prezes wiedział, że nigdy nie zmusi do posłuszeństwa reżysera, który jest zakuty w stal. I to w taką, jakiej nikt nie zdołał zgiąć.

– Jesteśmy na miejscu, proszę pana.

O'Neill drgnął, wyrwany ze swych rozmyślań, zapłacił kierowcy i wysiadł przed wejściem równie szerokim jak wejście do dworca lotniczego, z tą różnicą, że tutaj wznosiła się nad nim wieża z prawie czarnego szkła. Peter wiedział, iż szefowie zajmowali najwyższe piętra. Podniósł brodę i wypiął pierś. Walka była bliska, zbierał siły do starcia z nieprzyjaciółmi, ale chciał im odpowiadać grzecznie, ukrywając swe nieprzejednanie. Nawykł do uzyskiwania tego, czego pragnął i nie zamierzał ustępować, choćby miał stawić czoła radzie administracyjnej w pełnym składzie. Wszedł do gmachu i skierował się do biura informacji. Dziewczęta, wszystkie piękne, stojące

rzędem przed pulpitami, poznały go, zanim wymienił swe nazwisko. Najbystrzejsza z nich powitała go ujmującym uśmiechem. Może zwróci na nią uwagę i otworzy jej drogę do Hollywoodu? To szalona, niemal nierealna nadzieja. Mimo to...

– Kogo mam powiadomić o pańskim przybyciu, mister O'Neill?

– Samego szefa – odparł z ironiczną uprzejmością.

Jak w otwartej księdze czytał w myślach swej rozmówczyni, która spiesznie zatelefonowała. Upłynęło parę chwil, które wydały mu się zbyt długie. Nie znosił wyczekiwania.

– Pan Carter oczekuje pana, mister O'Neill – oznajmiła przymilnym tonem młoda panna spoglądając nań wzrokiem pełnym adoracji. – Osiemdziesiąte ósme piętro. Życzy pan sobie, żebym pana zaprowadziła?

– Dzięki! Znam drogę.

Wszedł do jednej z dwunastu pośpiesznych wind i poczuł pustkę w dołku zanim dojechał do celu. Przemierzył wiele korytarzy o mahoniowych lamperkach; kwiaty ustawione w wazonach przesycaly powietrze swym zapachem. Marmurowe popiersia na konsolach świadczyły, że prezes lubi wszystko, co przypomina mu starą Anglię.

Peter energicznym krokiem wszedł do jego sekretariatu. Młodziutka dziewczyna powitała go radośnie. Tak samo, jak dziewczęta w biurze informacji, marzyła o karierze filmowej. Niezręczne objęcia Cartera, sownie zresztą oplacane, nie spełniały jej marzeń. Peter O'Neill, aczkolwiek niżej stojący w hierarchii konglomeratu, miał przewagę nad „wielkimi”. On jeden mógł spełnić jej pragnienia.

– Pan Carter oczekuje pana w sali obrad, w której zaczęto dziś rano posiedzenie.

„No proszę! – pomyślał Peter nieco zaskoczony. – Czyżby zwołał Radę umyślnie dla mnie? Dlaczego nie wezwał też dyrektora wytwórni?”

– Proszę za mną, mister O'Neill.

Wyprzedziła go i szła lekkim krokiem kołysząc krągłymi biodrami. Ale on myślał tylko o tym, co go czeka za chwilę. Przewidywał burzę w szklance wody i wcale jej się nie obawiał. Dziewczyna wiodła go szerokim korytarzem, wyściełonym dywanem, który harmonizował z barwą lamperii. Obfitość kwiatów mogła wydać się zaskakująca tym, którzy spodziewali się znaleźć tu surową, niemal klasztorną atmosferę, w jakiej powinno się załatwiać poważne interesy; nie zdziwiłoby ich też nowoczesne biuro z setką boksów oddzielonych szklanymi ścianami.

Na końcu korytarza znajdowały się ciężkie, masywne, wysokie drzwi, przypominające wejście do świątyni. Porównanie było o tyle trafne, że i tutaj oddawano cześć Baalowi, złotu nagromadzonemu w niewyobrażalnych ilościach. To, że złoto przybierało kształt akcji lub obligacji, że rodziło się w fabrykach i koncernach prasowych, że służyło zarówno potrzebom wojny jak i pokoju, finansowaniu machinacji giełdowych i udzielaniu pożyczek zagranicą – świadczyło jedynie o tym, iż pieniądź nie powinien leżeć bezczynnie oraz że wielkie transakcje przyczyniają się do postępu ludzkości.

Sekretarka otworzyła drzwi i gestem poprosiła O'Neilla, żeby wszedł do ogromnej sali o szerokich oknach, za którymi widniały drapacze chmur Middle Town. Długi hebanowy stół był tak lśniący, że prawem kontrastu przyciemniał twarze trzydziestu mężczyzn siedzących po jego obu stronach na krzesłach w stylu chipendale. Peter nie mógł dojrzeć twarzy Leslie Cartera, który przewodniczył naradzie, gdyż był on zwrócony plecami do światła.

Powitał obojętnie zebranych. Usłyszał miły głos prezesa i ujrzał jego kordialny gest.

– To krzesło po mojej prawej stronie jest dla pana.

Reżyser zrozumiał, że zgromadzenie brało go na cel. Zastanawiał się, dlaczego Leslie nie przyjął go w swoim gabinecie. Usiadł bez pośpiechu i objął spojrzeniem prezesa.

Carter miał wygląd nobliwy; jego życzliwy uśmiech, spokój nieco wyniosły, jak przystało na szefa, nakazywał szacunek. Łagodny tembr głosu ożywiał rozmowy i posiedzenia rady, ale też nie zmieniał się, kiedy Carter wydawał polecenia. Z jednakową uprzejmością mógł usunąć kogoś z zespołu, zlecić zakupienie jakiegoś przedsiębiorstwa lub nakazać lansowanie akcji, wprawiając w ruch biliony. Jego nienaganne ubrania pochodziły z Londynu. Krawiec z Saville Row szył mu je na miarę i umiejętnie dobierał do nich koszule, krawaty, chusteczki do kieszonki i buty.

Wszystkie spojrzenia – przyjazne, jawnie wrogie i nieprzeniknione – skupiły się na O'Neillu. Miał twarz pociągłą, kanciastą o wydatnych rysach. Tym, co go wyróżniało, był drwiący uśmiech, ironiczny grymas i diabelskie ogniki w oczach, wywołujące zmieszanie rozmówców.

W odróżnieniu od nieruchomego jak manekin Cartera, Peter nosił swe kosztowne garnitury z nonszalancją pasującą do jego swobodnego zachowania.

Głos Cartera zaszemrał:

– Wezwaliśmy pana, żeby przedyskutować koszt pańskiego filmu. Część naszych partnerów uważa go za zbyt wygórowany...

Po zjedzeniu śniadania w łóżku Anna jeszcze naga przeszła do łazienki prowadząc za rękę kochanka, trochę zażenowanego paradowaniem na golasa w obecności pokojówki. Kochankowie stanęli pod jednym natryskiem i z

rozkoszą dopełnili rytuału porannych ablucji, który sprawiał Annie wielką przyjemność. Otarłszy pianę okrywającą jej krągłe piersi, ramiona, gładki brzuch, jedwabisty trójkąt i długie nogi, Joe okrył pocałunkami jej ciało, co pobudziło jego zmysły. Wskoczyli do basenu z zielonego marmuru, trochę popływali i ponownie spleli się w objęciach na posadzce zdobnej w stylizowane kwiaty. Uszczęśliwiona tym rozkosznym naddatkiem Anna ucałowała chłopca, pieszczotliwie ugryzła go w ucho i wyszeptała:

– Wybierzemy się przed południem na zakupy. Chcę ci sprawić złotego rolexa. Będziesz mi towarzyszył do Cartiera. Włóż to białe ubranie, które ci dałam. Przy mnie musisz się dobrze prezentować.

Twarz chłopca się wydłużyła. Miał tak dziecinną minę, że Anna przytuliła go do piersi w porywie czułości.

– Przyszedłem wczoraj w dżinsach i kraciastej koszuli – powiedział stropiony.

– Żeby mi to było po raz ostatni! Pójdiesz do siebie, przebierzesz się i wrócisz jako sztywny chłopak! Wystarczy ci na to godzina?

– Potrzebuję trzech godzin, żeby pojechać na moim dychawicznym motorze do New Port Beach i wrócić stamtąd. To przecież sto kilometrów w obie strony.

– Po południu mam kilka spotkań. Tylko z rana jestem wolna. Ale wiesz co? Weź ferrari mojego męża. Zatelefonuję do garażu, żeby ci dano kluczyki od wozu. Umiesz poprowadzić ferrari?

– Jeszcze jak! – Joe dumnie wypiął pierś. – No i w aucie nie zakurzę swego białego ubrania.

Szybko wciągnął dżinsy i kraciastą koszulę. Anna pomyślała z rozrzewnieniem, że jego młodość wcale na tym nie ucierpiała.

Odszedł, ciesząc się z góry na dwie rzeczy, które miały mu wypełnić przedpołudnie. Za noc tak zwanej miłości skąpe klientki płaciły najwyżej pięćdziesiąt dolarów. Tymczasem Anna wzbudziła w nim nieznane mu dotąd uczucia. Prawdziwe przywiązanie, zwłaszcza kiedy się z nią przespał...

Przedstawivszy argumenty na poparcie zwiększenia budżetu, koniecznego dla dokończenia filmu, Peter zapalił papierosa i z zimną krwią oczekiwał decyzji.

Olven Carr, wiceprezes i dyrektor departamentu finansów, poprosił o głos. Zapewne z powodu chorej wątroby stale był w złym humorze i prawie zawsze wkładał kije w szprychy tym, którzy prosili o pieniądze. Patrzył krzywym okiem na pracowników wytwórni, producentów, reżyserów i aktorów, którzy oprócz gaży mieli udział w tantiemach i premiach, tak że zarabiali znacznie więcej niż on i jego biurowi koledzy. Miał za złe filmowcom, że kupują cadillaki, rollsy i ferrari, podczas gdy wysocy urzędnicy zjednoczenia używali fordów, chevroletów, najwyżej buicków. Wściekał się na ich rozrzutność, zazdrościł im sławy, uważał za niesprawiedliwość, że on, który dostarczał im pieniędzy, miał na zawsze pozostać nieznanym. Był więc nudziarzem i zawistnikiem. Dawno temu przedstawił swą opinię prezesowi, domagając się, aby pracownicy wytwórni filmowej jeździli skromniejszymi autami. Carter odpowiedział mu łagodnie:

– Proszę zrezygnować ze źle pojętych oszczędności. Chciałby pan, żeby nas spotkało to co Foxa, kiedy Alan Ladd i jego przyjaciele opuścili starego i założyli własną wytwórnię, która dziś konkuruje z największymi firmami? Podobny exodus miał miejsce w United Artists, kiedy Transamerica, konglomerat, który ich pochłoniął, próbował narzucić filmowcom prawa, obowiązujące zwykłych śmiertelników. Przytoczyłem parę znanych panu

przykładów tylko po to, żeby pan pamiętał, co można i czego nie można robić. Nie chcę, żeby nasz konglomerat ucierpiał na skutek polityki oszczędnościowej, która okazała się nieskuteczna gdzie indziej.

Carr nie nalegał, mimo iż nie podzielał opinii szefa. Z Carterem nie było mowy o dyskusji. Prezes udał, że go nie dostrzega i udzielił głosu Arthurowi Bryantowi, który kierował siecią hoteli. Był to osobnik tęgi, puciołowaty, jego łyssa czaszka przypominała kulę bilardową.

– Budżet pańskiego filmu ustaliliśmy na dwadzieścia milionów dolarów – zwrócił się do O'Neilla. – Teraz prosi pan o dodatkowe piętnaście milionów. Jutro zażąda pan dalszej podwyżki. Byłem jednym z pierwszych czytelników pańskiego scenariusza. Od początku mi się nie podobał. Za wiele zbytku. Za wiele klejnotów, jachtów, bilionów, którymi się obraca. Publiczność uzna za zniewagę taki pokaz rozwiązłego życia bogaczy, którzy kierują multinarodówkami. Przepowiadam panu wielką klapę.

Peter zwrócił się do niego z pogardliwym uśmiechem. Podjął kontratak z gwałtownością, która zaskoczyła przeciwnika.

– Co by pan powiedział, gdybym wtrącał się do administracji pańskich hoteli? Dzięki rozgrywkom multinarodówek jest pan w radzie administracyjnej, która kontroluje wytwórnię. Czy zna się pan na sztuce filmowej? Całą wiedzę czerpie pan chyba z pójścia czasem do kina w towarzystwie żony. A może uważa się pan za autorytet w tej dziedzinie, ponieważ ma pan w domu video i trochę kaset?

Powiódł wzrokiem po członkach rady, którzy zrobili wielkie oczy. Żaden z nich nie zdobyłby się na tak ostrą, tak prowokującą wypowiedź. Spojrzeli na Cartera czekając na jego reakcję. Ale prezes milczał. Zachował nieruchomą maskę manekina.

Peter podjął ironicznie:

– Wy, ludzie interesu, wspaniali ludzie interesu, gdyż tylko tacy mogą zasiadać przy tym stole, bankierzy, przemysłowcy, konstruktorzy, zajmujcie się swoimi problemami i pozwólcie nam, filmowcom, zajmować się naszymi. Chcecie zniszczyć wytwórnię, która może stać się beczką bez dna i przynosić same straty? W takim razie prowadźcie nieprzemyślaną politykę oszczędności, a konsekwencje je zobaczycie sami.

Znowu spojrzął na łysą czaszkę Bryanta.

– Oskarżacie mnie, że pokazuję zbytek, szalone wydatki, ekstrawagancje moich bohaterów. A przecież scenariusz został zaakceptowany po burzliwej dyskusji, w której uczestniczyli ludzie nie mający nic wspólnego ze światem filmu. Negocjacje z agencjami dystrybutorów były cierniste i kosztowne, bo ci eksperci umieją pokazać pazury, ilekroć wchodzi w grę interesy ich samych oraz ich klientów. Takie seriale jak „Dallas” czy „Dynastia” przyniosły Aronowi Spellingowi setki milionów dolarów. Twierdzi on, że widzowie uwielbiają śmiać się z bogaczy. Sprawia im przyjemność stwierdzenie, że miliarderzy nie żyją w raju niedostępnym dla przeciętnego Amerykanina, że również ponoszą klęski, znajdują się na skraju przepaści, że mają kłopoty sercowe i rozczarowania, że nie można za pieniądze kupić miłości ani przyjaźni. Publiczność ma już dość filmów przedstawiających życie pełne trosk i daremnych zmagania, obrazów nędzy moralnej i materialnej. Mówi się, że kino jest fabryką snów. To prawda. Jest całym przemysłem produkującym złudzenia. Amerykanie o skromnych dochodach tęskniący za lepszym życiem oglądają na ekranie ludzi, którzy zaczęli od zera, i zarabiają dzisiaj miliony dzięki pracy, wytrwałości i chęci zrobienia kariery. Tylko parweniusze nie cierpią filmów, które ukazują ich podejrzane machinacje.

Objął prowokującym spojrzeniem zgorszonych członków Rady.

– Spodziewam się, że nie wśliznęli się tutaj parweniusze. Zapewne wszyscy panowie jesteście potomkami tych, co wysiedli z Mayflower na brzeg amerykański... Dlaczego mielibyście wstydić się swojego bogactwa zdobytego dzięki wysiłkom, sile woli i odrobinie szczęścia? Skąd to poczucie winy? Im usilniej skrywacie za zasłoną milczenia życie sfer uprzywilejowanych, tym większą niechęć dla nich budzicie w społeczeństwie.

Mówiąc dalej w ten sposób Peter zdołał przekonać zaledwie część audytorium. Wielu członków rady nadal miało poważne wątpliwości. Carter nadal zachowywał milczenie. Można by powiedzieć, że tylko uświetniał naradę swoją obecnością.

Zapał zmrok. Sekretarka prezesa bezszelestnie podeszła do O'Neilla.

– Los Angeles prosi pana zaraz do telefonu. Czy mam przynieść aparat, czy woli pan przejść do sąsiedniego pokoju, gdzie nikt nie przeszkadzałby panu w rozmowie?

– Przejdę tam – odparł Peter.

Podążył za dziewczyną i podniósł słuchawkę.

– Tu kapitan Dobson z policji Los Angeles. Przed kilkoma godzinami znaleziono pańskie ferrari w wąwozie przy Beverly Hills. Wóz uległ zniszczeniu na skutek eksplozji, ciało kierowcy zwęglone. Początkowo przypuszczano, że to pan padł ofiarą zamachu. Mimo uszkodzeń, jakim uległa maszyna, nasi eksperci stwierdzili, że system kierowania i hamulce zostały umyślnie zepsute. Szykowano zamach na pana. Tylko przypadkiem za kierownicą znalazł się człowiek upoważniony przez pańską żonę. Ustalono już jego personalia: Joe Shweize, lat dziewiętnaście, bez zawodu. Czekamy na

powrót pana do Los Angeles. Sądzymy, że pańska pomoc będzie niezbędna dla ustalenia, kto jest sprawcą zamachu.

Ironiczny uśmiech nie opuścił twarzy O'Neilla. Mógł sobie łatwo wyobrazić, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Pożyczając jakiemuś łobuzowi samochód męża, Anna ocaliła mu życie.

Nie było dlań zaskoczeniem, że chciano go zabić. Jeden z jego licznych wrogów przeszedł od pogroźek do czynu. Żeby uszkodzić wóz trzeba się znać na mechanice samochodowej i odważyć się na wślizgnięcie do strzeżonego garażu. – Musiał to zrobić fachowiec – stwierdził Peter odkładając słuchawkę.

Bryant wykorzystał jego nieobecność, żeby zwrócić się wprost do Cartera:

– Film, o którym mowa, przedstawia ujemne strony multinarodówki. Ukazuje ciemne siły, wpływ, jaki wywierają na rynek światowy, nawet na przyszłość świata, kształtowaną przez kilka konglomeratów, które dysponują całą władzą, wszystkimi przywilejami.

Carter odezwał się po raz pierwszy:

– Przeciwnie, mój drogi, uważam, że O'Neill stopniowo oswaja widzów z myślą, że multinarodówki reprezentują społeczeństwo przyszłości, w której rządy będą się zajmować problemami administracji, a prawdziwa władza ekonomiczna będzie należeć do konglomeratów. O'Neill toruje nam drogę...

– Jest pan zbyt wyrozumiały – wtrącił Olven Carr.

– Proszę pamiętać, że dzięki O'Neillowi zarobiliśmy setki milionów.

– Ale robił też knoty, które nie spodobały się publiczności.

– Zyski znacznie przeważają. Przyznamy mu te fundusze, o które prosi.

Nikt nie ośmielił się zaprotestować. Niezadowoleni z tej decyzji w milczeniu zwiesili głowy.

Peter wrócił do sali obrad tak spokojny, jakby otrzymana przed chwilą wiadomość wcale go nie obeszła. Cartier oznajmił mu dobrą nowinę i zapytał:

– Zamierza pan zaraz wrócić do Los Angeles, czy zatrzyma się pan na kilka dni w Nowym Jorku?

O'Neill nie spieszył się z wyjazdem. Śledztwo potoczy się bez niego. Ustalenie listy wrogów nie zdałoby się na nic. Miał ich tak wielu!

– Zostanę trzy, cztery dni, żeby wybrać miejsca, w których nakręcę tutaj kilka scen.

Carter skinął na sekretarkę.

– Proszę zamówić w hotelu Plaza apartament dla pana O'Neilla. Peter, damy panu do dyspozycji wóz służbowy. Chce pan mieć kierowcę?

– Dzięki. Wolę prowadzić sam.

– A więc damy panu cadillaka, do którego jest pan przyzwyczajony.

Pożegnał członków Rady i ujawszy O'Neilla pod ramię pociągnął ku oknu, za którym roztaczał się wspaniały widok na nocny Nowy Jork. W głębokich kanionach ulic między wysokościami płynęły rzeki żółtych i czerwonych świateł, posuwających się nieprzerwanie aut.

– O ile dobrze pamiętam, akcja pańskiego filmu toczy się głównie w Europie – powiedział Leslie.

– Tak. Tłem "Orgii amerykańskiej" będzie kolejno Palm Beach, Paryż, Londyn, Monte Carlo, Rzym i Wenecja.

– Uroczą podróż.

– Będę tak zajęty, że nie starczy mi czasu na oglądanie pejzaży.

– Widziałem ostatnio film, którego akcja toczyła się w Monte Carlo podczas niemieckiej okupacji Francji. Było to Monte Carlo nie mające nic wspólnego z tym cudownym miastem. Dekoracje zaimprovizowane w

Meksyku okazały się żałosne. To mnie skłoniło do przyznania panu niezbędnych funduszy. „Śmierć w Wenecji” filmowano w Wenecji. Visconti nie szachrował. Gdyby pan potrzebował dalszego dofinansowania, proszę zwrócić się bezpośrednio do mnie. Uzyskam zgodę rady.

O'Neill uśmiechnął się rozbawiony. A więc Carter po to tylko zaaranżował tę całą komedię, żeby mu pokazać, iż darzy go swoją łaską i zapewnić sobie jego wdzięczność!

– Wspomniałem żonie o pańskim przyjeździe do Nowego Jorku. Mam nadzieję, że zechce pan jutro zjeść z nami obiad?

Z uśmiechniętej twarzy reżysera trudno było odgadnąć, o czym myśli.

– Jest pan trochę roztargniony, Peter? Co zaprzęta pańską uwagę?

– Chciałbym zaangażować do roli epizodycznej pewną kobietę, jedną z dawnych gwiazd Hollywoodu, która teraz jest zwykłą służącą.

Carter pokazał w uśmiechu wspaniale utrzymane zęby.

– Nie znałem pana jeszcze w roli dobroczyńcy pomagającego zapomnianym aktorom.

– Nieczęsto w tej roli występuję. Mówiąc serio, jestem pewien, że część publiczności będzie ciekawa, jak wygląda dzisiaj Fay Holden. Chcę wieczorem zapuścić się w Hell's Kitchen na jej poszukiwanie.

– To nie jest dzielnica, którą należałoby odwiedzać w nocy.

– Kilka scen mego filmu rozegra się właśnie tam.

– A więc do zobaczenia jutro wieczorem.

– Przyjdę z pewnością, Leslie. Pozdrowienia dla pańskiej małżonki.

II

Cadillac kołysał się łagodnie na resorach pokonując wyboistą jezdnię. Nędzne, odrapane, jednostajne domy po obu stronach ulicy zdawały się trzymać ziemi tylko dzięki kamiennym schodkom o żelaznych poręczach. Wspaniały samochód O'Neilla przyciągał uwagę gapiów, urwisów i dzieci, które mimo późnej pory kręciły się na drodze schodzącej zakosami do Hudsonu.

„Hell's Kitchen w całej swej okazałości” – pomyślał Peter, wypatrując w słabym świetle latarni numeru domu, w którym mieszkała Fay Holden. Przypomniawszy sobie, co mówił Carter o tej dzielnicy. Przychylność, jaką okazywał reżyserowi, wynikała na pewno z egoistycznych pobudek. Miał w tym swój interes, żeby mu robić przysługi. A czyż on sam nie postępował podobnie? Całe Los Angeles, cała Ameryka będzie wychwalać wielkiego O'Neilla za to, że wyrwał z dna nędzy starą aktorkę, dawną gwiazdę Hollywoodu, która przed trzydziestu czy czterdziestu laty podbiła publiczność swą urodą, młodością i *sex appeal*. Mimo woli powtórzył niemodne już określenie: *sex appeal*. Zestarzało się wraz z ludźmi, którzy je tak chętnie używali.

Mimo dawno skończonej pięćdziesiątki miał wrażenie, że wieki całe dzieli go od Fay Holden, która zbliżała się do lat sześćdziesięciu. Kobiety w jej wieku, nie mające pojęcia o dobrodziejstwach chirurgii kosmetycznej, siedziały na schodkach przed domami, gadając o wszystkim i o niczym. Chłopcy grali w piłkę na jezdni, gdyż samochody rzadko się tutaj zapuszczały.

Znalazł wreszcie dom, którego szukał. Zatrzymał wóz i wysiadł na chodnik. Zapach nowej skóry i świeżości pozostał we wnętrzu auta, powietrze

na ulicy cuchnęło stęchlizną i śmieciami. Od czasu do czasu wilgotny powiew dolatywał z nad Hudsonu, lecz nie mógł rozwiać smrodu zalegającego ulicę. Peter znalazł naturę tego zjawiska. Przepelnione pojemniki na śmieci stały między schodkami domów, dotrzymując towarzystwa staruszkom i wyrostkom, którym najwidoczniej nie przeszkadzały nieczystości wysypujące się na chodnik.

Grupka chuliganów wpatrywała się w cadillaka. Czarny chłopak trzymający się z dala od nich gapił się z zachwytem na luksusowy wóz. Był tak przejęty nieoczekiwanym pojawieniem się jego w pobliżu, że nie miał siły odejść.

– Chciałbyś przypilnować go do mego powrotu? Masz tu pięć dolarów za fatygę.

Czarny spojrzał zdumiony, jakby się ocknął ze snu.

– Dobrze, psze pana. Chętnie, psze pana!

Wsunął do kieszeni zielony banknot. Chciałby posiadać cadillaka i trzymać go przed swoim domem, żeby olśnić sąsiadów. Wszyscy by mówili: oto chłopak, któremu się powiodło, który zarabia kupę forsy i ma jedwabne życie.

Peter przecisnął się między siedzącymi na schodkach kumoszkami i wszedł do wnętrza domu. Długi, podarty dywan ciągnął się aż do końca korytarza. Wisiała tam skrzynka na listy, lecz na zamkniętych wieczkach przegródek nie widniało niczyje nazwisko. Widocznie mieszkańcy woleli zachować anonimowość.

Zapukał lekko do drzwi, z których łuszczyła się farba. Bezzębna, rozczochrana, ziejąca alkoholem kobieta zjawiała się na progu.

– Czego pan chce?

– Pomówić z panią Fay Holden. Czy byłaby pani uprzejma wskazać mi jej drzwi?

– Aktorka? Na drugim piętrze, trzecie z lewej.

Peter podziękował tak grzecznie, jakby miał do czynienia z prawdziwą damą. Po stromych, zabłoconych schodach wszedł na górę i znalazłszy się przed wskazanymi drzwiami ponownie zapukał.

Omam nie doznał szoku na widok kobiety, która mu otworzyła. Wspaniała, zachwycająca Fay Holden roztyła się, siatka zmarszczek pojawiła się w kącikach jej oczu. Usta straciły zmysłowy zarys. Mimo wszystko zachowała jednak ślady dawnej urody.

– Czego pan sobie życzy?

Nagle coś zaświtało w jej mózgu. Poznała O'Neilla. Radość i zażenowanie, że znalazł ją w takiej dzielnicy, wywołały na jej twarzy rumieniec.

– Peter, ty tutaj? Wejdz, ale się nie rozglądaj! Bardzo nisko upadłam.

Uścisnął ją z udawanym zachwytem i wszedł do czegoś na kształt rupieciarni pełnej zniszczonych, tandetnych mebli, które nie znalazłyby nabywców nawet wśród najuboższych klientów pchlego targu. Panował tu okropny zaduch.

Łzy zabłyśły w oczach Fay Holden. Zaszlochała.

– Kto by przypuścił, że znajdę się w takich warunkach! Odegrał wzruszającą scenę odnalezienia dawnej przyjaciółki.

– Nie przestałaś być piękna, Fay! Po prostu dojrzałaś. Ot i wszystko!

Przejrzała się w porysowanym lustrze. Zrobiło jej się wstyd, że ma na sobie poplamioną, pogniecioną suknię.

– Za pieniądze, które wpływały strumieniami na moje konto, kiedy byłam u szczytu kariery, mogłam sobie była kupić piękne mieszkanie, zapewnić przyszłość (nie wymówiła słowa starość), spokojną i wygodną egzystencję. Ale wydałam wszystko. Kupowałam najdroższe suknie, świecidełka, urządzałam wystawne przyjęcia w wielkiej willi na Beverly Hills, wynajmowanej za zawrotną sumę. Miałam całą hałastrę pokojówek, kucharzy, kierowców, w moim garażu stały dwa rollsy, cadillac i hispano-suiza, wszędzie było mnóstwo kwiatów, uwielbiałam ich zapach. Wszystkie prezenty oddawałam siostram i kuzynkom, którym gorzej się w życiu powiodło. Aż nagle się urwało. Nie wiem dlaczego. Nie odnowiono ze mną kontraktów. Nie zmieniłam się, lecz publiczność miała mnie dosyć. Cohn powiedział mi, że moja popularność spada, później życzył mi powodzenia w innych wytwórniach. „Z pewnością dadzą ci engagement” – stwierdził odprowadzając mnie do drzwi. Kiedy zatrzasnęły się za mną, pomyślałam, że to płyta grobowca uwięziła mnie w ciemnościach, co oznaczało śmierć. Całkiem straciłam głowę. Wyczerpałam konto w banku. Potem przyszła zupełna klęska. Nachodziłam moich agentów, ale żadna wytwórnia mnie już nie chciała. Rolls był jeszcze nie spłacony. Przedtem wszędzie mi kredytowano, wszystkie drzwi stały otworem przed wielką Fay Holden... Zabrano mi meble, auta, musiałam opuścić willę i przenieść się do małego mieszkanka. Miałam trochę biżuterii, niewiele zresztą, sprzedawałam za psi grosz, przeżyłam za to parę lat. Aż pewnego dnia zostałam bez jednego centa. Musiałam szukać pracy, żeby zarobić na życie. Zatrudniłam się jako kelnerka. Nie w Los Angeles, to byłoby zbyt upokarzające. Wyjechałam do małej miejsciny na Middle West. Wiodło mi się coraz gorzej. Upadek był powolny, lecz nieunikniony. Wylądowałam w Nowym Jorku jak zdechły wieloryb na plaży. I oto jestem tutaj. Siadaj, Peter.

Nie powiedziała mu, co robiła ostatnio. Myła schody w małym banku. Peter patrzył na nią z sympatią i wyrozumiałością.

– Przyszłość może otworzyć przed tobą swoje złote wrota. Dlatego właśnie składam ci wizytę. Mam dla ciebie engagement w moim nowym filmie.

Twarz aktorki nagle pojaśniała. A więc nie zapomniano całkiem o jej uroku, o jej powodzeniu. Szukano jej. Znowu zabłyśnie jej talent. Odzyska swoją publiczność. Swoich wielbicieli.

– Będzie to rola czarującej babuni, ukochanej przez wnuczeta. Stworzyłem ją umyślnie dla ciebie.

Czoło Fay sposepniało. Radość jej zgasła.

– Babuni? – wykrzyknęła oburzona.

– Katherine Hepburn i Bette Davis bez wahania przyjmują takie role. Film, w którym Hepburn grała babcię, otrzymał Oscara.

Pobladła twarz aktorki odzyskała rumieńce.

– Masz słusność. Widziałam Bette Davis w roli starej damy, grała razem z Cottenem i Srodim. Była fascynująca. Mogłabym jednak zagrać lepiej.

– Otóż to! – potwierdził Peter. – Znowu staniesz w świetle jupiterów. Świat filmu przyjmie cię z otwartymi ramionami. Dzienniki i prasa filmowa zapowiedzą twój powrót przed kamery. Podpiszesz kontrakt, który cię wyciągnie z tarapatów. Daję ci za tę rolę trzydzieści tysięcy dolarów.

– Trzydzieści tysięcy? – oburzyła się Fay. – Należy do zwyczaju, że aktorzy, którzy zawierają nowy kontrakt, zawsze dostają więcej niż przy poprzednich umowach. Za ostatni film otrzymałam pięćset tysięcy.

– Ale teraz wystąpisz tylko w kilku scenach. Powtarzam, to rola epizodyczna.

Fay dumnie uniosła głowę.

– Wobec tego dwieście tysięcy byłoby należyłą gażą. O'Neill się zniecierpliwiał.

– Trzydzieści pięć tysięcy to moja ostatnia propozycja. Dobrze się zastanów, zanim mi dasz odpowiedź negatywną. Taka okazja więcej się nie powtórzy.

„Peter wyczuł, że publiczność chciałaby mnie zobaczyć – pomyślała przebiegle Fay – Nigdy nie postępował lekkomyślnie”

– Dwieście tysięcy to moje ostatnie słowo – powiedziała kategorycznie.

Westchnął spoglądając na nią z ironią.

– Wybacz, że cię niepokoiłem, Fay. Mam spotkanie, z którego nie mogę zrezygnować.

Zerknął na zegarek.

– Muszę cię opuścić, droga przyjaciółko. Nie mogę się spóźnić na umówione spotkanie.

Pożegnali się chłodno. Fay nie mogła mu wybaczyć skąpstwa. „Chciał wykorzystać moje nazwisko, żeby zdobyć moich dawnych wielbicieli. Jeszcze tu powróci”.

Ironiczny uśmiech O'Neilla zabarwił się współczuciem.

„Biedaczka! – pomyślał – całkiem nie zorientowana w rzeczywistości”.

Usiadłszy za kierownicą cadillaka z rozkoszą wciągnął zapach delikatnej skóry i perfum. Podziękował gestem czarnemu chłopcu. Wóz ruszył bezszelestnie. Na schodkach nie było już nikogo. Peter miał zapuścić się w pierwszą przecznicę, skrócić w prawo i jeszcze raz w prawo, w stronę Central Parku. Jednokierunkowy ruch w Nowym Jorku trochę go denerwował.

Nagle stary, jaskrawo pomalowany samochód, pełen młodych, wesołych i rozkrzyczanych Murzynów, zjawił się przed nim, jadąc w kierunku

sprzecznym z przepisami ruchu drogowego. Kierowca, młody chłopak o kędzierzawych włosach, zaśmiewał się do rozpuku, prawdopodobnie pod wpływem narkotyku. Stara gablota jechała środkiem jezdni, zderzenie zdawało się nieuchronne. Peter gwałtownie skręcił na chodnik, przewrócił pojemnik ze śmieciami i stanął tuż przy schodkach. To cud, że nie zmiażdżył chłopaka siedzącego na najniższym stopniu.

Peter wyskoczył z auta i podszedł do niego, żeby stwierdzić, czy chłopak nie doznał obrażeń. Odjął dłonie, którymi chłopiec osłaniał twarz, i dygotał jeszcze patrząc na samochód, który omal go nie zmiażdżył. Chłopak był piękny. Niewiarygodnie piękny. Wprost nie do opisanía. Łzy spływały mu po policzkach.

Peter, cyniczny Peter O'Neill, patrzył nań ze zdumieniem pełnym podziwu.

– Dlaczego pan płacze? Czy pana potrąciłem?

– Nic mi nie jest – odparł równie cicho jak Leslie Carter, z tą różnicą, że w jego łagodnym tonie brak było ujarzmiającej siły.

Wstał. Był podobny do rzeźby Praksytelesa.

– Muszę już iść. Nie chcę spóźnić się na występ.

– Jest pan aktorem? – zapytał O'Neill z żywym zainteresowaniem.

Miał zamiar zaproponować rolę Fay Holden, a oto los zetknął go z młodym człowiekiem mającym wdzięk Jamesa Deana i młodzieńczą, promienną urodę Roba Lowe. Mógł wzbudzić zachwyty publiczności wciąż spragnionej nowych idoli. Mimo nędznego ubrania – nosił spłowiałe dzinsy i tanią, kraciastą koszulę, a jego niegdyś białe trampki całkiem poszarzały – wyglądał na bogatego chłopaka, którego do Hell's Kitchen sprowadziła chorobliwa ciekawość. Byłby świetny w roli zrujnowanego włoskiego

arystokraty, w którym bez pamięci zakochuje się rozkapryszona córka miliarda.

– Jestem tancerzem – odparł po chwili, jakby wstydził się swojego zajęcia.

– Zawodowym tancerzem, jak sędzę...

– Przepraszam pana, doprawdy muszę już iść.

Przy ostatnich słowach zaszlochał. Wierzchem dłoni otarł łzy z twarzy. Jego boleść wzmogła ciekawość reżysera.

– Proszę się nie martwić, odwiozę pana, gdzie pan zechce.

Chłopak spojrział na zegarek. Podał adres. W drodze na **42** ulicę wyznał z goryczą:

– Robię strip-tease dla kobiet, które co wieczór wypatrują oczy na wygibasy gołych chłopaków, a one... im bardziej zależy, żeby je roznamiętnić, niż na tańcu.

Peter zapytał go wprost:

– Nie wolałby pan grać w filmie?

– Gdyby pan wiedział, ile osób mam było perspektywę otwarcia drogi do filmu w zamian za pewne... uprzejmości. Ale nikt nie dotrzymał obietnic. Kiedy dostali to, czego chcieli, zapominali o swych przyrzeczeniach.

– Jeśli lubi pan kino, może widział pan moje nazwisko na ekranie. Nazywam się Peter O'Neill, jestem reżyserem. Wprawdzie szeroka publiczność pamięta raczej nazwiska aktorów...

Chłopak zrobił wielkie oczy.

– Jest pan Peterem O'Neillem?

Reżyser wyczuł, że tamten mu nie dowierza. Trzymając lewą rękę na kierownicy, prawą wyjął wizytówkę i podał ją swemu towarzyszowi, co wymagało pewnego wysiłku, gdyż na ulicy ruch wymagał wytężonej uwagi.

Młody człowiek odczytał nazwisko i chciał zwrócić wizytówkę.

– Niech ją pan zatrzyma. Na razie mieszkam tu, w hotelu Plaza. Nie znam jednak pańskiego nazwiska.

– Bob Flynn, lat dziewiętnaście.

Nie płakał już, lecz od czasu do czasu wrywało mu się z piersi głębokie westchnienie.

Mimo znacznej różnicy wieku O'Neill od początku zwracał się do chłopaka jak do dorosłego mężczyzny, chcąc mu dać do zrozumienia, że traktuje go poważnie i z szacunkiem.

– Czy mógłbym dziś zobaczyć, jak pan tańczy? Chciałbym ocenić pańskie zachowanie się na scenie.

– Sprawiłoby mi to przyjemność. Nie wiem tylko, czy pana wpuszczą. Prawo wstępu mają tylko kobiety powyżej lat osiemnastu.

Kiedy młody człowiek wysiadł z cadillaka w towarzystwie dobrze ubranego starszego pana, który wyglądał na bogatego i poważnego człowieka, portier baru mrugnął porozumiewawczo. „Bob – pomyślał – złapał grubą rybę”. Peter wsunął mu ukradkiem w łapę dwadzieścia dolarów, które tamten szybko schował do kieszeni.

– Ryzykuję utratą posady, jeśli pana wpuszczę...

Drugi banknot o tej samej wartości rozproszył jego skrupuły i zmniejszył lęk przed utratą pracy.

– Zaprowadzę pana do loży zasłoniętej kotarą. Obejrzy pan spektakl nie będąc widziany przez te panie, które podniosłyby krzyk widząc, że wchodzi pan do ich sanktuarium.

Peter stał jeszcze przez chwilę z Bobem w blasku różnobarwnych migocących świateł barów, witryn sklepowych, kafejek i latarni ulicznych.

– Spotkamy się po spektaklu, Bob?

– Tak... Być może...

Zmienny nastrój chłopaka znowu dał znać o sobie. Opadła zeń maska zainteresowania, wzbudzonego propozycją O'Neilla. Sposepniał i zniknął w wejściu dla tancerzy.

– Cudowny chłopak! – stwierdził portier zaintrygowany dziwnym uśmiechem O'Neilla. Mógł sobie łatwo wyobrazić związki łączące Boba z o wiele starszym od niego człowiekiem. Zazwyczaj po spektaklu tancerze szli gdzieś z kobietami lub mężczyznami, którzy czekali na nich na ulicy. Wiedział, co było później. Otrzymywał zresztą napiwki za przekazywanie liścików tancerzom, którzy powierzali mu pozytywne lub negatywne odpowiedzi. Pośrednictwo przynosiło mu więcej niż pensja.

Poprowadził O'Neilla przez labirynt korytarzy i wąskich, stromych schodów aż do kabiny, w której znajdował się aparat projekcyjny. Obsługujący go zazwyczaj operator zachorował i nie przyszedł do pracy. Z tej wysokości O'Neill mógł objąć wzrokiem zarówno scenę, jak i widownię. Była to sala średniej wielkości, zastawiona stolikami, przy których kłębił się tłum kobiet krzyczących, żeby wreszcie zaczęły się występy. W oczekiwaniu na spektakl popijały zdrowo, paliły papierosy i komentowały hałaśliwie zalety różnych tancerzy. Większość stałych bywalczyń znała się ze sobą.

Zabrział gong, światła reflektorów padły na scenę bez kurtyny. W dziarskim rytmie *country* wbiegł na scenę młody człowiek obdarzony urodą i tężyzną fizyczną. Muzyka płynęła z wielu głośników. Nadawał ją disc jockey, uwijający się jak diabeł w szklanej kabinie. Zahuczały oklaski. Tancerz zaczął swoje ewolucje służące za pretekst do stopniowego rozbierania się na oczach admiratorek. W miarę jak zdejmował części stroju, krzyki przybierały na sile, stawały się ogłuszające. Kiedy zrzucił slipy, podniecenie na widowni było prawie histeryczne. Okrążył dumnie scenę i zszedł między stoliki. Ucałował kilka pań, innym pozwolił trochę się pomacać, po czym wrócił na scenę i przesyłając im z daleka całusy zniknął za kulisami, żegnany burzą oklasków.

O'Neill źle się czuł w zaduchu kabiny, do której docierała woń perfum i potu połączona z przykrym zapachem zakurzonej kotary, osłaniającej go przed publicznością. Dobrze zbudowany kelner, przepasany malutkim fartuszkim – taki zredukowany do minimum uniform nosili wszyscy jego koledzy – na zlecenie portiera przyniósł reżyserowi butelkę szampana. Był wcieloną uprzejmością, a jego bystre oczy wyrażały gotowość zaspokojenia wszelkich pragnień klienta. Peter zatrzymał szampan, wręczył kelnerowi królewski napiwek i zamówił sok owocowy. To było wszystko. Kelner dyskretnie się oddalił, nieco zaskoczony sarkastyczną miną gościa, który zmierzył go wprawdzie wzrokiem od stóp do głów, lecz nie zrobił mu żadnej propozycji. Zazwyczaj panowie, którzy potajemnie bywali w tym barze, szukali partnerów wśród tancerzy i obsługujących. Ale jeszcze nie było za późno.

Tancerze występowali kolejno, przyjmowani hałaśliwie przez roznamiętnione kobiety.

Każdy reżyser świadomie lub nieświadomie zawsze poluje na osoby mogące stać się atrakcją jego filmów. Gwiazdy u szczytu powodzenia nie są

przecież nieśmiertelne, a czasem trzeba im zrobić kawał i odmówić engagement wówczas, gdy ich wymagania finansowe przekraczają miarę. Jednakże to, że Peter O'Neill kulił się w kabinie projekcyjnej, aby obejrzeć występ młodego człowieka, co prawda bardzo pięknego, mogłoby się wydawać dosyć dziwne.

Bob jeszcze się nie pojawił, aczkolwiek większość jego kolegów już miała swoje występy. Jego zostawiano na koniec, co świadczyło, że ceniono go najbardziej.

Peter ledwo skosztował soku owocowego. Instynkt, czy też szósty zmysł mówił mu, że zobaczy jedną z tych wyjątkowych istot, których natura stwarza tak niewiele. Czy był pod urokiem tego młodzieniaszka? Nie patrzył nań wzrokiem pederasty, który zakochał się we wspaniałym chłopaku, lecz oceniał go jako wytrawny profesjonalista.

Jowialny, spocony prezenter zapowiedział ostatni, najbardziej lubiany występ, nie omieszkawszy dodać do swych pochwał, że Bob Flynn jest najmłodszym z wykonawców. Na zakończenie przytoczył cytaty z *Cyda*, wypowiedziany mu przez klientkę, która uważała się za wyrefinowaną intelektualistkę: *Aux ames bien nees la valeur n'attend pas la nombre des annees*. Sala zatrzęsała się od oklasków i krzyków zachwyconych kobiet.

Bob wyszedł na scenę. Sceptyczny O'Neill patrzył nań z zapartym tchem. Otoczony kręgiem światła przypominał młodego boga. W odróżnieniu do swoich poprzedników, którzy popisywali się szybkimi łamańcami, a ruchy ich wyraźnie kojarzyły się z kopulacją, Bob tańczył wolno, jakby unosił się nad chmurami. Nie naśladował wulgarnego spółkowania, lecz cały wcielał się w miłość. Pomału zdejmował części stroju, a jego pieszczotliwe ruchy były przeznaczone nie dla całej widowni, lecz dla każdej kobiety z osobna.

Hipnotyzował je jak hinduski zaklinacz węży. Widownia ucichła. Czekąca w napięciu. Rozlegała się jedynie muzyka. W zwojach papierosowego dymu, które otaczały go przejrzystą, opalizującą poświatą, wyglądał jak nierzeczywista zjawą. Sex stawał się dodatkiem do miłości, do potężnego uczucia, do niewidzialnej siły, która odradza świat. Każda kobieta chciałaby go mieć wyłącznie dla siebie. Na zakończenie występu stał nagi pośrodku sceny, a snopy światła krążyły po nim jak po nieruchomym posągu.

Cisza przedłużała się. Minęło kilka sekund, minuta – może wiek. Kiedy Bob zniknął, wybuchły gromkie oklaski, nie posiadano się z zachwytem. Porwane tajemniczym prądem wielbicielki ogarnął ocean szczęścia.

O'Neill wstał i ruszył ku wyjściu. Wystarczył mu występ Boba. Ten chłopak prześcignie Jamesa Deana. Będzie za nim szaleć cała Ameryka. Wyszedł na ulicę i czekał w umówionym miejscu. Przy wyjściu dla tancerzy skupiła się setka roznamiętnionych kobiet. Przechodnie patrzyli na nie z ciekawością.

Czekał długo. Wychodzących tancerzy witano okrzykami. Portier podszedł do O'Neilla.

– Bob wymknął się innymi drzwiami. Prawie co wieczór zwodzi tak swoje wielbicielki, które na niego polują. Fajny chłopak ten nasz Bob!

„Nasz”, to dwuznaczne określenie do pewnego stopnia czyniło O'Neilla współnikiem cerbera, który w przeciwieństwie do swego kolegi z Piekła, dawał się łatwo przekupić. Prawie dwadzieścia minut upłynęło, a Bob nie przyszedł na spotkanie. Peter, który nie znosił czekania i który nie robił tego ani dla decydentów, ani dla najwybitniejszych aktorów, musiał pogodzić się z losem. Młody człowiek wymknął się bez pożegnania.

Mimo późnej pory – dochodziła już trzecia w nocy – ruch bynajmniej nie malał. 42. ulica nie zasypiała nigdy. Upokorzony afrontem, jaki go spotkał, Peter siadł za kierownicą cadillaka i pomknął wprost do hotelu. Zbierało mu się na mdłości. Myślał z obrzydzeniem o tancerzach, którzy krokiem zwycięzców schodzili ze sceny, żeby się pograć w tłumie wielbicielek. Rozdawali im całusy, a one wsuwały im banknoty pod skąpe slipy, nie całkiem zasłaniające ich męskość. Zapewne Bob robił to samo, pozwalał się dotykać lubieżnym kobietom. To było nie do zniesienia!

* * *

Leslie Carter, pozujący na zblazowanego arystokratę i dżentelmena okazującego wszystkim chłodną wyniosłość, był w istocie masochistą. Nie mógł doczekać się obiadu z O'Neillem, obiecując sobie, że nie spuści z oka Margaret i jej dawnego kochanka. Dawno już dzięki usługom prywatnych detektywów dowiedział się, że szalona miłość łączyła niegdyś Margaret i O'Neilla, który nieoczekiwanie ją porzucił. Uczucia Margaret przerodziły się w nienawiść. Nie ma większej tortury, dotkliwszej udreki niż zdrada ze strony kogoś, komu się zawierzyło całkowicie, niż podeptanie przywiązania, pogardzenie miłością. Carter zachował tę wiadomość tylko dla siebie, domyślając się, że Margaret poślubiła go po to, by zemścić się na O'Neillu, pokazać, że przestał dla niej istnieć. Jako żona miliardera była przedmiotem zazdrości w najwyższych sferach Nowego Jorku, tym bardziej że obnosiła zawsze uśmiechniętą, zadowoloną, szczęśliwą twarz. Ale jej serce pozostało zranione.

Carter był zbyt inteligentny, zbyt doświadczony, by o tym nie wiedzieć. Stał się dla Margaret ostatnią deską ratunku, lecz udawał, że nie dostrzega jej

obojętności, bo ją kochał. Zresztą błyszczała w kręgu znajomych, a natura obdarzyła ją wulkanicznym temperamentem.

Zakochawszy się w Annie, Peter prędko zapomniał o dawnej kochance. Jego nowy wybór nie okazał się szczęśliwy. Namietność, zrazu, gwałtowna powoli wygasła. Teraz sypiali osobno. Dewizą O'Neilla było: „Szukaj przyjemności tam, gdzie ją możesz znaleźć”. W rzeczywistości nie przywiązywał większego znaczenia ani do uczuć, ani do seksu i traktował swoje partnerki z pogardą i arogancją, na co godziły się bądź z wyrachowania, bądź przez masochizm. Młodzieńczy ogień już się w nim wypalił. Nikt nie umiał zrozumieć pobudek jego postępowania, gdyż na progu starości stał się człowiekiem twardym, nieprzystępnym i zamkniętym w sobie. Filmy zastępowały mu teraz utraconych przyjaciół.

Był jeszcze w podłym nastroju, kiedy zatrzymał cadillaka przed głównym wejściem do siedziby Cartera przy Park Avenue. Zniknięcie Boba zepsuło O'Neillowi całą noc i następny dzień. Stracił nawet ochotę na szukanie miejsc, w których miałyby się rozgrywać sceny jego filmu.

Myśli jego krążyły wokół Cartera. Dlaczego zaprosił go do siebie? Zazwyczaj śniadania i obiady biznesmenów odbywały się w wielkich restauracjach. Fakt, że Margaret była niegdyś jego kochanką, komplikował sytuację.

Czterdziestopiętrowy gmach, w którym mieszkał Carter, odpowiadał jego gustom i pozycji. Marmury, lustra, kwiaty, dywany, Peter miał wrażenie, że przemierza korytarze szklanej siedziby konglomeratu. W apartamencie zajmującym trzy piętra, spotykał te same elementy dekoracyjne, a ponadto antyki, zakupione u najslawniejszych antykwariuszy Nowego Jorku, Paryża, Londynu i Rzymu, a więc w czterech stolicach świata, jak zwykł był mawiać

Carter. Całość stanowiła kunsztowną kompozycję, wyglądała elegancko, wyrafinowanie. Wszystko tu było doskonale, jak sam Carter, jak jego ubrania, jego sposób bycia.

Peter po raz pierwszy znalazł się w intymnym mikrokosmosie prezesa. Nie należał do jego świata. Był tylko małym kółkiem w mechanizmie, którym kierował potężny Carter.

Czarny kamerdyner, ogromny jak wszystko, co posiadał prezes, otworzył drzwi. Westybul był tak obszerny, tak imponujący, jak nawa kościelna. Wrażenie to potęgowały jeszcze posagi świętych z epoki romańskiej, umieszczone na piedestałach z szarego kamienia. Kamerdyner przeprowadził go przez muzeum aż do wielkiego salonu. Leslie i Margaret oczekiwali go stojąc obok siebie i powitali z największą radością. Byli częścią towarzystwa, które nawet w prywatnym życiu zachowywało się tak, jakby grało role na deskach teatru. Peter stwierdził ze zdziwieniem, że dawna kelnereczka oddająca się byle komu, robiła teraz wrażenie wielkiej damy. Uściski dłoni, zdawkowe uśmiechu, stonowana wesołość, twarze nie zdradzające prawdziwych uczuć zamknięte na dwa spusty. O'Neill i Carter byli w wieczorowych strojach, Margaret eksponowała piękny dekollet roziskrzony kolia brylantową. Wyglądała młodziej od dawnego kochanka. Uprzejmy uśmiech na jej zmysłowych wargach był zimniejszy niż góra lodowa.

Leslie Carter chciał postawić tych dwoje twarzą w twarz, żeby prześledzić ich reakcje. Czy jeszcze się kochali? Czy Peter mógł być niebezpieczny? Czy należało go usunąć? Aby nie wzbudzić ich podejrzeń w ostatniej chwili zmienił program wieczoru.

– Nie mogłem, mój drogi, odmówić sobie przyjemności zaproszenia dwojga osób, które na pewno cię zainteresują. Jedną z nich jest John Hooper,

prezes sieci telewizyjnej IRT, druga Lavinia Parker, wspólniczka wielkiej firmy reklamowej Jameson, Irving i Parker. W rzeczywistości to ona kieruje firmą. Jesteśmy w trakcie rozmów na temat ich wejścia do naszego konglomeratu, ale negocjacje nie będą łatwe.

Hooper uchodził za najbardziej czarującego samca na Zachodnim Wybrzeżu. Dobiegając czterdziestki dawno już zapomniał, ile kobiet _niemal znakomitości w swoim zawodzie – podzieliło z nim łóżko.

Zazdrościcy twierdzili, że sporządził spis, a raczej gruby rejestr swoich miłosnych podbojów. Nie ma potrzeby, odpowiadali przyjaciele, kobiety same chwalą się, że miały z nim romans. Leslie zaprosił go umyślnie, żeby Margaret mogła porównać z nim dawnego kochanka, który przy Hooperze wyglądał staro i nieatrakcyjnie.

Obecność Lavinii miała wzbudzić zazdrość Margaret. Sprytna bizneslady wiedziała, że Hooper ma opinię Don Juana. Sypiał tylko z kobietami, które nie skończyły trzydziestki, i unikał jak ognia pań zawdzięczających swoją młodość chirurgii kosmetycznej. „Po co nabywać samochód po remoncie, jeśli można kupić fabrycznie nowy? – mawiał żartem – Nie odstrasza mnie dziewictwo, nie mam niepotrzebnych skrupułów”. Blisko czterdziestoletnia Lavinia zechce może zadać kłam twierdzeniom, że Hooper jest macho, który leci jedynie na młode dziewczęta. Czy to się jej uda? Lavinia zawsze osiągała upragniony cel.

Każde z nich przybyło osobno w stroju wieczorowym. Hooper wyglądał wspaniale, zgodnie z opinią, jaką o nim miano.

Po aperitifach kamerdyner zaanonsował, że podano obiad.

Nakrycie stołu przypominało wspaniałą martwą naturę: kwiaty, srebra, kryształy na tle zielonego marmuru, którym wyłożono ogromną, wysoką na

dwa piętra salę jadalną. Pięciu czarnych kelnerów uprzejmie podsunęło krzesła biesiadnikom. Zaczęła się defilada przekąsek i potraw, poczynając od bielugi i wędzonego łososa.

Milczący zazwyczaj Carter tryskał humorem i dokładał starań, by podtrzymać rozmowę na odpowiednim poziomie. Jego zadziwiająca swada ożywiła gości. Nie szczędzili wysiłków, żeby mu dorównać. Jako ludzie światowi wystrzegali się kłopotliwych tematów. Tym razem jednak Lavinia popełniła gafę wspominając o Trampie, nowym miliarderze, który nabył jacht od Khasoggiego; kłopoty finansowe –może przejściowe – zmusiły go do pozbycia się tego niezrównanego klejnotu mórz. Był to przykry temat dla Cartera, gdyż należał do ubiegających się o kupno jachtu, lecz Tramp pozbawił go szansy zrobienia kosztownego podarunku Margarecie.

Hooper wszczął później z O'Neillem grzeczną wprawdzie, lecz przykrą rozmowę o konkurencji, jaką jest telewizja dla sal kinowych. Lavinia utrzymywała, że walka tych dwóch potęg równie uwielbianych przez publiczność nie prowadzi do niczego. Współpraca natomiast przyniosłaby ogromne korzyści.

– Gdyby połączyć kilka wytwórni i sieci telewizyjnych, pozyskać kilkanaście wytwórni płyt i kaset video oraz parę stacji radiowych, zadbać o reklamę i stworzyć koncern film-video-sono – wszyscy by na tym zyskali.

– Stworzyliśmy już podstawy takiego konsorcjum – rzekł Carter. – Ale wielu producentów filmów ceni sobie niezależność.

– To normalne – wtrącił O'Neill. – Tacy ludzie jak wasz Carr Olven wręcz podkopują konglomerat.

Carter nie podjął dyskusji. Obserwował ukradkiem żonę, która w milczeniu kiwała głową, jakby zgadzała się ze zdaniem reżysera. Dałby wiele

za to, żeby poznać jej myśli, lecz daremnie o to zabiegał. Nie mógł wniknąć w tajniki jej duszy. Irytowała go jej chłodna uprzejmość, z jaką odnosiła się do niego. Cała jego fortuna nie mogła sprawić, żeby go pokochała. Uśmiechała się do męża ledwo kącikami warg. Nic nie zdołało wyrwać jej ze stanu półodrętwienia.

Przypomniawszy sobie o nadziejach związanych z Lavinia, które okazały się czczym pomysłem. Ogarnęło go wielkie zmęczenie. Uznał swój obiad za nieudany, gdyż nie przyniósł mu on odpowiedzi na żadne z nurtujących go pytań.

Goście spostrzegli znużenie i rozgoryczenie amfitriona. Tym razem nie potrafił ich ukryć. O pierwszej po północy pożegnali więc Carterów i rozstali się przed domem wymieniwszy mnóstwo grzeczności. Każde z nich wsiadło do swego auta.

O'Neill odetchnął z ulgą. Przeszłość była martwa. Całkiem martwa. Chętnie wypiłby coctail, aby odzyskać jasność myśli. Nie powinien był jednak pić alkoholu.

Ledwo znalazł się w hotelu i skierował do recepcji po klucz, kiedy wyszedł mu na spotkanie groom:

– Pewien pan czeka na pana w dużym salonie, mister O'Neill.

Peter obrzucił go roztargnionym wzrokiem:

– Dziękuję.

Nagle drgnął. – Czy to możliwe, że... Zawrócił na pięcie i ruszył do salonu.

Cud się zdarzył. W fotelu, na tle przetykanej złotem draperii Bob siedział nieruchomo, wsparty łokciami na kolanach, z twarzą ukrytą w delikatnych dłoniach. W tej samej pozycji widział go na schodkach po wizycie u Fay

Holden. Cyniczny, amoralny, sceptyczny O'Neill poczuł, że unosi go fala światła, jak surf mknący ku kalifornijskiej plaży.

– Bob!

Młody człowiek uniósł głowę. Nie odezwał się ani słowem. Peter zrozumiał jednak, że zdaje się na jego wolę. Nosił te same džinsy i kraciastą koszulę, całkiem nie harmonizujące ze wspaniałym, tradycyjnym wnętrzem wielkiego salonu.

– Jadłeś już? – zapytał Peter.

Ledwo mógł złapać oddech.

– Nie! I nie jestem głodny. Od wielu dni prawie nic nie jem. Jedzenie mnie odpycha.

– Chodźmy więc do baru! Dobrze ci zrobi szklaneczka szkockiej! Kilku klientów obecnych przy tej niezwykłej scenie spoglądało ze złośliwym zaciekawieniem na starszego pana w smokingu, wzruszonego spotkaniem pięknego nicponia, którego obecność raziła w tym otoczeniu.

– Jeszcze jeden pedek – szepnął ktoś odwracając się do swego sąsiada.

Czuły słuch O'Neilla pochwyił to zdanie. Całe napięcie nerwowe, jakie towarzyszyło mu tej nocy, odbiło się w jego oczach. Był tak wściekły, że czekał tylko na niegrzeczną odpowiedź, aby spoliczkować nieznajomego. Obrzucił go zaczepnym spojrzeniem.

– Czy coś panu przeszkadza?

Zapytany wymamrotał z lękiem błahe usprawiedliwienie: '

– Ależ nic! Nie miałem wcale zamiaru pana obrazić.

O'Neill odwrócił się tyłem.

– Bob, chodźmy do baru! Wpierw jednak trzeba coś załatwić.

Wrócił do recepcji.

– Pokój dla tego pana – zwrócił się do portiera, który odpowiedział z ugrzecznieniem:

- Dobrze, mister O'Neill.
- Jeśli to możliwe, przy moim apartamencie.
- Rozumiem, mister O'Neill. Na czyje nazwisko?
- Robert Flynn, aktor „XXI Century”.
- Doskonale, mister O'Neill!

Podał Bobowi klucz, który wziął go bezwiednie, jak zamroczony. Portier taktownie nie zapytał go o bagaże.

Goście baru, aczkolwiek trochę zaszokowani obecnością chłopaka, który – sądząc po jego ubraniu – był ucieleśnieniem podejrzanych dzielnic, nie robili żadnych komentarzy, tym bardziej że część bywalców znała sławnego reżysera, równie znakomitego jak Scorsese, Coppola czy Spielberg. Dziwactwa ludzi filmu i teatru nie były już zaskoczeniem dla nikogo. Peter zaprosił swego protegowanego do małego stolika.

Natychmiast podszedł uniżony kelner.

– Dobry wieczór, mister O'Neill. Dobry wieczór panu – zwrócił się do Boba.

– Kartę! – zażądał Peter. – A na przekąskę kawior i wędzonego łososia. Do tego szampan i dla mnie sok owocowy.

Wąskie wargi O'Neilla znów wygięły się w drwiącym uśmiechu. Dania podawane u Carterów pojawiały się teraz przed Bobem Flynnem, przyszłą gwiazdą filmową. Była to dziwna zbieżność. Margaret, później Bob. Wieczór obfitujący w powroty. Zaintrygował go przygnębiony wygląd chłopaka.

- Martwisz się czymś, Bob?
- To nic takiego.

– Od tej chwili nie potrzebujesz martwić się o nic. Występy na scenie brudnego i śmierdzącego baru zostaną tylko smutnym wspomnieniem.

Z całą cierpliwością pouczył chłopca, jak rozsmarowywać kawior na kawałku bułki, a potem rozkoszować się jego smakiem. Jednakże Bob, mimo że mu kawior smakował, zjadł go zaledwie odrobinę. Wychylił za to trzy kieliszki szampana, jakby chciał się upić.

– Dlaczego pan robi to wszystko dla mnie, mister O'Neill? Wiedział, że nie otrzymuje się nic za darmo. O co chodziło

tamtemu? O jego ciało? Bob wstydził się przyznać, że żył z prostytutkami. Właściciel baru marnie płacił swoim tancerzom. „Bądźcie zadowoleni – mawiał – że daję wam sposobność spotykania kobiet, które lubią młodych samców”. Bob nie odwiedzał barów dla homoseksualistów. Pozwalał się zaczepiać na ulicy facetom, którzy skwapliwie zabiegali o jego względy, dopóki im nie uległ. Po zaspokojeniu pragnień, płacili mu i znikali niepostrzeżenie, jakby popełnili karygodny występki. Kobiety okazywały się bardziej skąpe niż mężczyźni, ale bardziej łase na powtarzanie pieszczot; przyczepiały się do niego jak pijawki i chciały zatrzymać na kilka nocy bez dodatkowej zapłaty. Myślały, że dając mu pizzę, kilka plasterków szynki lub puszkę konserw uiszczą swe zobowiązania i oczekiwały w zamian jeszcze jednej nocy miłosnej. Miłość!... Poeci ją opiewają, powieściopisarze pod niebiosa wynoszą, filmy ją gloryfikują... Ale Bob nie znał miłości. Opłacane według taryfy zbliżenia z osobami, które budziły w nim obrzydzenie – to była tylko rozpusta. Wstrętna rozpusta, do której zmuszały go warunki.

Pytanie Boba było zaskoczeniem dla O'Neilla. On, który nigdy nikomu nie pomógł, znajdował natomiast przyjemność w grubiańskim traktowaniu i

upokarzaniu swych współpracowników niezależnie od ich stanowiska, zapragnął nagle zrobić z tego nicponia gwiazdę pierwszej wielkości.

– Mój zawód polega w pewnym stopniu na odkrywaniu talentów. A ty masz talent.

Była to tylko część prawdy. Po chwili dopowiedział resztę.

– Może pociągają mnie twoje kłopoty. Ja również nie jestem człowiekiem szczęśliwym.

Wyraz smutnej ironii pojawił się na jego kanciastej twarzy.

– Cieszę się sławą, jestem bogaty, zarabiam ogromne sumy, najpiękniejsze dziewczęta rzucają mi się do nóg, żeby otrzymać rolę, moje filmy sprzedają się na całym świecie. Mam w garażu trzy rollsy i ferrari...

Zrobił krótką pauzę.

– Nie, ferrari należy już do przeszłości. Ale mogę kupić sobie inne... Moim życiem jest jednak tylko film.

Wskazał wyszukane dania na stoliku.

– Mógłbym pozwolić sobie co dzień na wszelkie rozkosze podniebienia. .. Ale jestem zupełnie sam. Zapomniałem, co to prawdziwa miłość. Nie wiem, czy kiedykolwiek ją poznałem. Krótko mówiąc, zasługuję na współczucie. Nikt nie darzy mnie nawet szczyptą sympatii, zrozumienia, uczucia... Co prawda, bynajmniej nie szukam przyjaźni... Pogardzam ludźmi...

Po chwili podjął z goryczą:

– Nie ma nic gorszego niż samotność. Jednym haustem wypił sok pomarańczowy.

– Jestem stary. Podczas gdy ty jesteś młody i ładny. Diabelnie ładny!... Myślę, że wielu ludzi wcześniej ci to powiedziało. Posiadasz skarb młodości i na dodatek – talent. Widziałem cię na ulicy, kiedy płakałeś w samotności,

widziałem cię na scenie napastowanego przez bachantki, widziałem cię w wielkim salonie, widzę cię teraz przy tym stole... Nie trzeba zjadać całego ciastka, żeby przekonać się, czy jest smaczne... Te różne migawki ukazały mi twój sposób myślenia, najintymniejsze reakcje. Oswoiłem się z rysami twojej twarzy, z liniami twego ciała. Widziałem cię w ubraniu, widziałem cię nago... Szyderczy śmiech reżysera zbił z tropu chłopaka.

– Mogłoby się zdawać, że robię ci wyznanie miłosne! Po prostu analizuję twoją osobowość.

Znowu spoważniał.

– Skończ swój kawior, bo przyjdą po nim różne smakołyki. Nie musisz zjeść wszystkiego. Zamówiłem dla ciebie butelkę wina za 280 dolarów. Chcę wyczytać z twej twarzy wrażenie, kiedy umoczysz wargi w tym boskim napoju.

Bob westchnął głęboko.

– Jestem zmieszany... Przeżywam czarodziejską bajkę... Coś mi się śni... Wszystko jest takie dziwne! – powiedział jakimś szczególnym tonem. – A jednocześnie smutne...

Peter zmarszczył brwi.

– Nie powiedziałeś mi, co cię dręczy.

– Powinienem być szczęśliwy, gdyż wygrałem wielki los. Gorzki uśmiech pojawił się na jego pięknej twarzy.

– Przyjemności, które przychodzą za późno, tracą wartość.

– Takie stwierdzenie byłoby normalne dla człowieka w moim wieku.

Starszy kelner uroczyście wniósł omszoną butelkę spoczywającą w koszyczku, jak madame de Recamier na swoim szezlongu. Troskliwie

odkorkował ją i wlał odrobinę wina do kryształowego kieliszka o złoconym brzegu. Podał go O'Neillowi.

– Dziękuję. Chciałbym, żeby ten młody pan go spróbował. Onieśmielony Bob ujął kieliszek, podniósł go do ust i poczuł

aromat starego wina. Skosztował go, twarz mu się rozjaśniła, uroda jego rozbłysła. Nawet kelner był zafascynowany tą uroczą twarzą. Wino zabarwiło mu policzki i wargi. Bob wyglądał jak młody Bachus upojony eliksirem bogów.

– Pan jest znawcą – stwierdził kelner obserwując grę jego fizjonomii.

Pod wpływem alkoholu Bob się ożywił. Był olśniewająco piękny. Peter bacznie śledził zmieniający się wyraz jego twarzy. Widział go już w kadrze obiektywu, kiedy reflektory rzucają pełne światło.

Bob zapomniał o swych zmartwieniach. Jadł z apetytem, kosztując nieznane mu potrawy, popijał winem, później znowu szampanem, na koniec wychylił dwa kieliszki likieru Courvoisier. Mamrotał coś bez sensu, śmiał się bez powodu, wydawał się szczęśliwy.

Peter odprowadził go do jego pokoju, rozebrał go i położył do łóżka posłanego na noc. Podziwiał wspaniałą nagość Boba.

„Natura jest doprawdy hojna dla niektórych ludzi” – pomyślał.

Bob wyciągnął ku niemu ramiona.

– Chciałby pan się kochać? – zapytał.

– Teraz jesteś zmęczony. Musisz się wyspać. I wiedz, że nie wymagam niczego ani za obiad, ani za nic, co w przyszłości zrobię dla ciebie.

Pocałował go w czoło i przykrył. Przeszedł do swego apartamentu, do którego drzwi z pokoju Boba zostawiono na wszelki wypadek otwarte.

Następnego dnia w towarzystwie Boba obejrzał sale recepcyjne hotelu Pierre, miejsce nad jeziorem w Central Parku, stację metra, nędzną uliczkę i wreszcie Giełdę, gdzie miał filmować kilka scen. Doznawał przyjemnego uczucia, że ma przy sobie kogoś, kto nie jest ani jego asystentem ani urzędnikiem wytwórni. Czuł oparcie w przyjacielu, młodym człowieku, zasługującym na jego zaufanie, mającym dzielić z nim życie. Aby dojść do tego wniosku, do tej wspólnoty uczuć, nie potrzebował zamienić ani słowa z Bobem. Wszystko łączyło się całkiem naturalnie.

Wstąpili też do Di Pinto, luksusowego magazynu z odzieżą męską. Peter wyjaśnił krawcowi, że chciałby kupić zestaw ubrań dla swego towarzysza.

– Muszę wziąć miarę – rzekł właściciel, który ich osobiście przyjął.

– Wyjeżdżamy jutro do Los Angeles. Niech pan znajdzie ubrania *Pret-a-porter*.

Krawiec, szczupły i uprzejmy, spojrział ponad okularami na młodego człowieka i ocenił go jak rzeźbiarz swego modelu, zanim pierwszy raz użyje dłuta.

– Ma tak doskonale proporcje, że mógłbym, oczywiście za pańską zgodą, odstąpić mu ubrania pokazane na ostatniej rewii mody męskiej. Cena będzie wyższa, gdyż są to pojedyncze egzemplarze...

– Zgadzam się z góry na pańskie ceny. Nie znoszę targowania się. Lecz proszę o pośpiech. Bardzo się spieszymy.

Krawiec wraz z pomocnikiem przedstawili całą serię ubrań będących ostatnim krzykiem mody, które leżały na Bobie jak ulał. Od czasu do czasu chłopak rzucał niespokojne spojrzenia na O'Neillę i korzystając z tego, że sprzedawcy odeszli na chwilę, aby przynieść inne garnitury, szepnął dla pewności:

– Chyba pan wie, że nie mam pieniędzy na takie ciuchy.

– A któż ci powiedział, że masz płacić. To zaliczka na twoje przyszłe gaże.

Bob wyszedł z magazynu na czele grupy ekspedientów, którzy zapakowali do bagażnika pudła z wyłożonym godłem firmy; zawierały one garnitury w różnych kolorach i ubrania sportowe, jedwabne koszule i skarpetki, jak również obuwie i bieliznę. Wsiedli do cadillaka, który łagodnie ruszył. Młody człowiek rozglądał się, obmacywał skórzane siedzenia, patrzył na tablicę rozdzielczą, na szyby...

– Co ty robisz?

– Sprawdzam, czy nie umarłem...

– Co za pomysł!

– I czy nie wstąpiłem do raju! Ale ludzie mego pokroju nie mają wstępu do nieba.

– Zrobiłeś dopiero pierwsze kroki na drodze do kariery, która otworzy ci wrota do ziemskiego raju. Wielu aktorów musiało pokonać straszne trudności, żeby dostać się do filmu. Ty miałeś więcej szczęścia. To wszystko!

Obiad zjedli w „The Quilted Giraffe”, luksusowej restauracji, którą dotąd Bob oglądał jedynie z zewnątrz, nie wyobrażając sobie, że pewnego dnia znajdzie się wśród gości tego lokalu. Przypatrywał się wszystkim tym ludziom, młodym lub starszym, noszącym niezatarte piętno bogactwa. Kobiety popisywały się swoją biżuterią, która kosztowała majątek.

– Zarezerwowałem na wieczór bilety do Metropolitan Opera House. Dają tam spektakl baletowy, który powinienes zobaczyć. Przecież jesteś tancerzem. Ja czuję się trochę zmęczony, zresztą muszę zmienić scenariusz. Wprowadzić rolę dla ciebie i dokonać kilku absolutnie koniecznych poprawek.

– Skoro pan nie chce wyjść wieczorem, dotrzymam panu towarzystwa. Nie będę panu przeszkadzał. Obejrzę telewizję.

– Nie! Pójdiesz na spektakl! Umiesz prowadzić? Powierzam ci cadillaka.

– Nie śmiałbym ryzykować... Dopiero przed kilkoma miesiącami dostałem prawo jazdy.

– Wóz jest ubezpieczony. Jeśli wolisz, poproszę o kierowcę.

– Ale to będzie kosztowało kupę forsy...

– Zrób mi przyjemność, Bob, i nie mów już o pieniądzach.

Młody człowiek miał na sobie granatowy garnitur, podobnie jak niektórzy jego klienci, którym zazdrościł elegancji. Wydawało mu się dziwne, że zmienił szorstkie, połatane, sprane i za ciasne już dla niego džinsy, gdyż ostatnio przytył. Nie zdawał sobie sprawy, iż przyciasne, obcisłe spodnie uwydatniały jego męskość, i że to obiecujące wzdęcie przyciągało spojrzenia amatorów. Ilekroć przebiegał ulicę, kobiety wpatrywały się weń z żenującą natarczywością. Wielu przechodniów przystawało, żeby go podziwiać, budziła się w nich żądza. Do jego zawodu należało podniecanie, rozpalanie ludzi. Mimo swojej prostoduszności wyczuwał prawdziwy sens zainteresowania, jakie wzbudzał. Przywykł oczarowywać ludzi.

Ujrawszy w lustrach restauracji swój obraz w granatowym, doskonale skrojonym garniturze, krawat o dyskretnym desenie, białą jedwabną koszulę, a zwłaszcza nieskazitelną chustkę w kieszeni marynarki, z trudem rozpoznał siebie. Podziwiał swą elegancję, lecz jednocześnie zrobiło mu się żal utraconego dzieciństwa. Miał wygląd człowieka dorosłego, bardzo młodego, z pewnością, ale który przekroczył już próg młodości. Uświadomił sobie upływ czasu. Przed poznaniem O'Neilla byłby przerażony, gdyż klienci jego woleli

młodych, bardzo młodych chłopaczków. Im najwięcej płacono. Po skończeniu dwudziestu lat ceny spadały gwałtownie. Kiedy młodzi ludzie kończyli trzydziestkę, zaczepiali ich tylko na pół przytomni pijacy.

Teraz nie bał się już przyszłości... Przyszłości... Znowu się zasepił... Starał się odsunąć te myśli...

Usłyszawszy głos O'Neilla, który ze swego apartamentu wołał, żeby się pospieszył, odpowiedział, że jest gotów i pobiegł do niego. Peter przyjrzał mu się bacznie, poprawił węzeł jego krawata.

– Doskonale! Doskonale! Wyglądasz jak księżę, który wyszedł incognito, żeby poznać nocne życie Nowego Jorku.

Gdy weszli do restauracji, doświadczone oko O'Neilla spostrzegło, że spojrzenia wszystkich zwracały się na jego towarzysza. Łatwo było wyczytać zazdrość na twarzach samców. Kobiety kokieteryjnie trzepotały rzęsami. To były nieomyślne znaki. Zrobił dobry nabytek.

Peter przywołał szefa sali i poprosił go o szofera, który poprowadziłby cadillaka pana Roberta Flynn. Młody człowiek zadawał sobie pytanie, czy jego protektor nie wystawia go na nową próbę. Rozstali się w holu.

– Baw się dobrze, Bob!

Wsunął mu do kieszeni paczkę zielonych banknotów. Groom podszedł do młodego człowieka.

– Samochód czeka, mister Flynn – powiedział z ugrzecznieniem.

Bob lekko oszołomiony dotknął dłonią czoła. Czuł, że wciąga go błyszczący wir i ogarnął go lęk.

– Źle się pan czuje, mister Flynn? – troskliwie zapytał groom. – Dać panu aspirynę?

– Dzięki! To nic. Przejściowa niedyspozycja.

Wygalonowany portier skwapliwie otworzył mu podwójne kryształowe drzwi. Kierowca w liberii z czapką w rękę uchylił tylne drzwiczki wozu i siadł za kierownicą.

– Metropolitan Opera House! – rozkazał Bob nieswoim głosem.

Rozkazywać! Było to zachowanie jeszcze dla niego obce.

– Odnowiłem zapas trunków, mister Flynn. Szef sali powiedział mi, że pan lubi Courvoisier. Pozwoliłem sobie dołączyć butelkę Fine Napoleon, szkockiej i szampana.

– Dziękuję...

– Fryderyk, do usług.

W Metropolitan House wskazano mu fotel na parterze. Podano program. Sąsiedni fotel pozostał wolny.

Bob rozglądał się zachwycony. Podziwiał gobeliny stworzone przez Chagalla, czerwony dywan wyściełający wielkie schody, kryształowe kandelabry, sufit zdobny w złoczone liście. Z zaciekawieniem oglądał elegancką, na ogół starszawą publiczność, wsłuchiwał się w szmer rozmów, wdychał zapach perfum; nawet wygodny fotel, w którym siedział, wydawał mu się wart obejrzenia. Ludzie oczarowani jego urodą nie lustrowali go z prowokacyjną natarczywością, jak jego dawni klienci, lecz spoglądali nań niby przypadkiem.

Prędko przywykł obracać się wśród ludzi bogatych. Peter z przyjemnością spostrzegł, że chłopak łatwo się przystosowuje.

– Peter!... Peter O'Neill!

Bob miał przed oczami jego kanciastą, pociągłą twarz, wprawdzie zbrudzoną wiekiem, lecz mimo to tak drogą. Ten człowiek był dla niego bogiem. Ani przez chwilę nie usiłował wsunąć się do łóżka Boba, aczkolwiek

drzwi między ich sypialniami pozostały otwarte. Po raz pierwszy ktoś wydawał na niego pieniądze nie po to, by wykorzystać jego ciało i nacieszyć się nim do woli. Niepojęte! Cenił O'Neilla za jego rezerwę, stawiał go na piedestale. Peter uważał go za człowieka, nie za przedmiot.

Olśniło go widowisko baletowe, lecz nie mógł usiedzieć spokojnie ani bacznie śledzić ruchów tancerzy. Ich pełne wdzięku ewolucje zbyt kontrastowały z brutalnymi, ordynarnymi występami jego młodych kolegów robiących strip-tease jedynie po to, by podniecić widownię, zwiększyć spożycie alkoholu i napęścić kieszenie właściciela.

Podczas pierwszej przerwy opuścił teatr.

Peter mówił mu o przyszłości, o jego karierze. Bob nie chciał wiedzieć, co go czeka. Wystarczało mu życie chwilą. Zszedł po marmurowych schodach. Cadillac podjechał po niego. Kierowca znów otworzył tylne drzwiczki. Cóż za wspaniałe uczucie! Przed wejściem do auta Bob objął spojrzeniem skrawek gwieździstego nieba między drapaczami chmur w Lincoln Center. Chciałby wiedzieć, co jest tam wysoko, w niewidzialnej przestrzeni. Do tej pory niebo wydawało mu się ogromną czaszą z otworami na żarówki, podobną do sufitu w olbrzymim barze. Czyż nie nazywa się tej przestrzeni sklepieniem niebios? A więc poza nim jest jakiś inny świat? Może raj... Gdyby nawet istniał, na pewno nie byłby przeznaczony dla chłopaków, którzy podobnie jak Bob sprzedawali się za możliwie wysoką cenę. Byli wśród nich Portorykańczycy o słodkich oczach i wiśniowych wargach, ogorzali Meksykanie, smukli, kędzierzawi Włosi, dworni Hiszpanie o uprzejmych ruchach, Amerykanie ze Środkowego Zachodu wyrzuceni jak wraki na mieliznę nowojorską. Żaden z nich nie przekroczył lat dwudziestu... Przynajmniej żaden z jego najbliższych kumpli. Zdarzali się też amatorzy, którzy sprzedawali swe wdzięki dla przyjemności,

bądź też chcieli w ten sposób okazać bunt przeciw konwencjom społecznym i uprzedzeniom purytańskich rodzin. Spotykało się również kelnerów i „artystów”, którzy podobnie jak on wolno rozbierali się przed publicznością, kolejno zdejmując części ubrania, tak jak obrywa się płatki róży, dopóki nie zostanie nagi pączek na końcu zielonej łądygi. Ponadto były cioty, niewieściuchy, znieawidzone i pogardzane przez Boba i jego kompanów. Mężczyzna musi zostać mężczyzną, niezależnie od swoich nawyków, defektów, perwersji, przyjemności... Z drugiej strony bariery byli klienci, młodzi albo starzy, bogaci albo mniej zamożni. Starzy chcieli wskrzesić swoją utraconą młodość. Bob nienawidził bandziorów, którzy wciągali ludzi w ustronne zakątki, aby ich ograbić. Były jeszcze kobiety, targujące się o każdy grosz, które po rozpustnej nocy wyskakiwały z łóżka, ubierały się i mknęły do swoich zajęć... Miał do czynienia z ludźmi, którzy kryli się ze swoim homoseksualizmem, jak również z tymi, co go obnosili jak sztandar. Może i Bob nie wszedłby do tego zepsutego świata, gdyby miał dość pieniędzy na utrzymanie. Bieda, bezrobocie i rozleniwienie są najgorszymi doradcami.

Przed Metropolitan House jakiś chłopak, sądząc z wyglądu Portorykańczyk, piękny i smukły jak trzcina, zajrzał mu głęboko w oczy rzucając nieme zaproszenie. Uznał że Bob – świetnie ubrany i dysponujący cadillakiem – byłby nadzianym klientem. Teraz on należał do bogaczy, mogących spełniać wszelkie kaprysy. Ale w tym momencie Bob myślał z odrazą o kopulacji nawet w małżeńskim stadle.

Przypomniawszy sobie pewien epizod z własnego życia. Bogata kobieta w średnim wieku, dosyć nawet pociągająca, zaproponowała, że będzie go utrzymywać pod warunkiem, iż poświęci się jej całkowicie. Tylko z nią będzie sypiał, wszędzie jej towarzyszył, zawsze będzie na jej usługi. Nieco wcześniej

Bob widział film „American Gigolo”. Kupczący swymi wdziękami mężczyzna wszedł w podobny układ z kobietą, aby oczyścić się z podejrzeń o nie popełnioną zbrodnię. Późniejsza jego miłość do wspaniałomyślnej kobiety, która ocaliła go ryzykując własną kompromitację, nie była jednak miłością prawdziwą, lecz wyrazem wdzięczności biednego gigolo prowadzonego na smyczy.

Bob kochał wolność. Odrzucił propozycję pociągającej kobiety. Kierował się własną moralnością. Nic nie wydawało mu się bardziej podłe, bardziej odpychające, niż być utrzymanką dziwki, choćby i najbogatszej w świecie. Nie chciał nikomu niczego zawdzięczać. Co innego Peter O'Neill. Podawał mu na talerzu upragnioną karierę, o jakiej marzą wszyscy młodzi na świecie, nie domagając się niczego w zamian. Nawet gdy sam się zaofiarował po wspólnym obiedzie w Plaza, Peter nie przyjął tego daru.

– Na 42. ulicę! – rozkazał wsiadając do swego auta.

Opuścił szybę nacisnąwszy tylko guzik i patrzył na przechodniów, którzy mijali się na trotuarze. Łatwo poznawał chłopców i dziewczęta, którzy szukali klientów na ulicy. Skinął na kierowcę, żeby się zatrzymał.

– Przejdę się trochę – powiedział – pojedzie pan za mną?

– Dobrze, proszę pana.

Fryderyk wiedział, że będzie mu trudno jechać powoli w tym kurewskim ruchu, ale uchybiał przepisom, żeby dostać suty napiwek.

– Może chciałby pan odwiedzić bar, gdzie są najpiękniejsze dziewczęta?

– Dzięki. Uprzedzę pana.

Wysiadł. Jak zwykle różnorodny tłum na 42 ulicy pchał się zachwycony widokiem tej mlecznej drogi, ożywiony ponętymi wystawami sklepów, wciągnięty w to *perpetuum mobile*, gdyż ulica ta nie pustoszała ni w dzień ni

w nocy. Bob dał się ponieść ciżbie. Trudno było się tutaj spieszyć. Tłok to uniemożliwiał. Spotkał ludzi spacerujących z zaciekawieniem, oszołomionych turystów, zakochanych, narkomanów, dziwki, legiony odsprzedawców narkotyków, sutenerów, naiwniaków, włóczęgów, nocnych kowbojów szukających forsy, myśliwych w różnym wieku zastawiających sidła na zdobycz, pijanych kloszardów, którzy śmierdzieli alkoholem.

Wszyscy patrzyli nań jak na rzadkiego ptaka, ponieważ ludzie bogaci, z wyjątkiem kilku dziwaków, nigdy nie zapędzali się pieszo na tę sławną w całym świecie ulicę. Przejeżdżali osłonięci szybami swych samochodów, szybami dokładnie zamkniętymi, aby nie narazić się na plunięcie w twarz. Pijani bezdomni w ten sposób szukali zemsty na aroganckich, dobrze ubranych bogaczach. Duże, luksusowe auta zatrzymywały się jedynie przed wejściem kilku modnych barów, strzeżonych przez portiera w uniformie z galonami oraz dwóch lub trzech goryli, którzy trzymali na odległość ciekawskich i kłaniali się uprzywilejowanym, którzy pod obszytym złotymi frędzlami baldachimem, przemierzali wysłaną czerwonym chodnikiem drogę od samochodu do obowiązkowo otwartych drzwi wejściowych.

Zdawało się kilku chłopakom, dawnym kumplom Boba, że go poznali, nie ośmielili się jednak go zaczepić w obawie, że pomylili go z jakimś bogatym próżniakiem, który był do niego podobny. Zwłaszcza, że jego ciuchy były ostatnim krzykiem mody i pachniały drogą, francuską wodą kolońską.

Przez chwilę Bob miał pokusę, żeby wejść do baru, w którym jego dawni koledzy zaczynali właśnie występy, i zażądać od właściciela gaży za ostatni miesiąc, nadmieniając przy tym chłodno, że opuszcza na zawsze jego teatrzyk. Pojawiłby się niby spadająca gwiazda, która świeci przez moment i znika w nicości... Doszedł jednak do przekonania, że taka wizyta byłaby nie na

miejscu... Kiedy przechodził przed wejściem do baru, portier omal nie osłupiał na jego widok. Potrząsnął głową nie wierząc własnym oczom. Chcąc go wprowadzić w jeszcze większe zakłopotanie Bob udając, że się nie znają, dał znak kierowcy. Fryderyk usłużnie wyskoczył zza kierownicy i otworzył mu drzwiczki. Bob rozsiadł się na tylnym siedzeniu. Cadillac ruszył.

Bob uczynił to nie z pychy, gdyż nie znał tego uczucia, lecz raczej dla dziecinnej przyjemności zrobienia mu psikusa. Ponadto chciał już wrócić do swoich myśli. Nie mógł się pozbyć uczucia, że śni na jawie. Wszedł jakby do świetlistego tunelu, z którego nie mógł się wycofać, musiał iść stale naprzód, aż do końca, o którym wołał zapomnieć. Patrzył na świat wokół siebie, świadomy żądz, jaką budzi w ludziach, i szczęścia, które dotknęło go swoją czarodziejską różdżką. Po przeciwnej stronie była głębia tunelu, mleczna droga, zamknięta – jeszcze jeden absurd – w wirze, z którego nie mógł się wyrwać, i który popychał go ku czarnej, gigantycznej dziury; przyciągała go ona z przemożną siłą, tak, że próba uwolnienia się była z góry przegrana... Ten kontrast między roziskrzonym światłem i ciemnością przerażał go i budził w nim rozpacz... Postępował tą dziwną drogą idąc za własnym losem – zgodnie z wolą bogiń, które starożytni nazywali Parkami.

Światła, zjawiające się przed nim w miarę jak szedł naprzód, przypominały mu gwiazdy rozsiane na czarnym tle nieskończoności... Bob nie miał stopniowo nabytego wykształcenia, jak jego rówieśnicy, uczęszczający do szkół, którzy zdobywają pewien zakres wiedzy i zapominają wszystko zaraz po otrzymaniu świadectwa. To fałszywy połysk. Większość uczniów staje się patentowanymi średniakami. Nieliczna garstka pogłębia przedmioty, których początki poznała w szkole... Bob spragniony czytania, sięgał po wszystko, co mu wpadło w rękę. Dobrą i złą literaturę, pisma filmowe i naukowe. Przejrzał

przypadkiem kilka podręczników astronomii. Wiedział na przykład, że niektóre cząsteczki osiągają prędkości znacznie większe, niż przewidywał Einstein w sławnej teorii względności, lecz nie miał zielonego pojęcia o mechanizmie ruchu we wszechświecie, ani o energii istniejącej w każdej istocie ludzkiej, w każdej mrówce... Przeczytał „Romea i Julię”, gdyż znalazł tę książkę w pojemniku na śmieci, lecz nie wiedział, kto to był Szekspir. Słuchał w uniesieniu muzyki Czajkowskiego, lecz gdyby go zapytano o tego kompozytora, wzruszyłby ramionami. Zachwycił się rzeźbami i obrazami, ale wymykało mu się pojęcie sztuki... Mówił slangiem nizin społecznych, lecz obdarzony niezwykłą inteligencją wrodzoną, umiał również posługiwać się językiem poprawnym, gdyż z łatwością przyjmował sposób wyrażania się klientów, wywodzących się ze środowisk artystycznych, naukowych i z najlepszego towarzystwa o szczególnych upodobaniach. Potrafił, jak kameleon, dostosować się łatwo do okoliczności. Może ten mimetyzm wywarł wrażenie na O'Neillu... Pojmował wszechświat w milionach i miliardach lat świetlnych, lecz nie umiał podzielić liczby zwykłej. Bob był niezwykłym fenomenem. Diamentem, nie mającym równych sobie pod względem wielkości i piękna, lecz diamentem nie oszlifowanym przez nikogo. Porzucił przeszłość, w której chaos łączył się z nędzą, aby wejść do świata uprzywilejowanych. Bob przeczytał w jakimś piśmie, że Steve Mc Queen zastępował w swych dialogach wyrazy trudniejsze do wymówienia, gdyż brak mu było kultury. Takie przeszkody nie istniały dla Boba. Umiałby uporać się z tym bez problemów. Będzie wielkim aktorem. Peter O'Neill mu to powiedział. Oczy mu zwilgotniały ze wzruszenia. – Do hotelu! – rozkazał kierowcy.

III

Wiadomość o zwiększeniu budżetu na „Orgię amerykańską” dotarła do Los Angeles przed powrotem O'Neilla z Nowego Jorku. George Bryner odczuł to jako policzek, gdyż normalnie trudne do rozwiązania problemy finansowe powinny być iść drogą służbową i być negocjowane na najwyższym szczeblu. Ale George był pewien, że nie zdołałby uzyskać takiego rezultatu jak O'Neill. Odmówiono by mu powołując się na argumenty prawne i finansowe i odprawiono by go z niczym grzecznie acz stanowczo.

Jednakże on i Peter powinni by się przyjaźnić, gdyż obaj ujrzeli światło dzienne tego samego roku w tym samym miasteczku na Środkowym Zachodzie; jedynie żywopłot z głogu dzielił ich dwa domy należące do zamożnej sfery mieszczańskiej. Od wczesnej młodości odsunęła ich od siebie głęboka, niewytłumaczalna nienawiść. Obaj byli inteligentni, ambitni, drażliwi i skłonni do kłótni. W szkole współzawodnictwo ich przerodziło się w zaciętą rywalizację. Ubiegali się o względy tych samych dziewczyn i tak samo wyróżniali się w sporcie. Na uniwersytecie w Yale wybrali tę samą specjalność: finanse. Przez przypadek, a może z chęci zatruwania sobie nawzajem życia, podjęli pracę w tej samej grupie banków, w „Intercontinentalu”, który później został wchłonięty przez konglomerat „Universal”. Byli wówczas ważnymi osobistościami i każdy z nich kierował departamentem. Po długiej walce George Bryner został prezesem wytwórni, która w owym czasie przynosiła coraz większe straty. Zdymisjonowano by go zapewne, ale miał szczęście spotkać O'Neilla, który zmienił zawód i stał się reżyserem. Po serii filmów przeciętnych stworzył kilka świetnych, które przyniosły wytwórni setki milionów dolarów. George Bryner został uratowany.

Wszelako wdzięczność to potrawa krótko zachowująca świeżość. George nie mógł ścierpieć myśli, że zawdzięcza cokolwiek O'Neillowi, który zrobił zawrotną karierę. Dowiedział się, iż Leslie Carter chciał go zwolnić i zastąpić O'Neillem, lecz on nie zgodził się przyjąć wyższego stanowiska w administracji, gdyż oderwałoby go to od robienia filmów. Czy jednak długo będzie się opierał pokusie? Nikt już nie mógłby mu przeszkodzić, gdyby zechciał sam objąć kierownictwo wytwórni filmowej. Leslie szedł na wszelkie ustępstwa, byle go nie stracić. Przykład Spielberga, Lucasa, Coppoli, którzy wyzwolili się spod dominacji multinarodówek, mógł okazać się zaraźliwy.

Bryner przechadzał się tam i z powrotem po gabinecie pochłonięty czarnymi myślami. Pod wpływem żony i niepomiernej żądzы zbytku nabył na raty wspaniałą, umeblowaną willę w Beverly Hills, która miała kosztować cztery miliony. Pożyczył milion sześćset tysięcy w Banku Sunderland i musiał płacić miesięcznie sto dwadzieścia tysięcy dolarów. Za tą pożyczką przyszły inne. Na futra, suknie, klejnoty, które jego żona Gloria kupowała, żeby utrzymać się na poziomie – była zresztą mierną aktorką. Rachunki przychodziły jeden po drugim. Rolls dla niej, cadillac dla niego, ferrari dla Chris, jego córki, także aktorki, no i czterocyndrowy motocykl honda dla Herba – pochłonęły prawie pięćset tysięcy dolarów. Pensja George'a i jego taniemy ledwo wystarczały na zapłacenie terminowych należności. Utrata posady oznaczałaby katastrofę.

Co prawda zasłużył sobie na koszmar, który nawiedzał go nawet przy otwartych oczach, za dnia, w biurze, na spotkaniach z biznesmenami, na obiadach i przyjęciach, jakie wydawał co sobota. Połakomił się na małżonkę o czterdzieści lat młodszą od niego. Porzucił słodką i oddaną mu Katherine, która zestarzała się u jego boku, i z którą miał dwoje dzieci: Chris, podobną z

charakteru do niego, piękną i samowolną, dumną i arogancką, oraz Herberta, zwanego przez przyjaciół Herbem, który nie wyróżniał się niczym, prócz zamiłowania do przejażdżek i rozróbek.

Gloria, nadzwyczajna w łóżku, zawiodła pokładane w niej nadzieje na płaszczyźnie zawodowej. Wolałby, żeby zrezygnowała z kariery aktorskiej i poświęciła się roli pani domu. Ona jednak odmawiała. Dzięki stosunkom męża zawierała nowe kontrakty, mimo że reżyserzy chętnie by ją omijali. George przeżywał dramat Hearsta, który za wszelką cenę chciał ze swej kochanki – Marion Davies – uczynić gwiazdę, chociaż nie miała za grosz talentu. Niestety, brak mu było pieniędzy Hearsta.

Dzieci, a zwłaszcza Chris, nie przebaczyły ojcu rozwodu ani wprowadzenia do domu obcej kobiety, którą znienawidziły. George znosił wszystko, byle utrzymać Glorię przy sobie. Dzięki jej zmysłowej piękności odzyskał młodość i radość życia.

Katherine budziła przykre wspomnienia. Czuł, że starzeje się u jej boku. Była to mała kobietka z okrągłą główką, z okrągłymi oczami, z okrągłym nosem; piersi, biodra i pośladki także były okrągłe; przypominała piłkę tenisową przybraną w jedwabie i klejnoty. Starą, miękką, nie nadającą się do użytku piłkę. Ożenił się z nią dlatego, że ojciec jej był prezesem multinarodówki i mógł ułatwić mu karierę. Niestety, bogaty, hojny i gotów zrobić wszystko dla córki, kochającej męża do szaleństwa, człowiek ten zginął w wypadku samochodowym. Jego rolls wpadł w poślizg przy szybkości stu kilometrów na godzinę i stoczył się do wąwozu. George roztrwonił posag żony w ryzykownych przedsięwzięciach. Podczas bezsennej nocy zrobił bilans swego małżeństwa. Istnienie Katherine stawało się ciężarem'. Z odrazą czuł

przy sobie w małżeńskim łóżu okrągławe, zwiotczone ciało. Zły sen się jednak urwał.

Teraz George uśmiechał się z satysfakcją, ilekroć spoglądał w lustro. Nie wyglądał na więcej niż czterdzieści lat. Szpakowate skronie były raczej ozdobą, zmarszczki nie szpeciły twarzy, oczy pełne były żywotności, ciało zachowało smukłość. Nie zamawiał sobie ubrań w Londynie, jak Leslie, lecz jego elegancja przyciągała spojrzenia. A może tylko się łudził? Gloria zniknęła z domu na całe dni, gdyż grała drugoplanowe role w filmach kategorii „B”.

Chris, również aktorka, występowała w filmach O'Neilla. Zastanawiano się, czy ją zaangażował ze względu na jej talent, czy dla tego, że była córką prezesa. George zawsze sprzeciwiał się zaangażowaniu Chris, tym bardziej że rywalizacja między nią a jej macochą była powodem nieustannych sprzeczek. Chris wyrażała się lekceważąco o Glorii i wyśmiewała jej zawodową nijakość. Na domiar złego George podejrzewał, że jego syn używa narkotyków. Nie miał dowodów, ale częstokroć błędny wzrok chłopaka dawał mu wiele do myślenia.

Sekretarka oznajmiła, że przyszedł mister O'Neill. George nie pozwolił mu czekać, znając jego drażliwość.

– Jadę wprost z lotniska, George. Odesłałem bagaże do domu służbowym samochodem i wzięłem taksówkę.

George pogratulował mu sukcesu i dorzucił z przesadnym zatroskaniem:

– Bardzo się przejąłem wypadkiem twojego ferrari. Na szczęście ofiarą był ktoś obcy.

Peter zapytał się w duchu, po co jego rozmówca poruszył tę przykrą sprawę. Zmienił temat, żeby okazać, że jest mu całkiem obojętna.

– Po drodze wstąpiłem na plan. Jestem zmartwiony. Godwin nie spełnił moich oczekiwań. To była niemal amatorska robota. Wieczorem obejrzę sceny

nakręcone podczas mojej nieobecności. Przypuszczam, że trzeba będzie je powtórzyć.

Był to szach królowi, gdyż Godwin Mason, drugi asystent reżysera, cieszył się poparciem prezesa. Na koniec dodał:

– Doprawdy żałuję tej podróży do Nowego Jorku. Mógłbyś równie dobrze załatwić tę sprawę.

Jeszcze jedna strzała wypuszczona w stronę George'a. Peter wytykał mu jego nieużyteczność, jego fikcyjną rolę.

* * *

Bob Flynn wiele się nasłuchał o Kalifornii, o jej bezchmurnym niebie, o wiecznym lecie, o pięknych zakątkach, o bogactwie i egzotyce miast, o niezwykłym świecie zdominowanym przez przemysł filmowy, o Krzemowej Dolinie i uskoku Świętego Andrzeja... O ciągłym zagrożeniu... Do tej pory Kalifornia wydawała się Bobowi bardziej nieosiągalna niż wyprawa balonem. A jednak niepodobieństwo stawało się rzeczywistością. Głęboko wzruszony znalazł się na lotnisku w Los Angeles u boku człowieka, który jeszcze przed kilkoma dniami był dla niego zupełnie obcy.

Przeżycia te wzbogaciły go niewątpliwie, lecz także budziły w nim lęk. Kto mógł go zapewnić, że niezwykła przygoda, jaka stała się jego udziałem, nie była jedynie kaprysem O'Neilla, który porzuci go pewnego dnia? Zawstydział się tych podejrzeń. Najgorsze, co mogło mu się przytrafić, to powrót do dawnych zajęć. Na myśl o tym aż ścisnęło go w dołku. Nie! Peter O'Neill go nie porzuci! Łączy ich więź nie nazwana, lecz silna.

Peter przywiózł go ze sobą do atelier. Wielki O'Neill został powitany jak władca przez swych poddanych. Bob doznał zawrotu głowy na widok planu w toku pracy. Kamery ustawione na statywach o dziwnych kształtach, oślepiające

reflektory, mnóstwo pracowników technicznych, aktorzy, niezliczone akcesoria, cały ten kalejdoskop, w którym zmieniała się gra światła, barw i twarzy. Dekoracja przedstawiała współczesny salon. Na dany znak rozegrała się scena miłosna między dziewczyną piękną jak modelki z najlepszych żurnali mód a młodym, bardzo męskim człowiekiem. Niestety, dziewczyna była bardzo wysoka, znacznie wyższa od swego partnera, musiał więc stanąć na stołeczku, aby usta ich znalazły się na jednym poziomie i można było symulować namiętny pocałunek. Scena rozegrała się w zupełnej ciszy. Dopiero na dany znak wszczęto ruch na planie, przygotowując następne ujęcie. Młody człowiek zszedł ze stołeczka.

– Okropność! – zgrzytnął zębami O'Neill. – Muszę to wziąć w swoje ręce. Poczekaj tu na mnie – zwrócił się do Boba, któremu wszyscy przyglądali się z ciekawością. – Pomówię z prezesem i zaraz wrócę.

Bob rozglądał się dookoła. W środku tego zdumiewającego świata, przypominającego ul, w którym ludzie pracują dla jednego celu, i który stanowi na pozór odrębną całość, czuł się obcy, zepchnięty na ubocze. Przypadek rzucił go pomiędzy twórców filmu, którzy pobudzali Amerykę do marzeń i sami żywili marzenia. W kinie, siedząc na wyściełanym fotelu, zapominał o swej kondycji, o kłopotach, o brzydocie życia; gubił się na szlakach westernu, włączał do grona gości na świetnym przyjęciu, drżał ze strachu na widok straszliwych masek.

Teraz czuł się nieswojo. Wprawdzie zrazu wzbudził niejaką ciekawość, gdyż pojawił się tu wraz z O'Neillem, lecz zapomniano o nim, ignorowano jego obecność, jak gdyby w ogóle nie istniał. Nawet ci, co prosili, żeby się odsunął, aby można było ustawić jakieś akcesoria, zdawali się patrzeć poprzez jego ciało. Jedynie kobiety rzucały mu niekiedy uśmiech jak dawnemu znajomemu.

Czyżby przeceniał swój urok, któremu ulegało otoczenie, czy stracił go zmieniawszy kraciatą koszulę na szary garnitur od Rinto? Było też inne wytłumaczenie: w Hollywoodzie piękność spowszechniała.

Peter wrócił niebawem, zapytał go, jak ocenia środowisko, do którego wkrótce będzie należał, potem zaczął wydawać rozkazy grzmiącym głosem i tonem, którego Bob dotąd nie znał, miotać słowa krytyki, okrywać śmiesznością techników, którzy popełnili najmniejszy błąd. Coraz to nowe strony porywczego, brutalnego, despotycznego, kapryśnego, męczącego charakteru O'Neilla ukazywały się teraz w pełnym świetle. Zdawało się, że reflektory w atelier ujawniają najdrobniejsze cząstki jego istoty. Bob zrozumiał teraz, dlaczego w pismach filmowych podkreślano grubiaństwo reżysera, diaboliczną przyjemność, jaką znajdował w upokarzaniu swych współpracowników, lecz także jego dążenie do osiągnięcia doskonałości. Wszyscy ludzie w jego otoczeniu akceptowali go takim, jakim był, ponieważ czuli, że uczestniczą w stworzeniu nowego arcydzieła, czy też może obawiali się utraty pracy? W Los Angeles kręci się mnóstwo bezrobotnych i uganiających się za sławą. Ale wrota wytwórni wpuszczają niewielu.

Po skończeniu szczególnie trudnej sceny Peter skinął na Boba.

– Teraz zrobimy małą próbę. Będzie ona polegała na przeczytaniu tego tekstu i uzewnętrznieniu uczuć, jakie ci się nasuwają przy lekturze. Głos musi je wyrazić w sposób przekonujący. Następnie porozmawiasz na ten sam temat z doświadczonym aktorem. Nie bój się! Uważaj, że cała ta sprawa jest tylko zabawą na serio, jak to bywa wśród dzieci. O.K.?

Asystent reżysera z pewnym niedowierzaniem wręczył Bobowi zeszyt. Uroda rzadko chodzi w parze z talentem. Chłopak był zbyt ładny, aby

wzbudzać zaufanie. Aktorzy o olśniewającej urodzie zazwyczaj dostają role drugoplanowe.

Jakież jednak było jego zdumienie, gdy usłyszał czysty, miły głos o prawidłowych intonacjach, stosownych do tekstu, który uzewnętrzniał się w zmiennym wyrazie jego twarzy. Zaskoczyła go zwłaszcza naturalność i swoboda ekspresji. Bob w ciągu swej krótkiej kariery spotykał tak różnych ludzi, znalazł się w tak wielu różnych sytuacjach, że umiał się nagiąć do wszelkich okoliczności. Po przeczytaniu wskazanego fragmentu zobaczył z przyjemnością zdziwienie malujące się na twarzach jego mile zaskoczonych słuchaczy. Nastąpiła scena konfliktu. Tam również posłużył się swym bogatym, życiowym doświadczeniem. Aktor, który miał mu dawać odpowiedzi, mówił donośnie i wpadł w udawany gniew. Bob przypomniał sobie klientów, którzy nie chcieli mu zapłacić należności, kłótliwych nicponi, którzy szukali z nim zwady, chciwych forsy rywali, gotowych go zdzielić pięścią. Wszystkie te wspomnienia wzbudziły w nim wściekłość, ożywiły gromadzoną latami nienawiść; wybuch słów, zaciśnięte pięści, roziskrzona furia oczy robiły takie wrażenie, że po skończonym dialogu spontaniczne oklaski nagrodziły jego popis. Peter z zadowoleniem przyjął interpretację Boba.

– Myślałem, że chciałeś go zabić. Udało ci się mnie nabrać, ty draniu! Należy ci się dobra rola. Rad jestem, że się nie pomyliłem.

Bob czuł, jak strużki potu spływają mu po plecach. Nie posiadał się z radości.

– To po prostu bajka! Czy ja nie śnię?

– To nie bajka. Zawrzesz dobry kontrakt, Bob.

Zwrócił się do swoich współpracowników:

– Przechodzimy do sceny w salonie. **23.** sekwencja. Przygotował ją pan?

Godwin potwierdził to skwapliwie:

– W najdrobniejszych szczegółach, mister O'Neill.

Chuderlawy i łysy asystent wyglądał na więcej niż jego trzydzieści lat. Jak większość podwładnych nie śmiał zwracać się do O'Neilla po imieniu; przywilej ten miało kilku starszych aktorów i przyjaciół reżysera.

– Powtórzcie tę scenę przy mnie.

Usiadł na składanym krzeselku, noszącym jego nazwisko na oparciu.

Z dialogów i zachowania trójki aktorów, dwóch chłopaków i dziewczyny – twarze ich były mu dobrze znane – wywnioskował, że miała to być gwałtowna kłótnia między dwoma braćmi rywalizującymi o wdzięki panny.

Peter wyraźnie niezadowolony podniósł dłoń.

– Przerwać! Dialog brzmi fałszywie.

Młodzi aktorzy wymienili obrażone spojrzenia. Peter mówił dalej nie zważając na ich miny:

– Ponieważ konflikt jest pierwotnym elementem dialogu, używa się i nadużywa hałaśliwych utarczek słownych. Przesadne eksponowanie konfliktu sprawiło, że publiczność jest bardziej wybredna, niż przypuszczacie. Jeśli konflikt wydaje niewiarygodny, efekt jest chybiony i napięcie widzów spada do zera. Pokażę wam, jak należy zagrać tę scenę.

– Zagraliśmy możliwie najlepiej, mister O'Neill – powiedział Perry Grayson, którego uroda wywoływała furorę wśród wielbicielek, co polechtało jego próżność. On miałby otrzymywać pouczenia? To wydawało mu się wręcz nie do pojęcia.

Peter zlekceważył jego odpowiedź. Poprosił o scenopis i wszedł między aktorów.

– Niech pan uważa na moją intonację, Perry. Na pewno pan na tym skorzysta.

Odczytał kwestie Perry'ego z cudowną siłą ekspresji. Jego interpretacja była bardziej pogłębiona, nie tracąc nic ze swej intensywności.

– Z całym uznaniem, mister O'Neill! – powiedział nieco ironicznie młody aktor. – Powinien pan dołączyć do nas.

– Dobra myśl! – odparł Peter bez uśmiechu. – Wolę jednak zostać przy moim zawodzie.

Bob podpisał kontrakt na rolę w filmie „Orgia amerykańska” i wkrótce potem otrzymał scenopis z replikami podkreślonymi czerwonym ołówkiem. Jego najśmielsze marzenia urzeczywistniały się jak w starych filmach muzycznych, w których nieznani młodzieńcy po wielu przygodach stawali się sławni.

Peter ulokował go w pawilonie przyjaciół obok jego rezydencji na Beverly Hills.

– Będiesz tu mieszkał, dopóki nie znajdziesz sobie odpowiedniego mieszkania. Znajdziesz tu wszystko, czego ci trzeba, nawet nową szczotkę do zębów. Cały pawilon oddaję do twojej dyspozycji. Znajdziesz w nim dobrze zaopatrzone bar. Możesz zażądać książek, pism, gazet. Polecam ci szczególnie komentarze sławnej Joan Rivers – bardzo okrutne, lecz bardzo dowcipne – żebyś prędzej oswoił się ze zwyczajami tego zwariowanego środowiska, które od dzisiaj stało się również twoim. Louella Parson i Hedda Hooper były chórzystkami u boku Joan Rivers. Pewnego dnia poproszą cię, żebyś im odpowiedział na kilka pytań. Jadowite plotki oplotą cię gęstą siecią. Trzeba, żebyś umiał radzić sobie z nimi... Obecny kontrakt zapewnia ci gażę, która pozwoli ci bywać w najmodniejszych lokalach. Widzieć i być widzianym – to

zasada przyjęta przez ludzi filmu. Nasza agencja prasowa już zajęła się tobą. Sama Lavinia Parker zacznie cię lansować. W najbliższych dniach zobaczysz swoje zdjęcia i nazwisko w massmediach. Ach, żebym nie zapomniał! Zanim kupisz sobie odpowiedni wóz, możesz używać moich. Kierowca da ci kluczyki do angielskiego lotusa. Luksusowy samochód świadczy o pozycji aktora, szybko robiącego karierę. Naucz się dobrze prowadzić, bo w Los Angeles jedynie kloszardzi nie mają własnego auta, Nawet bezrobotni jeżdżą gruchotami. Będziesz musiał codziennie zrobić kilkaset kilometrów. Ta stolica ciągnie się na przestrzeni przeszło stu pięćdziesięciu kilometrów. Prawdziwy labirynt... Powodzenia, Bob!

Wyszedł, nie czekając na podziękowania.

Bob rozejrzał się wokół siebie. Paradoksalnie, był oswojony z przepychem wielu mieszkań. Wśród klientów, którzy zabierali go do siebie, zdarzali się bogacze, mieszkający w prawdziwych pałacach. Wnętrze tego pawilonu tchnęło bogactwem i zbytkiem. Jego protektor musiał mieć dużo pieniędzy. Peter pozostawał zagadką dla Boba. Obsypywał go łaskami, nie domagając się niczego w zamian. Przez szerokie, otwarte okno wyjrzał na miasto leżące u jego stóp. Jak okiem sięgnąć migotał ocean światła. Pawilon posiadał własny basen i oddzielny ogród.

Bob był jeszcze oszołomiony. Wszystko, co mu się przydarzyło w ciągu ostatnich dni przekraczało jego najdziwaczniejsze przypuszczenia. Otworzył szafkę z napojami, lakowany sekretarzyk z okuciami, mebel na pewno autentyczny. Nie umiałby określić jego stylu. W tym zakresie jego wykształcenie było bardzo małe. Umiał tylko wyczuć różnicę między tym, co piękne, a tym, co go odpychało. Zdawał sobie jednak sprawę, że ten mebel jest

bardzo drogi i bardzo piękny. Wybrał szkocką spośród butelek o różnych nalepkach i wypił dwa kieliszki jeden po drugim.

Wzrok jego padł na lustro w złożonych, bogato rzeźbionych ramach. Wybuchnął śmiechem widząc swe odbicie, wzruszenie, podniecenie, napięcie nerwowe. Śmiał się jak szalony, podczas gdy łzy pociekły mu po twarzy. Nie słyszał był o Pagliacco, lecz mimo woli był jego doskonałym wcieleniem. Śmiał się i płakał zarazem, smagany wspomnieniami szczęśliwych i smutnych, jakże smutnych zdarzeń, które wypełniły jego krótkie życie.

Ktoś zapukał do drzwi.

Bob przestał się śmiać i szybko otarł łzy.

Lokaj w liberii wszedł uroczystym krokiem. Był młody i przystojny. Mógłby z powodzeniem grać w filmie, lecz mimo wszelkich starań z jego strony nikt nie dał mu tej szansy.

– Mister O'Neill zaprasza pana na obiad. Strój wieczorowy.

Obiad będzie podany o dziesiątej. Pozwoli pan, że wskażę mu jego pokój. Jestem Kim, do usług.

W ślad za lokajem Bob przemierzył długi korytarz wysłany wschodnimi dywanami, z którymi harmonizowały pełne świeżych kwiatów, chińskie wazy stojące długim szeregiem. Wszedł do obszernej sali z ogromnym, okrągłym łóżem. Nie brakowało tu niczego, co mogłoby mu uprzyjemnić pobyt. Wspaniałe meble, dywany i znowu kwiaty. Zachwyciła go łazienka o lustrzanych ścianach.

– Pozwoliłem sobie rozpakować pańskie bagaże i umieścić ubrania oraz rzeczy osobiste w szafach. Czy pan życzy sobie, żebym przygotował kąpiel?

– Dzięki, wezmę natrysk.

– W tym czasie położyę na łóżku pańskie ubranie. Skłonił się z godnością, obrócił na piętach i wyszedł.

Bob spojrzął na zegarek. Stary zegarek nie pasujący do jego obecnego wyglądu. Jutro kupi sobie rolexa. Pozostały mu jeszcze trzy kwadransy do dyspozycji. Szybko się rozebrał i wszedł do wielkiej lustrzanej kabiny o otwartym dachu i uruchomił natrysk. Z przyjemnością oglądał swe piękne ciało namydlając je obficie. Mydło miało przyjemny zapach. Tors, biodra, nogi, sex podobne były do marmurowej rzeźby chłopca zdobiącej aleję w Central Parku. Był dumny ze swojego ciała, ze swojej urody. Podziwiał je, jakby należały do innego człowieka. Sylwetka jego powielala się w nieskończoność dzięki wysokim lustrom. Stwierdził z zainteresowaniem, że instalacja do kondycjonowania powietrza pochłaniała parę, aby dać kąpiącym się możliwość oglądania się do woli w lustrach, które zazwyczaj powlekała mgła. Przeszedł następnie do umywalni, gdzie na kryształowych półkach znalazł flakony perfum i inne przybory toaletowe potrzebne panom ceniącym sobie wykwint toaletowy. Ogolił się, skropił płynem *after shave* noszącym markę *Saint Laurent*. Raz jeszcze stwierdził, że bogaci Amerykanie lubili jedynie produkty francuskie, będące szczytem dobrego smaku. Piękny jak bóstwo włożył szlafrok ze szmaragdowego jedwabiu i wrócił do sypialni. Na łóżku czekał już czarny smoking z czerwoną muszką, obok leżała jedwabna koszula i skarpetki. Lakierki stały obok na dywanie. Kim nie zapomniał o bieliźnie produkcji angielskiej.

Bob ubrał się z nie znaną mu dotąd rozkoszą, podziwiając się w lustrach, okrywających ściany i sufit. Jedwabna koszula pieściła jego ciało. Smoking doskonale układał się na figurze, muszka, lakierki odmieniły go, czyniły zeń

innego człowieka. Tej nocy po raz pierwszy wkładał smoking. Był szczęśliwy jak dziecko rozpakowujące pod gałęziami choinki mnóstwo podarunków.

Schował zegarek do kieszonki. Pozostało mu jeszcze dziesięć minut. Nagle fala strachu ścisnęła go za gardło. Czy będzie umiał zachować się odpowiednio przy obiedzie podanym w takim otoczeniu?

* * *

Przy wejściu do okazałej willi O'Neilla zbudowanej przez architekta czerpiącego natchnienie z harmonijnych i eleganckich linii Palladia, kamerdyner Benjamin, który nosił z godnością frak i czarną muszkę, skłonił się poważnie i wprowadził Boba do living-roomu. Peter i jego żona czekali już delektując się koktajlami. Prawie nie rozmawiali ze sobą i odnosili się do siebie jak obcy ludzie, zmuszeni do mieszkania pod jednym dachem i spotykania się przy okazjach, które wymagały obecności ich obojga. Dla Boba, który mimo młodego wieku nabył z konieczności zdolność orientowania się w ludziach, Anna była piękną kobietą, starszą niż na to wyglądała. Dzięki usilnym staraniom o zachowanie pozorowanej młodości, rozwijała całą kokieterię dla pozyskania samców, wzbudzających w niej żądzę. Starość jawiła się przed nią jak otchłań na końcu drogi, której niepodobna obejść. Aż do ostatecznego upadku desperacko korzystała ze swej pozorowanej młodości, popisując się nią ostentacyjnie.

Od powrotu do Los Angeles Peter nie zrobił najmniejszej aluzji do wypadku, jakiemu uległo jego ferrari, ani do śmierci tego, kto siedział za kierownicą. Umiejętnie ignorował dzienniki i komentarze telewizyjne, które rozdmuchiwały i mnożyły pikantne aluzje...

Anna zachowywała się tak, jakby ta sprawa jej nie dotyczyła. Jej odpowiedzi na pytania policjantów, którzy wtargnęli do domu pomimo

sprzeciwu służby, ograniczały się do kilku słów, wypowiedzianych ze znużeniem: „Pożyczono wóz przyjacielowi domu, który zabił się na skutek jakiegoś błędu w prowadzeniu. Tysiące podobnych wypadków zdarzają się co dzień na drogach amerykańskich. Dlaczego śmierć tego człowieka budzi taką sensację?”

Jeśli osobowość i zmysłowość Anny wywarła pewne wrażenie na Bobie, to ona doznała niemal szoku na jego widok. Ten mężczyzna był ucieleśnieniem jej nimfomańskich wyobrażeń. Jednoczył w sobie wszystkie zalety, które go wyznaczały na idealną zdobycz. Wszyscy ludzie – zarówno mężczyźni jak i kobiety – skrywają w głębi serc sekrety tak ciężkie do udźwignięcia, że zostają pogrzebane na zawsze. Tylko w nocy – sny – albo w ciągu dnia – pewne okoliczności wydobywają je z podświadomości i domagają się uzewnętrznienia. Anna była przezroczysta jak szyby wspaniałego auta. Nie miała sekretów do ukrycia. Popędy i namiętności, które normalna kobieta szanująca konwencje społeczne ukrywałaby nawet przed najbliższymi osobami, Anna okazywała bezwstydnie.

Bob miał swą tajemnicę przesłoniętą mgłą, tajemnicę, która go ścigała, dręczyła, pozbawiała radości i osmucała jego serce.

Peter O'Neill również ukrywał swe sekrety. Oczarowanie Bobem, zainteresowanie chłopakiem, który nocą przemierzał ulice Nowego Jorku, wynikało z pobudek, które niewtajemniczeni interpretowali na swój sposób... Były to interpretacje fałszywe, gdyż Peter zawzięcie strzegł swojej tajemnicy i umiał zaciemnić wszystkie swe zamiary, wszystkie cele. Bob chwycił niekiedy jego nieodgadnione spojrzenia, które zatrzymywały się na nim. Życzliwe, wyrozumiałe, protekcyjne postępowanie O'Neilla względem niego wprawiało

Boba w zakłopotanie. Był mu wdzięczny, a mimo to często czuł się przy nim nieswojo.

W stosunku do żony Peter był uosobieniem obojętności. W istocie jednak doskonale ukrywał swą gierkę. Ścigał ją swoją nienawiścią, gdyż brzydziła go sama jej obecność. Nie pozwalała mu swobodnie myśleć, rozwijać pomysłów twórczych, wlatywać ponad przeciętność zerwawszy wszelkie pęta. Znosił ją, jak znosi się nieuleczalną chorobę. Anna zareagowała na obecność Boba zgodnie z przypuszczeniem O'Neilla. Jego przepowiednie, jego plany się spełniały i to stwierdzenie go zachwycało. Znajdował potwierdzenie, że jest doskonałym znawcą ludzkiej natury.

– Zaprosiliśmy na dziś kilka osób – powiedział Peter osobiście przyrządzając koktajl dla Boba. – Prezes wytwórni i wiceprezes wraz z żonami. Chciałem, abyś ich poznał. Dla Brynera nie jesteś już obcą osobą. Podpisał twój kontrakt. Ale wiceprezes Neville Holm, który zajmuje się produkcją, jest dla ciebie kimś nowym. Jestem jednak pewny, że go sobie zjednasz, podobnie jak pozyskałeś sobie wszystkich, którzy byli obecni przy twoich pierwszych próbach. Neville jest mrukiem, któremu się zdaje, że bez niego wytwórnia by zbankrutowała. W rzeczywistości wszyscy ci szanowni administratorzy są pasożytami, którzy utrzymują się – bardzo zresztą dobrze – dzięki wykorzystywaniu prawdziwych twórców: gwiazd, scenarzystów, reżyserów, fotografów i wielu innych pracowników technicznych. Musimy współpracować, ale pogardzamy sobą nawzajem, zachowując pozory serdeczności, branej za dobrą monetę przez ludzi nie znających kulis. Wkrótce poznasz także moje dzieci, ale dzisiaj ich tu nie będzie. Mają swoich przyjaciół, prowadzą własne życie. Jak wszyscy w naszej rodzinie.

Zdawało się Bobowi, że w tych słowach kryło się wyjaśnienie poczynionych mu przez O'Neilla zwierzeń. Zapewne czuł się tak samotny wśród swoich bliskich, że umieścił Boba u siebie, aby mieć w pobliżu przyjaciela i powiernika. Być może, iż w zamęcie studia także nie znajdował bratniej duszy. Kto wie, czy pod maską dumnego, mocnego człowieka nie skrywał nieśmiałości, do której nie przyznałby się za nic.

– Pan i pani Brynerowie – oznajmił kamerdyner.

Peter i Anna powitali gości ze swobodą, jaka cechuje ludzi prowadzących światowe życie, choćby nie sprawiało im to przyjemności. Bryner serdecznie uścisnął dłoń Boba.

– Jakże się cieszę! Nie wiedziałem, że należy pan do zadomowionych tu osób. Peter jest bardzo oddany swoim przyjaciołom. Bronił pana interesów niezwykle gorąco.

O'Neill zrozumiał złośliwą aluzję. Nie zdążył odpowiedzieć, bo pani Bryner wtrąciła pół żartem pół serio:

– Sądzę, że należałoby nas inaczej anonsować. Jestem przede wszystkim aktorką, a dopiero później żoną George'a. Lepiej by chyba brzmiało: Pani Gloria Bryner i pan George Bryner. Nieprawdaż?

Peter uśmiechnął się. Gloria mimo woli zrewanżowała się za niego mężowi. George powiedział wesoło z udaną pobłażliwością:

– Moja żona ma rację. Chce skorzystać z przywileju, jaki jej daje uprawianie zawodu.

Państwo Brynerowie odznaczali się elegancją nieco groteskową. George był na pozór dżentelmenem w każdym calu. Pragnął oczarować rozmówców, lecz złośliwe błyski oczu wymykały się czasem spod jego kontroli. Gloria była zachwycająca, lecz doskonale umalowana twarz wyrażała pychę nie

pozbawioną pewnej zgorzkniałości. Niepowodzenia zawodowe doprowadzały ją do rozpacz. Winiła za nie męża. „Twoi reżyserzy, którzy cię nienawidzą, biorą sobie odwet na mnie. Jestem twoim kozłem ofiarnym”... Gloria nosiła suknię z zielonych dżetów od Chanela, dobraną do szmaragdów rzadkiej piękności.

– Mam dla ciebie dobrą nowinę, George – powiedział Peter z udaną serdecznością. – Możesz być dumny z Chris, którą wybrano spośród aktorek do „Orgii amerykańskiej”. To wielki sukces dla twojej córki.

George pobladł, gospodarz z uśmiechem na ustach zadał mu cios, który miał osiągnąć Glorię. Przeklinał powodzenie Chris i wyobrażał sobie scenę, jaką mu robi Gloria, kiedy zostaną tej nocy sami w sypialni.

Anna dobiła panią Bryner.

– Przypuszczam, Glorio, że nosisz kopie swych klejnotów. W naszych czasach lepiej jest przechowywać prawdziwe kamienie w kasie pancерnej. Ta kopia jest zachwycająca.

Gloria omal nie zemdląła, odparła cierpko:

– Te szmaragdy kosztują majątek. Są prawdziwe. Sądziłam, że jesteś wyborną znawczynią. Widocznie się omyliłam.

Na szczęście pojawili się państwo Holm. Uściski dłoni, objęcia, komplementy, zaprawione witriolem. Kim podał koktajle.

Holm wyglądał na pastora, głoszącego najsurowszą moralność, niezbędną dla rozwoju zrównoważonego społeczeństwa. Nie umiał się ubierać, mówiono nawet, że mógłby zastąpić w polu stracha na wróble. Jego żona Isabelle, była bardzo młoda i olśniewająco piękna. Nie mając jeszcze engagement zgodziła się poślubić Holma, który otworzył jej drzwi studia. W odróżnieniu od Glorii, która zmagala się z falami przeciętności, Isabelle szybko wysunęła się na czoło

najlepiej notowanych aktorek. Szeptano między sobą, że małżeństwo Holmów nie potrwa już długo. Isabelle patrzyła na męża z coraz wyraźniejszą odrazą. Oziębłość żony doprowadzała go do rozpacz. Zdawał sobie sprawę ze swej nieużyteczności odkąd Isabelle zawierała kontrakty – i to bardzo korzystne – bez jego pomocy. Ekscentryczne suknie o głębokich dekoltach, które nosiła wbrew opinii męża, czyniły ją godną pożądania, uwodzicielską, co budziło zazdrość Holma. Mężczyźni spoglądali na nią pożądliwie, prowokowani przez jej ostentacyjną kokieteryę. „Isabelle jest wyrefinowaną kokietką” komentowano w atelier. „Umiejętnie wzbudza żądze mężczyzn, żeby dręczyć biednego męża”. Małżeńskie problemy Holmów uczyniły go pośmiewiskiem filmowego świata oraz Joan Rivers, która obrała go sobie za cel złościwości.

– *Madame est servie!*

W sali jadalnej przepych sreber, dekoracji kwiatowej i lichtarzy znajdował odbicie w mnóstwie luster – O'Neillowie najwidoczniej ulegali modzie. Lustra były wszędzie. Obrazy biesiadników nakładały się na siebie, tworząc surrealistyczną kompozycję.

Isabelle szczególnie zajęła się Bobem, który grzecznie odpowiadał na jej pytania. Starła się prowadzić z nim rozmowę na uboczu, co doprowadzało Annę do wściekłości.

Peter przyglądał się tej scenie z rozbawieniem, czerpiąc z niej pomysły do przyszłych filmów. Zachowanie ludzi, cała gama uczuć uzewnętrznianych świadomie a niekiedy nieświadomie, wzbogacała jego doświadczenie. Jego obojętne zachowanie, jego ironiczny wyraz twarzy kontrastowały ze wzburzeniem Anny, która nie liczyła się już dla niego jako żona. Grała rolę parawanu dla jego erotycznych przygód: tylko erotycznych, gdyż nigdy nie ożywiało ich uczucie. Przespanie się z kobietą było dlań jedynie odprężeniem

seksualnym, okazją do zapomnienia przez chwilę o kłopotach i obowiązkach zawodowych. Wzburzenie wywołane obecnością Boba interesowało go w najwyższym stopniu. Znał tajniki jego maelstromu i z zaciekawieniem oczekiwał jego skutków. „Kariera Boba byłaby złamana, gdyby zależała od Holma” – stwierdził obserwując z pogardą jego nerwowość, jego niekontrolowane gesty. Obrażony mężczyzna stłukł szklankę i upuścił pieczeń baranią na suknię Glorii, siedzącej obok przy stole. Anna zaś dygotała z wściekłości, krew w niej po prostu wrzała. Peter wiedział, że rozmowa, jaką Isabelle prowadziła z Bobem o wszystkim i o niczym, miała na celu rozbudzenie zazdrości Anny. Isabelle sypiała z O'Neillem i jego potencja zaspokajała ją w pewnej mierze. Prócz tego, to on dysponował wszystkimi wielkimi rolami... Czy Bob naprawdę ją zainteresował? – zapytywał się w duchu. Byłoby to dziwne, gdyż pociągali ją jedynie mężczyźni mogący pomóc jej w robieniu kariery. Był przeświadczony, że nie darzyła go miłością, mimo czułości, jaką mu okazywała, ilekroć byli razem.

Bob był podniecony. Znajdował się w oku cyklonu, który szalał wokół niego. Musiał dzielić uwagę na rozmowę z Isabelle i na prawidłowe posługiwanie się mnóstwem sztuczków: do ryby, do ostryg, do homara, do deseru, do sosu, do obierania owoców, do serów; a do tego jeszcze całą baterią kieliszków kryształowych różnego kształtu i rozmaicie zdobionych; wszystko to na oczach współbiesiadników i służby, lepiej znającej się na etykiecie niż ich państwo. Obawiał się straszliwie, żeby nie popełnić gafy, nie okryć się śmiesznością. Na szczęście kilka obiadów zjedzonych w najwspanialszych restauracjach Nowego Jorku nauczyło go podstawowych zasad zachowania się przy stole. Wiedział, że Peter go obserwuje i to jeszcze zwiększało jego

napięcie nerwowe. Wciąż zadawał sobie pytanie, czego szuka wśród tych ludzi, i nie umiał na to odpowiedzieć.

Atmosfera stawała się nieznośna. George miał uczucie, że czekano na wybuch wulkanu, podczas gdy zwodniczy spokój rozmowy, jaką Isabelle prowadziła z Bobem, poprzedzał jedynie katastrofę. Podjął więc sam taki temat, który mógł wciągnąć innych do konwersacji. Aktorzy i filmy – oto domena interesująca wszystkich.

– Peter, chciałeś obsadzić Schwarzeneggera w jednym z twoich filmów. Zażądał od Holma dziesięć milionów dolarów. Warren Beatty siedmiu milionów. Barbra Streisand i Jane Fonda doszły do pięciu milionów. W porównaniu z innymi miały skromne wymagania.

– Nic dziwnego. Jeśli proponuje się Tomowi Selleckowi cztery miliony za reklamę półminutową w telewizji, to normalne, że pierwszorzędny aktor wymaga dziesięciu milionów za film dwugodzinny.

Gloria pomyślała z wściekłością: „Nawet ta dziwka Isabelle dostaje milion za film. Podczas gdy ja nie mogę wytargować więcej niż trzydzieści tysięcy. Ten idiota George jest do niczego”.

– To wstyd! – wybuchnął Holm. – Ten smarkacz Prince zarabia trzydzieści cztery miliony rocznie. Michael Jackson trzydzieści trzy. Sylvester Stallone piętnaście. Bruce Springsteen dwadzieścia cztery. Steven Spielberg piętnaście milionów. Larry Hagman – cztery miliony.

George spojrział z ukosa na O'Neillę. Ten już doszedł do jedenastu milionów rocznie. Podczas gdy on, prezes wytwórni, nie mógł związać końca z końcem.

Dochody, o których mówiono, zawróciły Bobowi w głowie. Pierwszy jego kontrakt zapewniał mu sto tysięcy dolarów, co uważał za bajeczną sumę.

Ale śledził z daleka, z bardzo daleka wielkie gwiazdy ekranu. Czy zdoła zbliżyć się do tych wielkich kocurów? Czy zdąży?

Po obiedzie, który wydawał się pańszczyzną, biesiadnicy przeszli do salonu, gdzie podano im kawę i likiery. Panowie przeszli do sąsiedniej sali na partyjkę bilardu, a panie zatrzymały przy sobie Boba. Z ukrytych głośników płynęła spokojna, relaksująca muzyka taneczna.

– Telefon do pana, mister O'Neill – powiedział dyskretnie Kim.

– Dzięki. Przejdę do gabinetu.

Przeprosił partnerów, przeszedł przez salon i zniknął w pokoju do pracy. Kiedy wyszedł stamtąd po kilku minutach, Isabelle szybko wstała i podszedłszy do niego poprosiła o ogień. Zapalając jej papierosa musiał się do niej zbliżyć. Muzyka zagłuszała ich rozmowę.

– Daremnie czekałam dziś na ciebie po południu. Jeśli chcesz mnie puścić kantem, to mi powiedz.

Była wręcz agresywna.

– Szukasz nowalijek? Kręcisz się jak kogut koło Sue. Podnieca cię, bo jeszcze pachnie mlekiem? Może jestem za stara dla ciebie? Mam aż dwadzieścia trzy lata!

Nie znosił komplikacji.

– Ależ, Isabelle, to nie czas i miejsce na taką rozmowę!

– Jeśli mnie porzucisz dla Sue, to cię zabiję!

Uśmiechnął się sarkastycznie i porzuciwszy Isabelle na środku salonu wrócił do sali bilardowej. Ledwo się opanowała czując wycelowane w siebie spojrzenia Anny i Glorii. Anna uśmiechała się ironicznie, Gloria była zaintrygowana. Isabelle zwróciła się do Boba.

– Zatańczymy, przyjacielu. Ta muzyka jest czarująca.

Bob zawahał się świadom tego, że atmosfera była naelektryzowana, lecz spełnił życzenie pięknej pani. Anna pobladła. Z kolei Isabelle rzuciła zwycięskie spojrzenie swej rywalce.

Przez uchylone drzwi Naville Holm pochylony nad stołem bilardowym ujrzał żonę tańczącą na środku salonu. Bliski rozpaczy wymamrotał:

– Grajcie dalej sami! Jestem trochę zmęczony...

– Mieliśmy ciężki dzień – przyznał Bryner. – Północ dawno minęła. Po tak sutym obiedzie wrócimy do domu przejeźdzeni.

Zaczęto się żegnać. Bob uściśnął dłonie Georgea i Holma wiedząc, że chętnie by go udusili.

– Szkoda, że musimy wyjść – powiedziała Isabelle obejmując Boba obiecującym spojrzeniem. – Spotkamy się wkrótce na planie.

Drzwi wejściowe otworzyły się z hałasem i Robby O'Neill omal nie wpadł na wychodzących gości. Nosił skórzaną kurtkę, pod pachą trzymał hełm motocyklisty. Był przystojny, szesnastoletni chłopak.

– Tak późno wracasz? – zapytał Peter z irytacją.

– Spędziłem fajny wieczór z kumplami. Herb poszedł wprost do siebie, mister Bryner.

– Widziałeś Chris?

– Przelotnie. Była ze swoim chłopakiem.

– Z Rogerem?

– Dawno go puściła w trąbę. Teraz chodzi z Kewinem. George westchnął. Współczesna młodzież gwałtownie odpycha kontrolę rodziców.

Bob i Robby wymienili uścisk dłoni.

– Miło mi – powiedział młody O'Neill.

Przywykł spotykać w domu zmieniających się często przyjaciół matki. Przypuszczał, że Bob jest jednym z nich.

– Do zobaczenia!

Bob spostrzegł, że chłopak był naćpany. W Nowym Jorku miał do czynienia z mnóstwem chłopaków, którzy się narkotyzowali. Niemal cudem uniknął tej zarazy. Nigdy nie uległ pokusie. Nie chciał, aby jego pieniądze trafiały do kieszeni handlarzy narkotyków. Wzrok Robby'ego, chwiejny chód, sposób w jaki przeciągał słowa, wszystko go zdradzało. Dla rodziców, którzy nie umieli zrozumieć tych objawów, ich syn był tylko przedwcześnie wyemancypowanym chłopakiem. W oczach Boba – Robby w każdej chwili narażał się na śmierć wskutek przedawkowania.

Ledwo wsiedli do cadillaka, Holmowie zaczęli się kłócić. Ostry głos Isabelle zagłuszał szepty męża, który chciał zachować pozory. Jego żona dążyła do otwartego konfliktu. Dowiodłaby w sądzie, że mąż postępował z nią okrutnie.

We wnętrzu daimlera Gloria zapytała złośliwie swego męża:

– Czy ten chłopak jest spadkobiercą zmarłego?

– Jakiego zmarłego?

– Kochanka Anny! A może jest chłoptysiem O'Neilla?

– Peter uchodzi za kobieciarza. Mimo to właśnie on przywiózł go z Nowego Jorku, on wymógł na mnie, żebym podpisał z Bobem korzystny kontrakt, chociaż jego protegowany nie należy do związku aktorów, i on wreszcie dał mu rolę w swoim filmie.

– Podejrzane, nieprawdaż?

– Masz świetny zmysł obserwacji, Glorio. Otworzyłaś mi oczy.

– Mógłbyś użyć tej broni przeciw niemu...

Powróciwszy do siebie Bob rozebrał się, niemal zdzierając z pleców marynarkę i koszulę. Ostrożnie natomiast wyjął portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki i położył go przy łóżku. Szybko wsunął się między miękkie, batystowe prześcieradła, które pachniały lawendą. Zapalił lampkę nocną, otworzył portfel i wyciągnął czek na tysiąc dolarów otrzymany po podpisaniu kontraktu. Pierwszy czek w życiu! Nareszcie będzie miał konto w banku! Włożył czek do portfela, odetchnął z ulgą, sięgnął po scenariusz i przeczytał go zatrzymując się i powtarzając repliki podkreślone czerwoną kreską. Ulatywały one jednak z jego pamięci. Był zbyt zmęczony, żeby skupić się na lekturze. Za wiele rzeczy zdarzyło się ostatnio, żeby mógł odzyskać równowagę.

Myśli jego uleciały ku sześciu jedwabnym piżamom leżącym w szafie. Sześciu jedwabnym piżamom wybranym przez nowojorskiego krawca. Stanowiącym własność Boba. Najmniej wartą część jego własności. Mimo to przywiązywał do nich znaczenie, miały bowiem wartość symboliczną. Sprawiały mu niewymowną radość. Nie był już nicponiem, który posiadał tylko łachy na grzbiecie. Wstał z łóżka i włożył niebieską piżamę w wąskie białe paski. Wyciągnął się w pościeli; z początku czuł się bardzo dobrze, lecz po chwili było mu za ciepło... Zdjął piżamę. Teraz był wolny. Wolny jak ptak, co zrywa się do lotu... Wystarczały mu prześcieradła. Zresztą jego ulubieni aktorzy sypiali nago. Tylekroć widział na ekranie, jak rano zrywali się z łóżka nago. Teraz utożsamiał się ze swymi bohaterami. Nie do wiary, lecz jego dawne marzenia splatały się dzisiaj z rzeczywistością.

Widział kiedyś w marnym nowojorskim kinie film, którego akcja rozgrywała się w odległej przeszłości. Rycerze Okrągłego Stołu walczyli ciężkimi mieczami, z rękojeścią w kształcie krzyża. Siali śmierć młynkując bronią o ostrzach lśniących jak błyskawice. Wśród rycerzy był siwobrody

starzec, nazwiskiem Merlin. Miał czarodziejską moc i czynił cuda, które nie zadziwiały nikogo. Czary były wówczas w modzie. Ten legendarny Merlin z pewnością dopomógł Bobowi. „Merlinowie, mawiali jego sceptyczni kumple, istnieją tylko w filmach”. Ale Bob spotkał Merlina, potężnego Merlina, który w naszych czasach nazywał się O'Neill... Merlin... Był też smok mający rysy Holma, który byłby go zabił bez wahania, ponieważ jego żona pieściła przy nim Boba... Nie zabrakło siedmiogłowego smoka, George'a Brynera, który go nienawidził, gdyż Bob znajdował się pod opieką Merlina...

Podczas gdy tysiące ludzi marzących o filmowej sławie opaliło sobie skrzydła, on, Bob, dzięki Merlinowi pokonał wszystkie przeszkody na drodze wiodącej ku szczytom, ku obludnym szczytom Everestu, bardziej niebezpiecznego niż w Himalajach, Everestu, który zwie się Hollywood...

Powieki ciążyły mu coraz bardziej. Zasypiał, trzymając w dłoniach scenariusz, to znowu budził się przejęty dreszczem i zaczynał od nowa lekturę.

Nagle usłyszał skrzyp żwiru na ścieżce przed pawilonem. Skulił się w sobie. Czyżby O'Neill szedł do niego? Czy chciał otrzymać swą należność?... Nasłuchiwał z bijącym sercem.

Kroki się oddaliły. Bob zgasił nocną lampkę, wyskoczył z łóżka i boso podbiegł do okna. Odsunął zasłonę z ciężkiego jedwabiu i wyjrzał na dwór. Przez szybę lekko przymgloną jego oddechem ujrzał nocnego stróża, który z niemieckim owczarkiem obchodził posiadłość. Od czasu tragicznej śmierci Sharon Tatt, po zabójstwie Ramona Novarro i Lennona, po wielu innych napadach i pogrózkach, sławni filmowcy przedsięwzięli środki ostrożności.

Bob ponownie wsunął się pod prześcieradło. Nie miał się czego lękać. Nawet odwiedzin Merlina. Był szczęśliwy... szczęśliwy... szczęśliwy... Łzy radości rozbłysły na jego powiekach. Wybuchnął szlochem. Jasne perspektywy

zaczęły się ściemniać... miraże rysowały się na pustyni, która nikła w oddali...
Za nią wstawiała noc. Tajemnicza, przerażająca noc...

* * *

Nazajutrz miał na planie odegrać scenę miłosną. Młody mechanik uwodził córkę prezesa multinarodówki. Bohaterka pod urokiem swego nowego idola zapomniała o narzeczonym, obowiązkach rodzinnych, o zasadach moralnych wpojonych jej przez wychowawców, i rzuciła się na szyję nieznanemu, którego spotkała przypadkiem. Początkowo Peter myślał, żeby obsadzić Boba w roli włoskiego awanturnika, będącego postrachem *jet-setu*. Obawiał się jednak, że jego protegowany nie umiałby się wcielić bez odpowiedniego przygotowania w rolę wyrafinowanego młodego człowieka, dandysa o swobodnych manierach, łączącego elegancję, dowcip i pyszałkowatość. Po pewnym czasie Bob będzie mógł wejść w skórę Pięknego Brummela lub arbitra elegancji Petroniusza, zrobi to przy tym całkiem naturalnie. Aby to jednak osiągnąć, należało go ukształtować, wyrzeźbić jak Hermesa lub Antinousa, wykuć w bryle marmuru. Przed wejściem na plan odciągnął go na bok i dokładnie mu wytłumaczył, jak ma się poruszać, jakim tonem mówić, jak panować nad mimiką. Podobnych wskazówek nie szczędził zresztą najwybitniejszym aktorom. Na koniec dodał mu otuchy mówiąc:

– Nie martw się! Doskonale sobie poradzisz!

Wyzaczył miejsca dwojgu aktorom, dał ostatnie wskazówki kamerzystom i elektrykom, siadł na swoim krzeselku i dał znak, by zaczęto zdjęcia.

Rozległ się swojski klaps. Peter nie bez wzruszenia śledził grę aktorów. Czy partnerka Boba, Averie Auberon, wspaniała dziewczyna, podobna nieco do Brooks Shild w latach jej młodości, będzie umiała tak postępować z Bobem,

aby poczuł się swobodnie, odzyskał spokój i powściągnął treść? Nerwowość jego była zrozumiała. Po raz pierwszy kochał się – co prawda na scenie – z tak piękną dziewczyną. W Nowym Jorku dziewczęta, które mu się podobały i które go również pragnęły, oddawały się po długich, romantycznych flirtach, on zaś nie pozwalał sobie na taką stratę czasu.

Akcja na planie rozwijała się gładko. Dialog, zbliżenia, uległość młodej i bogatej dziewczyny nie budziły żadnych zastrzeżeń. Dopiero pocałunki Boba ze stulonymi wargami zepsuły efekt, mimo iż dziewczyna przyzwalająco rozchyłała usta.

Przerwano scenę.

Technicy zaczęli szeptać między sobą:

- Ten Flynn to pedek!
- Zmarnować taką sposobność pocałowania seksownej dziewczyny!
- Znałem prostytutkę, która nie pozwalała się całować klientom.

Reżyser okazał niezwykłą wyrozumiałość. Poprosił kamerzystę o rozmazanie obrazu, co nadało mu więcej zmysłowości. Powołał się na technikę Hamiltona, mistrza w tym zakresie. Rezultat był zadowalający. Peter przeszedł do następnej sceny.

Współpracownicy wymienili zdziwione spojrzenia. Przychylność O'Neilla dla tego młodzieniaszka zdumiewała wszystkich.

Bob czuł dokoła siebie prąd zróżnicowanej wrogości. Zazdrość nowego rodzaju, odmienną od tej, jaką wzbudzał wśród swych żalonych rywali nowojorskich. Samcy, technicy, urzędnicy, aktorzy niechętnie znosili jego obecność, drażniło ich jego powodzenie u kobiet, jego magnetyczna siła. Aktorki, kosmetyczki, garderobiane, a nawet niektórzy mężczyźni o szczególnych obyczajach patrzyli nań jak na ósmy cud świata. Obsadzając go

w roli uwodziciela Peter stworzył wokół niego legendę podobną do tej, jaką osnuto wokół Gerego po jego sławnym „American gigolo”

Aktor musi mieć żelazną wolę, a do tego dużą dozę uporu, aby porzucić ten rodzaj osobowości, który przyniósł mu wielki sukces u początków jego kariery. Gere na zawsze pozostał typem gigolaka, natomiast Niro identyfikował się na planie z najróżniejszymi postaciami.

Bob wolałby pójść drogą Niro, wyrzec się swego czaru, który przypominał mu przeszłość. Ale uroda, młodość, wrażliwość i ogromna zmysłowość skazywały go na role amantów. Stał się antypatyczną figurą dla wszystkich młodych aktorów, gdyż mimo woli stawał się ich rywalem zdolnym ich przewyższać i odebrać najlepsze role.

Wbrew opiniom swoich przeciwników, którzy go nienawidzili zarówno za jego powierzchowność uwodziciela, któremu nikt oprzeć się nie może, jak i za poparcie udzielane mu przez O'Neilla, Bob odnosił się przyjaźnie do wszystkich, a jego życie osobiste było nadal bez zarzutu. Nie zachęcał kobiet zbyt przedsiębiorczych do okazywania mu względów i był głuchy na przymówki mężczyzn o dwuznacznych obyczajach. O dziwo, jego powściągliwość prowokowała złośliwe komentarze. Przebywał od kilku tygodni w Hollywoodzie i nie wiadano o żadnym jego uczuciowym związku. Ci, co nie ośmielali się otwarcie uważać go za homoseksualistę, przypisywali mu skłonności narcystyczne. Ciekawscy, zaintrygowani jego dyskrecją, zastanawiali się, skąd tutaj przybył. Przecież nie spadł z księżyca. Peter O'Neill milczał, a Bob unikał reporterów.

W rzeczywistości uciekał od swoich poprzednich doświadczeń. Chciał zapomnieć o zaczepianiu na ulicy, o nocnych eskapadach w poszukiwaniu partnera czy płacącej mu partnerki. Miał wstręt do miłości. Wiedział, że nie

mógłby jednym pociągnięciem pióra wymazać swego dotychczasowego życia, i że pewnego dnia pisma zajmujące się skandalami opiszą pod wielkimi nagłówkami, w jaki sposób niegdyś zarabiał na utrzymanie. Czekał na ten dzień... Będzie szukał wówczas sposobów obrony... Będzie walczył bez fałszywego wstydu... Zmierzy się – jeśli zajdzie potrzeba – ze sprzysiężonym przeciw niemu światem... Nie miał nic do stracenia... Nic... Nic...

Śledztwo w sprawie wypadku, w którym stracił życie gigolo Anny trwało nadal. Skinner, kierowca O'Neillów, który mieszkał nad garażem, został zatrzymany przez dwa dni, ponieważ siedem samochodów państwa O'Neillów pozostawało pod jego opieką. Nikt nie mógł dostać się do ogrodu ani do willi nie będąc zauważonym przez portiera, stróża nocnego, kierowcę i służbę domową. Porucznik policji Hateher nie wykluczał wersji, że płatny morderca mający jakichś wspólników dostał się jednak do ogrodu i pod pergolami, na których pięły się róże, wśród krzewów o egzotycznych kwiatach, przez labirynt głogów wśliznął się niepostrzeżenie do garażu. Z pewnością była to robota zawodowca, gdyż prowadzący śledztwo stwierdzili, że przyczyną wypadku było uszkodzenie hamulców. Ponieważ popełniono zbrodnię, Departament Morderstw w urzędzie Generalnego Prokuratora interweniował, żeby rozwikłać sprawę. Skinner został zwolniony z braku dowodów. Wersja oficjalna podawała, że zamach skierowany był przeciw O'Neillowi, który na szczęście znajdował się wówczas w Nowym Jorku. Hipotezę tę potwierdzał fakt, że to on najczęściej używał ferrari. Mimo wysiłków policji nie udało się znaleźć winnego.

Peter stale odmawiał komentarzy w tej sprawie, która plamiła reputację jego żony i potwierdzała plotki o nieporozumieniach między nimi. Prasa była

mniej dyskretna i z radością zamieszczała mnóstwo uszczypliwych artykułów, chętnie czytanych przez publiczność spragnioną mocnych wrażeń.

Bob dysponował teraz dostateczną kwotą pieniędzy, aby wynająć małe mieszkanie w pięknej dzielnicy, kupić sobie samochód i wieść spokojne życie. Oczywiście lubił swój pokój w pawilonie i szerokie okno z widokiem na Los Angeles, na morze świateł w nocy i morze smogu w dzień; lubił luksusową łazienkę, obszerny i wspaniały living room, marmurowy basen, zestaw video-sono będący szczytem techniki, wonne rośliny, doskonałe usługi Kima, jak również przywilej korzystania ze wszystkich aut, jakie znajdowały się w garażu.

Wydawał pieniądze jedynie na posiłki w barach i restauracjach, do których wstępował, ilekroć chciał zmienić otoczenie, gdyż w pawilonie podawano mu najwyborniejsze dania i najdroższe trunki. Jedyne zbytki, na jakie sobie pozwolił, to kupienie złotego rolexa.

Peter odwiedzał go często i dopytywał się, czy mu czego nie brakuje. Nigdy nie napomynał o jakimkolwiek rewanżu ze strony Boba. Zawsze mu okazywał wzruszającą troskliwość.

Pewnego dnia Bob wyznał mu swoje skrupuły. Pragnął wynieść się z pawilonu, nie chcąc dłużej korzystać z hojności gospodarza.

Na kanciastej twarzy O'Neilla błąkał się zwykły, ironiczny uśmiezek.

– Co za pomysł! Wcale mi nie przeszkadzasz. Przeciwnie. Jestem rad, że mam kogoś w pawilonie, który stałby pusty, gdybyś ty w nim nie mieszkał. Nie mam czasu na goszczenie przyjaciół, na zapewnianie im przyjemnej atmosfery ani na dostarczanie im rozrywek... Moja żona ma swoje zajęcia, dzieci, które są w twoim wieku, żyją pod moim dachem jak obcy ludzie. Nie umieliśmy ich należycie wychować. Praca tak mnie absorbowała, że nie miałem chwili

wytchnienia ani czasu dla dzieci. Zapewniam im komfort, nie skąpię im pieniędzy i zostawiam całkowitą swobodę. Myślisz, że okazują mi choć trochę przywiązania? Patrzą na mnie jak na zawalidrogę i uważają, że wszystko im się należy. Nie widuję ich całymi tygodniami... Mieszkaj tu nadal i nie martw się, że sprawiasz mi kłopotu. Chciałbym cię częściej odwiedzać, pogadać z tobą, ale czas mi na to nie pozwala. Musi mi wystarczyć świadomość, że tu jesteś, że spotkam cię na planie. Śledzę twoje postępy i jestem szczęśliwy, że się dobrze czujesz i jesteś w pobliżu mnie.

W kilka dni później Bob po powrocie ze studia siedział w fotelu słuchając melodii z filmu „Love story”, przy której się odprężał. Był zmęczony, gdyż rola w nowym filmie wymagała od niego dużego wysiłku. O'Neill kręcił film w trzy, cztery miesiące, podczas gdy inni reżyserzy potrzebowaliby na to co najmniej pół roku. Bob musiał pokazać całą złożoność kreowanej przez siebie postaci, tym razem ubogiego arystokraty, który dla poratowania swego rodu szuka bogatego ożenku. Bob, wychowany na zaśmieconej ulicy, miał się utożsamić z człowiekiem błękitnej krwi, który mimo ubóstwa zachował dumę i poczucie honoru. Przychodziło mu to łatwiej, zdobył bowiem duże doświadczenie.

Drzwi living roomu nagle się otworzyły i na progu stanęła bardzo piękna dziewczyna; czuło się w niej jednak arogancję, wolę pokonania wszelkich przeszkód, chęć dominowania za wszelką cenę. Zmysłowa, świadoma doskonałości swego ciała, znajdowała przyjemność w dręczeniu zakochanych w niej mężczyzn, traktując ich z jawną pogardą.

Zlustrowała Boba zaciekawionym wzrokiem i nie podając mu ręki opadła na sąsiedni fotel. Wstał na jej powitanie, ale zaszokowany jej niewłaściwym zachowaniem usiadł na swoim miejscu. Twarz jego przybrała twardy wyraz.

Odwiedzająca go dziewczyna przypomniła mu kobiety z Nowego Jorku, które mierzyły go spojrzeniem, zanim zaproponowały mu cenę kupna.

– Jestem Shirley – powiedziała bez wstępu. – Córka O'Neilla. Byłam ciekawa, kto mieszka w pawilonie dla gości.

– I znalazła pani jakiegoś młodego człowieka, który ledwo stawia pierwsze kroki w karierze filmowej.

Parsknęła śmiechem. Był to śmiech niewesoły, pogardliwy, podobny do wyrazu jej oczu. Skórzany kostiumik i umiejętnie rozczochrane, na różowo ufarbowane włosy nie zdołały jej zeszpecić.

– Jesteś aktorem?

– Dzięki wspaniałomyślności pani ojca – odparł, nie przechodząc z nią na ty.

Wzruszyła ramionami.

– Wspaniałomyślność? Ależ jesteś naiwny, przyjacielu!

Był przekonany, że Shirley starała się go poniżyć, upokorzyć.

– Mój ojciec jest górą egoizmu. W najdrobniejszych nawet uczynkach kieruje się wyłącznie własnym interesem... Wspaniałomyślność! Poświęca wszystko swej próżności, egocentryzmowi. Ma talent. To jego jedyna zaleta. Chce narzucić swoje prawo wszystkim, którzy go otaczają. Ale mój brat i ja poznaliśmy się na tym i stawiamy mu się, żeby go rozgniewać... Żyję z nędznym gangsterem, równie przystojnym jak ty, ale tylko po to, żeby dokuczyć memu ojcu. Wiem, że mój kochanek jest nicponiem. Ale nigdy nie prosi mnie o forszę. Rix – nazywa się Rix – uwielbia bójki, kłótnie, rozróby – handluje kokainą, żeby sobie napchać kieszenie i przepuszczać potem pieniądze, gdzie się tylko da. Jest sprytny, ale niezbyt inteligentny. Umrze podziurawiony kulami w jakimś pustym zakątku. Wie o tym i gwizdże na to.

Póki żyję – powiada – będę żył jak król. Po mnie może być koniec świata. Ta pogarda dla jutra przejmuję mnie dreszczem, podnieca... Ciekawa jestem, Bob, dlaczego ojciec zwrócił na ciebie uwagę. Do czego zmierza? Sypia z tobą?

– Nie!

– Kiedyś my się ze sobą prześpiemy. Masz w sobie coś pociągającego. ..
Matka nie robiła do ciebie słodkich oczu?

– Nie! Widziałem ją zaledwie raz czy dwa.

– Uważaj! Jeszcze nie jest za późno... Nie chciałabym sypiać z gigolo
mojej matki.

– Nie jestem i nie będę niczym gigolo! – rzucił ostro Bob.

– Wiem. Jesteś aktorem, dużo zarabiasz, jesteś niezależny... Ale dawniej?
Prowokacyjnie przeszedł z nią na ty.

– Nie zajmuj się moim dawnym, obecnym ani przyszłym życiem!

Shirley uśmiechnęła się.

– Dobry jesteś! Którejś nocy złożę ci wizytę.

Wstała i jak przy powitaniu tak i teraz nie podała mu ręki, zapomniała też
życzyć mu dobrej nocy.

Bob nie wiedział, co o tym myśleć. Czyżby znalazł się w domu
wariatów?

Ani słówkiem nie wspomniał O'Neillowi o odwiedzinach jego córki.

Bob kupił sobie okazji kabriolet triumpf spitfire, który urzekł go swą
sportową linią. Zawsze marzył o tym, żeby pruć przestrzeń siedząc za
kierownicą jednego z tych bolidów, które rozpalają namiętności młodzieży i
wielu dorosłych. Zapłacił dość okrągłą sumę, aczkolwiek wóz miał już
czterdzieści tysięcy mil przebiegu, a cyfra ta zapewne była poprawiona, gdyż
defekty silnika często się powtarzały. Poprzedni właściciel z pewnością nie

oszczędzał swego wozu. Sprzedawca zobowiązał się do półrocznej gwarancji. Bob spędzał niemal cały czas w warsztacie, a mechanicy łamali sobie głowę, jak z tej ruiny na kółkach zrobić wóz szybki i gotowy do lotu jak strzała.

Podczas remontów Bob korzystał z samochodów O'Neilla.

Któregoś wieczoru Peter zobaczył, że Bob wraca do domu taksówką.

– Twój gruchot jest jeszcze w naprawie? – zapytał ironicznie. – To śmieszne, żebyś huśtał się w śmierdzących taksówkach, kiedy garaż jest pełen wozów.

Wyjął pęk kluczyków.

– Weź je! Do białego lotusa.

– Nie chciałbym nadużywać...

– Znowu? – zgromił go Peter. – Nadużywaj! Koniec i kropka!

Udawana srogość podkreślała jeszcze jego przychylność.

Bob skłonił głowę. Czy można było oprzeć się O'Neillowi?

Bob wyjeżdżał prawie co wieczór. Błądził samochodem po ulicach Los Angeles i z przyjemnością oglądał nowy dla niego świat. Nie miał ulubionej dzielnicy. Jednakowo pociągały go Santa Monica, Venice, Westwood, Marvista, Century City, West Los Angeles, Culver City, Alhambra, Monterey City, Monte Bello, a także wzgórza Ladera i Hollywoodu albo góry Santa Monica. Szukał nieznanymi, malowniczymi zakątków. Każda przejażdżka kończyła się na brzegu oceanu. Siadał na plaży i długo wpatrywał się w nadpływające fale i wsłuchiwał z zachwytem w ich śpiew. Przed powrotem do domu wstępował do baru. Początkowo nie wybierał lokalu, później upodobał sobie „U Angiesa” na bulwarze Wilshire.

Lubił przyglądać się barmanom, zwłaszcza pewnemu chłopakowi w tym samym wieku co on, którzy przygotowywali koktajle, poruszając się zręcznie i

elegancko jak prestidigitatorzy. Próbował różnych mieszanin, których fantazyjne nazwy go zachwyciły.

Bob stał się już znaną postacią. Ludzie obracali za nim głowy, dziewczęta prosiły o autograf. Ścigali go reporterzy zaintrygowani otaczającą go aurą tajemnicy. Kroniki skandaliczne dopytywały się o jego dziwną pozycję w domu O'Neillów. Otrzymywał wiele listów, lecz nie chciał odpowiadać swoim fanom, mimo nalegań swego agenta. Widząc, że nic nie wskóra, agent ów zaangażował sekretarkę, która wielbicielom Boba posyłała jego fotosy z autografem, a entuzjastom, uważającym go za następcę Jamesa Deana dziękowała w kilku zdaniach za uznanie. Szukający sensacji reporterzy robili przejrzyste aluzje do rzekomych związków uczuciowych łączących go z Isabelle Holm, co doprowadzało do wściekłości jej zazdrosnego męża.

Bob lubił samotność. Unikał towarzystwa aktorów, którzy odpłacali mu tą samą monetą. Wolał zamienić kilka słów z barmanami; mile połączani sympatią, jaką im okazywał, prześcigali się w powtarzaniu mu najnowszych pikantnych plotek i opowiadaniu pieprznych kawałów, które krążyły potajemnie.

Wracał późno do siebie, chcąc uniknąć koszmarów, jakie nawiedzały go co noc. Kontrast między rozkosznym życiem na jawie i ponurymi widziadłami we śnie był nie do zniesienia.

Pewnego razu zasiedziawszy się do późna w barze wrócił aleją, która serpentynami wspięła się przez ogród O'Neilla i prowadziła do garażu. Stał tam Robby, ubrany w czarną skórę i gotów do rozróby. Stał na rozstawionych nogach, z pięściami na biodrach, z zaciętą twarzą i piorunującym wzrokiem. Wyglądał jak typowy *Hell's Angel*, który szuka zwady.

Bob zatrzymał się przed nim i wyskoczył na zwirowaną ścieżkę.

Robby zapytał z pretensją:

– Dlaczego wziął pan lotusa? To nowy wóz i korzystam z niego, kiedy mi przyjdzie fantazja zamienić motor na samochód.

Głos łamał mu się z wściekłości. Drugi chłopak wyskoczył z cienia. Bob zrozumiał, że Robby szukał pretekstu do bitki, przekonany, że z pomocą przyjaciela będzie miał przewagę nad przeciwnikiem.

– Pański ojciec osobiście powierzył mi kluczyki od lotusa.

W przeciwieństwie do Shirley, jej brat zwracał się do Boba per pan. Ale jego groźna postawa dawała wiele do zrozumienia.

– Od tej pory zabraniam panu wsiadania do tego auta.

– Jedynie pan O'Neill mógłby mi tego zabronić.

Pięść Robby'ego spadła na brodę Boba, który odgadłszy jego zamiar odparował cios i odpowiedział mu w taki sposób, że chłopak potoczył się na ziemię. Przyjaciel Robby'ego rzucił się na wspólnego wroga, Bob miał jednak wprawę w takich bitkach. Drugi przeciwnik po nieudanej próbie natarcia wylądował na masce lotusa, przesunął się po niej i upadł z drugiej strony.

Robby wstał, podczas gdy Bob zajął pozycję obronną. Ku jego zdumieniu chłopak obmacał szczękę i wybuchnął śmiechem.

– Jesteś twardszy, niż na to wyglądasz. Myślałem, że ci rozkwaszę nos. Nie przejmuj się! Załatwimy rzecz polubownie. Nowe ferrari dobrze nam się wysłuży, zwłaszcza że ojciec też lubi jeździć na złamanie karku.

Wyciągnął doń rękę. Uśmiech przydał mu nieco wdzięku.

– Chodźmy wypić po szklaneczce szkockiej dla uczczenia nawiązania kontaktu. Uwielbiam rozróby. A ty sobie dobrze radzisz.

Teraz mówił mu ty na znak przyjaźni.

– Może wejdiesz do naszej paczki. Będziesz się dobrze bawił. Dave, uściśnij dłoń Boba! Zakopuje się topór wojenny.

TTLR

IV

Otwierając przed Bobem drzwi studia, Peter O'Neill ukazał mu otwartą puszkę Pandory. Młody człowiek miał wrażenie, że z każdym dniem unosi go bardziej zawrotny wir, w którym nienawiść, łapczywość, zła wiara, zdrada, hipokryzja i egoizm rozprzestrzeniają się jak komórki rakowe. Pycha i wzbogacenie wypaczały poglądy sławnych osób, które wyobrażały sobie, że podbiły świat i wywarły swoje piętno na całej epoce. Prawdę mówiąc, widzowie kochali gwiazdy i tworzyli długie kolejki przed wejściem do kina, żeby te gwiazdy podziwiać, a wróciwszy do domu wyobrażali sobie niestworzone rzeczy – zwłaszcza w łóżku. Obejmując swoje ociężałe, niepokazne żony, imaginowali sobie, że kochają się z pięknymi aktorkami, które podziwiali na ekranie. Małżonki starały się zapomnieć, że dosiadali ich brzuchaci i starszawi mężowie, mniej lub bardziej nudni, ale na pewno uprzykrzeni na skutek długiego współżycia. Oglądając swych idoli na afiszach młodzi ludzie onanizowali się potajemnie, albo spółkowali ukradkiem, podnieceni przykładem swoich gwiazd. Następstwem tego bywały niekiedy niechciane dzieci lub choroby weneryczne, wymarzony raj zamieniał się w piekło.

Bob kręcił już czwarty film. W tym czasie notowania jego wznosiły się jak strzała, gaże również. Jego dawni kumple i klienci w Nowym Jorku rozpoznawali go ze zdumieniem i zrozumieli, dlaczego nagle zniknął. Zachwyceni albo zazdrośni poczynili zwierzenia dziennikarzom szukającym pikantnych nowinek. Była to gratka nie lada, czym prędzej więc powiadomili publiczność o bardzo bogatej przeszłości nowej gwiazdy, rozbłyśłej na firmamencie Hollywoodu. Przypomnieli o pornograficznych filmach, jakie nakręcił piętnastoletni Bob, o tym, że był tancerzem w barze mającym złą

sławę, że sprzedawał swe wdzięki. Te rewelacje wywołały burzę. Purytanie, coraz liczniejsi od niejakiego czasu, zaczęli się oburzać. „Trzeba umoralnić Hollywood” –wołali. – Należy skończyć z tolerowaniem nieodpowiedzialnych poczynań. Fanowie Boba rozpętali natomiast taką trąbę entuzjazmu, która uniosła całą młodzież i wszystkich amerykańskich liberałów. Czy Stallone nie zaczął swej błyskotliwej kariery również od filmów porno? Steve Mc Quenn, Kirk Douglas i tyle innych znakomitości filmowych również zaczynało od zera.

Popularność Boba wzrosła dwukrotnie. Nowe kopie dawnych jego filmów porno sprzedawano po zawrotnych cenach. Czyż Marilyn Monroe i Brooks Shields nie debiutowały pokazując swe nagie ciała? Można było rozkoszować się oglądaniem Boba Flynna w ubraniu albo nago. To go przybliżało do przeciętnych Amerykanów, stwarzało poczucie intymności. W domach amerykańskich przyjmowano go teraz jak członka rodziny. Z dnia na dzień umocnił swą pozycję jako nowy James Dean...

Pewnego wieczoru, dosyć późno, po obejrzeniu scen nakręconych w przeddzień, Peter wrócił do siebie rollsem, którego szybę przeszyły trzy strzały z pistoletu. Z powodu ciemności nie mógł rozpoznać napastnika ukrytego za gęstym krzakiem. Zamach miał miejsce na Crescent Drive przed parkiem otaczającym nie zamieszkaną, wystawioną na sprzedaż willę. Policja wszczęła śledztwo i znalazła koło krzaka ślady butów na wysokich obcasach – i nic więcej. Dzienniki wszczęły wielki hałas, lecz na próżno. Porucznik Hatcher mimo wszelkich starań nie znalazł niczego, co pomogłoby zidentyfikować złoczyńcę. Hipoteza płatnego mordercy nadal znajdowała obrońców, ale nie polegała na żadnych dowodach.

Dziennikarze zarzucili O'Neilla pytaniami, lecz nie wydawał się im zbyt przejęty faktem, iż stał się żywym celem.

– Ma pan wrogów, którzy pragną pańskiej śmierci?

– Nie mam przyjaciół. To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

Personel administracyjny w wytwórni, technicy i aktorzy byli dosyć poruszeni. Winszowano mu, że uszedł z życiem. Kilka głosów zabrzmiało fałszywie. Jego śmierć przyniosłaby miliony innym reżyserom, jego następcom zawodowym. Część ludzi zachowała kamienną twarz.

Bob poczuł się zawiedziony, kiedy Peter stwierdził, że nie ma przyjaciół. Niewidoczne więzy, które ich łączyły, wypływały z sympatii, ze szczerego uczucia, nie opartego ani na stosunkach rodzinnych ani na pociągu seksualnym. Dlaczego więc wyciągnął go z błota? Dlaczego stworzył mu błyskotliwą karierę? Bo przecież Bob był jego tworem.

Przypomniawszy sobie słowa Shirley: „Mój ojciec jest górą egoizmu”. Prawdziwy sens tych słów mu umykał. Stojąc przed szerokim oknem w living-roomie patrzył zamyślony na miasto, które podbił w tak krótkim czasie. Na dywanie obok niego zgromadziło się mnóstwo listów, wprawiających w zakłopotanie sekretarkę, która często nie mogła na wszystkie odpowiedzieć. Oprócz niewinnych próśb o fotografie z autografem otrzymywał teraz zaproszenia na miłosne schadzki, na orgie. Nie brakowało obelg i pogróżek. Żądano od niego pieniędzy, albo proponowano mu je za jedną noc miłości. Tancerze, jego dawni koledzy, a także nieznajomi, prosili, żeby pomógł im uzyskać engagement. Fanowie podnieceni jego przeszłością i wdziękiem okazywali mu sympatię na ulicy albo manifestowali przed domem. Dziewczeta zachwycone jego urodą witały owacyjnie jego publiczne występy. Dwaj

uzbrojeni goryle towarzyszyli mu niemal wszędzie, aby go bronić przed napaścią szaleńców lub złodziei.

Bób korzystał z każdej okazji, żeby im się wymknąć. Wiedzieli jednak, gdzie go odnaleźć w ciągu dnia. Ilekroć korzystał z kilku wolnych godzin, odwiedzał księgarnie i kupował stosy książek o literaturze, sztuce, muzyce, tańcu i historii, nie zapominając o powieściach kryminalnych. Czytał nie po to, by nadrobić braki w wykształceniu, gdyż przeszłość nie miała dlań żadnego znaczenia. Chciał przede wszystkim zająć czymś swój umysł. Szukał samotności, podczas przerw w pracy zamykał się w garderobie, powtarzał repliki albo czytał. Było to czymś więcej niż lekturą dla przyjemności. Zagłębiał się w niej jak pływacy zanurzają się w morzu, pragnąc czym prędzej stracić wszelki kontakt z atmosferą i pogrążyć się coraz głębiej, coraz głębiej...

* * *

Bez względu na rozliczne zajęcia Peter czuwał jak zwykle nad psychiczną ewolucją swego protegowanego. Przy czwartym filmie Bob po raz pierwszy osiągnął gażę w wysokości miliona dolarów, w czym niemałą zasługę miał Peter i do czego przyczynili się też ajenci, uszczęśliwieni, że znaleźli kure znoszącą złote jajka.

Reżyser oczekiwał, że Bob będzie jaśniał radością i dumą, jak wszyscy aktorzy, którzy osiągnęli taki poziom zarobków. Ku powszechnemu zdziwieniu Bob zachował się obojętnie. Czy to była poza? Czy przejaw zarozumiałości, wysokiego mniemania o sobie? Jedyne Peter sądził, że zna przyczynę takiego zachowania. Bob stopniowo odrywał się od wszystkiego, co go otaczało. Na planie prowadził inne życie. Wchodził w skórę kreowanej przez siebie postaci.

Reżyser nie usiłował wpłynąć na ten stan rzeczy, wiedząc, że to nie odniosłoby skutku.

Chcąc go wyrwać ze zubożenia zapraszał go od czasu do czasu na obiad do siebie razem z innymi gośćmi, albo w gronie rodzinnym. Grono rodzinne! W jego przypadku było to niewłaściwe określenie, w każdym razie pozbawione elementów uczuciowych. Traktował bowiem swą rodzinę jak mały teatrzyk marionetek, którymi poruszał za pomocą niewidzialnych sznurków. Stawiał je nieraz w skomplikowanych sytuacjach i odczuwał zadowolenie, ilekroć postępowały tak, jak przypuszczał... Rodzina O'Neillów! Nie było między nimi żadnych związków uczuciowych. Peter zastanawiał się często, jak mógł poślubić Annę. Było to bowiem początkowo małżeństwo z miłości. Ale nieomylny O'Neill tym razem się pomylił. To, co brał za rozpasaną namiętność Anny, rozbudzoną dzięki jego męskim walorom, okazało się nimfomanią, która z czasem tak się spotęgowała, że ich stosunki małżeńskie ustały zupełnie. O dziwo, nie odczuwał bynajmniej zazdrości, raczej narastającą pogardę. Teraz przyglądał się żonie, aby wykorzystać cechy jej charakteru – w różnych zresztą wariantach – dla ukształtowania swoich filmowych bohaterek.

Ilekroć zapraszał Boba na obiad w gronie rodzinnym, stawiał sobie określony cel. Analizowanie reakcji Anny w stosunku do tego chłopaka, który doprowadzał ją do szaleństwa, gdyż w przeciwieństwie do jej gigolaków, zawsze ulegających jej zachciankom, Bob okazywał się powściągliwy i pełen rezerwy.

Peter zastanawiał się również nad uczuciami Shirley, która nie opuszczała obiadów, jeżeli zapowiedziano wcześniej obecność Boba. Czy go kochała? Możliwe. Między matką a córką pojawiała się milcząca rywalizacja o

tego samego samca. Spoglądały czasem na siebie jak rozjuszone tygrysy. Ale błyski nienawiści szybko gasły.

„Shirley – myślał – będzie kobietą z głową, która dzięki wrodzonym zdolnościom i milionom odziedziczonym po ojcu mogła by zapewnić sobie pogodną i wygodną egzystencję. Pod warunkiem, że nie stanie się łupem jakiego gigolaka z nizin społecznych, który by ją oskubał z pieniędzy. Obecny jej kochanek był tylko handlarzem narkotyków”. Peter podejrzewał, że Shirley wybrała sobie tę żalostną kreaturę, żeby przeciwstawić się władzy ojca. Byłaby nader zdziwiona, gdyby się dowiedziała, że jej osoba i jej przyszłość były mu całkiem obojętne.

Nie obchodził go również Robby. Był to nieudacznik, którym Peter pogardzał, i zapewne narkoman, zmierzający bezwiednie ku zgubie. Dlaczego nie ukształtował się w tej samej formie co Bob? Zdolności, zalety Boba budziły jego zazdrość. Mimo braku wykształcenia i rozeznania w skomplikowanym mechanizmie życia ten chłopak miał charyzmę, która pociągała tłumy. Co więcej, dał dowód przywiązania i wdzięczności, których zresztą Peter nie cenił. Brak charakteru uważał za nieodzowny warunek zrobienia kariery.

Bob otrzymał propozycje od innych reżyserów i to najwyższej rangi, którzy chcieli go obsadzić w swoich filmach, aby wykorzystać jego popularność do potrojenia liczby widzów. Ale on pozostał lojalny wobec O'Neilla, który go wylansował.

Ajent Boba, zdziwiony takim postępowaniem, do którego nie był przyzwyczajony, zapytał Boba: „Czemu odmawia pan wyższej gaży? Przecież nie podpisał pan umowy o wyłączności, o ile mi wiadomo! Niech pan rozwinie

skrzydła! Może pan w krótkim czasie podwoić lub potroić dochody!" Ale Bob nie wyobrażał sobie, jak mógłby zdradzić O'Neilla.

Niekiedy zajęcia zawodowe tak zaprzętały O'Neilla, że zapominał o swojej małej gierce. Napotykał coraz większe przeszkody, zagrażające jego planom. Trzy ostatnie filmy – mimo dużych kosztów produkcji – przyniosły pięćset milionów dolarów, pokaźną sumę, która wpłynęła do kasy wytwórni i macierzystej multinarodówki. Wrogówomal żółć nie zalała. Mógłby nakręcić sześć filmów rocznie, gdyby negocjacje poprzedzające produkcję nie zajmowały tyle czasu. Ajenci wszechpotężnej Music Corporation of America, jak również mniejszych, lecz równie bezwzględnych instytucji, do których przyłączały się Screen Actors Guild oraz wiele innych związków zawodowych, narzucali wytwórni wymagania dotyczące wszystkich pracowników niezbędnych przy produkcji filmu – scenarzystów, reżyserów, aktorów, kamerzystów, elektryków, dekoratorów, krawców, fryzjerów i tak dalej. Wytwórnie wyklócały się zawzięcie o każdy punkt umowy, aby wreszcie dojść do porozumienia, które mogły przyjąć obie strony. Peter mógłby łatwo osiągnąć dochody takie jak Spielberg, Coppola czy Scorsese. Ale nie starczało mu czasu...

* * *

W tym stosunkowo spokojnym okresie zdarzył się wypadek, który poruszył kolporterów ulotek. Nowy samochód Robby'ego, srebrzyste ferrari, jadąc dwieście na godzinę roztrzaskał się o drzewo. Robby wyszedł cało, lecz jego towarzysz, Herb Bryner zmarł na miejscu ze zmiażdżoną głową. Policja, adwokaci, świadkowie, dziennikarze – wszyscy włączyli się do gry. W procesie, który pochłoniął fantastyczne sumy, Robby został skazany na trzy lata z zawieszeniem. Został uznany za nieumyślnego sprawcę zabójstwa. Tylko

małoletniość ochroniła go przed więzieniem. Natomiast George Bryner zażądał od O'Neilla wysokiego odszkodowania, które Peter zapłacił bez wahania. W wytwórni mówiono o korzyściach materialnych, jakie odniósł ojciec ofiary. Te pieniądze mogłyby poprawić jego sytuację finansową, jak mówiono. George spłacił część najpilniejszych długów, czego domagali się bankierzy mimo więzów przyjaźni łączących ich z poważnym dłużnikiem. „Biedny Herb umarł w samą porę, żeby uratować ojca od bankructwa” – powiadali złośliwi.

Na pogrzebie chłopca rozegrały się przykre sceny. Katherine, okrągłutka matka Herba, opłakiwała go tak głośno, że Chris na próżno starała się ją uspokoić. Wyniosła i zaborcza Gloria trzymała George'a przy sobie.

Katherine nie zamieniła ani słowa ze swym byłym mężem. Duma nie pozwoliła jej żądać od niego alimentów, aczkolwiek to on ją zrujnował. Pracowała w supermarkecie, żeby zarobić na utrzymanie. Sąd powierzył George'owi opiekę nad dziećmi, ponieważ on miał więcej środków na ich wychowanie i mógł im zapewnić wykształcenie w najlepszych szkołach.

Jedynym członkiem rodziny, który nie odczuwał żalu po śmierci chłopca, była Gloria, nienawidząca dzieci z pierwszego małżeństwa George'a. Wolałaby tylko, żeby to Chris, jej rywalka, stała się ofiarą wypadku.

Robby tak przejął się śmiercią Herba, że zwiększył dawki narkotyku. Odwiedzał Boba, ilekroć go zastawał w domu, i rozmawiał z nim w kółko o wypadku i o swym najlepszym przyjacielu. Pod wpływem obsesji opisywał chorobliwie jego głowę roztrzaskaną o drzewo, zamienioną w miazgę nie przypominającą rysów człowieka. Łzy spływały mu spod powiek, na koniec zanosił się płaczem.

Towarzystwo Boba działało nań uspokajająco. Stracił swoją arogancję. Znowu stał się wrażliwym dzieckiem – mimo swych lat siedemnastu – i szukał

pociechy u nowego przyjaciela. Kiedy się uspokajał, pływali razem w basenie, skakali, fikali kozły, opryskiwali się wodą, urządzali wyścigi, zaśmiewali się jak szaleni. Następnie wyciągali się w słońcu na leżakach lub po prostu na trawie, która przyjemnie łaskotała ich skórę.

Bob zauważył ślady ukłuc na ramieniu Robby'ego. Próbował sprowadzić rozmowę na temat narkotyków, ale Robby spochmurniał i pograżył się w zaciętym milczeniu.

Wkrótce potem sam podjął ten temat. Usprawiedliwiał potrzebę ćpania brakiem kontaktu z ojcem, przygniatającą atmosferą domową, obojętnością matki.

– Ojciec myśli tylko o swoich filmach, matka o swoich gigolakach.

– Ojciec wie, że się szprycujesz?

– Nie. Ja dla niego nie istnieję.

– Daj spokój czarnym myślom! Przyznajesz, że zajęty jest swoją pracą.

Wydaje miliony na utrzymanie tego domu, na zapewnienie wam wspaniałego życia, na kupno tych wszystkich ferrari i czterocylindrowych motorów.

– Wolałbym odrobinę uczucia. Taki jest ważny, wielki, taki zajęty, że nie zauważa mojej obecności. Byłbym uszczęśliwiony, gdyby kiedyś zapytał: „Chcesz statystować w moim następnym filmie?” Nigdy nie zainteresował się moimi postępami w szkole.

– Bo jest przekonany, że jesteś pilnym uczniem, chodzisz regularnie do szkoły i lubisz pracować jak on.

Robby patrzył na Boba swymi dziecinnymi, aksamitnymi oczami. Był delikatny, za delikatny jak na chłopca.

– W szkole uważają mnie za bohatera. To śmieszne, ale ten wypadek zwiększył moją popularność. Otarłem się o śmierć, spowodowałem śmierć przyjaciela. To jest coś. Jestem, jak to się mówi, prawdziwym mężczyzną.

Zaszlochał.

– Ojciec bardziej zajmuje się twoją karierą niż moją przyszłością.

Robby miał słuszość. Bob również szukał wyjaśnienia dla zagadkowego postępowania O'Neilla. Stary reżyser dokładał na planie wszystkich starań, korzystał z całej wiedzy, z całego doświadczenia, nawet z całego geniuszu, aby uczynić z Boba gwiazdę pierwszej wielkości. Skraczał etapy, jakby mu brakowało czasu. Pchał go do przodu. Prędko! Coraz pręcej! Często przyglądał się twarzy, ruchom, postawie swego protegowanego. Bob ze zdziwieniem poddawał się tym drobiazgowym oględzinom. Peter pytał, czy nie czuje się zmęczony jego wymaganiami. Sam wkładał w pracę tyle energii, że budziło to zdziwienie współpracowników. Niekiedy – było to nowe zjawisko – dostawał zadyszki. Wielkie zmęczenie zmieniało jego rysy, lecz mimo to nie zniknął z twarzy sarkastyczny uśmiech. Peter nadal był dla Boba tajemnicą.

* * *

Shirley przyszła pewnego ranka, kiedy Bob opalał się na leżaku, mając pod ręką mrożoną oranżadę. Wyjątkowo piękna pogoda pozwalała objąć wzrokiem całe miasto aż po brzeg oceanu. Bob dyszał ze zmęczenia, bo tego dnia dużo pływał, żeby utrzymać się w formie.

Shirley usiadła obok na leżaku. Miała na sobie zredukowane do minimum czarne bikini, odsłaniające piękne biodra i płaski brzuch. Paznokcie nóg były polakierowane na czerwono. Uroda jej stała się olśniewająca i jeszcze bardziej zmysłowa, lecz nie robiła na Bobie wrażenia.

Kim, który znajdował czas, aby mu usługiwać, nie zanedbując obowiązków w wielkim domu, przyniósł koktajl Prince of Ales, za którym Shirley przepadała. Podziękowanie Boba sprawiło mu przyjemność, uśmiech dziewczyny przyjął z mniejszym entuzjazmem. Znikał jak duch. Był zazdrosny o gości Boba. Wolałby mieć go tylko dla siebie, dbać o niego, spełniać jego wszystkie życzenia.

Shirley umoczyła wargi w koktajlu i oznajmiła bezbarwnym tonem:

– Rix nie żyje. Zabito go w jakiejś parszywej uliczce.

– Przykro mi, Shirley.

– Przykro?

– Przykro z twojego powodu. Ja go przecież osobiście nie znałem.

– Przewidziałam, że tak zginie. Nigdy go nie kochałam. Ani on mnie. Ale w łóżku był boski.

– Pośród wielu znajomych znajdziesz na pewno kogoś, kto go zastąpi z powodzeniem.

– Oni mnie nie obchodzą. Chcesz ze mną sypiać? Bob uśmiechnął się rozbawiony i zażenowany zarazem.

– Dlaczego mnie wybrałaś?

– Sama nie wiem. Przyjdę dziś w nocy do ciebie.

– Spędzę wieczór w mieście. Mam się spotkać z dziennikarzami.

– Z paroma wielbicielekami również. Wpadnę dopiero po północy.

Nie czekając na odpowiedź wstała i odeszła, nie dokończywszy koktajlu.

Kim zjawił się jak spod ziemi. Zabrał jej szklankę ledwo powściągając złość.

– Kobiety są natrętne, proszę pana.

Bob wrócił dobrze po północy. Miał nadzieję, że Shirley już zrezygnowała z odwiedzin, tym bardziej że, jak mówił Kim, wpadła tu już wcześniej.

– Kąpiel gotowa, proszę pana.

– Dzięki.

Lokaj odszedł jakby trochę zaniepokojony. Bob wyciągnął z kieszeni pudełko i wsunął je do nocnej szafki. Rozebrał się i wszedł pod natrysk. Człowiek jest zwierzęciem pochodzącym z wody, myślał. Uwielbiał wodę perlącą się na jego ciele, które odbijało się w lustrach.

Kiedy wrócił do sypialni, wycierając miękkim ręcznikiem falujące włosy, stanął jak wryty. Shirley również naga leżała na łóżku. Śmiała się rozbawiona, uważając, że udał się jej kawał.

– Teraz nie masz wyjścia!

Zachowywała się jak klientki, które narzucały mu swoją obecność. Odrzucił ręcznik i podszedł do łóżka. Dziewczyna oglądała z zachwytem jego nagie ciało.

Otworzył szufladę, bez skrępowania wyjął z pudełka prezerwatywę i starannie ją naciągnął. Shirley przyglądała się temu, bynajmniej nie urażona tym dowodem nieufności.

– Masz rację. Nie byłam jedyną kochanką Rixa. Co rusz je zmieniał. Mnie zatrzymał najdłużej, bo schlebiało to jego próżności, że pieprzy córkę wielkiego O'Neilla.

Położył się przy niej. Pieściła z rozkoszą jego pierś, brzuch, jądra. Brak aktywności z jego strony nie zniechęcał jej, okazywała mu swe żarliwe pragnienie, chciała go zdobyć. Była tak podniecona, że szybko osiągnęła

orgazm, ale spostrzegła z żalem, że Bob nie pragnął tego stosunku. Wstała z westchnieniem i wciągnęła na siebie różową, przezrystą sukienkę.

– Czy mam ci podziękować? – zapytała chłodno.

– Ależ nie! Ja też miałem swoją przyjemność.

Uśmiechnęła się z przymusem.

– Więc mogę jeszcze przyjść?

– Dlaczego nie? Tylko nie zapomnij zapowiedzieć swej wizyty.

Dziewczyna pokryła śmiechem swe rozczarowanie.

– Szkoda!

– Czego szkoda?

– Że nie pragniesz mnie tak jak ja ciebie. Traktujesz mnie jak pierwszą lepszą. Czy przeszkadza ci myśl o Rixie? Może twoja obojętność mnie tak podnieca. Nigdy nie traktowano mnie obojętnie...

– Czy ja również mam się chwalić, że zerznąłem córkę wielkiego O'Neilla?

– Cham! Parsknął śmiechem.

– Nie jesteś mi obojętna! Tylko że ja się tym nigdy nie przejmuję.

Wystarczy ci takie wyjaśnienie?

Obróciła się na pięcie i wyszła.

* * *

Darrel Brighton zatrzymał taksówkę przed bramą O'Neilla. Gdyby go nie zastał w domu, byłby w nie lada kłopotcie, gdyż nie miał pieniędzy na powrót do śródmieścia. Musiałby zjechać do podnóża Beverly Hills i tam wysiąść z taksówki. Dalej trzeba by iść pieszo. Kiedy zatelefonował do studia, trafił na asystenta reżysera, Godwina, którego znał od dawna. Powiedział mu on w zaufaniu, że Peter pracuje w domu i przerabia scenariusz pod kątem francuskiej

aktorki, wielkiej gwiazdy, którą chciał zaangażować. Prosił, żeby Brighton nie wspomniał, skąd ma tę informację.

Darrel długo oglądał dom, do którego wejście widniało na końcu alei obrzeżonej krzakami róż i hibiskusów, wysadzonej palmami. Nie po raz pierwszy odwiedzał to domostwo. W epoce swojej sławy bywał tu częstym gościem na przyjęciach. Zaśmiał się gorzko. Teraz już wszyscy o nim zapomnieli.

Przybywał tu jako petent. To okropne! Trzeba było jednak wypić do dna ten kielich goryczy. Zadzwonił. Ubrojony, brodaty portier – niegdyś mistrz wolnoamerykanki – wyszedł z budki i zmierzył go podejrzliwym wzrokiem. Darrel wymienił swe nazwisko i wyjaśnił, że chce pomówić z panem domu. Cerber zaanonsował przybysza telefonicznie i długo czekał na odpowiedź, a tymczasem serce Darrela biło jak młotem. Uśmiechnął się i westchnął z ulgą, kiedy olbrzym otworzył żelazną bramę i pozwolił mu wejść.

Zwolnił taksówkę, ryzykując, że będzie musiał wracać pieszo. Miał jednak nadzieję, iż Peter odda mu do dyspozycji jeden z kilku samochodów.

Kamerdyner zaprowadził go do gabinetu O'Neilla, który gestem wskazał mu fotel.

– Kończę właśnie dialog. Potem będę dla ciebie.

Darrel rozsiadł się wygodnie i czekał. Koniec jednak wyraźnie się wydłużał. Peter, uniesiony natchnieniem zapomniał poczęstować gościa jakimś drinkiem. Darrel przyglądał się reżyserowi, który pisał gorączkowo. Bardzo schudł. Skóra twarzy przypominała pergamin, włosy zaczęły się przerzedzać. Starzał się, lecz szczęście go nie opuszczało. Starożytni wzywali na pomoc dobre genjusze. Peter był wspomagany i przez nie i przez muzy. Można mu było pozazdrościć.

Spojrzał na meble, obrazy, dywany. Za oknem zaczynało ciemnieć.

Nareszcie Peter podniósł głowę, uśmiechnął się i zamknął skrypt scenariusza.

– Wybacz mi, ale jak widzisz, mam zaledwie kilka chwil wolnych. Whisky?

– Dzięki.

Peter zadzwonił i Kim podał „scotch on the rocks” dla gościa i sok owocowy dla swego pana.

– A więc przyszedłeś mnie odwiedzić! – stwierdził Peter. – To miło z twojej strony.

– Przyszedłem...

Zadzwonił telefon. Peter rozmawiał dobre pół godziny nim odłożył słuchawkę.

– Moi współpracownicy nie ruszą nawet palcem bez mojej zgody.

Durnie!

Darrel podjął znowu:

– Mimo że jesteś tak zajęty, ośmieliłem się ci przeszkodzić... Dzwonek telefonu znów mu przerwał. Po minucie, która trwała

mniej niż kwadrans, Peter przypomniał sobie, że miał zamówić jakieś połączenie, które otrzymał nie bez trudności. Jeszcze dwadzieścia minut konwersacji. Darrel starał się zachować zimną krew.

Peter zerknął na zegarek, gwizdnął zdziwiony i zwrócił się do gościa:

– Powiedz, co cię tu sprowadza! Muszę pójść przebrać się do obiadu...

Wstał i wychylił swą szklanekę. Darrel wstał także.

– Potrzebny mi engagement, Peter.

– Nie martw się, Darrel. Osiemdziesiąt procent aktorów w Hollywoodzie szuka engagement. Co robi twój agent? Potrząśnij nim trochę.

– Mam złą passę, Peter. Rozwiodłem się z żoną i zażądałem od niej środków na utrzymanie. Tak nisko upadłem. A przecież w przeszłości miałem kilka pięknych ról w telewizji i w filmach długometrażowych.

– Coś zrobił z tą całą forszą?

– Żyję ze wspaniałą kobietą, która zachorowała. Moja dawna żona niedawno poszła do kliniki. Zdaje się, że ma raka. Jeśli umrze, pożegnam się z alimentami.

Peter zdradzał oznaki zniecierpliwienia. Darrel nastawał:

– Rola w twoim następnym filmie pozwoliłaby mi wyjść z tarapatów... Przynajmniej na jakiś czas.

Reżyser wzruszył ramionami.

– Mam pełną obsadę. Moja wytwórnia zawarła umowę z MCA. Mógłbym cię poratować. Kilkaset dolarów...

Darrel nie mógł się dłużej opanować.

– Nie rozumiesz, że jestem w rozpaczycy? Że tylko kontrakt mógłby mnie uratować? Często z tobą pracowałem. Nigdy nie dałem ci powodu do niezadowolenia.

Peter zawahał się, po czym odpowiedział z pewnym zażenowaniem:

– Nawet gdybym cię zaproponował, wytwórnia by cię odrzuciła. Twoje nazwisko nic już nie mówi publiczności. Wiesz o tym tak samo jak ja. Miliony widzów w Stanach są bardziej kapryśne niż rozpieszczone dzieci. Dziś domagają się ciebie krzykiem, jutro odrzucają, albo, co gorsza, zapominają... W tej chwili nic nie mogę zrobić dla ciebie...

Darrel miał wrażenie, że sufit spadł mu na głowę. Wracać do domu z pustymi rękami? Na myśl o tym czuł się chory.

– Błagam cię, Peter! Pomóż mi! Od kilku miesięcy nie płacę za mieszkanie, sprzedałem samochód, meble, kosztowności. Zastawiłem ubrania...

Zaterkotał telefon. Peter umyślnie tego nie zauważył.

– Mogę ci dać niewielką zaliczkę bezzwrotną... Niewielką, bo mam duże wydatki...

Darrel wpadł w rozpacz. Nie mógł już liczyć na O'Neilla. Wprawdzie znał panującą o nim opinię, lecz nie wyobrażał sobie, że okaże się tak nieczuły, tak podły.

– Porzuć tę chorą kochankę – doradził mu Peter. – Przynosi ci pecha.

Darrel uznał, że wystarczająco się upokorzył.

– Wybacz, że ci przeszkodziłem.

– Zawsze będziesz u mnie mile widziany. Wypełnić ci czek?

– Dzięki, jakoś sobie poradzę. Dobranoc, Peter.

– Dobranoc. Wierz mi, podzielałam twoje zmartwienia.

– Jestem tego pewny. Do widzenia.

Wyszedł kipiąc gniewem i dopiero na dworze uświadomił sobie, że nie ma przecież samochodu i trudno mu będzie wrócić do śródmieścia. Autobusy bardzo rzadko kursowały w eleganckich dzielnicach, gdzie każda rodzina miała kolekcję aut. Przemierzył ogród i wyszedł żegnany pogardliwym ukłonem uzbrojonego olbrzyma. W Los Angeles ludzie chodzący pieszo albo są spłukani, albo znaleźli się w zupełnej nędzy.

Nieznośny upał przykrywał Los Angeles warstwą płynnego ołowiu. Gęsty smog – dusząca mgła – ciążyła w powietrzu. Niespokojna, gorąca atmosfera nocy była naładowana elektrycznością.

Każdego wieczoru Bob rzucał się do basenu szukając w nim ochłody. Wychodził z letniej kąpieli osłabiony, przybity. Sypiał nago, przy oknie otwartym na miasto spowite wielobarwną chmurą. Był to widok niesamowity i przytłaczający. Zmęczenie stawało się nie do zniesienia. Praca w studiu pogarszała jeszcze złe samopoczucie Boba.

Siedząc na leżaku przy basenie wypił dwie szklanki coca coli podanej mu przez Kima, który mimo upału nosił biały *dinner jacket* i czarną muszkę. Świeży i wypoczęty chętnie usługiwał swemu ulubieńcowi.

Trochę po jedenastej Peter przyszedł odwiedzić Boba. Spostrzegł zmęczenie malujące się na jego twarzy i poradził mu, żeby się oszczędzał.

– Bardzo liczę na ciebie w tym filmie. Mamy wspólny cel: sukces. I musimy go zdobyć.

Wypił szklankę oranżady i odszedł. Bob miał na sobie tylko jedwabny, przylegający do ciała szlafrok. Przed północą udał się do sypialni, cisnął szlafrok na dywan i rzucił się na łóżko. Nie nakrywał się niczym, bo prześcieradło ciążyło mu jak ołów. Z trudem zasnął.

Paroksyzm rozkoszy zbudził go z erotycznego snu. Anna, również naga, leżała przy nim. Doświadczyła najwięcej satysfakcji pieszcząc wargami członek Boba. Daremnie bronił się przed jej napaścią, przed pogwałceniem jego intymności. Anna uosabiała jego przeszłość, budziła w nim wstręt. Nie bacząc na nic przygniotła go swym ciałem i użyła całego doświadczenia

rozpustnicy, aby podniecić jego zmysły. Ostatkiem sił bronił się przed jej pożądliwością:

– Nie! Nie! Proszę odejść – szeptał nie mogąc uwolnić się z jej objęć.

Rozpasana lubieżność zdwoiła jej siły. Zgniotła ustami wargi Boba i posiadała go wbrew jego woli.

* * *

Przez otwarte okno Peter spostrzegł sylwetkę żony, która bezszelestnie sunęła ku pawilonowi dla gości. Czarne woale jej domowej sukni falowały jak skrzydła nietoperza.

Peter nie mógł zasnąć z powodu upału. Miał na sobie tylko spodnie od pizamy, pot perlił się na jego nagiej piersi. Czuł wstręt do bogatych nimfomanek, które kupują sobie gigolaków i trzymają ich przy sobie albo jako kochanków, albo przyznają im status mężów, ale bez wspólnoty małżeńskiej, aby móc się ich pozbyć bez komplikacji finansowych, jeśli namiętność wygaśnie.

Na pociągłej twarzy o mefistofelicznych rysach znowu pojawił się drwiący uśmiech. Wyobrażał sobie scenę, jaka rozgrywa się w sypialni Boba. Odtwarzał ją w myśli tak dokładnie, jakby rozgrywała się na jego oczach przed kamerami, w świetle reflektorów. Czy i ten epizod włączył do swoich rachunków?

Biedny Bob! Padł ofiarą nienasyconej Anny... Młodość i świeżość tego chłopca były dla Anny najbardziej kuszącą przynętą... A czy on sam także go nie kupił? Dał mu w zamian cudowne życie... Mimo wszystko czuł lekki niepokój. Czyżby on, nieczuły Peter O'Neill, przywiązał się do tego chłopaka? Czy przypadkiem nie został zdradzony?

Szyderczy uśmiech jeszcze się zaakcentował. Czyżby miał obciążać swe sumienie drobiazgami? Nic nie dostaje się za darmo. To prawo, którego domaga się natura.

Lilie kwitnące w ogrodzie pachniały oszałamiająco. Ómy latały dokoła krągłych jak piłki futbolowe lamp oświetlających trawniki, krzewy, fontanny. Rzadko korzystał z wolnego czasu, z przyjemności oddawania się marzeniom... Nieprzeparta siła pchała go ciągle naprzód, bez chwili wytchnienia. Biegł, aby pochwycić czas, który uciekał, uciekał, uciekał... Był bogaty, sławny, tworzył arcydzieła... Lecz był głęboko nieszczęśliwy... głęboko nieszczęśliwy.

Wdychał dolatujące z ogrodu zapachy, wsłuchiwał się w cykanie świerszczy. Przelatujący nad miastem helikopter policyjny zaburczał jak fantastyczny owad. Przyłączyły się do chóru syreny strażackich wozów jadących do pożaru. Nad Century City smog nagle poczerwieniał.

Peter zobaczył Annę, która niemal biegiem wypadła z pawilonu dla gości. Kiedy zbliżyła się do domu, widział ją wyraźnie w świetle kulistych lamp. Wyglądała na zaspokojoną i szczęśliwą.

Zły grymas wykrzywił twarz O'Neilla. Nie po to sprowadził Boba, żeby dostarczyć rozkoszy Annie. Chciał się zemścić...

Nazajutrz rano między dwiema scenami przygotowanymi w studiu pod kierunkiem Godwina, Bob podszedł do O'Neilla, który jak zwykle powitał go ironicznym uśmiechem.

– Jak leci, Bob? Jesteś dziś nie w sosie?

Pod wpływem wzburzenia Bob jeszcze wypiękniał, stał się bardziej pociągający.

„Nic dziwnego, że kobiety za nim szaleją” – pomyślał Peter obejmując go badawczym, trochę zazdrosnym spojrzeniem.

– Przepraszam pana, mister O'Neill, ale postanowiłem się wyprowadzić.

Peter zauważył malujące się w jego oczach zmartwienie. Nigdy by nie przypuścił, że nocne najście Anny może spowodować takie szkody... Więcej nawet: takie spustoszenie. Bob był podenerwowany. Lęk ścisnął reżysera za gardło. Jak obyć się bez bliskości Boba?

– Czy dałem ci powody do niezadowolenia? Zawsze okazywałem ci zainteresowanie, serdeczność...

Chłopak spojrział nań wzrokiem zbitego psa. Wczorajsza przygoda wstrząsnęła nim bardziej niż Peter mógł przypuścić. Ogarnął go bezsensowny strach. Czyżby miał wszystko stracić, co zbudował dotąd? Był bliski rozpacz, ale ukrył swoje uczucia. Wstał z krzesła i położył dłonie na ramionach Boba. Odczuł w tejże chwili dziwne zmieszanie. Czyżby Anna zniszczyła jego dzieło?

– Nie mogę obyć się bez ciebie, Bob! Zabrzmiało to niemal jak miłosne wyznanie.

– Będziemy się spotykali niemal co dzień na planie.

– Ale pomiędzy kręceniem dwóch filmów? Kiedy spotkania, pertraktacje, narady oddalają mnie od ciebie? Odczuję twoją nieobecność. Rad jestem wiedząc, że kiedy wracam do domu znajdę się siedzącego przy basenie. Bez ciebie poczuję się samotny. Strasznie samotny.

– Ma pan rodzinę, mister O'Neill.

– Ona dla mnie już nie istnieje!

Spostrzegł nagle, że wzburzenie, którego nie potrafił ukryć, zwróciło uwagę ludzi pracujących na planie. Zniżył głos:

– Wyjdźmy na chwilę. Brak mi tu powietrza.

Gdy byli blisko drzwi doszedł do jego uszu szept: „Miłosna sprzeczką”. Udał, że nie dosłyszał tych ironicznych, brutalnych słów. Wraz z Bobem opuścił obszerny, gwarny budynek, w którym spędził połowę życia.

Kiedy znaleźli się na dworze pomiędzy ogromnymi hangarami, w których kręcono inne filmy, Peter włożył przejrzysty, niebieski daszek nad oczami, który nie tylko ochraniał je przed oślepiającym światłem reflektorów, lecz także przed ciekawością kręcących się dookoła ludzi.

– Ty mi przynosisz szczęście i ja ci przynoszę szczęście, Bob. Dlaczego burzyć tę doskonałą równowagę? Jeśli uciekniesz ode mnie, wszyscy, którzy zazdroszczą ci szybkiej kariery, rzucą się na ciebie i pożrą. Nie opuszczaj twego pawilonu, Bob! Wydam polecenie nocnym stróżom, aby nie wpuszczali do ciebie osób niepożądanych.

Bob spojrzał nań badawczo. W jego jasnych oczach pojawiła się nieufność. Zrozumiał, że Peter wiedział o nocnej wizycie Anny. Odpowiedział brutalnie:

– Nie chcę płacić w naturze za mieszkanie. Może panu ta sytuacja nie przeszkadza, lecz ja jej znieść nie mogę.

Peter zeszywniał. Kusilo go, by przypomnieć ich spotkanie na schodkach Hell's Kitchen, ale powstrzymał się w porę. Bob nie był już dawnym chłoptysiem. Wymagał, by szanowano jego osobę i prywatność. Wizyta Anny wywołała w nim obrzydzenie.

– Nie muszę się już sprzedawać. Dzięki panu, przyznaję, zdobyłem niezależność. Nie chcę być uważanym za towar... Przez nikogo. Bo nie jestem już towarem!

O'Neill nie odpowiedział. Bob wyczytał w jego oczach niemą, wzruszającą prośbę.

– Lepiej, żebym się wyniósł, mister O'Neill. Żałuję tego, ale tak będzie lepiej. Prosiłem już mego ajenta, żeby mi wynajął umeblowane mieszkanie w Westwood, Century City lub West Los Angeles. W moim domu będzie pan zawsze u siebie – dodał łagodniejszym tonem. – Przyjmę pana z otwartymi ramionami. Wiem, ile panu zawdzięczam. Zresztą jest mi pan bardzo bliski. Chce pan, żebyśmy szli jedną drogą. Zgoda. Tylko obecna sytuacja dłużej trwać nie może.

Peter gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania. Wpadł na dobry pomysł.

– Willa, którą tylko jedna nieruchomość dzieli od mojej, jest do wynajęcia. Weź ją. Będziesz u siebie. Po co szukać mieszkania w hałaśliwych dzielnicach śródmiejskich, skoro możesz mieć własną siedzibę, wygodną, elegancką, do której nikt nie wejdzie bez twojej zgody.

– Nie mam tyle pieniędzy, żeby wynająć willę na Beverly Hills. Ani żeby ją umeblować...

– Wynajmuje się ją wraz z meblami. Zresztą twoje zarobki na to pozwalają. Twoja obecna sytuacja wymaga życia na szerokiej stopie. Będziesz przyjmował dziennikarzy, będziesz wydawał przyjęcia. To konieczne. Nie do pomyślenia jest tymczasem życie w takiej izolacji jak Marlon Brando. Dopiero wspinasz się po zboczu na szczyt, podczas gdy on już na nim siedzi... Pracuję teraz nad filmem dla ciebie.

Będziesz na czołówce afisza.

– Wytwórnia zgłosi zastrzeżenia.

– Bryner i jego urzędnicy się nie odważą. Dzięki mnie wytwórnia zarabia setki milionów. Pomówię o tej willi z twoim ajentem. Za następny film dostaniesz milion trzysta tysięcy dolarów. To ci gwarantuję. Wszedłeś już do klubu aktorów milionerów.

Bob szukając argumentów patrzył na tłum ludzi, który przepływał dookoła. Znow podniósł wzrok na swego rozmówcę.

– Dlaczego pan to wszystko dla mnie robi? Dlaczego? Reżyser wybuchnął śmiechem. Gorzkim, wymuszonym śmiechem.

– Powiedzmy, że to było nagłe olśnienie... Poznanie się na twoim talencie... Niegdyś mówiłoby się o egeriach...

– Co to jest egeria?

– Inspiratorka męża stanu, pisarza, artysty... Twoja obecność mnie inspiruje... Ty mnie inspirujesz...

Miał przykre wrażenie, że się poniża, że odsłania swoją słabość... swoją piętę Achillesa.

Bob patrzył nań zbity z tropu.

– Nie rozumiem. Peter westchnął.

– Chcę cię mieć blisko siebie... To proste... Jutro będziesz mógł zamieszkać w swej nowej willi. Jeszcze dwa, trzy filmy – i będziesz mógł ją kupić, umeblować i wstawić do garażu kilka samochodów.

– Nigdy nie śnię z otwartymi oczami, proszę pana.

– Spróbuj przypomnieć sobie, jaką drogę przebyłeś od wyjazdu z Nowego Jorku do dzisiaj.

– Wiem, ile się panu należy.

– Przyjmij więc i tę willę, o której ci mówiłem. Bob podniósł ręce do góry. Poddał się.

– Zgoda! Zgoda! Czy mogę odmówić?

– Wracajmy więc na plan. Robota czeka.

Washington, nowy kamerdyner Boba, stary, jowialny Murzyn o srebrzystych włosach, wysoki, zgrabny i zawsze uśmiechnięty, słowem typowy

służący z wielkich domów, występujący w telewizji dla reklamy towarów użytku domowego – był niewyczerpanym źródłem anegdot o światku hollywoodzkim. Początkowo Bob oponował przeciwko zatrudnieniu licznej służby, lecz Peter uważał to za konieczne dla utrzymania tak dużej willi, no i pozycji Boba. Oczywiście argumenty O'Neilla przeważały.

Oprócz kamerdynera Bob miał teraz na usługi lokaja-kierowcę, kucharza, portiera i dwóch uzbrojonych strażników. Po namyśle, obliczywszy, ile pieniędzy pochłonie taki tryb życia, Bob wzruszył ramionami. Po cóż myśleć o przyszłości? Co będzie, to będzie! Od dawna fatalizm kierował jego postępowaniem.

Wieczorem, kiedy wracał zmęczony ze studia i zasiadał w głębokim skórzanym fotelu, a kamerdyner podawał mu przed obiadem przygotowany przez siebie koktajl zamiast aperitif, Bob miał ochotę parsknąć śmiechem. Wydawało mu się śmieszne, że opływa w takie dostatki, skoro przez kilka lat polował co noc na klientów idących 42. ulicą. Prędko przywykł do zbytku, do portfeli wypchanych studolarowymi banknotami, do wspaniałych wnętrz, do drogich samochodów.

Lubił słuchać głębokiego basu Washingtona, który opowiadał mu o trudnych początkach dawnych i nowych gwiazd, u których służył i którym każdego wieczoru podawał koktajle.

– Pan Robert Redford – opowiadał Washington – pracował jako chłopak do wszystkiego na stacji Standard Oil, ale zwolniono go, bo się nie nadawał. Panna Joan Crawford prała bieliznę. Pan Bronson wypruwał sobie flaki w kopalni węgla. Pan Kirk Douglas był synem szmaciarza. Pan Maxwell, piękny Maxwell Caulfield, ożenił się z kobietą dwa razy starszą od niego, żeby dostać się do świata filmu.

Washington nigdy nie omieszkął poprzedzić nazwiska gwiazdy słowem pan lub pani. W taki sposób wyrażał szacunek nie tylko dla tych, którzy zwyciężyli przeszkody albo byli wybrańcami losu, ale także dla dawnych aktorów, którzy znaleźli się w nędzy.

– Bardzo sławna pani Lana Turner zadebiutowała jako panienka do towarzystwa w podrzędnym barze. A pan Marlon Brando był windziarzem, sprzedawcą lemoniady i ulicznym gazeciarem. A pan Stallone... Usługiwałem również aktorom milionerom, którzy zostali bez grosza, znaleźli się w przytułku dla starców... Wymownym przykładem jest pan Stepin Fetchit, czarny aktor, znany komik. Jeszcze pana nie było na świecie, kiedy pan Fetchit w swoich najlepszych czasach miał wspaniałą siedzibę, dwunastu służących i szesnaście rollsów; najbardziej poszukiwane wówczas kurtyzany ubiegały się o jego względy. Skończył w domu dla starych, biednych aktorów. A pan Peter Lawford, szwagier prezydenta Kennedy'ego, doznał upokorzenia nawet po śmierci: jego popioły wsypano do morza, gdyż spadkobiercy nie chcieli zapłacić należności zarządowi cmentarza. Nie uiszczono nawet rachunku za pogrzeb. Dalej: pani Dvorak, zrujnowana przez męża zmarła w Honolulu po straszliwej agonii. I pani Veronica Lake, podziwiana przez wszystkich pikantna blondynka, skończyła jako barmanka. I pani Joan Blondell, i pani Mary Astor, i pan George Raft, i pan Johny Weissmiiller, niezapomniany Tarzan, wszyscy stoczyli się na dno nędzy... Była to wstrząsająca lekcja dla współczesnych aktorów, którzy starają się od dobrą lokatę swoich olbrzymich dochodów.

Bob w zamyśleniu słuchał mądrych słów Washingtona i nigdy ich nie komentował. Ilekroć był w kiepskim nastroju rezygnował z obiadu i wyjeżdżał swoim ferrari do miasta, pilnowany przez dwóch goryli jadących za nim

mercedesem. Peter przekonał go, że to konieczne, gdyż niebezpieczeństwo groziło mu nie tylko ze strony porywaczy dla okupu i łajdaków z Hell's Angels, lecz również ze strony zbyt natarczywych fanów, a nawet szaleńców, pragnących ujrzeć swe nazwisko na łamach gazet.

W oczekiwaniu zakończenia pertraktacji mających na celu umieszczenie nazwiska Boba na czele obsady, grał on rolę studenta w filmie o współczesnej młodzieży. Była to komedia muzyczna, Bob tańczył w niej i śpiewał. Peter odkrył z zachwytem, że jego protegowany nie tylko ma wrodzone predyspozycje do tańca, lecz obdarzony jest pięknym głosem. Nauczyciel przepowiadał mu wspaniałą przyszłość.

Bob wstąpił do baru White'a, gdzie zbierali się głównie młodzi aktorzy i młodzi ludzie marzący o aktorskiej karierze. Trzeba było jednak mieć spore środki finansowe, żeby przekroczyć próg tego lokalu, który oferował swym klientom bajeczne trunki, miłą atmosferę, najmodniejszą muzykę i feeryczne efekty świetlne.

Bob upadał ze zmęczenia, gdyż Peter wymagał od niego, aby niezależnie od pracy w studiu spędzał co dzień godzinę lub dwie na terenie UCLA, sławnego uniwersytetu kalifornijskiego. Musiał oswoić się z atmosferą uczelni i życiem studenckim. Poznać zajęcia i rozrywki, jadać niekiedy w studenckiej menzie, bywać na wykładach, obserwować zachowanie profesorów i studentów.

W obcym dla siebie środowisku Bob czuł się jak mierny pływak na basenie olimpijskim. W Nowym Jorku jego kontakty z młodzieżą ograniczały się do kręgu chłopaków uprawiających ten sam zawód i do bójek z łajdakami, którzy chcieli go okraść. Nie wiedział, co to prawdziwa przyjaźń, bo nigdy nie miał przyjaciół. Nie potrafił też określić, co właściwie łączy go z O'Neilem.

Zetknięcie ze studentami bardzo go poruszyło. Byli swobodni, pełni życia, skorzy do żartów, w oczach ich skrzyła się złośliwość. Uprawiali miłość nie z wyrachowania, lecz dla przyjemności, niekiedy nawet pod wpływem poetycznych uczuć. I on nieraz odczuwał pociąg fizyczny, zwłaszcza do młodych i miłych partnerek, doznawał nawet satysfakcji, lecz nie nazywał tego miłością.

Wejście Boba zwróciło powszechną uwagę. Zaczęto szeptać i przy stolikach i przy barze. Różnica między tym lokalem a podobnymi barami w Nowym Jorku polegała głównie na tym, że tutaj bywały gwiazdy filmowe. Dziewczęta rozbierały Boba wzrokiem zuchwałym i pożądlwym. Dziwki mierzyły go spojrzeniem od stóp do głów, ale przywykł już do ich natarczywości. Czasami sprawiało mu przyjemność, że jest podziwiany, pożerany wzrokiem, pożądanym. Może to przeszłość upominała się o swoje prawa, może skłonność do poniechanych przyzwyczajień?

Kilku młodych aktorów uśmiechało się do niego z udaną życzliwością. Dostrzegał też zazdrość i niechęć, jaką budził wśród rywali. Oparł się na ladzie bufetowej i zamówił koktajl Southern Island, do którego barman podał mu talerzyk solonych migdałów.

Bob nie przepadał za alkoholem, ale tym razem koktajl sprawił mu przyjemność, rozgrzał go i rozproszył czarne myśli. Następnie – dla odmiany – poprosił o Huragan, który nasuwał mu przyjemne wspomnienia. Poprzedniego dnia w barze uniwersyteckim usiadła przy nim dziewczyna i postawiła na stole tackę z wybranymi przez siebie potrawami. Miała błyszczące, migdałowe oczy, delikatny owal twarzy, zmysłowe usta i dołeczki w policzkach, dzięki którym uśmiech jej wydawał się cudowny. Zagadnęła go bez skrepowania, jakby był zwykłym studentem. Jej bezpośredniość kontrastowała z zachowaniem innych

dziewcząt, które przyglądały mu się gapowato i ledwo mogły wyjąkać prośbę o autograf.

– Więc pan jest sławnym Flynnem? Na ekranie wygląda pan lepiej niż w rzeczywistości. Niech pan nie bierze tego za nieuprzejmość, niech pan nie sądzi, że chcę być interesująca. Po prostu zastanawiam się nad mistrzostwem kamerzysty, który umiał wybrać odpowiednie ujęcie pana twarzy, żeby pokazać pana jak najkorzystniej.

– W jakim filmie widziała mnie pani? – zapytał lekko urażony jej opinią.

– W „Orgii amerykańskiej”.

– Tylko w tym jednym?

– Tak. Inne mnie nie pociągały. Nie ze względu na pana, lecz ich treść, którą opowiadali mi koledzy. Wydawała mi się zbyt naciągnięta, za wiele w niej było seksu.

Szybko zjadała swój obiad jak mały, delikatny, ruchliwy ptaszek. Przeszła na inny temat. Mówiła o życiu uniwersyteckim, uważała je za bardzo stymulująco intelektualnie. Była na pierwszym roku studiów. Nakreśliła z humorem portrety kilku koleżanek.

– Nie przepadam za chłopakami, którzy przypierają do muru i zabierają się do całowania.

Spojrzenie jej orzechowych, niewinnych oczu wydało mu się bardziej podniecające niż natarczywe strzelanie oczami. Skończyła swój posiłek, wstała, powiedziała do widzenia i odeszła odnosząc tackę. Nie prosiła o autograf, nie podała swego imienia, co Bob uznał za lekceważenie, przywykł bowiem wzbudzać większe zainteresowanie.

– Jak leci, Bob?

Odwrócił głowę i ujrzał za sobą Jareda Dahla, młodego aktora, grającego rolę studenta w tym samym filmie, co on. Towarzyszyło mu dwóch innych aktorów: Jeffrey Blyth i Raymond Edward Rhys.

Jared i Blyth znali uniwersytet tylko z zewnątrz. Jared, dziecko ulicy, był za biedny, żeby studiować. Blyth, jako zawodowy tenisista i zawodnik uprawiający wyczynowo pływanie, nie miał czasu na studia; był za bogaty, żeby w karierze uniwersyteckiej upatrywać źródła utrzymania. Jedynie Rhys naprawdę studiował. Przyjechał z Cambridge i Peter O'Neill zaangażował go dlatego, że w scenariuszu była postać mówiąca czystym akcentem angielskim.

Jared i Jeff usiedli na taboretach po lewej stronie Boba. Taboret z prawej strony był również wolny. Raymond uprzejmie zapytał, czy może go zająć.

– Bardzo proszę – burknął Bob, którego grzeczność Raya trochę drażniła.

Wszyscy trzej chłopcy byli przystojni, bo Peter lubił ładnych aktorów. „Młodość i uroda – powiadał – to zatruty prezent. Nie służy niczemu”.

Mimo że Jared i Jeff pochodzili z różnych środowisk, byli najlepszymi przyjaciółmi. Nazywano ich Achillesem i Patroklesem, aczkolwiek znaczenie tej legendy wymykało się nie wtajemniczonym. Tak samo lubili silne trunki, dziewczęta, marihuanę i najlepsze samochody sportowe. Zbytek był dla Jeffa zwykłym atrybutem życia. Dla Jareda natomiast stanowił nowość tym bardziej podniecającą, że – podobnie jak Bob – poznał najgorszą nędzę. Obaj złoci młodzieńcy, gotowi robić kawały przyjaciołom lub kolegom ze studia, różnili się bardzo od Anglika. Ray miał chłodny, spokojny, flegmatyczny charakter. Lubił samotność. Oczy jego były jasne jak pogodne niebo, rysy regularne i arystokratyczne, głos miły i kojący, maniery nad wyraz grzeczne. „Głos jego wart jest miliony!” – stwierdził Peter na ogół niezbyt wylewny. – „A jego wygląd jest niemal doskonały”.

Bob był trochę zazdrosny o Raya, mimo że sam miał niezachwianą pozycję. Ale w obecności O'Neilla, który ostentacyjnie okazywał mu tyle troskliwości, niepokój jego rozwiewał się jak mgła na wietrze.

– Dziwię się, że możesz wytrzymać we wrzącej atmosferze studia – oświadczył pewnego dnia Jared, przyjaźnie klepiąc po ramieniu Rhysa, który nie znosił takich poufałości. – Po ciszy waszych uczelni musi cię razić zwariowany świat filmu.

Ray uśmiechnął się życzliwie z wyrozumiałością dla jego ignorancji.

– Po pierwsze, atmosfera nawet angielskiego uniwersytetu, choćby konserwatywnego i nieco snobistycznego, nie jest bynajmniej wyciszona. Przeciwnie. Rodzą się tam najdziwniejsze pomysły. Oczywiście, tak jak we wszystkich uczelniach, spotyka się tam moli książkowych. Ale to mniejszość.

– Jakim cudem dostałeś się z Cambridge do Hollywoodu?

– Całkiem zwyczajnie. Zawsze pociągał mnie teatr. Podczas wakacji towarzyszyłem w tournée studenckiemu zespołowi dramatycznemu, nie mającemu zresztą żadnego rozgłosu. Później zagrałem małą rolę w filmie. Mógłbym grać dalej, gdyż producent był ze mnie zadowolony. Ale mój ojciec, konserwatywny prawnik o raczej ciasnych poglądach był tym oburzony. Pragnął, abym tak jak on został godnym poważania sędzią, podporą społeczeństwa brytyjskiego. Tymczasem O'Neill obejrzał film, w którym grałem, i poczuł do mnie sympatię, oczywiście zawodową. Potrzebował angielskiego studenta do swego filmu „Ratunku, goniaj mnie dziewczęta!” Zaofiarował mi gażę, która wystawiła na ciężką próbę niezłomność mego ojca. Krótko mówiąc, przyjąłem. I oto jestem z wami.

Jared nienawidził bogatej burżuazji, zarówno angielskiej, francuskiej, jak i amerykańskiej, aczkolwiek dzięki bogactwu Jeffa korzystał z wielu ułatwień w czarnej epoce swojego życia. Jeff okazywał mu szczerą przyjaźń.

Ulokowawszy się na taboretach trzech młodzi ludzie zamówili koktajle. Barman nadszarpował im, wiedząc, że zostawiają duże napiwki. Jared wkrótce ustawił przed sobą sześć pustych szklanek i poprosił o szóstą, ale Jeff więcej wypił. Jared źle znosił skutki alkoholu, które rozbudzały w nim pierwotne instynkty, zwłaszcza gwałtowność.

Zwrócił się agresywnie do swego przyjaciela:

– Założmy się o tysiąc dolarów, że wypiję więcej niż ty.

Barman zmrużył oczy jak ptak oślepiiony silnym światłem. Goście w takim stanie zazwyczaj nie byli już obsługiwani, a jeśli nie należeli do śmietanki towarzyskiej, doradzano im po cichu, lecz stanowczo, by opuścili lokal. Wszelako Jared Dahl nie należał do tej kategorii. Ojciec Jeffa miał tak silną pozycję w kręgach politycznych i finansowych, że należało potraktować go bardziej elegancko. W dodatku cieszył się już własną popularnością, korzystał z własnych przywilejów.

Bob, który pił trzecią szklankę, patrzył na nich krytycznym wzrokiem. Nie lubił ekscesów, a jego koledzy staczali się już po niebezpiecznej pochyłości. Goście siedzący przy sąsiednich stolikach śledzili rozbawieni tę scenę, niestosowną u White'a. Nazajutrz plotki miały się rozejść po całym Hollywoodzie.

Młody Anglik zachowywał spokój, nie chcąc być zamieszanym w rozróbę. Podobnie jak Bob pił dopiero trzecią szklankę.

Jared zrobił mu wymówkę:

– Ray, dlaczego trzymasz się z boku? Weź udział w naszej zabawie! Razem przyszedliśmy do tego kurewskiego baru! A może uważasz się za lepszego od nas?

– Z pewnością bym przegrał. Po cóż więc brać udział?

– Jesteś niewieściuchem! – krzyknął ze złością Jared.

Anglik poczerwieniał i odpowiedział ostro:

– Jesteś tak pijany, że straciłeś głowę. Nie radzę ci mnie zaczepiać.

Jared wstał z groźną miną, lecz Bob, który siedział przy nim, przytrzymał go za ramię.

– Zostaw go! Spiłeś się! Wystarczy jeden cios, żeby cię wysłać za ladę.

Jared z wściekłością wyrwał się Bobowi, ale Jeff uspokajająco poklepał go po plecach.

– Ścigamy się, czy będziesz rozrabiał? Wrogość Jareda zwróciła się przeciw Jeffowi:

– Jeszcze jedna szklanka i zwalisz się na ziemię. Nie panował już nad sobą.

– Przywykłeś uważać mnie za błazna, którym możesz kierować jak ci się podoba! Mam dość twojego pobłażania, pyszałkowatości maminsynka! Mam cię gdzieś!

Jednym ruchem ręki strącił wszystkie puste szklanki, swoje i Jeffa. Rozprysły się o podłogę na oczach skonsternowanego barmana.

– Chory jestem patrząc na ciebie! – Uniósł się gniewem Jared. – Mam powyżej uszu twoich grymasów, twojego małpiarstwa, twego nadętego pyska! Dosyć! Nie chcę cię więcej widzieć! Dałeś mi w kość!

Jego ostry, piskliwy głos zagłuszył muzykę i szmer rozmów. Jeff stał jak sparaliżowany tym wybuchem nienawiści.

– Oszalałeś! – wybełkotał.

Jared rzucił sto dolarów na ladę i wyszedł trzaskając drzwiami. Jeff starał się odzyskać spokój.

– Nic sobie z tego nie rób! – poradził mu Bob. – Alkohol uderzył mu do głowy. Wyśpi się i zapomni o wszystkim.

– Ale ja mu nigdy nie zapomnę tego wyskoku! Dowiedziałem się, ile gniewu i złości ma w sercu. Zawsze uważałem go za najlepszego przyjaciela...

Jeff nie wiedział, jak ma postąpić.

– Wymaż wszystko z pamięci. Uznaj sprawę za niebyłą. Gdy go jutro spotkasz, nie wracaj do niej.

Jeff zamówił podwójną, bardzo mocną kawę, żeby odzyskać jasność myśli i rozproszyć opary alkoholu. Wypił ją, zapłacił i zszedł z taboretu.

– Do widzenia!

– Nie możesz prowadzić w takim stanie! Odwiozę cię do domu swoim wozem, a ty jutro przyślesz kogoś, żeby się zajął twoim.

– Dzięki! Jakoś wybrnę sam.

Wyszedł odprowadzany wzrokiem wszystkich gości.

– Godne pożalowania – mruknął Rhys.

– W Anglii ludzie się nie kłócą? – zapytał Bob nieco podirytowany. – Ekscesy waszych kibiców sportowych przerażyły cały świat.

– Wszędzie spotyka się łobuzów – odparł łagodnie Ray.

Rozumiał zdenerwowanie Boba, któremu było przykro, że jego rodacy tak się popisali przed cudzoziemcem. Nie był chyba ksenofobem.

– Proszę mi wybaczyć mój ton – powiedział Bob. Żałował już, że się trochę uniósł. Uśmiechnął się do Raya.

– Lubi pan Amerykę?

– Staram się ją zrozumieć, poznać mentalność Amerykanów. Więzy krwi zarazem łączą nas i dzielą. Świat jest bardzo skomplikowany.

– Co pan chce robić po skończeniu filmu?

– Wrócić do Anglii i kontynuować studia.

– Mógłby je pan kontynuować na UCLA i grać dalej w filmach.

– To możliwe. Zaproponowano mi nowy kontrakt na rolę w pańskim następnym filmie.

– Jared przypuszcza, że pan mu sprzątnął tę rolę.

– Nie moja wina, że to mnie wybrał pan O'Neill.

Ledwo umoczyli wargi w świeżo przygotowanym koktajlu, bar odzyskał normalny wygląd.

– Nie czuje się pan samotny? – zapytał Bob. – Nigdy nie widziałem pana w towarzystwie przyjaciół.

– Nie lubię się narzucać ludziom ani też zawierać bliższej znajomości z byle kim.

– Przecież jest pan już gwiazdą. Wiele osób chciałoby znaleźć się w pana towarzystwie.

– Gwiazdą – to za wiele powiedziane... Jestem samotnikiem. Dużo czytam. Od przyjazdu tutaj kupiłem kilkaset książek. To moi najlepsi i najwierniejsi przyjaciele. Nigdy mnie nie zdradzą.

– Ja także bardzo lubię książki.

Bob sprawdził czas na swoim złotym rolexie. W Hollywoodzie ta marka określała pewien status społeczny.

– Już późno. Jutro mamy kupę roboty. O'Neill jest bardzo wymagający.

Wychylił do ostatniej kropli swój koktajl.

– Doskonała ta mieszanka koniaku i kremu miętowego! Zgodnie ze scenariuszem powinniśmy być najpierw przyjaciółmi, a później rywalizować ze sobą o względy dziewczyny. W prywatnym życiu chciałbym zachować pańską przyjaźń.

– To zaszczyt dla mnie, Bob. Podziwiam pański talent. Przyjemny głos Anglika pieścił jego słuch i nieomal głaskał skórę.

Wyszli po zapłaceniu rachunku. Ray podszedł do krawężnika i skinął na taksówkę, która minęła ich nie przystając.

– Nie ma pan wozu?

– Nie. Gdybym go tu kupił i przetransportował do Europy, kosztowałoby mnie to za wiele. Wzbudziłbym podejrzenia brygady antynarkotycznej. Wystarczą mi taksówki.

– Pozwoli pan, że pana odwiozę?

– Nie chciałbym sprawiać kłopotu.

Bob nie przywykł do takiej wymiany grzeczności, ale dostosował się do Anglika. Może ta gra warta była świeczki.

Wsiedli do nowego ferrari, które nadjechało po chwili, sprowadzone przez grooma.

– Uprzedzam, że mieszkam daleko – powiedział Rhys. – W Pa-los Verdes. Żyję w odosobnieniu. Nie znam nawet moich sąsiadów.

– Będziemy mogli przedłużyć tę rozmowę... Ja także szukam samotności. Świat, który mnie otacza, składa się z ludzi tylko przypadkiem pracujących pod tym samym dachem.

Wóz posuwał się z łatwością mimo ruchu dość jeszcze ożywionego o tej późnej porze. Gdy ferrari zatrzymało się przed domem Raya – małą willą nad

brzegiem morza – Anglik pomyślał, że może znalazł człowieka, który byłby zdolny go zrozumieć...

TTLR

V

W przerwie między dwoma ujęciami Peter pozwolił sobie na chwilę wytchnienia chcąc ugasić pragnienie sokiem owocowym. Uwielbiał słodcyce, aczkolwiek przestrzegano go, że może zachorować na cukrzycę. Każdego popołudnia czekał na ciastko, które przynoszono mu punktualnie o czwartej, i z góry się na nie cieszył. Tym razem burzliwa rozmowa, jaką w południe odbył z Georgem Brynerem i sztabem jego nieudolnych urzędników, odebrał mu apetyt. Obrady odbywały się w sali konferencyjnej przy drzwiach zamkniętych.

Peter zażądał nasilenia reklamy przed premierą filmu, nad którym obecnie pracował i który był bliski ukończenia. zaproponował, aby nie ograniczono się do usług działu reklamy, lecz zwrócono się do bezkonkurencyjnej firmy „Jameson, Irving i Parker”. Prosił również o dodatkowe fundusze na podwojenie reklamy w telewizji.

Percy Stone, szef działu reklamy, zerwał się z fotela jakby za naciśnięciem sprężyny. Był to łysy czterdziestolatek zmierzający do zajęcia najwyższych stanowisk. Tymczasem O'Neill bezczelnie oskarżał go o nieudolność.

– Uważa pan, że zaniedbujemy nasze obowiązki?

– Nie. Uważam tylko, że wasze wyniki są poniżej moich oczekiwań.

Bryner wtrącił uprzejmie, ale z pewną dozą ironii:

– Pański ostatni film, „Śmierć czasu”, nie dorównał „Orgii amerykańskiej” ani innym pańskim arcydziełom. Przypisywanie *quasi* niepowodzenia działowi reklamy – to przesada.

– *Quasi* niepowodzenia? Ten film kosztował zaledwie czterdzieści milionów dolarów, a przyniósł dwadzieścia pięć milionów czystego zysku.

– Przyzwyczał nas pan do zysków wyrażających się w setkach milionów – odparł Bryner z równie fałszywą grzecznością. – Musi pan przyznać, że na pierwszy rzut oka spadek dochodów wydaje się alarmujący.

Neville Holm, pierwszy wiceprezes, wtrącił się również:

– Jestem zaszokowany pańskim atakiem na Stone'a i jego dział reklamy. Praca jego godna jest pochwały.

Bryner poparł swoich pracowników:

– Neville ma rację, mój drogi. Rozczarowanie czyni pana niesprawiedliwym wobec kolegów. Dziś rano byłem u pana na planie. Prowadzi pan wszystkich na pasku, wszystkich popędza, przynagla, wszystkim wymyśla... Podziwiałem pański zapał. Szczerze go podziwiałem. .. Ale przypomina mi pan Balzaka. Wielkiego Balzaka. Tak bardzo wierzył w siebie, w swój geniusz, w umiejętność szybkiego uporania się z pracą, że często po prostu knocił.

Uśmiezek O'Neilla stawał się coraz bardziej zjadliwy.

– Doszedł więc pan do wniosku, że knocę filmy?

– Ostatni był sknocony. Proszę mi wybaczyć szczerłość. Ale to prawda. Smutna prawda. Wprawdzie pańska popularność ściągnęła widzów, ale się rozczarowali. Nasz dział reklamy nie jest temu winien. Percy jest dobrym fachowcem, aktywnym pracownikiem, a jego doświadczenie...

– Wbrew pańskim opiniom – przerwał O'Neill – proszę o skorzystanie z usług firmy „Jameson, Irving i Parker” oraz o nasilenie reklamy w telewizji. John Hoper, którego znam osobiście, da nam znaczny rabat...

– Przykro mi, Peter – wtrącił Holm. – Nie dysponujemy funduszami na pokrycie zbędnych wydatków.

– Nie dysponujecie funduszami? – ton reżysera nagle stał się ostrzejszy. – A gdzież uleciały pieniądze, które moje filmy wam przyniosły?

– Księgowość mogłaby dostarczyć panu wszystkich wyjaśnień – rzekł Holm i dorzucił spokojnie: – Powinien nam pan dziękować, że nie zmniejszyliśmy budżetu pańskiego następnego filmu.

– Właśnie chciałem prosić o dodatkowe dziesięć milionów.

– Nie ma o tym mowy, Peter – rzekł Holm stanowczo.

Twarz O'Neilla przypominała dziką bestię, szykującą się do skoku.

– Nie moja wina, jeśli użył pan funduszków naszej wytwórni w sposób nieostrożny. Wszedł pan w podejrzone kombinacje z innymi wytwórniami.

Holm pobladł. Facet, który sypiał z jego żoną, ośmielał się poddać w wątpliwość jego zasady moralne!

– Niech pan uważa, Peter, prowokuje pan proces o zniesławienie.

– Niech go pan wytoczy – odparł O'Neill z lodowatym spokojem. – Niech go pan wytoczy! Ale nie odważy się pan tego zrobić.

– Oskarża nas pan o nadużycia?

– Jedynie o sprzeniewierzenie funduszy. Sprawą sądu jest stwierdzenie, czy to była defraudacja.

Po tych słowach zapadło ciężkie jak ołów milczenie. Bryner powoli wstał.

– Zdaje pan sobie sprawę z powagi pańskich zarzutów?

– Doskonale. Jestem gotów mówić o nich przy otwartych drzwiach. Konkludując, żądam podpisania umowy z firmą „Jameson, Irving i Parker”, jak również z Johnem Hooperem. Oczekuję waszej odpowiedzi w ciągu

dwudziestu czterech godzin. W przeciwnym razie zwrócę się bezpośrednio do rady administracyjnej konglomeratu!.

Urzednicy wymienili między sobą skonsternowane spojrzenia.

– To szantaż! – zawołał Holm.

Bryner zachował spokój.

– Chce pan wojny, Peter? Będzie ją pan miał. Mogę pana zwolnić.

– Niech pan to zrobi! – powtórzył O'Neill. – Pożałuje pan tego.

– Żądam satysfakcji! – krzyknął Holm.

Teraz wstał O'Neill.

– Kłaniam się wam, panowie – powiedział drwiąco i opuścił salę.

Podjęto kręcenie filmu. Peter odczuwał zdenerwowanie, które udzielało się aktorom i wpływało na ich grę. Isabelle dąsała się na niego, lecz na planie wchodziła w skórę kreowanej przez nią postaci i jak zawsze była na wysokości zadania. Mimo że nienawidziła Sue, swojej młodsiutkiej rywalki, przed kamerami okazywała jej przywiązanie i tkliwość prawdziwej przyjaciółki, jak tego wymagał scenariusz. Za kulisami Jared i Jeffrey jeżyli się jak pies z kotem, ale w świetle reflektorów odnosili się do siebie jak oddani sobie koledzy z ławy szkolnej i boiska. Bob był taki jak zawsze. Może trochę bardziej roztargniony. Raymond Rhys zachowywał angielską flegmę.

Po tym dniu bardziej męczącym niż zwykle Peter wrócił do domu znużony i zirytowany. Kim, który mu otworzył drzwi, oznajmił, że panna Shirley oczekuje go w bibliotece i pragnie z nim porozmawiać. Perspektywa rozmowy z córką nie poprawiła mu humoru.

– Obiad czeka – dorzucił lokaj.

– Nie jestem głodny. Przynieś mi do biblioteki jogurt i trochę owoców.

Shirley, która oglądała spektakl w telewizji, wyłączyła aparat i wstała na powitanie ojca.

Peter nie podał jej ręki i usiadł w fotelu.

– Jestem wykończony – stwierdził.

Była to forma uprzedzenia córki, że nie ma dla niej wiele czasu. Shirley nie brakowało jednak ani stanowczości ani uporu. Odziedziczyła charakter ojca.

– Wybacz mi, papo, że ci przeszkadzam, ale chciałabym ci zadać pytanie. Jesteś człowiekiem z krwi i kości czy komputerem?

– Nie rozumiem, o co ci chodzi – odparł nieufnie.

– Nie pozwalasz sobie nawet na chwilę odpoczynku. Nigdy nie spędzasz z nami weekendu. Wiem, że praca jest twoją drugą naturą...

– Słuszny wniosek. Daję ci dwie minuty na powiedzenie tego, co masz w sercu. Jestem bardzo zajęty. Muszę przejrzeć propozycje mego asystenta dotyczące następnego filmu. To idiota bez krzty wyobraźni.

– Dla filmów zaniedbujesz własną rodzinę, papo. Jestem twoją córką i oczekuję więcej zrozumienia dla nas.

Kim przyniósł na srebrnej tacy skąpy posiłek O'Neilla i odszedł w milczeniu.

Shirley nalegała:

– Robby widuje cię tylko przelotnie, nawet nie raczysz na niego spojrzeć. Jakbyś nie wiedział, że istnieje.

– Wiem dobrze, że istnieje. Wydałem majątek, żeby mu zapewnić najlepszą obronę w sądzie.

– Ma duże trudności w szkole. Jego wychowawca chce z tobą porozmawiać.

– Niech jego matka pójdzie dowiedzieć się, o co chodzi. Moje zajęcia są tak absorbujące...

– Mógłbyś jej doradzić, bo ona nie ma o niczym pojęcia...

– Miałbym z nią rozmawiać? Twoja matka jest dla mnie martwa i pochowana. Dlaczego ty nie poszłabyś do szkoły? Upoważniam cię do występowania w moim imieniu. Jeśli trzeba będzie pieniędzy, wypełnię ci czek...

– Pieniądzy! Sądysz, że pieniądze załatwią wszystko! O'Neill westchnął wyczerpany.

– Dobrze. W ciągu najbliższych dni wyrwę się na parę godzin i pójde porozmawiać z wychowawcą... Teraz już idź! Mam robotę.

* * *

Powiadomiony o zatargach w wytwórni Leslie Carter postanowił wysłać do Los Angeles Olvena Carra, który jako wiceprezes i dyrektor finansowy konglomeratu miał nadzór nad jej operacjami finansowymi. Zapowiedź jego przyjazdu wywołała wielkie poruszenie. Niepokój udzielił się najpierw sekretarkom szefów, później urzędnikom, wreszcie wszystkim ludziom, którzy tworzyli mikrokosmos „XXI Century”.

Nie dbając o to, Peter O'Neill nadal kręcił film. Mimo pogroźek Brynergo nie zwolnił. Kręcono właśnie scenę w salonie wielkiego domu w stylu kolonialnym. Raymond Rhys z udawaną skruchą słuchał kazania ciotki, starej, zgorzkniałej damy, oburzonej jego wybrykami na uniwersytecie. U stóp staruszki leżał wielki, spokojny dog.

Kończono właśnie przygotowania do następnego ujęcia. Korzystając z krótkiej przerwy kelnerka przyniosła O'Neillowi ciastko migdałowe zamówione na godzinę czwartą. Zbliżając się do reżysera potknęła się o leżący

na podłodze kabel, straciła równowagę i upuściła ciastko. Skorzystał z tego pies, podniósł się ociężale, obwąchał i polizał ciastko rozpląszczone na ziemi. Peter patrzył ze smutkiem, jak jego ulubiony przysmak znika w pysku doga. Nagle pies upadł, drgawki wstrząsnęły jego ciałem. W parę chwil później zdechł z wyciągniętym językiem i pianą sączącą się z pyska.

Zgroza ogarnęła wszystkich. Stara dama omal nie zemdląła. Tylko Rhys zachował spokój.

– Trzeba wezwać policję – powiedział najzwyczajniej w świecie.

* * *

Olven Carr przybył do Los Angeles w trudnym momencie dla kierownictwa wytwórni. Do konfliktu między O'Neillem i administracją doszła jeszcze nieszczęsna próba otrucia. Bryner i Holm powitali na lotnisku wysłannika multinarodówki. Aby mu się nie narazić, wybrali w garażu wóz najmniej rzucający się w oczy; był to stary buick w dobrym stanie. Bryner polecił, aby podczas pobytu Carra w Los Angeles luksusowe samochody nie wyjeżdżały z garażu.

Ponieważ samolot Carra wylądował po zapadnięciu nocy, zaproszono gościa na obiad do restauracji. Przyjął zaproszenie, lecz poprzestał na skromnym menu, składającym się z sałatki, pieczeni wołowej i kawy, co uznano za zły znak. Nie chciał zamieszkać w apartamencie, jaki mu zarezerwowano w hotelu Beverly Hills, i oświadczył, że wystarczy mu zwykły pokój.

Pomocnicy Carra przybyli nazajutrz. Zwołał on radę administracyjną wytwórni, do której należał również O'Neill. Po cierpkich dyskusjach wysoki przedstawiciel konglomeratu wraz z asystentami przejrzał dokładnie księgi rachunkowe, dokumenty, stosy rachunków oraz wszelkie umowy. Kontrola

trwała pięć dni. Milczący Carr odpowiadał półsłówkami na podstępne pytania Brynera. Po zamknięciu ostatniej teczki z aktami oświadczył:

– Wkrótce otrzymacie moje wnioski na piśmie. Muszę je najpierw przedłożyć panu Carterowi i radzie administracyjnej konglomeratu. Decyzja należy do nich.

Shirley często spędzała noce u Boba. Początkowo jej odwiedziny tylko w pewnej mierze wynikały z cielesnych potrzeb. Nie znajdując w otepionym przez narkotyk bracie ani oparcia, ani rady – szukała powiernika w Bobie. Zawiodła się na przyjaciółkach, a przynajmniej na tych, które chciały za przyjaciółki uchodzić. W jej otoczeniu intrygi były tak skomplikowane, tak subtelne, grupy i grupki tak ze sobą splątane, że obawiała się zwierzyć komukolwiek.

Bob cierpliwie jej słuchał. Wiedziała, że łączyły go z jej ojcem interesy, ale też inne, niezrozumiałe dla niej więzy.

– Często miewam uczucie, że unosi mnie prąd i wlecze po wielkich, ostrych głazach, które szarpią ciało, łamią kości, miażdżą głowę... Z obu stron wznoszą się wysokie, strome, gładkie ściany, tak że nie mogę o nic się zaczepić, nie mogę wyjść z wąwozu... To koszmar, z którego nie potrafię się wyrwać... Robby jest nieszczęśliwym chłopakiem, życie jego to odroczenie wyroku... na krótko zresztą... Ojciec wiezie szaloną egzystencję nad brzegiem przepaści.

O matce wolę nie mówić. Nie rozumiem, co się z nami dzieje, ale wiem, przeczuwam, że czekają nas wielkie nieszczęścia. Że nie zdołam ich uniknąć... Widzę, jak się zbliżają, ale jestem jak sparaliżowana...

Uśmiechnęła się smutno.

– Może przypuszczasz, że jestem szalona. Że przepowiadam same nieszczęścia, jak Cassandra... Niekiedy budzę się w nocy, patrzę na ściany, na sufit i oczekuję chwili, kiedy runą na mnie i pogrzebią mnie żywcem, a ja będę nadal istnieć pod gruzami... Czy postradałam zmysły?

Bob pogłaskał jej dłoń.

– Staraj się zapomnieć o tych udrękach! Wiem... och, wiem dobrze, jak to trudno! To bardzo trudno... Trzeba jednak walczyć z prądem, choćbyś wiedziała, że jest silniejszy od ciebie... Ale walka podtrzymuje na duchu.

Shirley wybuchła szlochem. Złożył pocałunek na jej czole.

– Płacz... Wypłacz się... ale walcz dalej! Nie poddawaj się nigdy rozpacz. Podnieś głowę! Płacz, ale walcz nadal, choćbyś wiedziała, że walka jest z góry przegrana! Jeśli nie dasz się złamać, oswoisz się w końcu z nieszczęściem... Cierpienie staje się niekiedy przyjacielem. ..

– Co ty wiesz o tym?

– Nie ty jedna cierpisz, Shirley... Nie ty jedna... Kiedy cierpienie staje się twoim jedynym towarzyszem, zaczynasz je rozumieć, niemal kochać... jak kocha się kalekiego brata... To miłość przeciwna naturze, a zarazem jedyna pociecha, jaką ci ta natura daje...

Po krótkim zbliżeniu Shirley wracała do siebie trochę spokojniejsza. Stopniowo uświadamiała sobie, że jej uczucia dla Boba stają się coraz głębsze. Początkowo błaha przygoda miłosna przerodziła się w miłość. Dziwne było tylko, że Shirley stwierdziła to tak późno.

Niestety, Bob nie odpowiadał na jej nieśmiałe awanse. Sypiali ze sobą, ale zaraz potem traktował ją jak koleżankę, jak przyjaciółkę. Czy nie pojmował jej uczuć? Nie mógł jej pokochać? Wiedziała, że miał mnóstwo

przedsiębiorczych wielbicielek. Ale mówił o nich z pogardliwą pobłażliwością. Jego postępowanie doprowadzało je do szału.

Shirley pogodziła się z tym, że musi czekać, aż Bob ją wezwie i cieszyć się, ilekroć zechce się z nią kochać.

Bob jakby się zmienił. Nie umiałby określić na czym polegała ta zmiana. Jedyne widoczną oznaką było to, że słuchał jej z coraz większym roztargnieniem. Niemalże spał z otwartymi oczami. Ledwo odpowiadał na jej pytania i dziwny uśmiech nadawał szczególny wyraz jego pięknej twarzy. Na ogół był milczący i zamyślony. Ale wystarczał czasem drobiazg, aby czoło jego się rozpogodziło, oczy rozbłysły i śmiech rozjaśnił jego rysy.

Mimo wszelkich wysiłków Shirley nie zdołała dociec, co powoduje takie zmiany jego nastroju...

Obecność policjantów w cywilu, którzy przeszukiwali wszystko i niekiedy przerywali kręcenie filmu, żeby postawić kilka pytań, denerwowała wszystkich. Śledztwo było konieczne. Jednakże dowody, które pozwoliłyby odkryć winnego, były nadal niewystarczające. Urzędnicy, aktorzy, technicy, posługacze – wszyscy byli dla policji równie podejrzani. Najbardziej sprzeczne informacje pochodziły z najróżniejszych źródeł. Ale jak oprzeć się podchwytliwym pytaniom prokuratora Gideona Spacka z Departamentu Morderstw? Był to przysadzisty, zażywny mężczyzna o rzadkich włosach, okrągłej twarzy i grubych, zawsze wilgotnych wargach, niepozorny, nie wyróżniający się niczym szczególnym. Dobiegał czterdziestki i tragicznie odczuwał upływ lat, w ciągu których nie zdołał wybić się spośród tłumu kolegów, nijakich zastępców prokuratora, trzymany na uboczu. Chciał się wybić, ujrzeć swe nazwisko na łamach gazet, być podziwianym,

poszukiwanym przez kobiety, które odstraszone jego brzydotą nie zwracały nań wcale uwagi.

W przeciwieństwie do Spacka porucznik Hatcher marzył tylko o przejściu na emeryturę. Do tej pory wykonywał swe obowiązki uczciwie, ale bez zapału. Teraz miał uczucie, że głowa mu pęka: musiał odpowiadać na pytania reporterów, na wymówki szefów, którzy wprawdzie nie oskarżali go o nieudolność, ale taką mieli o nim opinię, musiał liczyć się ze złą wolą urzędników, którzy wkładali kije w szprychy śledztwa. Siwowłosa, nerwowy, zgryźliwy, nietowarzyski, ale żwawy i gwałtowny w ruchach, Hatcher nie był typem policjanta, znanego nam z ekranu, który raz dwa wyjaśnia najbardziej skomplikowane zbrodnie i wychodzi nietknięty z każdej strzelaniny.

Prokurator generalny pod wpływem nacisków politycznych ponaglał Spacka, który uwielbiał dawać wyjaśnienia dziennikarzom w ramach swych kompetencji. Zamierzał zdobyć sławę dzięki książce o sprawie O'Neilla. Dysponował już obfitym materiałem; wszystkie protokoły śledztwa przechodziły przez jego ręce.

O'Neill najmniej mu dostarczył wiadomości. Wypytywany przez Spacka odpowiadał spokojnie, jakby nie dotyczyła go burza rozpętana wokół jego osoby. Owszem, miał wrogów, ale w świecie filmowym im wyższą ma się pozycję, tym bardziej ściąga się na siebie niechęć kolegów, dla których los okazał się mniej łaskawy. Nazwiska? Podając je mógłby ryzykować, że śledztwo pójdzie fałszywym tropem, a prawdziwi sprawcy pozostaną na wolności.

Spack przesłuchał następnie Brynera, który okazał się trudny we współpracy. Jego odpowiedzi cechowała pewna agresywność. Dlaczego przybierał taki ton wyższości? – zastanawiał się Spack. Co ukrywał? Jego syn

zginął w wypadku spowodowanym przez młodego O'Neilla. Oprócz tego, że poróżnił się niedawno z reżyserem, od dawna lękał się, iż straci stanowisko prezesa. O'Neill mógłby zostać jego następcą. Te motywy czyniły go podejrzanym. Spack nienawidził Brynera, podobnie zresztą, jak innych filmowców, którzy pysznili się ogromnymi dochodami, mieli najdroższe samochody, tworzyli zamknięty świat. Z nie ukrywaną satysfakcją myszkował po wytwórni, w garderobach gwiazd, w gabinetach urzędników, i napawał oczy urodą sekretarek – będących najczęściej kochankami swoich szefów, nie mówiąc już o girlsach i prawie nagich aktorkach, które spotykał w studiu. Obecność Hatcherera i Spacka stawała się doprawdy kłopotliwa.

Nagle rozeszła się wiadomość, która usprawiedliwiła wścibstwo policjantów. W garderobie Isabelle Holm znaleźli oni za lustrem torebkę z białym, bezwonnym proszkiem. Sądzone początkowo, że to kokaina, lecz analiza chemiczna wykazała, iż to arszenik. Na torebce nie było żadnych odcisków palców, ten, kto ją tam położył, zapewne miał rękawiczki. To odkrycie wywołało sensację. Isabelle oświadczyła spokojnie, nawet nieco beczelnie, że nie miała pojęcia o istnieniu tej torebki, którą każdy mógł tam położyć podczas jej nieobecności.

– Dlaczego miałabym pragnąć śmierci O'Neilla? Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, zawsze współpracowaliśmy w najlepszej komitywie.

Spack wiedział o zazdrości, której przyczyną była mała Sue Brions, lecz jednocześnie podejrzania jego kierowały się w stronę Holma. Nienawidził on przecież kochanka swej żony. Śmierć O'Neilla i oskarżenie Isabelle byłyby podwójną zemstą. Ponadto był jeszcze jeden motyw. Reżyser pośrednio przyczynił się do wszczęcia dochodzenia, dotyczącego jego działalności finansowej. Przesłuchiwany przez Spacka Holm bronił się z oburzeniem.

Dlaczego miałyby usiłować go zabić? Śmierć O'Neilla nie rozwiązałaby niczego.

Argumenty wiceprezydenta nie wydały się Spackowi zbyt przekonujące. Wszakże najbardziej logiczne konstrukcje prowadzącego śledztwo nie są wiele warte, jeśli nie opierają się na dowodach. Morderca biednego Joe był widocznie nader zręczny i perfidny. Ale Spack miał dużo cierpliwości. Chciał mieć głowę winnego i będzie ją miał. Wszyscy ludzie stojący blisko O'Neilla zasługiwali na to, żeby się nimi zająć. Asystent reżysera Godwin Mason – przyjaciel i protegowany Brynera – marzył o tym, żeby zająć miejsce swego mistrza. Sue Brions, młodociana aktorka o anielskiej twarzy, kochanka O'Neilla, miała wiele przygód miłosnych. Może któryś z jej kochanków chciał się pozbyć niewygodnego rywala? Gloria Bryner nienawidziła O'Neilla, gdyż odmawiał jej roli odpowiedniej do jej ambicji. Darrel Brighton żywił podobną nienawiść do swego dawnego reżysera, który nie chciał go już zatrudnić. Piękny Flynn – Spack panicznie nie cierpiał przystojnych mężczyzn – również wydawał mu się dziwny. Czy przyjaźń łącząca młodego nicponia, który zrobił karierę, z O'Neillem, nie wynikała ze skłonności homoseksualnych starego reżysera? Może Flynn szantażował go, grożąc ujawnieniem jakichś skandalicznych faktów? Oto trop, który należało zbadać. Wszyscy ludzie zatrudnieni przez O'Neilla byli doń wrogo nastawieni z powodu jego szorstkości, dyktatorskich zapędów, obraźliwego traktowania współpracowników. Nawet najbliższa rodzina nie była poza podejrzeniami. Napięte stosunki między O'Neillem a jego dziećmi, między nim a żoną – nie były dla nikogo tajemnicą.

Na domiar złego Spack musiał pracować sam. Hatcher stanowił tylko balast.

Leslie Carter zatelefonował do Brynera z Nowego Jorku zawiadamiając go, że przyjedzie do Los Angeles w towarzystwie Olvena Carra. Chłodny, beznamiętny głos prezesa multimiędzynarodówki przejął George'a dreszczem. Udając radość z mającego nastąpić spotkania wyraził gotowość goszczenia ich podczas pobytu w Los Angeles. Carter mu podziękował, lecz uchylił się od zaproszenia mówiąc, że nie chce mu przeszkadzać. Prosił o zarezerwowanie apartamentu w hotelu dla niego i żony oraz pokoju dla Carra. Bryner oświadczył, że wszyscy urzędnicy wytwórni, wszyscy reżyserzy i aktorzy będą szczęśliwi mogąc go przyjąć. On był gotów przedstawić obszerne sprawozdanie z działalności i przyjąć wszelkie dyrektywy.

Odwiesił słuchawkę w nieco lepszym nastroju. Obecność Margaret Carter zdawała się świadczyć o tym, że sytuacja nie była tak poważna, jak na to wyglądała. Mimo to strach nadal go dręczył. Operacje finansowe Holma były przez niego aprobowane; jeśli nawet nie uznano by ich za całkiem uczciwe, nigdy by nie oddano sprawy do sądu. Multinarodówki mają własny wymiar sprawiedliwości, niekiedy bardziej surowy niż państwowy. Nie aplikują kar pozbawienia wolności, ale ich sankcje są jeszcze dotkliwsze. Najwyższym wymiarem kary jest śmierć cywilna, zawodowa. Wokół skazanego tworzone kordon sanitarny. Żadnych posad, żadnych dochodów, żadnych przywilejów. Multinarodówki są solidarne, jeśli chodzi o złodziei w białych kołnierzykach. Człowiek może się uważać za szczęściarza, jeśli zostanie zatrudniony w małym przedsiębiorstwie, poza sferą działalności konglomeratu. Jeśli jednak przewinienie jest bardzo poważne, ściga się winnego wszędzie. Drobnym przedsiębiorcą otrzymuje dyskretne uprzedzenie, w razie nieposłuszeństwa stosuje się sankcje. Przestępcy nie pozostaje nic innego, jak tylko palnąć sobie

w łeb. Jeśli wina nie była aż tak wielka, bądź też ma się poparcie wpływowych osób, sprawa zostaje zatuszowana po paru ostrzeżeniach i minimalnych sankcjach.

Bryner zmobilizował wszystkich swoich przyjaciół, a szczególnie wrogów Cartera. Wszakże jego pozycja była w tej chwili tak mocna, że nikt nie zdołałby mu się przeciwstawić.

Służbowy samolot prezesa wylądował na lotnisku w Los Angeles, gdzie oczekiwał go Bryner wraz z wszystkimi dygnitarzami wytwórni. Orszak cadillaków i rollsów ruszył do hotelu.

– Moja żona z największą przyjemnością wręczyłaby osobiście róże pani Margaret – powiedział Bryner – ale zatrzymano ją na planie, gdzie właśnie kręca sceny, w których występuje.

W pierwszym rollsie uprzejmości George'a zderzały się z lodowatym milczeniem Cartera i Margaret, która roztargnionym wzrokiem oglądała ocienione palmami ulice. Bryner i Carter byli z sobą po imieniu, gdyż chodzili do tego samego college'u, ale na tym kończyła się ich zażyłość.

Margaret pozostała w hotelu, gdzie również umieszczono bagaże, po czym cały orszak skierował się do wytwórni.

Nareszcie nadszedł czas wyrównania rachunków, którego Bryner tak się lękał. Pierwsze słowa Cartera spadły jak ostrze gilotyny:

– Jakby nie dość było sprzeniewierzenia funduszy przez Holma! Usiłowanie otrucia O'Neilla stawia nasz konglomerat pod pręgierzem opinii publicznej. Kampania prasowa unurza nas w błocie.

– Zapewniam cię, Leslie, że to tylko nieszczęśliwy zbieg wypadków.

– Pomówimy o tym w studiu, George. Po to przecież przyjechałem.

Ponownie zagłębił się w milczącym rozmyślaniu.

– Dzień się źle zaczyna – stwierdził Bryner. – Ale ja nie dam mu się zdeptać.

* * *

Niepostrzeżenie dla nikogo Rhys przyglądał się Bobowi, który czekał, żeby go zawołano na plan. Nieruchomy, blady, zapatrzony w przestrzeń, Flynn jakby stracił chęć do życia. Siedząc na składanym krześle ukrywał chwilami twarz w dłoniach i odsłaniał ją dopiero wówczas, gdy Tuchman wzywał go na plan. Peter kierował nim. z niewyczerpaną cierpliwością, z wyrozumiałością, jakiej odmawiał innym aktorom. Bob wynagradzał brak zapału swą urodą, naturalnością gry. Gdy mijały te napady przygnębienia, odzyskiwał żywiołowość. Wesoły, skłonny do żartów, przyjacielski, interpretował rolę w sposób olśniewający, co cieszyło reżysera i budziło powszechny podziw. To przejście od smutku do zbytniej wesołości i ożywienia nasuwały Rhysowi pytanie, na które nie znajdował odpowiedzi. „Aktorzy bywają przesadni, kapryśni, nieobliczalni” – tym frazesem usprawiedliwiano Boba. „Mimo wad jest aktorem wysokiej klasy”.

Ray zauważył, że w kantynie wytwórni Bob jadał sam, kiedy nie było już tłoku, a wszyscy odchodzili z pełnymi brzuchami. Dziwiło go to izolowanie się od kolegów.

Przypomniawszy sobie, że podczas filmowania jakiejś sceny Bob sprzeciwił się koncepcji reżysera, urażonego nieco usamodzielnieniem się protegowanego. Mimo to zgodził się sfilmować wersję Boba, żeby mu później wykazać niestosowność jego pomysłu. Wieczorem, przy selekcjonowaniu ujęć, Peter stwierdził ze zdziwieniem, że Bob miał rację i że dwóch ekspertów – reżyser i kierownik zdjęć – otrzymało nauczkę od żółtodzioba. „Masz zadatki

na twórcę filmowego, synku!" – powiedział mu kierownik, a Peter uściskał Boba.

Potem już nie krępował się pytać go o zdanie. Bob, któremu nie brak było zdrowego rozsądku, odpowiadał, że nie śmiałby proponować swoich rozwiązań największemu współczesnemu reżyserowi. To, co się raz zdarzyło, było przypadkiem, który nigdy więcej się nie powtórzy.

* * *

Pewnego wieczoru u White'a Rhys popijał koktajl *Far West*, specjalność barmana. Jeff Blyth usiadł obok niego udając, że nie widzi dawnego przyjaciela, Jareda Dahla, siedzącego przy drugim końcu lady. Konflikt między nimi nabrał takiego rozgłosu, że coraz bardziej wrogo odnosili się do siebie; gdyby znaleźli się twarzą w twarz za czasów gorączki złota, z pewnością wyciągnęliby pistolety i pozabijali się nawzajem.

Jeff tylko przez kwadrans dotrzymywał towarzystwa Rhysowi, gdyż Chrys Bryner, z którą był umówiony, przyszła po niego, nie zważając na zazdrosne spojrzenia Jareda.

Anglik został sam, co mu wcale nie sprawiało przykrości. Przyglądał się obojętnie parom, które omal nie podusiły się w tłoku na kręgu tanecznym. Ta sama hałaśliwa muzyka, ta sama atmosfera półbohemy i półsnobizmu, ci sami pijaczkowie i narkomani, ci sami aktorzy, którzy przychodzili tu po to, żeby zobaczyć innych i żeby ich zobaczono, słowem – normalny wieczór u White'a.

Nagle wzrok jego zatrzymał się na Bobie, który wszedł zamyślony, prawie nieobecny i siadł na taborecie zwolnionym przez Jeffa. Nie zauważył obecności Raya, dopóki nie zamówił koktajlu *Golden Down*.

– Dobry wieczór – uśmiechnął się Anglik.

Bob posępnie skinął głową. Twarz miał pochmurną. Przytłaczał go taki smutek, że Ray poczuł współczucie i tkliwość, domagającą się uzewnętrznienia. Zawahał się, czy powinien do niego zagadać; Bob sprawiał wrażenie, że całą uwagę skupia na swoim koktajlu.

– Wiem, że to nie moja sprawa, lecz martwi mnie twoje przygnębienie. Może mógłbym coś dla ciebie zrobić? Byłbym szczęśliwy mogąc ci się czymś przysłużyć.

Bob spojrział nań półprzytomnie, jakby był pod działaniem narkotyku.

– Nigdy nie widziałeś ludzi, którzy mają chandrę?

Wychylił kieliszek, zapłacił i ruszył do wyjścia. Przed drzwiami odwrócił się i uklonił Rayowi. Potem zniknął.

Nazajutrz spotkali się na planie. Anglik najwidoczniej urażony wczorajszym zachowaniem Boba odpowiedział chłodno na powitanie. W tejże chwili podszedł do nich Jeffrey Blythe i odciągnął ich na bok. Twarz jego promieniała.

– Sensacyjna wiadomość! Mój agent przekazał mi ją przed chwilą. Wszyscy trzej jesteście obsadzeni w „Tytanach”, superprodukcji O’Neilla.

– Wiem o tym – odparł grzecznie Ray. – Dziękuję, żeś pomyślał o mnie... i o Bobie – dodał obojętnym tonem.

– Zachowajcie tę wiadomość dla siebie. Nie podpisano jeszcze *dealu*. Ale można powiedzieć, że mamy go w kieszeni... Wiecie, że Leslie Carter, wielki kapłan, przybył do Los Angeles? Będzie tu gorąco.

Asystent wezwał Blytha:

– Niech się pan przygotuje, Jeff! Wchodzi pan na plan!

Blythe poklepał przyjaciół po plecach.

– Zostawiam was, dzieci, powodzenia!

Ray również chciał się oddalić, lecz Bob zawahał się i nagle wziął go za ramię.

– Poczekaj, Ray? Wybacz mi wczorajsze chamstwo! Mam paskudną passę. Bardzo paskudną! Chyba rozumiesz...

Mimo zmartwienia rysy jego wyrażały serdeczność.

Chłód Rhysa stopniał jak kostka lodu wrzucona do wrzątku. Pojednawczy, niemal błagalny ton jego przyjaciela musiał wyrzeć wrażenie. Współczucie, litość, cień uczucia odbiły się na jego twarzy. Od pierwszego spotkania czuł żywy pociąg do tego dziwnego chłopaka, szukającego samotności, całkiem odmiennego od swoich rówieśników, przeżywającego zapewne jakieś bolesne rozterki.

– Przeprosiny nie mają sensu między przyjaciółmi. Chciałem jedynie, żebyś otrząsnął się ze swego przygnębienia, wyzbył się smutku. Byłbym ogromnie szczęśliwy, gdybym mógł przywrócić ci pogodę ducha.

– Dziś w nocy, po naszym nieco pospiesznym rozstaniu, długo o tobie myślałem. Wiem, że mi dobrze życzysz.

– Wbiłem sobie do głowy, żeby ci pomóc, przynieść jakąś pociechę... Ale muszę mieć twoją zgodę, twoje współdziałanie...

– Doceniam, Ray, twoje miłosierdzie.

– Źle mnie zrozumiałeś, Bob. To nie miłosierdzie. Cnotliwy altruizm jest po prostu przebranyim poczuciem wyższości. Ja chciałem złagodzić twoje troski, rozproszyć smutne myśli... Czułem, że cierpisz, i nie mogłem znieść tej myśli.

– Nikt nie może mi pomóc.

– Mylisz się! Spróbuję zrobić wszystko, żeby odsunąć od ciebie kłopoty, niepokoje... żeby ci przynieść ukojenie...

Oczy jego błyszczały. Wzruszenie odmieniło jego twarz.

Bob był poruszony zachowaniem Raya. Udzieliło mu się jego roztkliwienie. Obaj poczerwienieli, serca biły im szybciej, żywy niepokój, niezwykle zresztą przyjemny, rozszedł się jak ogień po całym ciele.

– Ray, niech się pan przygotuje do wejścia na plan! – zawołał asystent.

Dopiero w tej chwili obaj zdali sobie sprawę, że przestali zwracać uwagę na to, co działo się dookoła. Na krzątanie aktorów i techników, na uciążliwe przygotowania do następnej sceny, na rozkazy O'Neilla.

– Już idę! – odparł Ray. Uścisnął dłoń Boba.

– Jestem bardzo szczęśliwy!

* * *

Podczas gdy O'Neill głośno wydawał ostatnie polecenia przed nakręcaniem nowej sceny, Barbara West, dawna piękność, która miała swą epokę chwały, lecz doszedłszy lat pięćdziesięciu nie zdołała odkryć tajemnicy wiecznej młodości, jak Joan Collins, Morgan Fairchild lub Linda Evans, podeszła do niego i, nie panując nad nerwami, powiedziała:

– Chcę pomówić z tobą, Peter!

– Teraz? Nie mogłaby pani znaleźć odpowiedniejszego momentu? – odparł zirytowany.

– Chciałabym wyjaśnić coś, co dotyczy właśnie następnej sceny. Godwin dał mi zmieniony scenopis, w którym moją rolę ograniczono do kilku replik bez znaczenia. Sprowadzono mnie do poziomu statystki.

– Potrzeby filmu mają pierwszeństwo przed wszystkimi innymi względami.

– Czy pan nie rozumie – wykrzyknęła zrozpaczona Barbra – że w ten sposób pan mnie niszczy? Z głównej bohaterki staję się niczym. Tu chodzi o

moją karierę. Publiczność, prasa, wszyscy dojdą do wniosku, że spadłam do rangi drugorzędnych, trzeciorzędnych aktorów. Moja przyszłość...

– Pani przyszłość? Pani jest optymistką!

Na twarzy O'Neilla pojawił się drwiący uśmiech, tak bardzo upokarzający jego rozmówców.

– Jak pan śmie, Peter...

– Jeśli pani potrzebuje czegoś na uspokojenie, jeden z moich ludzi przyniesie pani. Niepotrzebnie pani się unosi. Jeśli sądzi pani, że w takim stanie trudno będzie grać, przejdziemy do innej sceny, która nie wymaga pani obecności. Uprzedzam jednak, że każda minuta opóźnienia spowodowana przez pani kaprysy odbije się na pani gaży.

– Jest pan okrutny, Peter! Okrutny i bezwzględny! Chce mnie pan wymazać z listy aktorów.

Peter mówił dalej z zabójczą cierpliwością, jakby zwracał się do dziecka:

– Musi pani zrozumieć, Barbra, że pani sposób życia się skończył. Musi pani z rezygnacją przyjąć koniec swej kariery. Nie ma pani klasy Elisabeth Taylor ani Katherin Hepburn, które zachowują sławę. Jako pierwsza naiwna była pani nie do pokonania. Teraz musi pani trzeźwo patrzeć w przyszłość. Czy odłożyła pani dość pieniędzy, żeby nie prosić później o zasiłki opieki społecznej? Zresztą jeśli nie jest pani zadowolona, jeśli pani uważa, że jestem niesprawiedliwy, proszę poskarżyć się wiceprezesowi wytwórni, albo samemu Brynerowi. Teraz zapraszam panią na plan. Niech pani zagra rolę zgodnie ze scenariuszem. W przeciwnym razie obędę się w przyszłości bez pani. Może znajdzie pani innych reżyserów, którzy zechcą panią zatrudnić. Gniew Barbry nagle ustał. Pewność siebie opuściła ją całkowicie.

– Sądziłam, że jesteśmy przyjaciółmi, Peter! Traktuje pan gwiazdę jak ostatnią ze statystek!

– Jesteśmy jeszcze przyjaciółmi. Ale poza wytwórnią. Tutaj ja rządę. Aktorzy nie korzystają z przywilejów, kiedy chodzi o film, który ma przynieść setki milionów.

Upokorzona, ze spuszczoną głową, Barbra poszła na plan. Peter stracił jeszcze jedną przyjaciółkę.

* * *

Bob był w siódmym niebie. Poczucie zadowolenia, radości towarzyszyło mu przez dłuższy czas. Miał szczęście, że znalazł punkt oparcia we wrogim świecie. Od dawna Ray zrobił na nim duże wrażenie. Wygląd intelektualisty, szlachetna dystynkcja, umyślne izolowanie się od ludzi, słodycz głosu, opanowane ruchy, całe zachowanie Raya fascynowało dziewczęta i budziło zazdrość chłopaków. Bob nie podzielał uczucia zazdrości. Ray wydawał mu się postacią z innej planety. Nigdy by nie marzył, żeby stać się kimś takim, jak jego przyjaciel. Dzieliło ich wszystko: przeszłość, pochodzenie społeczne, język, wychowanie. I nagle ci dwaj młodzi ludzie tak różni od siebie, mający tylko jedną wspólną cechę, piękność fizyczną, która wynosiła ich ponad zwykłych śmiertelników, odkrywali wzajemne przyciąganie. Do tej pory raczej unikali się nawzajem, obawiając się, że ich charakter, koncepcja życia, rywalizacja, która powinna by ich normalnie rozdzielić, stworzą przeszkodę nie do pokonania. Zdarzył się cud, albo to, co Bob uważał za cud. Miał ochotę otworzyć swe serce, odkryć swe tajemnice, swoje najskrytsze myśli.

Jared, będący świadkiem tej narastającej zażyłości, oświadczał cynicznie: „Najlepsi dzisiaj przyjaciele będą jutro najzawziętymi wrogami!” Odnosiło

się to do Jeffa Blytha, jego dawnego bożyszcza. Chcąc mu dokuczyć zaczął krążyć jak paw wokół Chrys, która nie pozostawała obojętna na jego umizgi.

Celem Raya, który nareszcie w przyziemnej atmosferze studia znalazł sens swojej egzystencji, stało się rozproszenie smutku i przygnębienia Boba, przywrócenie mu stosownej dla jego wieku radości życia i otwartości wobec ludzi. Toteż chętnie przyjmował jego zaproszenia i często bywał w jego domu.

Po męczącym dniu pracy siadywali na szeszlonych przy basenie i popijali koktajle. Pewnego wieczoru Ray spojrział rozmarzony na rozgwieżdżone niebo i odezwał się miłym, śpiewnym głosem:

– Sądzę, że moje miejsce powinno być tam, wśród gwiazd. Twoja gwiazda błyszczałaby wiecznie obok mojej. Astronomowie zaznaczyliby je na mapach nieba i wielbiciele piękna podziwialiby je jako ozdobę Drogi Mlecznej.

Taki sposób wyrażania uczuć był dla Boba zupełną nowością. Nie przerywał jednak przyjacielowi, gdyż lubił wsłuchiwać się w jego melodyjny głos, nie wgłębiając się w sens słów.

– Schopenhauer utrzymywał, że młodość pozbawiona urody ma zawsze pewien urok, natomiast piękność bez młodości już go nie ma. Myślę, że nie miał racji, bo piękno jest nieśmiertelne. Obraz Rembrandta czy symfonia Beethowena, waza florencka czy statuetka z Tanagry przetrwają tysiąclecia. Chyba że Schopenhauer miał na myśli jedynie istoty ludzkie, których piękno jest nietrwałe, a jego utrata w pewnym wieku jest bolesnym przeżyciem. Ślad piękna ma bodaj większą wartość niż wszystkie skarby świata.

Ray wciąż patrzył w górę, jakby chciał objąć wzrokiem ogrom niebieskiego sklepienia.

– Mówi się, że człowiek to najpiękniejszy twór natury. A przecież piękność w ludzkim rozumieniu jest tworem wyobraźni. Dla męża zakochanego w żonie jest ona pępkiem świata. Dla innych – osobą bez wdzięku. Gdyby tylko naprawdę piękne kobiety ekscytowały mężczyzn, ludzkość stopniowo by wyginęła.

Ray czuł się wspaniale. Powoli sączył koktajl. Objął przyjaciela tkliwym spojrzeniem i ciągnął dalej:

– W rzeczywistości miłość i piękno – to tylko urojenia. Kochankowie przekonani, że znaleźli szczęście w miłosnym uścisku, są jedynie narzędziem natury, dążącej do przedłużenia gatunku. Pewnego dnia ona znudzi się i położy kres ludzkości, tak jak położyła kres panowaniu dinozaurów, których nagłe i tajemnicze zniknięcie dotąd pozostaje zagadką.

– Dzisiaj ciebie nawiedzają czarne myśli.

– Wybacz, jeśli cię zanudzam. Niekiedy bywam męczący.

– Jesteś wspaniały, Ray. Ukazujesz mi inny świat. Wprawdzie przeczytałem sporo książek, ale moja wiedza jest wyrywkowa. Im dłużej cię słucham, tym bardziej podziwiam twoje wykształcenie.

– Wykształcenie? – roześmiał się Ray – na cóż ono potrzebne? Hollywood daje równe szanse kelnerom i maszynistkom, kierowcom i sprzedawcom kokainy, nicponiom i maminsynkom, którzy otrzymali staranne wychowanie i mają forsy jak lodu. Spójrz tylko na Jareda i Jeffa. Pochodzą z odmiennych środowisk, lecz obaj obracają się dziś wśród milionerów, udzielają wywiadów na prawo i lewo, otrzymują gaże w kwotach z pięcioma czy sześcioma zerami. Wielbiciele wyrywają sobie ich fotosy. Miliony ludzi spędzają znaczną część życia przed ekranami. Kino i telewizja wciąż lansują nowych aktorów, bo choć publiczność ma sentyment do dawnych bohaterów,

to szaleje za nowymi idolami. Tobie się udało zafascynować widzów tak, jak to niegdyś zrobił James Dean.

Twarcz Boba nagle spochmurniała.

– Będę żył równie krótko jak on. Rhys zaprzeczył energicznym gestem.

– Ależ nie! Bo ja będę czuwał nad tobą. Będę twoim aniołem stróżem. .

Położył rękę na chłodnej dłoni Boba.

– Martwisz mnie. Sądziłem, że udało mi się rozchmurzyć twoje czoło.

Objął Boba i oparł policzek na jego ramieniu.

– Wysunąłeś się na czoło naszego aktorskiego pokolenia. Nie bacząc na moje wykształcenie to ja idę w ślad za tobą.

* * *

Po burzliwym posiedzeniu Rady administracyjnej konglomeratu, któremu przewodniczył Leslie Carter, Neville Holm został usunięty ze stanowiska. Znalaziono aż za wiele obciążających go dowodów, aby sformułować akt oskarżenia. Stwierdzono, że fundusze przeznaczone na produkcję najkosztowniejszych filmów zostały sprzeniewierzone. Znaczna ich część trafiła do kieszeni Holma. Mimo to Rada postanowiła nie kierować sprawy do sądu, aby nie ściągać uwagi fiskusa na defraudacje poczynione ze szkodą dla niego.

Zbadano też uważnie działalność Brynera. Obciążanie wyłączną odpowiedzialnością Holma byłoby po prostu śmieszne. Bryner zawinił co najmniej przez brak kontroli i zaniedbywanie obowiązków. Część dokumentów wskazywała jeśli nie na jego udział w defraudacji, to w każdym razie na przymykanie oczu. Szachrajki finansowe, w których Holm okazał się mistrzem, kosztowały wytwórnę około piętnastu milionów dolarów.

Zważywszy, że konglomerat obracał bilionami, defraudacje Holma mogły ujść niezauważone.

Wyrok w sprawie Brynera został odroczone. Leslie oświadczył, że ze względu na jego stanowisko sprawę musi rozpatrzyć Rada Administracyjna konglomeratu, gdyż tylko ona ma prawo wykluczyć kogoś ze swojego grona. Miano go wezwać do Nowego Jorku, aby mógł przedstawić argumenty na swoją obronę.

Sądząc, że Leslie z przyjemnością przygląda się jego agonii, George stwierdził, iż właściwie powinien był napisać list z prośbą o dymisję i poszukać sobie innego zajęcia. Przecież to dzięki jego doświadczeniu, zdolnościom, pracy, a zwłaszcza nowoczesnym koncepcjom, „XXI Century” znajdująca się na krawędzi bankructwa stała się kwitnym przedsiębiorstwem przynoszącym duże zyski. Nie chciał myśleć, że sukces ten zawdzięczał w dużej mierze O'Neillowi, który sam jeden dawał wytwórni więcej zysków niż wszyscy inni reżyserzy razem wzięci.

Po wyjeździe Cartera, George usiłował chłodno zastanawiać się nad sytuacją. Przecież taki Begelman z „Columbii”, który sfalszował czek Cliffa Robertsona i zainkasował pieniądze za sfalszowane rachunki w restauracji Grobeau, został wprawdzie wyrzucony z wytwórni, lecz znalazł lepszą posadę w MGM. Ciągano go po sądach, to prawda, lecz w końcu został uniewinniony. Ale po ilu przykrościach, wydatkach, kłopotach! George nie mógł sobie pozwolić na zwłokę. Bodaj kilkumiesięczna utrata poborów równałaby się katastrofie. Wysokie koszty utrzymania domu i rozrzutność Glorii zmusiły go do przyjmowania pożyczek od Holma, pożyczek, których nigdy mu nie zwracał. Z tej to racji, aczkolwiek sam nie robił nadużyć, pozwolił Holmowi na defraudacje i podpisał kilka kompromitujących dokumentów.

Znalazł się na skraju przepaści. Czy będzie musiał wyrzec się władzy? Opuścić swój wytworny gabinet? Rozstać się z armią ludzi pracujących pod jego rozkazami? Wyobraził sobie drwiące uśmieшки członków rady administracyjnej w Nowym Jorku, wielkie nagłówki w dziennikach, które nie omieszkają rozgłosić sprawy i rzucić go na pastwę opinii publicznej.

– Nowy Jork do pana – oznajmiła sekretarka. – Mister Carr chce mówić z panem.

„No proszę! – westchnął Bryner. – Carr osobiście chce mnie posiekać na kawałki”. Wyobraził sobie jego tryumfującą minę.

– Połącz mnie, Delio!

Głos Carra zabrzmiał nader uprzejmie.

– Dzień dobry, George. W środę o dziesiątej rano czekamy na ciebie w naszej siedzibie. Rada administracyjna zbierze się w komplecie. Przygotuj dobrze obronę. Musisz odeprzeć zarzuty, że współdziałałeś z Holmem. Do widzenia, George!

Nie dał mu nawet czasu na odpowiedź.

* * *

Peter O'Neill filmował plenery na dzikim, wspaniałym brzegu Big Sur. Potężne fale, okryte zielonkawą pianą, nacierały na wzgórza o urwistych zboczach i z ogłuszającym hukiem rozpryskiwały się o skały. Gwałtowny przybój wył i ryczał.

Duża motorówka uniesiona przez rozszalałe, spienione żywioły miała rozbić się na podwodnych rafach i roztrzaskana w drzazgi zatonać w morskich odmętach. Sfilmowanie tej sceny nastęczało wielkich trudności. Kaskaderzy, spece od niezwykłych efektów i kamerzyści stanęli jednak na wysokości

zadania. Po sfilmowaniu widoków i niebezpiecznych scen z udziałem kaskaderów, przed kamerami pojawili się Bob, Ray i Isabelle, wszyscy przemoczeni do nitki, potargani, jakby tylko co wyszli z wody. Odegrali swoje role w sposób cudownie naturalny tworząc wiarygodne postaci.

Wieczorem, po zdjęciach, Isabelle stanowczym krokiem weszła do garderoby O'Neilla urządzonej w przyczepie samochodowej. Reżyser omawiał z kierownikiem zdjęć plan pracy na dzień następny.

– Chciałabym pomówić z tobą, Peter. Czy mógłby pan zostawić nas samych, Frank? Chodzi o sprawy osobiste.

– Dobrze, dobrze! – kierownik skwapliwie się wycofał. O'Neill nie wydawał się zaskoczony gwałtownym wtargnięciem Isabelle.

– Otrzymałam rozwód! – oznajmiła zdyszana.

Oczy jej błyszczały, nie potrafiła opanować drżenia rąk. – Teraz jestem wolna jak ptak. Na co jeszcze czekasz?

– Na co czekam?

– Dziwne pytanie. Kiedy rozwiedziesz się z twoją dziwką? Przecież mi to obiecałeś!

– Skądże! Postawmy sprawę jasno. Powiedziałaś mi, że pragniesz odzyskać wolność, abym ja z kolei mógł się rozwieść i połączyć się z tobą na zawsze, na dobre i złe. Jeśli jednak chodzi o mnie, to nie przyrzekałem ci niczego. Ty masz dwadzieścia kilka lat, ja zbliżam się do sześćdziesiątki. Ludzie pytaliby się w merostwie, czy nie jestem ojcem, prowadzącym córkę do ślubu w oczekiwaniu na przybycie pana młodego.

– Skończ z żartami! Mówię poważnie.

– Nie chcę psuć ci życia, Isabelle. Ani sobie. Pewnego dnia miałabyś dość starego męża i wyrzuciłabyś mnie na śmietnik.

– Wiesz, że dla mnie wiek nie ma znaczenia. Kocham cię, Peter! Zawsze cię kochałam! Czy nie dałam ci dowodów przywiązania, czułości, najszczęśliwszych uczuć?

– Czy tylko mnie jednemu?

– Bezzasadna impertynencja!

– Miłość jest słodsza poza małżeństwem, kochanie. Poczucie posiadania osłabia namiętność. Nuda ciąży nad pożyciem małżeńskim i zmienia je w pańszczyznę. Nic tak nie nuży jak przyzwyczajenie. Dzielić łożę co noc z tą samą osobą – to nie do zniesienia. Miłość ulatuje, kochanie, pomimo najuroczystszych przysięg. Nic nie może oprzeć się upływowi czasu! Nic a nic! Odczuwa się jedynie pustkę, nieznośną pustkę, której niepodobna zapełnić... Jedynym ratunkiem jest znalezienie nowego kochanka czy kochanki, którzy przynoszą odmianę, tak upragnioną przez każdego człowieka.

– Mimo to wolisz zatrzymać przy sobie Annę, tę wstrętną nimfomankę, która co dzień ozdabia ci czoło nową parą rogów.

– Wcale tego nie wolę. Poddaję się tylko, ponieważ mam coś jeszcze do zrobienia.

– To twoje ostatnie słowo, Peter?

– Nie! Rzeczy ułożą się prędzej, niż myślisz.

– Mów jaśniej!

– Proszę cię tylko o zwłokę.

– Wciąż mówisz o zwłoce! Mam tego dosyć!

– Muszę jeszcze zrobić kilka filmów, zadbać o dzieci. Gdy tylko skończę to wszystko, pomyślę o życiu prywatnym, o tobie i o naszej miłości.

W oczach Isabelle zabłyśły błyskawice. Chciała dorzucić kilka ostrych słów, lecz powstrzymała się i wyszła trzaskając drzwiami.

Drwiący uśmiech zniknął z twarzy O'Neilla ustępując miejsca wielkiemu rozgoryczeniu.

* * *

W czasie zdjęć na Big Sur Bob i Ray korzystali wspólnie z garderoby. Połączenie zbytku z komfortem stwarzało doskonałą całość. Natrysk, łóżka, doskonale wyposażona kuchenka, toaletka oświetlona mnóstwem żarówek i zaopatrzona w arsenał niezbędny do charakteryzacji, szerokie, niskie fotele – wszystko to razem stwarzało warunki wysoko cenione przez aktorów, którzy chcieli odizolować się od „pospółstwa”.

Bob wziął gorący natrysk, gdyż trząśnięcie się z zimna po kręceniu filmu w mokrym ubraniu. Rozsunął plastikowe zasłonki, wrzucił na siebie biały płaszcz kąpielowy i z rozkoszą usiadł w fotelu. Na stoliczku obok znalazł podwójny grog.

– Dla rozgrzewki – powiedział Ray, który szcękając zębami jął ściągać z siebie nasiąknięte wodą łachy, rzucając je kolejno na podłogę.

– Pomyślałeś o zrobieniu dla mnie grogu, kiedy sam jeszcze byłeś w mokrych ciuchach? – zdziwił się Bob wzruszony tym dowodem troskliwości.

– Było mi cię żal, kiedy widziałem, jak się trzęsiesz. Gorący grog na pewno dobrze ci zrobi.

Bob z rozkoszą popijał parujący napój; jednocześnie patrzył z zachwytem na posągowe ciało Raya, który rozbierał się przed wejściem pod natrysk. Puścił obfity strumień ciepłej wody, aby pozbyć się gęsiej skórki wywołanej zimnem. Dopiero po kwadransie wyszedł z kabiny.

– Co za rozkosz! Jaka frajda! Rozejrzył się za płaszczem kąpielowym.

– Gdzie, u diabła, go położyłem?

Bob podziwiał jego młodzieńczą sylwetkę.

– Starożytny rzeźbiarz powiedziałby, że twoje ciało ma cały wdzięk młodości.

Ray odnalazł wreszcie płaszcz kąpielowy i nieco przesadnym ruchem udrapował na sobie jego fałdy.

– Starożytni nie widzieli w nagości nic wstydliviego. Przeciwnie, podziwiali piękno ciała i uwieczniali je w rzeźbach tak doskonałych, że nawet najwstydlivisi z papieży pogodzili się z ich obecnością w ogrodach watykańskich.

– Grog czeka na barku, Ray.

– Chciałeś mi się zrewanżować. Dzięki.

Ujął szklankę w obie dłonie i osunął się na fotel; poły płaszcza rozchyliły się przy tym odsłaniając uda. Zakrył je speszony osobliwym spojrzeniem Boba. Powoli wypił grog.

– Znakomity! – stwierdził. – Posłuchaj, dziś wieczorem Lukullus podejmuje obiadem Lukullusa. Przyrządź koktajl z krewetek, zupę rybną *bouillabaisse*, łopatkę jagnięcą z pietruszką i na deser puchar Amarena. Trzeba ci wiedzieć, że jestem prawdziwym *Cordon Bleu*.

– *Cordon Bleu*?

– Diuk Richelieu, marszałek Francji, był również wyśmientym kucharzem. To on wymyślił majonez podczas oblężenia Port Mahon, hiszpańskiej twierdzy. A ponieważ nosił Błękitną Wstęgę św. Ducha, najwyższy order francuski za czasów królestwa, weszło w zwyczaj przyznawanie na jego pamiątkę tytułu *Cordon Bleu* kucharzom najwyższej klasy.

– Czy to pan Lukullus nauczył cię sztuki kucharskiej?

– Lukullus był jednym z najbogatszych ludzi w starożytnym Rzymie i sławnym smakoszem. Niemal każdego wieczoru zapraszał przyjaciół na ucztę, które zyskały nieśmiertelną sławę. Pewnego dnia, kiedy obiadował sam, odniósł wrażenie, że menu było nie dosyć wymyślne. Wezwał więc ochmistrza i zrobił mu wymówkę. Ochmistrz odpowiedział, że kucharz sądził, iż kiedy nie ma gości, menu może być mniej wyszukane. Na to pan domu stwierdził wyniośle: „Dzisiaj Lukullus podejmuje obiadem Lukullusa. Czy to nie dosyć?”.

– Kto więc nauczył cię gotować?

– Moja babka. Żyła w nieustannym strachu przed komunistami. „Jeśli Rosjanie zawojują Europę, zawód kucharza będzie użyteczniejszy niż wszystkie dyplomy z Oxfordu i Cambridge”. Takim oto sposobem mogę cię zaprosić na obiad przygotowany przeze mnie.

– Czy konieczne są stroje wieczorowe? Mam włożyć smoking?

– Jeśli chcesz... dlaczegoż by nie. Sądzę jednak, że możemy zostać w szlafrokach.

– A co ja mam robić, kiedy ty będziesz robił wyzerkę?

– Powtórz repliki w scenach, które nakręcimy jutro.

– Wystarczy mi je przejrzeć przed wejściem na plan. Nie mógłbym ci pomóc? Obiecuję, że nie będę ci przeszkadzał... Posłusznie wypełnię twoje polecenia.

Ray uśmiechnął się. Lekkie zaróżowienie twarzy, spowodowane gorącym natryskiem i porcją grogu, lśnienie oczu i dołeczki w policzkach dodawały mu chłopięcego wdzięku. Podwinął rękawy, otworzył lodówkę, wyjął odpowiednie produkty i zaczął przygotowywać ucztę. Jego dłonie o delikatnych palcach

manipulowały zręcznie różnej wielkości garnkami, patelniami, rożnami, rusztami, czajnikami, zapalały gazową kuchenkę i piecyk. Później przyrządził sałatkę, jarzyny, sosy, pieczeń i doprawił odpowiednio każdą potrawę. Od czasu do czasu prosił Boba o drobne przysługi, które on starał się spełnić jak najlepiej. Kuchenka była wąska, więc co chwila ocierali się o siebie.

Ray starał się nie tylko jak najsprawniej obierać jarzyny, gotować je, krajać w plastry, piec, smażyć, lecz również prowadzić rozmowę, jakby chciał ukryć swe zmieszanie.

– Ilekroć urządzam się w tej przyczepie, mam wrażenie, że pędzę życie cyrkowców. Kiedy byłem dzieckiem, często chodziłem do cyrku w towarzystwie babki, jedynej osoby w rodzinie, która znosiła te żałosne widowiska upiększone przez moją wyobraźnię.

Mówił spokojnym, łagodnym głosem, ukrywając wzruszenie łatwo dostrzegalne dla Boba, który odczuwał najsubtelniejsze odcienie podniecenia cielesnego. Pomimo życzliwości i pociągu do młodego Anglika, nie wiedział, jak zareagować.

Policzki Raya pałały. Ciepło kuchni, a może podniecenie budziło w nim niepokój. Stykając się z nim na skutek ciasnoty Bob wyczuwał jego wzburzenie, ilekroć drżące ciało Raya ocierało się o niego.

W pewnej chwili Ray położył dłoń na ramieniu Boba, jakby chciał go odsunąć, aby móc przejść obok. Ale uścisk ten się przedłużył. Oczy ich się spotkały. Bob przez mgnienie doznał uczucia wstępu, jaki budzili w nim podnieceni klienci, którzy kładli ręce na jego ciele. Wyrwał się raptownie i opuścił kuchenkę.

Znalazłszy się w pomieszczeniu służącym za living-room, pożałował mimowolnego odruchu, brutalnego odepchnięcia swego przyjaciela. Ray przekazał mu tylko swoje zmieszanie, swój niepokój.

Wsluchiwał się w odgłosy dochodzące z kuchenki, starał się wyobrazić nastrój Raya, jego zażenowanie. Bob, uprawiający niegdyś prostytutkę na 42. ulicy, uwodzicielski tancerz z baru dla kobiet w rui, zachował się jak spłoszona dziewczica wobec przyjaciela, który go pragnął. A może źle zrozumiał jego zakłopotanie?

Wychylił dwie szklaneczki whisky, żeby nieco uładzić swe myśli. I w nim wzmagало się podniecenie. Wszystko ich zbliżało ku sobie: wiek, wspólne skłonności, uroda; ilekroć oglądali się z bliska, odnosili wrażenie, że widzą swe odbicie w lustrze.

– Obiad gotowy! – rozległ się pozornie rozweselony głos Raya.

Nie patrząc na Boba nakrył do stołu, zapalił świece, których tańczące płomyki odbijały się w srebrnych nakryciach. Przyniósł szampana i sałatkę z krewetek. Doprawdy był *cordon bleu*. Chcąc przerwać kłopotliwe milczenie Bob włączył magnetofon. Zabrzmiał niepowtarzalny, pełen ekspresji głos Michaela Jacksona.

– Wspaniała sałatka! – pochwalił, aby rozproszyć dwuznaczny nastrój.

Wyborny obiad okazał się mimo wszystko fiaskiem. Biesiadnicy ledwo mogli przełknąć wyrafinowane potrawy. Mieli ściśnięte gardła. Po deserze Bob zwrócił się do przyjaciela:

– Teraz ja pozmywam.

Ray nie protestował.

– Jeśli chcesz mi oszczędzić tej roboty, to się położę. Jestem bardzo zmęczony. Myślę, że się przeziębilem podczas zdjęć. Byłoby zresztą lepiej,

gdybyś i ty się położył. Jutro służąca zrobi porządek w kuchni. Dobranoc. Życzę ci pięknych snów.

– Dobranoc, Ray. I raz jeszcze dzięki za obiad!

Odwróciwszy się wstydliwie plecami do Boba, Ray przebrał się w piżamę i wsunął do łóżka.

Bob był zrozpaczony. Wyrzucał sobie, że opacznie zrozumiał przyjaciela i spowodował rozdźwięk między nimi. Kochał Raya. On, który nie miał rodziców ani przyjaciół, cieszył się, że wreszcie nie jest sam. A teraz wszystko zepsuł. Powróci do samotności, która mu wciąż towarzyszyła.

Włożył piżamę – wbrew zwyczajom – i wyciągnął się na łóżku, vis-a-vis Raya. Dławiło go rozgoryczenie. Jedna myśl chodziła mu wciąż po głowie. Żeby wsunąć się do łóżka Raya i zasnąć przy nim. Ale uznał to za niedorzeczność. Zgasił światło i zamknął oczy. Nie zdołał jednak zasnąć. O świetle jeszcze wpatrywał się w biały sufit garderoby. ...

Porucznik Hatcher otrzymał pilny telefon. Wystraszony Benjamin, kamerdyner O'Neilla, powiadomił policjanta, że reżyser tylko cudem uniknął ukąszenia żmii zwiniętej pod poduszką na jego łóżku.

W pół godziny później porucznik i jego ludzie przybyli do willi O'Neilla. Czwarta próba morderstwa świadczyła o tym, że jego nieprzyjaciele nie porzucili swojego zamiaru. Dziesięć minut później Gideon Spack wpadł jak trąba powietrzna. Zazwyczaj zjawiał się tylko tam, gdzie popełniono morderstwo. Ale prokurator generalny domagał się wykrycia winnych. Nie godził się z hipotezą, że mógłby to być płatny morderca. Ci specjaliści używają precyzyjnej broni palnej i nigdy nie chybiają celu. O'Neill był napastowany przez amatorów, osoby ze swego otoczenia: kolegów, aktorów, techników, scenarzystów, porzucone lub zazdrosne kobiety...

Hatcher w obecności Spacka wypytywał zarówno służbę jak i członków rodziny, zirytowanych ponownym śledztwem. Spack prosił jedynie o wyjaśnienia spraw dotąd niejasnych.

Poprzedniego dnia, po powrocie z Big Sur, Peter wydał obiad na cześć kilku przyjaciół. Przyjęcie niezbyt ożywione przeciągnęło się do pierwszej po północy, kiedy gospodarz oddalił się do swej sypialni. Podczas gdy Benjamin z Kimem sprząтали salony i jadalnię, dobiegły ich krzyki z pokoju O'Neilla. Zaalarmowani wbiegli na schody przeskakując po kilka stopni i wpadli do sypialni. Zastali tam O'Neilla w piżamie, stojącego pośrodku pokoju; nie mogąc wykrztusić słowa wskazywał im martwą żmiję w swoim łóżku. Roztrzaskał jej łeb lampą o ciężkiej, metalowej podstawie. Później, gdy odzyskał mowę, wyjaśnił im, że przed położeniem się do łóżka spostrzegł, iż poduszka była nieco przekrzywiona. Podniósł ją, aby położyć ją w normalnej pozycji. Wówczas to ujrzał żmiję podnoszącą z sykiem trójkątną głowę. Dzięki przytomności umysłu oraz szczęśliwemu przypadkowi chwycił lampkę stojącą na nocnym stoliku i jednym ciosem zabił gada.

Anna, Robby i Shirley, którzy również nadbiegli do sypialni O'Neilla, potwierdzili zeznania służących. Porucznik zażądał listy zaproszonych gości i znalazł na niej nazwiska bardzo znane w świecie filmu. Nazajutrz dowiedział się w studiu, że O'Neill miał dość gwałtowne rozmowy z Barbrą West oraz Isabelle. Należało również pamiętać o sprzeczce wywołanej w gabinecie reżysera przez Darrela Brightona, którą Kim przypadkiem usłyszał.

Tak więc podejrzanych nie brakowało. Spack z sadystyczną przyjemnością przesłuchiwał aktorów i zakłopotanych urzędników. Oblegającym go reporterom odpowiadał niezmiennie: „Żadnych komentarzy!”

W parę dni później podał jednak sensacyjną wiadomość: „Prowadzący śledztwo mają już pewne dane, które pozwolą im wkrótce wyświetlić tajemnicę”. W rzeczywistości chciał zastraszyć sprawcę, bądź sprawców, i zmusić ich do popełnienia błędów lub nieostrożności. Podstęp ten jednak okazał się równie nieskuteczny, jak zawracanie kijem rzeki.

Oscar Weinstein uprzedził go, że burmistrz osobiście zainteresował się tą sprawą, która w podejrzanym świetle stawiała środowisko filmowe.

– Muszę mieć wyniki! – nalegał. – Jeśli nie czuje się pan na siłach, powierzę sprawę komu innemu.

Hatcher w porozumieniu ze Spackiem postanowił przydzielić dwóch inspektorów do śledzenia O'Neilla, bez jego wiedzy oczywiście. Wozy policyjne miały patrolować okolice jego willi.

VI

Samolot pasażerski, który wystartował z Los Angeles i miał przemierzyć **1915** mil w linii prostej przed wylądowaniem w Nowym Jorku, unosił się nad zbitymi chmurami rozpościerającymi się aż po kres horyzontu. Słońce uwydatniało ich olśniewającą biel. Zdawało się, że maszyna ledwo posuwa się w przestworzach. Nieskalana pustynia obfitowała w fantastyczne pejzaże, w faliste wydmy, rzucające wąskie strefy cienia na puszysty ocean, który unosił się wysoko nad ziemią.

George Bryner patrzył przez okienko na ten cudowny widok, ale nie dostrzegał niczego, zaprzątnięty chaosem myśli. Rozpaczliwie starał się zbudować skuteczny system obrony, który miałby go uchronić od napaści przeciwników. Wyobrażenia ukazywała mu długi, lśniący jak lustro stół i siedzących wokół niego ludzi o ponurych, okrutnych twarzach, mięczaków, którzy wykonywali ślepo rozkazy wielkiego szefa. Carter oznajmiał swe decyzje bezbarwnym, bardzo spokojnym głosem. Kiedy milczał, siedział nieruchomo jak kamienne posągi zdobiące świątynię w Angkor Vat. Mimo że wyglądał na istotę kruchą i niezmiernie elegancką, miał serce twarde jak skała. Leslie tylko czekał na to, żeby kogoś zmiażdżyć.

Podczas jego oficjalnej wizyty w Los Angeles George uczestniczył w spotkaniu, podczas którego postawiono Holma pod pręgierzem opinii. Spadał na niego deszcz oskarżeń, rozłożono przed nim dokumenty, które wprawiały go w zmieszanie, miano go zniszczyć, rozszarpać na strzępy. Nawet jego dawni przyjaciele wzięli się na niego, żeby tylko przypodobać się wielkiemu bonzie, który obojętnie przysłuchiwał się debacie splótłszy na stole smukłe palce o wymanikiurowanych paznokciach. Delektował się męczarnią Holma,

aczkolwiek nie dawał tego poznać po sobie. „Leslie – myślał George – jest najokropniejszym sadystą”. Jedyńm człowiekiem, który nie obciążał Holma, był – o paradoksie! – ten, który puścił w ruch maszynę mającą go zniszczyć: Peter O'Neill.

Na nie zajęty do tej pory fotelu obok Brynera usiadł facet ubrany w nieskazitelny, ciemnoniebieski garnitur. Biała, jedwabna koszula, krawat *Comtesse Mara*, pantofle z krokodylej skóry, złoty zegarek na złotej bransoletce, brylantowa szpilka w krawacie i brylantowe spinki w mankietach – wszystko to świadczyło o zamiłowaniu do ostentacyjnego zbytku. Z wykwintem ubraniowym kontrastowała twarz o wulgarnych rysach, znamionujących twardość i okrucieństwo drapieżnego ptaka. Czarna grzywka przesłaniała połowę gładkiego czoła. Oczy również czarne spoglądały badawczo, przenikliwie, sondowały intencje rozmówcy. Na pozór zgaszone i bez wyrazu miały niekiedy okrutne błyski. Mógł mieć około czterdziestki.

– Dzień dobry, mister Bryner!

George spojrział nań ze zdziwieniem.

– Dzień dobry! – odparł obojętnie.

– Zasiedziałem się w barze. Dopiero *New Orleans Side Car* przywrócił mi rześkość... Pan nie wie, kim jestem, ale ja pana znam.

– I co z tego?

– Lubię stawiać sprawy jasno. Nie patyczkować się. Wiem, że leci pan do Nowego Jorku, żeby złożyć wyjaśnienia przed radą, która jest wrogo do pana nastawiona. Gotowi są pana rozszarpać. Mogę jednak obrócić sytuację na pańską korzyść. Zachowa pan stanowisko, prawa i przywileje. Finansowanie wytwórni będzie zapewnione. Proszę tylko o to, by pan nie interesował się, z jakiego źródła pochodzą te fundusze. Nie ma pan wyjścia, mister Bryner.

Tylko ja mogę pana uratować. Dzięki mnie może pan wrócić do Los Angeles z podniesionym czołem.

– Niech pan najpierw powie, kim pan jest?

– Moje nazwisko niczego panu nie wyjaśni. Nazywam się Angelo Lombardo, mam hotele i kasyna gry w Las Vegas, Atlantic City i na Antylach. Dzięki moim wpływom i za pośrednictwem kilku przyjaciół, którzy wchodzi w skład Rady administracyjnej konglomeratu „Uniwersal” zostanie pan oczyszczony ze wszystkich zarzutów. Spodziewam się, że na najbliższym, zwykłym zgromadzeniu ogólnym akcjonariuszy spora ich grupa oderwie się od pańskiego przyjaciela Leslie Cartera. Te szczegóły zresztą tylko pośrednio pana obchodzą.

George zrozumiał sens złożonej mu propozycji. Miał wejść do sieci, która wybielała pieniądze.

– Fundusze, o których mówię, przejdą przez zagmatwany labirynt, aby nikt nie mógł odkryć ich źródła. Dosyć już panu powiedziałem.

George ujrzał przed sobą pajęczą sieć, z której nigdy już nie mógłby się wyrwać. Miałby służyć mafii, organizacji zbrodni, jak ją oficjalnie nazywano, otrzymywać rozkazy od Lombardo i jego wspólników. W zamian za to zyskałby potężnego sojusznika. Rozporządzałby wielkimi pieniędzmi, pozbyłby się wszystkich długów, wszystkich kłopotów. Mógłby spać spokojnie.

– Zgoda, mister Lombardo.

– Angelo, dla przyjaciół.

– George, dla pana.

– Doskonale, George. Będzie pan miał okazję zobaczyć, jak Leslie Carter straci swój olimpijski spokój.

Ambicje O'Neilla wzrastały przy każdym następnym filmie. Jeśli filmował pościg za samochodem, musiał on być lepszy niż wszystko, co dotąd nakręcono.

Głos jego zabrzmiał donośnie:

– Przechodzimy do następnej sceny. Klaps!

Akcja rozgrywała się w środku nocy na ulicach Westwood i West Los Angeles. Bob i Ray, niegdyś najlepsi przyjaciele, znienawidzili się śmiertelnie z powodu dziewczyny, która kokietowała ich obu i swoją zalotnością doprowadziła ich do rozpacz. Bob siedząc za kierownicą buicka czatował na Raya pod domem ukochanej; gdy tylko rywal wyszedł z bramy, wpadł nań z całym impetem.

Teraz Bob pruł przestrzeń uciekając przed wozami policji, które prowadzili doświadczeni kaskaderzy. Osiem kamer i kilka ekip elektryków obsługujących reflektory pracowało pod kierownictwem O'Neilla, który zwiększał liczbę ujęć dla spotęgowania dramatyzmu tego polowania na człowieka. Bob grzecznie, lecz stanowczo odrzucił sugestie reżysera, który chciał, by kaskader zastąpił go w sytuacji szczególnie niebezpiecznej.

– Ryzykujesz życie własne i operatorów jadących z tobą.

– Nie chcę oszukiwać widzów. Na tyle już opanowałem kierownicę, że nie boję się kraksy. Obiecuję, że będę ostrożny.

O'Neill sądził, że domyśla się prawdziwych powodów takiej decyzji Boba. Ku zdziwieniu swoich współpracowników, znających jego nieustępliwość, przestał nalegać.

Mimo pewności siebie, jaką popisywał się przed otoczeniem, Bob prowadził buicka nerwowo. Scena upadku Raya pod koła jego wozu –

aczkolwiek tylko zrećnie upozorowana – wywarła na nim silne wrażenie. Obawiał się, by dwaj kamerzyści, z których jeden siedział obok niego a drugi w głębi auta, nie spostrzegli jego prawdziwego wzburzenia, znacznie przewyższającego wymagania roli. Prowadził z szaloną prędkością, jakby chciał wyzwać los.

Śmierć Raya, przewidziana wprawdzie w scenariuszu, przerażała go, gdyż częstokroć utożsamiał się z postaciami, w które się wcielał.

Dopatrywał się w tym złej wróżby. Po przeczytaniu sceny przedstawiającej śmierć przyjaciela, późno w nocy miał sen, w którym zabijał Raya, chociaż pragnął go oszczędzić. Ray stał nieruchomo przed buickiem. Bob patrzył nań ze zgrozą. Za wszelką cenę pragnął uniknąć wypadku, lecz kierownica odmawiała mu posłuszeństwa, hamulce przestały działać i buick sunął wprost na ofiarę, która z rezygnacją oczekiwała śmierci. Bob ocknął się w chwili, gdy wóz przewracał Raya. Zlany potem zszedł z łóżka, nalał sobie pół szklanki whisky i wychylił ją jednym haustem.

Aczkolwiek zdarzyło się to w przeddzień, dotąd jeszcze nie mógł przezwyciężyć lęku ani opanować emocji.

Po niefortunnym obiedzie w garderobie na kółkach stosunki z Rayem przybrały przykry obrót. Spotykali się podczas kręcenia filmu w najdziwniejszych miejscach przewidzianych scenariuszem. Odgrywali swoje role, po czym Ray usuwał się na bok i ze scenariuszem w ręku powtarzał swoje repliki z następnej sceny. Jego zachowanie wobec Boba na pozór nie zmieniło się wcale. Zwracał się doń z tą samą łagodnością, okazywał mu taką samą uprzejmość. Ale pod tą warstwą kurtuazji Bob wyczuwał chłód raniący jego serce. Pragnął gorąco rozwiązać nieporozumienie, które zniweczyło istniejącą między nimi harmonię.

Zaprzątnięty tą plataniną uczuć Bob prowadził niemal automatycznie, zapominając, że pędził z prędkością przeszło stu dwudziestu mil na godzinę. Za jego buickiem wozy policyjne zderzały się ze sobą, wywracały, wpadały w poślizg, a wszystko to działo się w piekielnym rytmie.

Na jakimś rogu ulicy Bob skręcił gwałtownie, opony zgrzytnęły na asfalcie, wyszedł jednak z poślizgu i w ostatniej chwili uniknął kolizji z wozami stojącymi wzdłuż chodnika.

Kamerzysta siedzący obok niego, żeby filmować go z profilu, wybełkotał niemal sparaliżowany strachem:

– Cholernie pan prowadzi! Kolega z głębi samochodu dorzucił:
– Jutro zapalę świeczkę, żeby podziękować Bogu za ocalenie...
– To w Los Angeles nauczyłem się tak obchodzić z kierownicą –
odpowiedział Bob ze śmiechem.

– Lubi pan szybką jazdę jak James Dean...

Kamerzyści umieszczeni na platformie przyczepy, która wyprzedziła buicka, żeby go sfotografować z przodu, nie posiadali się z zachwytem:

– To będzie dopiero ujęcie!
– Ten chłopak mógłby być kaskaderem!

Bob podjął swój obłąkańczy kurs. Z zaciśniętymi zębami, z napiętymi mięśniami twarzy, ze wzrokiem utkwionym w ulicę, która się przed nim rozwijała, pędził na złamanie karku. Zmieniał biegi, jak rajdowcy formuły pierwszej, i przyciskał pedał do dechy. Przyspieszał z takim zapamiętaniem, jakby chciał skończyć ze wszystkim.

Po zdjęciach O'Neill pogratulował mu odwagi.

– Kiedy zobaczyłem, jak pędzisz, ciarki przeszły mi po grzbiecie. Ale czyś pomyślał, co by się stało, gdybyś skaptował? Wypadek, w którym

zginąłby główny bohater, stałby się katastrofą dla producenta. Musielibyśmy odtworzyć sceny z tobą, zastępując ciebie jakimś innym, młodym aktorem, a to kosztowałoby majątek. Nie mówię już o budżecie filmu, który by fiknął kozła. Nie powinieneś umrzeć, Bob.

Drwiący uśmieszek wykrzywił wargi O'Neilla.

– To nie jest odpowiedni moment, żeby przeprowiać się przez Styks.

– Jaki Styks?

– Żeby przekroczyć bramy piekieł. Chociaż dla takich jak ty młodzików święty Piotr bywa raczej pobłażliwy i wpuszcza ich do Raju. Gdy umrę, wśliznę się między młodych, którzy przedwcześnie zakończyli żywot, i naśladować Ulisessa umknę Polifemowi ukryty pod brzuchem barana.

Lombardo się nie przechwalał. George Bryner powrócił z Nowego Jorku do Los Angeles, aby zająć swój prezesowski fotel, którego o mało nie stracił. Był to tryumfalny powrót, zwykli śmiertelnicy nie domyślali się nawet, co się za nim kryło. Zastąpienie Holma przez wiceprezesa Stephena Nicholasa przeszło niezauważone. Pomimo wysiłków rady wykonawczej, usiłującej ukryć aferę, wystarczyła czyjaś niedyskrecja, żeby wybuchnął skandal. Nadużycia Holma i mniej lub bardziej widoczne współdziałanie Brynera zostały jednocześnie omówione w kilku pismach specjalistycznych. Urzędnicy udzielili prasie wiadomości, przeczerńając nadużycia Holma, który stał się jedynym kozłem ofiarnym.

Bryner nie mógł zapomnieć, że Peter O'Neill spowodował przesłuchanie prawie całej dyrekcji wytwórni. Zwolnienie go na razie nie wchodziło w grę. Ale poczeka na odpowiedni moment, żeby to zrobić. Objąwszy ponownie ster władzy Bryner zaprosił O'Neilla do swego gabinetu i okazując mu niezwykłą uprzejmość powiedział:

– Jestem bardzo zmartwiony stekiem oszczerstw, które mieszają nas z błotem.

O'Neill nonszalancko wzruszył ramionami.

– Nie można było zaprzeczyć, że Holm okazał się zdeprawowany i że rozdzielał upominki swoim przyjaciółom. Usunięcie go, mimo iż bez rozgłosu, odbiło się jednak echem w naszym środowisku. Korupcja, drogi George, jest tak powszechna, że ludzie do niej przywykli. Burza powoli ucichnie. Czy masz mi jeszcze coś do powiedzenia? Moja ekipa czeka na mnie w UCLA. Kręcę ostatnie sekwencje filmu o życiu studenckim. Chciałbym go skończyć jak najprędzej, żeby zabrać się do kręcenia „Tytanów”.

Bryner westchnął z dobrze udanym pobłażaniem.

– Znam scenariusz. Plenery w Nowym Jorku, w Las Vegas, w Europie. Wydatki około czterdziestu milionów.

– Ale przyniosą one zyski trzykrotne.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie! Trafiłem na żyłę złota. Scenariusz jest wspaniały! Bryner spojrzał nań z uśmiechem.

– Śmiało, Peter! Śmiało!

Rozstali się wymieniając uścisk dłoni na pozór serdeczny. Po wyjściu O'Neilla Bryner mruknął ze złością: „To niebezpieczny człowiek! Bardzo niebezpieczny! Pomówię o nim z Lombardem”.

Bryner dokonał pewnych zmian wśród personelu zgodnie z sugestiami protektora, który chciał mieć wszędzie swoich ludzi. Stwierdził jednocześnie, że drobne nieprawidłowości popełniano pod maską zachowania wszelkich przepisów. Dochody wytwórni wzrastały spektakularnie. Wśród wielu innych sposobów Bryner zauważył jeden, który go oszołomił. Sale kinowe świecące

dotąd pustkami sprzedawały teraz bilety od rana do wieczora. W rzeczywistości były to pieniądze Lombardo, które wchodziły w obieg. Nawet jeśli płacił podatki, wybielał fundusze, z których ciągnął korzyści inwestując je we własne przedsiębiorstwa. Sale kinowe były jego własnością, albo pozostawały pod jego kontrolą. Bryner znał prawo milczenia. Zatykał uszy, zamykał oczy i usta. W zamian za to uzyskiwał znaczne awantaje pieniężne. Ale czy ta polityka będzie zawsze opłacalna? Niekiedy budził się w nocy niespokojny, udręczony sennymi koszmarami. Widział się już za kratkami więzienia.

Niepokoje męża przeszkadzały spać Glorii, która mówiła z irytacją: – Myślę, że powinniśmy mieć oddzielne sypialnie. Im bardziej się starzejesz, tym bardziej stajesz się uciążliwy.

* * *

Bob kręcił końcowe sekwencje w UCLA. Miał nadzieję, że spotka tę tak spokojną, tak łagodną dziewczynę, która nie podała mu nawet swojego imienia. Przy niej może zapomniałby o rozczarowaniu, jakie dręczyło go, odkąd ochłodziły się jego stosunki z Rayem. To zerwanie doprowadziło go do rozpacz. Nie pojmował dobrze swoich uczuć. Aby oddalić się od niego Ray przebywał wiele w Palos Verdes, gdzie spędzał czas na czytaniu i słuchaniu muzyki, broniąc się przed niepożądanymi gośćmi: dziewczętami, które w nim się zakochały, dziennikarzami, proszącymi o wywiady, kanciarzami, którzy próbowali wśliznąć się do jego domu. Gardził nimi wszystkimi. Różnie komentowano jego umyślne odosobnienie. Kiedy nie pracował i żądza przygód skłaniała go do wyjścia z domu, wsiadał do wozu – otwartego buicka – i odbywał samotne przejażdżki dookoła Los Angeles. Zakochał się w tym mieście zatopionym w przepysznej roślinności. Mieszały się w niej wszystkie

odcienie zieleni od szmaragdowych, starannie utrzymanych trawników do ciemnej zieleni lasów i rdzawo zielonych nieużytków. Zachwyciło go bogactwo kwiatów. Czerwono-bursztynowe róże zdobiły rabaty, bougainville krwawymi smugami kwiecica okrywały fasady wspaniałych willi na Beverly Hills i Bel-Air, ale również rudery na Brooklin Avenue i Watts; hibiskusy o woskowych płatkach mieniły się mnóstwem odcieni; orchidee miały fantastyczne kształty ptaków o rozpostartych skrzydłach, monstrów o rozdziawionych pyskach i nieruchomych owadów. Podziwiał proste jak świece palmy wzdłuż alei i rozproszone w ogrodach publicznych, a także tropikalne drzewa okryte kwiatami we wszystkich barwach tęczy.

Przed przybyciem do Los Angeles Ray uważał, że Anglia jest krainą wspaniałych parków i najpiękniejszych na świecie gazonów. Ale podczas pobytu w Kalifornii wyobrażał sobie, że Bóg stworzył na ziemi filię Raju, aby śmiertelni otrzymali próbkę cudowności nie z tego świata. Włóczył się także po plażach o złotym piasku, obmywanych przez fale, które na swych białych grzywach unosiły pięknych młodych mężczyzn, podziwianych przez dziewczęta zgrabne jak najady.

Odnajdywał w tym mieście wspaniałe bulwary, mogące być ozdobą stolic europejskich, drapacze chmur równie imponujące jak w Nowym Jorku, skupiska meksykańskie, podobne do wiosek Yucatanu, gromady murzyńskie, które przywodziły na myśl tajemnice Voodoo i tropikalne lasy Afryki.

Podczas tych spacerów obraz Boba często jawił się przed jego oczyma, jakby zmaterializowany cudownym sposobem, ale równie szybko rozpląwał się w nicości...

Bob nie mógł odzyskać spokoju. Uczulony przez nieobecność Raya, który go unikał, obwiniał się o to zerwanie. Wieczorem, po powrocie do domu,

przemierzał wielkimi krokami living-room, przechodził szybko do ogrodu i rzucał się do basenu, aby ugasić ogień, który go trawił. Luksusowa willa o dziesiątkach pomieszczeń wydawała mu się okropnie pusta.

Shirley odwiedzała go coraz rzadziej odkąd przekonała się, że sypia z nią tylko po to, by uspokoić swe wzburzenie, całkiem niezrozumiałe dla niej. Często wspominała Rixa, który traktował miłość jak grę bez konsekwencji. Nigdy jej nie brał poważnie. Bob pozostawał dla niej zagadką. Shirley odnosiła czasem wrażenie, że brał ją tylko z litości, jakby z poczucia obowiązku, zapominając o niej zaraz po stosunku cielesnym. Wbrew faktom miała nadzieję, że pewnego dnia obudzi się ze swego transu i że wówczas uda jej się zbudzić w nim uczucie.

Pewnej nocy, kiedy Shirley przyszła bez uprzedzenia, żeby mu zrobić niespodziankę, gdyż często uskarżał się na samotność, znalazła w jego łóżku Isabelle nagą jak ją Pan Bóg stworzył.

Ze zwykłym sobie bezwstydem aktorka poprosiła ją, by się rozebrała i położyła obok nich dwojga.

– Miłość we trójkę jest strasznie podniecająca! Szkoda tylko, że Bob nie chce nigdy zrezygnować z prezerwatywy, która mi psuje przyjemność!

Bob miał minę znudzoną.

Shirley uciekła bez jednego słowa. Po jej ucieczce Isabelle uśmiechnęła się złośliwie.

– Ta lalunia kocha się w tobie jak szalona. Patrzyła na mnie osłupiała. Zatkaną ją z zazdrości. Powiedz, czemu zawsze używasz prezerwatyw? Nie urodzę ci dziecka. Nie cierpię dzieci!

Te przelotne stosunki nie sprawiały żadnej przyjemności Bobowi, który szukał w nich tylko zapomnienia, nie pojmując, że skutek był wręcz przeciwny do jego pragnień.

Często nie zważając na zmęczenie wywołane kręceniem filmu wyjeżdżał do śródmieścia, żeby w alkoholu i hałasie utopić swoją chandrę. Odkrył dyskotekę „Chippendale” koło Boulevard Venice. Panowała tam atmosfera mogąca zgorszyć nawet niezbyt wstydlivych gości. W stroboskopicznej grze jaskrawych świateł chłopcy i dziewczęta robili całkowity strip-tease, gorąco oklaskiwani przez kobiecą publiczność, znacznie ruchliwszą niż mężczyźni. Pomiedzy numerami strip-teasu na scenę wpadały pary – często tej samej płci które podrygiwały w rytmie rocka. Wśród gości było wielu aktorów. Bob spotkał Travoltę, Stallone'a, Roba Lowe, Lorenza Lamasa, Shieldsa, Nastassję Kinski, Barbarę Carrera i wiele innych modnych par.

Wymieniał ukłony ze znajomymi, lecz nie przyłączał się do żadnej grupy. Siadał na wysokim stołku, opierał łokcie na kontuarze i zamawiał najbardziej ekscentryczne napoje.

– Chcę wypróbować wszystkie wasze specjalności – zwrócił się do swego ulubionego barmana, Murzyna nazwiskiem Joe Washington – który zabawiał go żarcikami. Jego uśmiechnięta gęba przypominała Louisa Armstronga.

– Aby skosztować wszystkich, musiałby pan bywać w barze przez cały rok i to noc w noc – odparł jowialnie Joe. – Dziś proponuję na początek koktajl **Rolls-Royce**. Wybuchowa mieszanka dżinu, wytrawnego wermutu i benedyktyнки.

– Dobra! Zaczynamy od Rollsa.

– Następnie *Ritz Old Fashioned*: Bourbon, Grand Marnier, maraskino i sok pomarańczowy. Do tego jeszcze plasterki cytryny.

Barman z wdziękiem i elegancją manipulował butelkami, szklankami, sokami z owoców i owocami w cukrze, dodając najróżniejsze ingrediencje, stojące na kryształowych półkach w głębi baru na tle różnokolorowych luster.

Bob chciał się upić. Wzrok jego niekiedy uciekał ku drzwiom wejściowym. Co by to było, gdyby pojawił się w nich Ray?

Ale oczekiwanie jego było daremne. Mnóstwo znanych i nieznanymi twarzy przesuwano się nieustannie. Zabrał się do drugiego koktajlu, kiedy ktoś przyjacielsko klepnął go po plecach. Odwrócił głowę i zobaczył Jareda Dahla, który usiadł na sąsiednim taborecie.

Barman zaproponował mu koktajl *Barlenga*.

– Joe – odparł Jared – pamiętaj, że masz do czynienia ze znawcą. Nie proponuj mi koktajlu dobrego dla starszych pań: białe porto z dżinem. Przygotuj mi *Five O'Clock*. Ale z potrójnym dżinem, białym rumem i czerwonym wermutem.

– Dobrze, mister Dahl. Ale to, o co pan prosi, to dynamit.

– Gdybyś mógł mi dać bombę atomową, to bym ci pogratulował. Bob, nie wiem, czy znasz moją barmańską przeszłość. Pięć lat rozpieszczęłem wszystkich pijaczków z San Francisco.

Objął spojrzeniem arcypelną salę.

– Nie widzę Raya, pańskiego przyjaciela. Byliście nierozłączni. Jak ja i Jeff.

Podniósł szklankę podaną mu przez Joe.

– Twoje zdrowie, Bob!

Wychylił duszkiem koktajl.

– Znakomity, Joe! Powtórka! Zastanawiam się, jak barman może się nazywać Joe Washington. Nie marzyłeś nigdy, żeby zostać prezydentem Stanów Zjednoczonych?

– Nie! Gdybym jednak został stałym gościem Białego Domu, utopiłbym w alkoholu cały kraj. Uszczęśliwiłbym wszystkich.

– Dobry pomysł. Jeśli Amerykanie obiorą mnie prezydentem ukradnę twój program... Bob, zdaje mi się, że twój kamerdyner również nazywa się Washington! Czyś marzył przed czterema czy pięciu laty, że będziesz miał kamerdynera na swoje rozkazy i ferrari za pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Zamówił potem *El Presidente*. Kilka koktajli wypitych w rekordowym czasie zmąciło jego myśli. Język zaczął mu się plątać, powieki coraz bardziej mu ciążyły. Opuszczał głowę, jakby go sen morzył, i nagle ją podnosił, starając się otrząsnąć z letargu. Upijał się na smutno.

– Jesteśmy dziećmi ulicy, Bob... Ledwo wyszliśmy z lat dzieciennych... poznaliśmy całą nędzę... wszystkie brudy... Bandy... kradzieże w sklepach... Braliśmy cieżki od policjantów, od członków innych gangów, od machosów... Kiedy się wracało do domu, to było piekło...

Mimo że Bob nie darzył sympatią Jareda, przyznawał, że słowa jego zawierały prawdę. Widział i siebie w skórze wyrostków odmalowanych z okrucieństwem przez Jareda.

– Próbowałem różnych zawodów, Bob... byłem wyrobnikiem, zamiataczem ulic, zmywałem naczynia... Zarabiałem tak mało, praca była tak ciężka... tak śmierdząca... że rzucałem ją szybko... i wracałem do swojego życia... Kiedy pewien barman powiedział, że mnie weźmie na pomocnika, myślałem, że niebo otwarło się przede mną... Musiałem w zamian spełniać pewne usługi... intymne... Kiedy Jeff, chłopak bogaty, ładny, wykształcony

potraktował mnie jak przyjaciela... to mi pochlebiało... byłem mu wdzięczny... Akceptowałem wszystkie jego kaprysy, zaspakajałem jego zachcianki... Upokarzał mnie... może nawet niechcący, podejmując rozmowę na tematy całkiem dla mnie niezrozumiałe... Mówił o sławnych ludziach, cytował ich wypowiedzi. .. Potakiwałem z całym przekonaniem, jakbym wiedział, o co właściwie chodzi... Byłem jego przyjacielem... ale przyjacielem biedakiem. .. Nie umiałem grać ani w golfa, ani w polo, ani w tenisa, nie mówiąc już o jachtingu... Byłem intruzem wśród jego przyjaciół. Traktowano mnie pobłażliwie. Odczuwałem ich wyższość, pychę, umiejętności wszelkiego rodzaju... Byłem niewykształcony i świadomy tego. Jeff otworzył przede mną drzwi studia dzięki swojej interwencji, dzięki wpływom swego ojca... Chciał, żebym był aktorem u jego boku... a raczej w jego terenie. Mówił mi, jak to przyjemnie, jak rozkosznie grać przed partnerem pełnym entuzjazmu... Opowiadał mi anegdotki o Molierze, o Sarze Bernard, o Keanie. Dla mnie istnieli tylko aktorzy, których widziałem na ekranach kin.

Bob przypomniał sobie, że Ray także w swoich monologach wspominał o różnych sławnych postaciach, które dla niego były całkiem nieznanymi. Mimo to nie czuł się bynajmniej upokorzony.

Towarzystwo Raya wzbogacało jego umysł, jego marzenia... Tak, marzenia... Ray odkrywał przed nim niedosiężne strefy...

– Jeff pracował w filmie dla zabawy, ja dla zapewnienia sobie środków utrzymania... Otrzymywał lepsze role, ponieważ był Blythem. Mówiło się o nim jak o książętach, jak o królach: Jefferey Blyth IV. Dziewczyny leciały na niego, bo olśniewał je forszą i pochodzeniem. Ja zawsze grałem drugie skrzypce, chociaż byłem równie przystojny, równie młody... Wszędzie tam, gdzie bywaliśmy razem, w towarzystwie, na planie, na orgiach, zawsze mnie

przesłaniał... Miażdżył mnie... Jak długo mogłem z nim wytrzymać? Twój Raymond Edward Rhys nosi nazwisko, które kojarzy się naturalnie z bogactwem, z łatwym życiem, z przywilejami, jakie daje dobre urodzenie... Czy on cię puścił w trąbę, czy ty go splawiłeś?

– Nic z tych rzeczy. Po prostu mamy inne zainteresowania.

– Mylisz się. Puść go kantem nim będzie za późno... Zanim dojdzie do otwartego konfliktu, jak między mną a Jeffem. Każdy powinien żyć w swoim świecie. Nawet będąc bogatym zostanę hultajem... błaznem... Bogaci przyjmują nas u siebie, bo jesteśmy sławni, przyciągamy gości, chcących nas poznać osobiście...

Wypił jeszcze dwa koktajle zdając się na wybór barmana.

– Co ty wiesz o Los Angeles poza wytwórnią, poza twoim pięknym domem wzniesionym na Beverly Hills, kogo znasz oprócz O'Neillów i kilku modnych aktorów? Wyobrażasz sobie, że twoje obecne życie pozwoli ci zapomnieć o przeszłości? O smutnej, nędznej przeszłości, która przyłgnęła do ciebie na wieki? Chodź ze mną... pokażę ci prawdziwą twarz Los Angeles... Twarz, która ci jest bliższa niż oblicze świetnego towarzystwa, które cię adoptowało. Jeśli pewnego dnia twoje akcje spadną, wszyscy ci elegancy panowie i wyrafinowane damy wyrzucą cię na śmietnik... Ale ja... ja nigdy nie wrócę między biedaków, którzy spaprali mi dzieciństwo i młodość. Będę zawzięcie, nie przebierając w środkach, bronił mojej pozycji. Ożenię się choćby z brzydulą, byle miała forszę. Poślubię nawet matronę z czeredą dzieci, o ile będzie nosiła nazwisko Rockefeller czy Vanderbilt.

Rzucił na kontuar kilka studolarowych banknotów.

– Mister Flynn jest moim gościem. Zachowaj resztę, Joe!

– Dziękuję, mister Dahl.

Jared mrugnął porozumiewawczo.

– Słusznie opuściłeś Biały Dom dla „Chippendale”.

Murzyn wybuchnął śmiechem.

– Zapamiętam to sobie, mister Dahl. Jared zszedł z taboretu i wziął Boba pod ramię.

– Chodźmy! Pokażę ci spektakl wart zobaczenia.

Bob nie protestował. Sam też sporo wypił i opary alkoholu zawróciły mu w głowie. Nawet towarzystwo Jareda było mu miłsze niż oczekująca go w domu samotność.

Wyszli na ulicę. Nocni goście nadchodzili grupkami i znikali w otwartej paszczy baru. Groom przyprowadził lamborghini Dahla.

– Wsiadaj, Bob! – powiedział Jared.

– Mam tu swój wóz.

– Odwiozę cię tutaj za godzinę.

Pociągnął Boba na siedzenie obok siebie.

– Czy ty możesz prowadzić, Jared?

– Jeff dał mi dobrą szkołę w ciągu naszego miodowego miesiąca. Kilka slalomów rozweseli naszą eskapadę. Zresztą nie ma teraz dużego ruchu. Rozsądni mieszkańcy wcześniej chodzą spać.

Skreślił w prawo ku Down Town. Przepych wysokościowców i pięknych dzielnic zniknął. Odrapane domostwa i sklepy porno ciągnęły się nieskończonym szeregiem. Zamknięty w swej wieży z kości słoniowej Bob nie znał tej części miasta. W rzadkich przejażdżkach samochodowych poznawał malownicze zakątki Los Angeles, najchętniej odwiedzane przez turystów.

Lamborghini wjechała na wulgarną Western Avenue. Roilo się tu od prostytutek najniższej kategorii, chłopaczków szukających nadzianych

partnerów, włóczęgów, alfonsów, facetów o wisielczych mordach, ludzi białych, żółtych, czarnych. Była to żalosna kopia 42. ulicy w Nowym Jorku. Jaskrawo umalowane ptaki nocne, w króciutkich sukniach odsłaniających ich smętne wdzięki, robiły oko i uśmiechały się zalotnie do młodych, bogatych pasażerów lamborghini. Motocykliści w skórzanych ubraniach pędzili jak burza. Bandy wyrostków buszowały w tłumie polując na zamożniejszych gości, którzy byliby dobrym łupem. W Los Angeles, bogatym mieście-ogrodzie, to całe tałatajstwo wyglądało jakby spadło z innej planety.

– Oto świat, który mnie nie pochłonie! – wykrzyknął Jared.

– Odwieź mnie do „Chippendale”. Chcę zabrać wóz i wrócić do domu! – powiedział Bob znudzony tym spektaklem, który przypominał mu ohydne sceny, zepchnięte do podświadomości.

– Jeszcze trochę poczekaj! – odparł z uporem Jared. – Zobaczysz Watts, gdzie rywalizujące ze sobą bandy zabijają się nawzajem, żeby popisać się swą siłą. Sport jak każdy inny. Zapewnienie sobie monopolu na sprzedaż narkotyków stało się grą bardzo niebezpieczną. W tej dzielnicy życie jest bardzo tanie.

Lamborghini wjechała w labirynt ulic, uliczek, słabo oświetlonych skrzyżowań, przy których stały ruiny domów, ziejące pustką wypalone, poczerniałe mury, jakieś magazyny bez okien, brudne, ponure czynszówki. Cienie, które wyszły z piekła, prześlizgiwały się w milczeniu, spotykały, potem inne cienie wylaniały się zza węgła domów. Armie cieni pojawiały się zewsząd jak karaluchy, rzucały się jedno na drugie. Krzyki, strzały, wściekłe wrzaski, rozpaczliwe jęki dolatywały z kotłującej się ciżby.

– Zawróć! – powiedział Bob z obrzydzeniem. Jared wybuchnął śmiechem.

– Teraz cię posłucham, bo mogą nas tu podziurawić zabłąkane kule, albo nawet umyślnie wycelowane w nas pociski, bo Czarni bardziej nienawidzą Białych niż diabłów. Zresztą lamborghini nie jest dobrze widziana w dzielnicy równie rasistowskiej jak Cap Town, tylko w odwrotnym sensie. Wiem, że niebezpiecznie jest się zapuszczać między te spelunki, ale robi mi frajdę popisywanie się luksusowym wozem przed tymi szmaciarzami. Zdajesz sobie sprawę, co by się stało, gdyby silnik nawalił w tłumie tych hultajów? Wiem, co myślisz o mnie. Że jestem wstrętnym dorobkiewiczem. I co z tego?

Jared wziął ostry zakręt, opony z piskiem otarły się o splekany asfalt, nacisnął pedał, skierował się na północ, ku światłom i wieżowcom, zuchwale górującym nad miastem.

– Zapomnij o Rhysie! Myśl tylko o sobie! Ożeń się z jakąś bogatą spadkobierczynią, albo z bogatą wdówką. Nieważne, czy jest stara lub brzydka. Za parawanem miłości uwijesz sobie ciepłe gniazdko, zapewnisz schronienie na wypadek, gdyby cię opuściło szczęście. Ożeń się! Zostaw sentymentalne igraszki tym, co mają forszę albo biedakom, którzy nie mają żadnych widoków na przyszłość! Do diabła z Blythami i Rhysami! Do diabła z przyjaźnią! Do diabła z marzeniami!

Bob milczał uparcie. Nie podzielał ani poglądów Jareda, ani warunków, które skłaniały go do obrania drogi bez powrotu.

Wróciwszy do domu Bob wziął ciepłą kąpiel, żeby uspokoić nerwy. Jared Dahl po części osiągnął swój cel. Świadomie czy nie, przywołał upiory przeszłości. Jednakże cele Jareda były inne. Jared pragnął bogactwa. Bob szukał przyjaciela. Tego, co, jak sądził, znalazł u Raya: oparcia moralnego, uczucia, czułości braterskiej – w każdym razie za taką ją uważał – gdyż nigdy nie miał rodzeństwa ani prawdziwej rodziny. Nie znał swego ojca, nie pamiętał

twarży matki, która powierzyła go opiece społecznej, gdy tylko osiągnął wiek, w którym dziecko zaczyna rozpoznawać otaczający je świat. Został adoptowany przez zupełnie mu obce małżeństwo drobnomieszczańskie. Mężczyzna wracał wieczorem tak pijany, że jego odzież była często zanieczyszczona moczem i kałem. Padał na łóżko chrapiąc, podczas gdy jego żona rozbierała go i prała stare łachy, które śmierdziały w całym mieszkaniu. To było jednak lepsze, niż kiedy wracał chwiejnym krokiem, ale był jeszcze zdolny do okrucieństwa. Przeklinał żonę i bił ją nie wzbudzając jej protestów. Musiała być masochistką, gdyż pomimo takiego traktowania, darzyła swego męża miłością. Ilekroć Bob słyszał, jak pijak puka pięścią w drzwi, ukrywał się pod łóżkiem i czekał na dalszy rozwój wypadków. Od czasu do czasu dostawał po gębie, „żeby pamiętał, że dom jest prowadzony żelazną ręką”. Podczas nieobecności męża kobieta przerywała niekiedy zajęcia domowe i oglądała Boba od stóp do głów. „Po kiego licha cię zaadoptowałam? Przeszkadzasz mi, mam z tobą kłopot. Myślałam, że obecność dziecka wyleczy go ze złych nawyków, ale bardzo się pomyliłam. Nie zrobiliśmy dobrego interesu ani ty, ani ja.”

Nie interesowała się zbyt chłopczykiem. Ubierała go, dawała mu jeść i puszczała go samopas. Większość czasu Bob spędzał więc na ulicy wśród łobuziaków. Ulica była równie ponura jak Watts. Łatwo się przystosował do takiego życia, do swobody; podobnie jak jego rówieśnicy podziwiał wyrostków i dorosłych, którzy chełpili się przestępstwami, aktami przemocy, rozpustą i wynosili pod niebiosa narkotyki oraz wszelkie działania związane z ich rozpowszechnianiem.

Mając lat dziesięć uciekł z domu przybranych rodziców, ale policja szybko go wytropiła, udzieliła mu nagany i odprowadziła z powrotem. Po

odejściu policjantów przybrany ojciec wyciągnął pasek ze spodni i zbił chłopca tak mocno, że krew spływała mu z pośladków. W dwunastym roku życia ponowił próbę ucieczki, również bez powodzenia. Kiedy jednak pijak chciał go wychłostać, Bob chwycił wazon z kwiatami, który nawinął mu się pod rękę, i cisnął nim w głowę swojego oprawcy, po czym uciekł. Policja znowu go szukała, początkowo nawet z zapalem, ale że nie mogła go odnaleźć, dała za wygraną. Interwencja opieki społecznej okazała się bezskuteczna. Przyjaciele

Boba ukryli go w dzielnicy Bronx, gdzie było wiele domów zrujnowanych albo w trakcie rozbiórki. Był to świat przerażający, krajobraz księżycowy, policja nie odważała się zaglądać tam po zmierzchu. Na tym Dziedzińcu Cudów zmartwychwstałym w Nowym Jorku Bob nauczył się dawać sobie radę, kraść przynajmniej tyle, żeby napchać sobie brzuch i okryć jeszcze wątłe ciało. Nicponie chwalili jego tupet i odwagę. „Dobrze sobie radzi ten łobuziak” – mówili ze śmiechem.

Jako trzynastolatek został zgwałcony przez czterech łajdaków, którzy przydybali go w ruinach. Taki był początek kariery, która miała powiększyć liczbę młodych chłopców oddających się prostytutce. Za parę dolarów spełniali zachcianki amatorów o szczególnych upodobaniach. Byli wśród nich ojcowie rodzin, homoseksualiści, którzy nie mogli pozbyć się dawnych przyzwyczajęń, inwertycy, którzy nie kryli swoich skłonności, były też kobiety w pewnym wieku, mężatki albo niezamężne, szukające przygody, która pomogłaby im zapomnieć o menopauzie zwiastującej smutny koniec ich młodości.

Skończywszy lat piętnaście zaczął bywać w Greenwich Village, w rejonie ograniczonym przez 42. i 32. ulicę oraz 1. i 9. Aleję, a także na Broadwayu i w Central Parku. Do szczególnie uczęszczanych miejsc należał Times Square, okolice Dworca Centralnego i Madison Square Garden. Nie

zdawał sobie jeszcze sprawy ze swej urody. Setki, tysiące chłopców, uprawiających ten sam zawód, zazdrościły mu powodzenia widząc, że zgarnia najlepszą klientelę. Instynkt podpowiadał mu, kiedy należy zwiewać, zanim pojawi się policja, żeby zagarnąć do furgonetek osoby płci obojga trudniące się nierządem. Przetrzymano je przez noc w areszcie i wypuszczano nazajutrz, jeśli uiściły niewielką grzywnę, ustaloną przez sędziów nocnych trybunałów. Stręczyciele ryzykowali karę więzienia, lecz najbardziej doświadczeni stawiali się kapusiami i zyskiwali immunitet.

Bob obawiał się policji, która mogła go odesłać do przybranych rodziców albo umieścić w poprawczaku, ponieważ był nieletni. Ale bardziej jeszcze przerażały go bandy młodych napastników, którzy okradali i klientów, i tych, co się prostytuowali. Był dość sprytny, żeby nie wpaść w łapy „opiekunów”, sutenerów, których obawiano się jak dzumy.

Nie miał nigdy przyjaciół w prawdziwym znaczeniu tego słowa. Nie zwąchał się z koleżkami, wśród których było wiele miłosnych par, miłość była dla niego pustym wyrazem. Ilekroć klient prowadził go do hoteliku, w którym wynajmowano pokoje na godziny, Bob obnażał się i czekał aż jego partner zaspokoi swoje żądze. Myślał o zarobku, obliczał, ile wyda na utrzymanie, ile na drobne przyjemności, których sobie nie odmawiał. Chciał kupić małe magnetofon, jakieś zabawne drobiazgi, a przede wszystkim drogie, eleganckie ciuchy, które uwydatniłyby jego młodzieńczy wdzięk i urodę. Mógłby znaleźć więcej klientów, gdyby zaglądał do barów na 1., 5. i 7. Alei, lecz ryzykowałby wówczas, że go capną policjanci w cywilu, najgroźniejsi, gdyż udający klientów. Nigdy nie kradł pieniędzy ani przedmiotów wartościowych swoim partnerom na godzinę albo na noc, żeby nie narazić się na skandal, który ściągnąłby uwagę policji. Wiedział dobrze, czego mógłby oczekiwać, gdyby go

posłano do więzienia. Przezornie trzymał się linii brzegowej. Lepiej niż taksówkarze znał ulice, zaułki, pasáže, lokale o dwóch wyjściach, kina, restauracyjki, młodzieżowe dyskoteki, magazyny, dworce; zawsze umiałby się wymknąć, gdyby się znalazł w opałach. Stale był czujny. Działalności jego sprzyjały ogrody publiczne, gdzie w razie niebezpieczeństwa mógł uciekać albo ukryć się w krzakach.

Potem wpadł na producenta filmów porno, który zwabił go kuszącymi zarobkami za spółkowanie przed kamerą zarówno z dziewczynami jak i chłopakami. To był pierwszy, dość podejrzany kontakt z filmem.

Opatrznościowe spotkanie z O'Neillem spowodowało zasadniczy zwrot w życiu Boba. Pod kierunkiem wielkiego reżysera wykonawca filmów porno stał się prawdziwym aktorem, który wysunął się na czoło całego młodego pokolenia. Utożsamiał się z kreowaną przez siebie postacią, zmieniał się jak kameleon zależnie od otoczenia. W filmach o prawdziwej miłości po mistrzowsku udawał namiętność, rozkosz, podniecenie, korzystając z doświadczenia, jakie wyniósł ze stosunków z klientami o dużych wymaganiach, którzy dobrze płacili za złudzenie, że są kochani.

Spotkanie z dziewczyną, której imienia nie znał, a która w stołówce uniwersyteckiej traktowała go jak jednego z kolegów, wywarło na Bobie wrażenie osobliwe. Teraz, kiedy kręcono ostatnie sekwencje na terenie UCLA, nie mógł się doczekać pory obiadowej, myśląc, że ponownie zobaczy ją w menzie. Wchodząc do wielkiej, gwarnej sali, gdzie tłum studentów wybierał przy bufecie, smakowicie pachnące potrawy, rozglądał się za dziewczyną, która go oczarowała. Niestety, nie było jej nigdzie. Może miała przyjść później...

Przysiadł się do stolika zajętego przez aktorów. Jeff Blyth zajadał z apetytem, wymieniając żarciki z kolegami. Tego ranka Jeff i Bob razem występowali przed kamerami. Raya nie było, gdyż po śmierci przewidzianej w scenariuszu, swobodnie dysponował swoim czasem.

– Podobno mają wyciąć wszystkie śmielsze sceny z naszego filmu – powiedział Jeff. – Nawet bardziej namiętne pocałunki. Towarzystwa purytanów odzyskują wpływy. Do tej pory na uroczystych premierach należało się pojawiać w towarzystwie młodej kobiety, często wskazanej przez wytwórnę. Teraz nasi fundamentaliści domagają się, by aktorzy wstępowali w związki małżeńskie i grożą bojkotem osobom samotnym. Jared skorzystał z okazji i oświadczył się pannie Chrys Bryner. Tym sposobem zapewni sobie piękną karierę na przyszłość, nie mówiąc już o posagu zwiększonym po śmierci Herba. W dodatku będzie żył jak w raju na Beverly Hills.

– Zrobił ci kawał – zauważyła złośliwie Averil. – Chodziłeś przecież z Chrys. Była twoją przyjaciółką.

– Nie przyszło mi do głowy, żeby ją poślubić. Mimo wszelkich nacisków nie ożenię się, nawet gdyby miano mnie posądzać o sympatie do chłopców. Jeśli piękne dziewczyny same wskakują do łóżka, byłoby głupotą związać się z jedną kobietą, która prędzej czy później poprosi o rozwód i zażąda ogromnych alimentów.

– Dlaczego zaraz myśleć o rozwodzie? – oburzyła się Averil.

– Bo osiemdziesiąt procent aktorów rozwodzi się po kilku latach współżycia – odparł Jeff. – A później płacą, płacą, płacą... Harują jak woły, żeby utrzymać swe dawne małżonki.

– Albo małżonków! – rzuciła agresywnie Averil. – Wymownym przykładem jest Joan Collins. I nieszczęsna małżonka Darrela Brightona.

– Joan ponosi takie konsekwencje, jak wszystkie kobiety, które kupują sobie gigolaków – wtrącił Godwin. – Teraz lata za chłopakiem o trzydzieści lat młodszym od niej. Mało jej było ostatniej wpadki.

Jeff podjął drwiąco:

– AIDS bardziej zaszkodził swobodzie seksualnej niż wszystkie kampanie purytańskie od początku stulecia. Znowu mówi się o Salemie. Na szczęście są sposoby, żeby uniknąć zarażenia.

Specjalista od niezwykłych efektów, Sidney Ravlings, łysy i brzuchaty żartowniś, powiedział jowialnie:

– Zapominacie o ryzykantach. AIDS stał się czymś takim jak ruletka. Łapie się go lub nie łapie. Niby to strzela się ślepymi nabojami, ale w magazynku jest kula. Jak umarł Hexum? Co do mnie, brzydota zmniejsza moje ryzyko. Spotykając się rzadko z call-girls mam pewne poczucie bezpieczeństwa...

Averil podjęła złośliwie:

– A kochany Jon-Eric? Może sam skończył ze sobą.

– To był wypadek.

– Mający ukryć nurtującą go chorobę. Na przykład AIDS.

Bob spojrział z niechęcią na Averil.

– Dlaczego chcesz splamić pamięć wspaniałego aktora? Jeff spoważniał.

Powiedział z naciskiem:

– Choroba może być łagodna lub złośliwa. To jedyna różnica. Zresztą kobiety tak samo są nosicielkami wirusa jak mężczyźni. Nikt nie jest bezpieczny. Prawda, Bob?

– Chowanie głowy w piasek nie zda się na nic – upierała się Averil.

W tejże chwili nadbiegła Sue Brions. Powiewała gazetą jak sztandarem. Jak zwykle ekscentrycznie ubrana miała teraz na sobie białą bluzę, brązową spódniczkę i bardzo luźny pulower, noszony chętnie przez studentki.

Położyła na stole przed kolegami trzecią stronę dziennika z zakreśloną informacją: „Miss Lavinia Griffin, tancerka kabaretowa, domaga się pięćdziesięciu milionów dolarów od Robby'ego O'Neilla, który jakoby zaraził ją herpesem. Adwokaci panny Griffin utrzymują, że klientka ich ma wszystkie szanse wygrania procesu. Robby O'Neill jest synem sławnego reżysera”.

Całe Los Angeles żyło jak w gorączce. Pani Harriet Lamont urządzała przyjęcie na cześć O'Neilla z okazji zakończenia prac nad filmem „Zakochani studenci”. Niecierpliwie wyczekiwano jej zaproszeń, gdyż ci, których nie było na liście gości, uchodzili za osoby drugoplanowe. Kobiety przypuszczały szturm do luksusowych sklepów. Liczyły się głównie francuskie domy mody: Saint Laurent, Nina Ricci, Giorgio Armani. Elegantki z wyższych sfer Los Angeles uważały Paryż za stolicę mody kobiecej.

Peter przyjmował obojętnie szmer pochlebstw, jakimi go obsypywano. Pracownicy studia, którzy obejrzelі ostateczną wersję filmu, powściągliwie uzewnętrzniali pochlebne oceny, aby nie narazić się Brynerowi, skąpemu w pochwałach. Dla jego współpracowników, przywykłych do rozpoznawania wszelkich subtelności i finezji, było całkiem jasne, że Bryner źle znosił sukces O'Neilla, i że tym razem nie potrafił zdobyć się na udawanie, aczkolwiek było ono jedną z cech jego charakteru.

Prapremiera filmu miała miejsce w Salinas, małym prowincjonalnym miasteczku; chodziło o wysondowanie opinii widzów. Przyjęli film brawami podczas spektaklu. Po tym teście miała miejsce gala w Los Angeles z udziałem

wszystkich znakomitości ze świata polityki, finansów i filmu oraz najlepszego towarzystwa, nie mówiąc już o tłumie dziennikarzy.

Publiczność, która nie miała szczęścia otrzymać zaproszeń, skupiła się przed wejściem do kina oświetlonym feerycznymi girlandami lampionów. Rozwinięto czerwony dywan, po którym goście mieli w świetle reflektorów przejść od samochodu do drzwi wejściowych. Kordon policji powstrzymywał tłum gapiów i wielbicieli O'Neilla i jego aktorów.

Długi rząd cadillaków, rollsów, clenetów i jaguarów, wszystkich cudów automobilowego świata, przesuwiał się przed olśnionymi widzami, przywożąc zaproszonych gości. Kobiety występowały we wspaniałych sukniach, w futrach, mimo ciepłego wieczoru, w klejnotach budzących podziw i zazdrość. Mężczyźni nosili smokingi rozmaitego kroju i barwy, gdyż czerń wieczorowych strojów już się opatrzyła.

Pojawienie się gwiazdy ubóstwianej przez szeroką publiczność wywoływało burzę oklasków i owacji.

O'Neilla powitano również oklaskami, lecz dla masowej publiczności reżyser jest postacią nieomal mityczną i nie budzi entuzjazmu należnego przede wszystkim aktorom.

Policjanci w cywilu wmieszali się między widzów, którzy znajdowali się na dachach i w oknach sąsiednich domów; należało pilnować, aby jakiś płatny morderca nie pojawił się w najmniej oczekiwanym miejscu. Porucznik Hatcher nadzorował swoich ludzi i sondował wzrokiem tłum wypełniający ulicę; pozostawiono jedynie wąski pas jezdni dla przejazdu samochodów. Nareszcie odetchnął z ulgą: O'Neill wszedł do sali bez żadnego incydentu. Trzeba będzie znowu wzmóc czujność po skończeniu spektaklu. Nie powzięto by aż tylu środków ostrożności, gdyby był prezydentem Stanów Zjednoczonych.

Pojawienie się Boba Flynna, który podawał ramię swej filmowej partnerce Averil Auberon, wywołało nową falę radosnych okrzyków, braw i gwizdów, świadczących o szczególnym uznaniu. Bob miał na sobie smoking w kolorze starego złota, harmonizujący z czarnymi spodniami z jedwabnym galonem. Był tak przystojny, że dziewczyny, a nawet dojrzałe kobiety omdlewały na jego widok. Averil, mimo że piękna i elegancka, przeszła niemal nie zauważona. Moralności stało się zadość. Wszyscy aktorzy przybywali parami.

W sali kinowej wypełnionej do ostatniego miejsca Gideon Spack z żoną rozglądali się zafascynowani.

– Każda z osób, które się tu znajdują, zarabia więcej przez tydzień niż ja w ciągu roku. Nie mówiąc o tych, którzy zarabiają miliony! – szeptał do ucha Sarah, krąglutkiej jak jej małżonek, wulgarnej i ubranej jak czupiradło.

Trąciła go łokciem.

– Niech cię aby nie usłyszą! – mruknęła. – Czy nie siedzimy razem z nimi? To zaproszenie jest dopiero początkiem. Dzięki sprawie O'Neilla możesz stać się sławną osobistością.

– Musiałbym zrobić coś nadzwyczajnego. Na razie drepczę w miejscu. Sporządziłem listę podejrzanych, ale nie mam namacalnych dowodów.

Małżonkowie spostrzegli, że osoby zajmujące fotele, znały się między sobą, mówiły do siebie po imieniu, wymieniały żarciki i komentarze. Gideon i jego połowica poczuli się intruzami w tym towarzystwie i to ich zdenerwowało. Nie mieli nawet okazji uścisnąć dłoni O'Neilla, gdyż siedzieli za daleko. Spack uklonił się Isabelle, która ledwo skinęła mu głową. Czuli się obrażeni odkryciem arszeniku w jej garderobie i aluzjami pomocnika prokuratora. Z jaką przyjemnością kazałby jej założyć kajdanki!

Szmer nagle przeszedł po sali.

O'Neill, aktorzy i główni współpracownicy weszli na scenę powitani burzą oklasków. Podziękowawszy za nie O'Neill oznajmił, że zacznie kręcić następny film, „Tytanów”. Bryner zacisnął wargi. O'Neill podejmował inicjatywy godne pożałowania. Wytwórnia jeszcze nie podjęła oficjalnej decyzji o kręceniu „Tytanów”. Powinien był poczekać, aż prezes wytwórni pierwszy złoży oświadczenie w prasie.

Po wyświetleniu filmu, który odniósł sukces cierpko przyjęty przez Brynera, znaczniejsi goście wzięli udział w bankiecie wydanym w restauracji „Ma Maison”. O'Neill nie wyglądał na człowieka, którego cieszą honory i pochwały. Biesiadnicy spostrzegli, że jadł bez apetytu i przy każdym toaście zaledwie moczył wargi w swym kieliszku, nie wychylając go do dna.

Bob siedział między Averil i Shirley. Przypadek zrzucił, że Ray siedział vis-à-vis. Obaj podpisali już kontrakty na wystąpienie w „Tytanach” obok wielu aktorów pierwszej wielkości. Miano wkrótce zacząć zdjęcia w Nowym Jorku, na Gieldzie, symbolizującej potęgę bohaterów tego filmu. Goście zgromadzeni przy stole uważali O'Neilla za rywala Spielberga i Scorsese, Lucasa i Coppoli. Deszcz pochwał spadał również na aktorów, którymi kierował, i większość których sam stworzył. Miał bowiem dar odkrywania i kształtowania wielkich talentów. Typowym przykładem był Bob Flynn, który pojawił się na firmamencie obok gwiazd niby raca na pokazie sztucznych ogni.

– Bob Flynn? Prawdziwy pożeracz serc! – orzekła Harriet Lamont, która przyjęła zaproszenie na bankiet; taki honor spotykał tylko niewielu filmowców.
– W najbliższych latach Hollywood padnie przed nim na kolana, kobiety rzucają się na niego, jak sfora wypuszczona na jelenia. Bob prześcignie Deana, Boggarta, Gable'a, Coopera, de Niro. Nigdy dotąd się nie omyliłam.

Ta wypowiedź wielkiej damy Los Angeles równała się konsekracji. Pani Lamont potwierdzała sukces, wieńczący jego krótką, lecz błyskotliwą karierę. Bob cieszył się również, gdy gratulacje posypały się na Raya. Ponieważ był Anglikiem, porównywano go z Keanem. *Noblesse oblige*.

Inni aktorzy otrzymali należne im dowody uznania, lecz Bob pozostał bohaterem dnia. Postawienie go na równi z Jamesem Deanem zrobiło na nim duże wrażenie, gdyż Dean był symbolem niespokojnej młodzieży buntującej się przeciw wszelkim przymusom. W nowojorskim okresie swego życia Bob wiele razy oglądał filmy wyciągane z archiwów przez niektóre kina szczególnie dla młodej publiczności. Dean był wzorem dla poprzedniego pokolenia młodych; dzisiejsza młodzież rozpoznawała się w postaci Boba Flynna.

Myśli Boba uleciały ponad gwarem biesiadników. Czy jego tryumf nie był aby łabędzim śpiewem? Puszka Pandory wkrótce mogła się otworzyć.

Grzecznie uwolnił się od swoich fanów i podszedł do Raya. Serdecznie uściskał jego dłoń i pogratulował mu sukcesu.

– Byłeś wspaniały, Ray! Jestem bardzo szczęśliwy mogąc pracować z tobą. Powodzenie odnieśliśmy dzięki temu, że zawsze sobie pomagamy.

Ray uśmiechnął się. Twarz jego znowu przybrała łagodny wyraz.

– Dziękuję, Bobie! Ale to wszystko twoja zasługa. Miałem szczęście być partnerem prawdziwej gwiazdy. Twój przykład mnie stymulował.

W świetlistych oczach odbijała się dziwna gorycz.

– Wybacz mi!

Ray odszedł. Bob stał zbity z tropu, lecz nie mógł pobiec za przyjacielem, gdyż otoczono go kołem, uwięziono, uniemożliwiając próbę ucieczki. Był więźniem własnego powodzenia. Dopiero po pewnym czasie, który wydał mu

się nieskończenie długi, zdołał się uwolnić. Rzucił się na poszukiwanie Raya. Był przekonany, że dla niego ta uroczystość musiała być śmiertelnie nudna. Nie znalazł go nigdzie. Z pewnością wymknął się dyskretnie. Skupienie się nad sobą samym, niechęć do ingerencji z zewnątrz, całe jego zachowanie wymagało poszanowania dla jego samotności.

Bob nie czekał na koniec przyjęcia. Wymknął się ukradkiem, odprowadzany spojrzeniami służby, przywykłej do kaprysów gwiazd, uciekających przed wielbicielami. Tym niemniej surowo osądzała ona aktorów. Robili przecież wszystko, żeby zdobyć publiczność, żeby wspiąć się na szczyt sławy, a później odwracali się plecami do tych, którzy ich ubóstwiali. Służący przywykli do kaprysów gwiazd a także do ich małostkowości. Starsi wspominali często szczodrość wielkich aktorów z lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Nie liczyli się z wydatkami, szastali pieniędzmi. Nowe pokolenie aktorów inkasowało ogromne gaże i deponowało je w bankach, starało się pomnożyć kapitały. Wszyscy chcieli jak najprędzej zostać milionerami. Napiwki były coraz węższe.

Bob siadł za kierownicą swego nowego rollsa camargue i ruszył ostro. Wybrał się do Palos Verdes. Gotów był się założyć, że Ray wrócił do siebie. Nie mógł dłużej znieść hałaśliwej atmosfery w „Ma Maison”. Nagle Bob przypomniał sobie, że pozostawił w restauracji Averil. Miał obowiązek odwiedzić ją do jej mieszkania na bulwarze Wilshire. Nie dbał o to, jakie komentarze mógł wywołać jego przedwczesny wyjazd po zniknięciu Raya. Jednakże Ray był dżentelmenem. Nie porzuciłby swej partnerki jak wyrzuca się dziurawy but.

Ze zwieszoną głową Bob zawrócił. Ray miałby mu za złe, że zachował się jak cham. Wszedł do restauracji. Goście już się rozchodzili. Averil

rozglądała się z zakłopotaniem dookoła i szukała wzrokiem Boba. Była tak piękna, tak pociągająca, że każdy z gości gotów byłby odwiedzić ją do domu. Averil nigdy by mu nie wybaczyła afrontu, jakim było porzucenie jej tu samej. Na widok Boba, który spieszył ku niej, twarz jej pojaśniała, rysy twarzy się odprężyły.

– Zwijamy żagle? – zapytał z uśmiechem.

– Gotowa jestem iść z tobą na kraj świata!

Żartowała, lecz w jej figlarnym tonie kryła się obietnica. Bob zarzucił jej na ramiona sobolowe futro. Averil wypila o kilka kieliszków za dużo i była pod dobrą datą. Przytuliła się do ramienia Boba, który prowadził ją do auta.

– Masz piękny wóz. Godny ciebie. Widomy znak twego sukcesu!

Portier usłużnie otworzył drzwiczki auta przed Averil. Bob wsunął mu suty napiwek i siadł za kierownicą obok swej towarzyszki, która oparła główkę na jego ramieniu. Rolls ruszył. Averil nastawiła radio. Popłynęła melodia salsy.

– Jaka zmysłowa muzyka.

Tuliła się do Boba jak mruczący kot.

Bulwar Wilshire był niemal opustoszały. Samochód stanął przed wieżowcem, w którym mieszkała Averil. Wygalowany portier przeszedł pod barwnym daszkiem i otworzył drzwiczki auta. Averil wysiadła, czekała na Boba, który okrążył wóz i zbliżył się do niej.

– Nie masz ochoty wstąpić do mnie na szklaneczkę?

Oczy jej błyszczały, uśmiech wyrażał zaproszenie na bardziej ponętne przyjemności. Bob ucałował jej rękę; odkąd zaczął pracować w Hollywoodzie przyswoił sobie formy grzecznościowe, obowiązujące w jego nowym otoczeniu.

– Innym razem, Averil. Dziękuję ci za uprzejmość, ale jestem wykończony. Dzień obfitował w emocje.

Zrobiła zmartwioną minkę.

– Żałuję. Szczerze żałuję.

– Jednego z najbliższych dni... – powiedział Bob.

Z niecierpliwością czekał, kiedy Averil wejdzie do swego domu. Wsiadł do auta i spojrzął na zegarek. Ray powinien już być wrócić do siebie. Rolls ruszył.

Bob zatrzymał się przy chodniku blisko małej willi Raya. Noc była ciepła i gwieździsta. Szum fal podpływających na plażę pieścił go niby aksamitna dłoń. Księżyc rozciągnął nad oceanem długi, wąski dywan świetlany prowadzący w nieskończoność. Bob miał ochotę rzucić się na ten dywan i stapać po wodzie jak Chrystus. Pograżyłby się w nicości przyspieszając rozwiązanie. Powinien iść tropem Jamesa Deana i skończyć tak jak on.

We wnętrzu willi paliły się lampy. Nacisnął dzwonek u drzwi wejściowych, lecz nikt nie odpowiedział. Nacisnął klamkę, drzwi nie były zamknięte na klucz. Przeszedł hol i wszedł do living roomu umeblowanego z gustem i prostotą. Bez popisywania się zbytkiem Ray stworzył intymną, ciepłą atmosferę. Kilka współczesnych obrazów, zielone rośliny, wygodne fotele, dywany, kilka przedmiotów artystycznych, cała kolekcja aparatów sono-video tworzyły wyposażenie wnętrza.

– Ray! – zawołał – Ray!

Po raz pierwszy wszedł do siedziby swego przyjaciela. Cisza zaskoczyła go i zaniepokoiła. Kilka pokoi tonęło w ciemnościach. Przypomniał sobie, że Ray wychodził nocą na plażę, aby uniknąć tłumu kąpiących się i amatorów surfingu, który obejmował ją w posiadanie w ciągu dnia. Otwarte szeroko okna

wychodziły na taras nad oceanem. Wsparty o balustradę badał wzrokiem ciemność otulającą plażę. Dostrzegł sylwetkę leżącą na piasku wysrebrzonym światłem księżyca. Fosforyzujące fale rozbijały się u stóp Raya. Nosił ciemne slipy opinające wąskie biodra. Ramiona skrzyżowane pod głową, nagi tors i nogi miały biel perłowej masy. Krople wody w blasku księżyca lśniły na skórze jak brylanty. Fala czułości, nieokreślone pragnienie owładnęło Bobem. Zszedł po drewnianych schodkach, nogi grzęzły mu w piasku. Powoli zbliżył się do Raya. Miał przed sobą tyle czasu, że nie chciał zniweczyć czaru, który roztaczał się dokoła niby magiczny woal.

Długo przyglądał się swemu śpiącemu przyjacielowi.

Bob zdjął smoking, odrzucił go na piasek wraz z muszką. Rozpiął koszulę i położył się na piasku obok Raya nie budząc go ze snu. Wystarczyło mu podziwiać jego twarz i linie jego ciała. Czas mijał znaczony szumem fal.

Ray otworzył oczy. Spojrzał na Boba nie zdziwiony jego obecnością. Uśmiechnął się.

– Przypominasz księżniczkę Paulinę Borghese opartą na łokciu i wypoczywającą na łożu. Rzeźbę z białego marmuru.

– Wiesz, że nie lubię być porównywany do kobiety. Nie cierpię ciot.

– Wybacz mi. Jedynie twoja pozycja skojarzyła mi się z tą cudowną rzeźbą w Rzymie. Nie masz w sobie nic kobiecego. Przeciwnie! Jesteś bardzo męski, dlatego pewno podbiłeś całą współczesną młodzież.

– Ty również, Ray. Mimo że uśmiechasz się łagodnie i melancholijnie, cała twoja istota promieniuje siłą.

– Lord Byron był człowiekiem melancholijnym, co nie przeszkadzało, że lubił kobiety... i mężczyzn. Ale subtelności pewno ci umykają...

– Dlaczego chcesz okazać się niemiły? – zapytał Bob ostro. – Nie przyszedłem sprzeczać się z tobą.

– Dlaczego mielibyśmy się sprzeczać? Zgadza się z tobą. Nie znoszę ciot. Ich śmieszne małpiarstwa budzą we mnie wstręt. Wśród towarzyszy Leonidasa pod Termopilami nie było niewieściuchów. Prawdziwa miłość grecka wyklucza cioty. Ale dajmy temu spokój.

Umilkł. Nastąpiła ciężka, kłopotliwa cisza. Bob przerwał ją pojednawczym tonem.

– Chciałem ci podziękować. Nauczyłem się od ciebie nie tylko dobrych manier i ładnego wyrażania się, ale i wielu innych rzeczy. Steve Mc Queen usuwał ze swoich replik słowa zbyt skomplikowane dla niewykształconego człowieka. Bo przyznawał się do swego braku wykształcenia. Odprowadziłem Averil do domu, mimo że ta grzeczność nie zrobiła mi żadnej przyjemności. Sądzę, że ty postąpiłbyś tak samo.

– Z pewnością.

– Wiedziałeś, że przyjadę do ciebie?

– Tak. Ale powinieneś być powstrzymać się od tego.

Tym razem głos Raya zabrzmiał niezwykle twardo. Gwałtowność tonu zdumiała Boba. Nie wiedział jak zareagować. Przyszedł mu na myśl konflikt między Jaredem i Jeffem. Nie wyobrażał sobie, że mogłoby dojść do tego między nim a Rayem. Westchnął.

– Przyjechałem, żeby sprowokować wyjaśnienia.

Ray nie zmienił pozycji. Samotność nocy i oceanu izolowała ich od świata. Rozmowę przerywały chwile milczenia.

– Nie proszę cię o wyjaśnienia i nie chcę ci niczego wyjaśniać.

– Byłoby mi przykro, gdyby jakieś nieporozumienie zniszczyło naszą przyjaźń... Powinieneś być mnie zrozumieć... Prowadziłem życie, w którym każde dotknięcie budziło we mnie wstręt... Więc wówczas, w kuchni, to był z mojej strony zwykły odruch...

Umilkł. Położył się na plecach z rękoma pod głową, tak jak Ray. Kontemplował niebo, całun nocy usiany światełkami nad Los Angeles.

– Byłbym szczęśliwy, Ray, gdybyśmy powrócili do naszej przyjaźni... Mam dla ciebie uczucie, jakiego nie doznałem nigdy przed naszym spotkaniem... Kocham cię, Ray! Nie wiem, czy to miłość braterska, czy też kryje się w tym coś... cielesnego... albo te dwa uczucia łączą się ze sobą. Potrzebuję ciebie... twojej przyjaźni... twojej miłości... Jestem człowiekiem nieszczęśliwym, mimo nieoczekiwanego sukcesu...

Uczuł, że Ray położył swoją dłoń na jego ręce i uścisnął ją. Łagodny głos był jak balsam kojący rozterkę Boba.

– Wiedziałem o tym... Zrozumiałem to już dawno... I ja ciebie kocham, Bob... Kocham cię...

* * *

Peter O'Neill przybył wraz z żoną do Harriet Lamom. Sam prowadził rollsa, gdyż nie znosił patrzenia na kark kierowcy, który znał wszystkie przygody miłosne Anny i mógł ze znawstwem określić wielkość jego rogów. Podczas jazdy reżyser ani słowem nie odezwał się do Anny, która zachowywała również lodowate milczenie. Obecność jej przy nim dała mu jednak do myślenia. Przypominał sobie, co sprawiło, że płomienna miłość przemieniła się w dziką nienawiść. Przecież na początku małżeństwa kochali się, przeświadczeni, że ich uczucia pozostaną równie gorące. A potem, niemal bez fazy przejściowej, weszli na bezpowrotną drogę, usianą rozdarciem, które

stopniowo sączyły zółć zatruwającą ich wzajemne stosunki. Co było powodem całkowitego zerwania? Niezgodność charakterów, czy inne okoliczności, których nie umiał zanalizować w odpowiednim czasie? Kto ponosił winę? On, Anna, czy oboje razem? Ostatnia hipoteza wydawała się najbardziej prawdopodobna. Teraz nie byli już dwojgiem obcych ludzi żyjących pod jednym dachem, ale zawziętymi wrogami. Pogardzał nią. Dla O'Neilla nie było różnicy między Anną a dziwką, która chodziła co noc po ulicy szukając klientów... Anna zaczęła go zdradzać, żeby mu zrobić na złość, później polubiła tę zabawę. Nie mogła się już obyć bez młodych ludzi, którzy dawali jej namiastkę miłości w zamian za brzęczącą monetę.

Nie rozwiódł się, ponieważ proces wymagałby straty czasu, zbyt cennego czasu, żeby go marnować na niekończące się rozmowy z adwokatami, na wyczekiwanie w sądzie i przykre rozprawy. W każdym razie musiałby płacić ogromną pensję alimentacyjną żonie, która przestałaby nią być formalnie, lecz prowadziłaby dalej ten sam tryb życia. Dzieci, aczkolwiek na tyle dorosłe, że nie zaszokowałyby ich oficjalna separacja rodziców, nie ułożyły sobie jeszcze życia. Robby żył w świecie swoich marzeń i w nieświadomości. Śmieszny proces, który miałby położyć kres ich formalnemu małżeństwu, zwiększyłby jeszcze niepokój chłopca. Śmierć Herba i jej następstwa głęboko wryły się w jego duszy. Robby wciąż był jeszcze dzieckiem, które łatwo zranić. Peter lękał się, by chłopak nie zmarł na skutek przedawkowania. Nie mógł uczynić nic, aby powstrzymać syna od nałogu, od niszczenia samego siebie. W ostatnim czasie postanowił umieścić go w klinice odwykowej, ale Robby z wściekłością odrzucił jego propozycję. Pozbawienie go miesięcznej pensji, dość nawet znacznej, po to, żeby nie mógł kupować trucizny, która go zabijała, nie zdałoby się na nic. Głęboko uzależniony Robby sprzedawałby po kryjomu wartościowe

przedmioty, których było wiele w domu, byle tylko dostać forszę. Shirley była bardziej zrównoważona niż jej brat, lecz Peter martwił się o jej przyszłość. Chciałby ją przygotować do kariery życiowej, która mogłaby ją uchronić od trosk materialnych. Przy szalonych wydatkach Anny i jej córki ogromna fortuna O'Neillów nie wystarczyłaby na długo, gdyby Peter nie dostarczał rodzinie wielkich dochodów, jakie mu przynosiły jego filmy. Wiedział, że nie będzie żył w nieskończoność. I myśl o tym go dręczyła. Bez niego dzieci szybko znalazłyby się w tarapatkach.

* * *

Siedziba Harriet Lamont na Beverly Hills była jedną z tych ogromnych budowli, które łączą w sobie styl mauretański, hiszpański oraz wpływy współczesnej architektury. To połączenie nie ograniczało się do *mixtum compositum*, czyli do zwykłego pomieszania stylów, lecz osiągnęło doskonałą harmonię. Przybywający tu tłumnie turyści, którzy pragną zobaczyć rezydencje wielkich gwiazd ekranu, znajdowali w kioskach przewodniki dostarczające wszelkich upragnionych informacji, lecz pomijały fakt, że większość tych willi przeszła przez ręce arabskich szejków, dysponujących petrodolarami, miliarderów przybyłych z trzeciego świata, stale niepokojonych miejscowymi rewolucjami, a także bogatych Europejczyków, którzy chcieli uchronić się przed skutkami socjalizmu lub – zawsze możliwej – inwazji rosyjskiej na starym kontynencie.

Zmarły mąż pani Harriet Lamont, niegdyś prezes multinarodówki, nie chciał budować dla swej rodziny rezydencji inspirowanej architekturą Rzymu, jak Paul Getty, ani marmurowego pałacu o luksusowych basenach, jak Hearst. Nie przywiózł z Europy rozebranego na sztuki francuskiego pałacu, którego każdy kamień umieszczono by w drewnianej skrzyni jak w trumnie i

przetransportowano przez ocean. Wzniósł wielki, typowo kalifornijski dom w stylu lat trzydziestych, kiedy Hollywood było u szczytu sławy. Madame Lamont utrzymywała go starannie. Biżuteria jej kosztowała miliony, w garażu stało dziesięć samochodów, w tym pięć rollsów do jej osobistego użytku. Cieszyła się prestiżem równie wysokim jak jej dochody. Nazwisko jej zawsze znajdowało się na czele kroniki towarzyskiej w prasie kalifornijskiej. Ludzie lubiący szperać w brudach przeszłości twierdzili wprawdzie, że bardzo piękna i powszechnie szanowana pani Lamont wiodła przed ślubem nader burzliwe życie. Miała lat dwadzieścia, kiedy stary Lamont tak się w niej zakochał, że poślubił ją nie bacząc na nic. Po ślubie zdradzała go dyskretnie, gdyż z trudem mógł spełniać swoje obowiązki małżeńskie. Mimo to był szczęśliwy, że ma ją przy sobie, że może ją pieścić i wdychać woń jej perfum, że może gasić swe pragnienie u źródła jej młodości. Peter O'Neill w początkach swojej kariery wślizgiwał się nocą przez ukryte drzwi do sypialni Harriet. Kiedy jednak płomień młodości stał się nocną lampką, pozostali dobrymi przyjaciółmi. Harriet fetowała filmy O'Neilla, kładąc kilka kamieni pod podwaliny jego sławy.

Ilekroć potrzebował rady, zachęty, czułego i pełnego zrozumienia towarzystwa, przekraczał próg domu pani Harriet.

Dzięki usilnym zabiegom i kosztownym operacjom kosmetycznym uroda jej zachowała się doskonale. Peter wyglądał na jej ojca. Od czasu do czasu kochali się jeszcze, żeby odnowić wspomnienia przeszłości. Młodzi i przystojni gigolacy krążyli koło niej jak dokoła wszystkich bogatych i spragnionych przyjemności matron w Los Angeles. Ale w ramionach O'Neilla odnajdywała ona wspomnienia prawdziwej młodości, prawdziwego uczucia. Obecnie życie uczuciowe ograniczało się do kłamstwa, milcząco

akceptowanego przez nią i jej płatnych partnerów. Pozorna młodość Harriet nie mogła zmylić nikogo, gdyż wszyscy w Hollywoodzie znali jej wiek. Co najwyżej podziwiano jej odporność na niszczące działanie czasu.

Otoczenie domu Harriet lśniło jak ogromna choinka w okresie świąt Bożego Narodzenia. Sznury lampionów oświetlały fasadę i ogród ozdobiony posągami i dziesiątkami tryskających fontann. Luksusowe samochody przesuwały się przed wejściem, przy którym stali lokaje w liberii. W wielkim holu goście byli podejmowani przez całą chmarę służby o ściśle określonych zadaniach. Przyjęcie upodobało się do pokazu mody, na którym modelki prezentują najnowsze kreacje wielkich projektantów.

Amatorzy silnych alkoholi mieli do dyspozycji sześć barów rozmieszczonych w różnych salonach i obsługiwanych przez młodych, fascynujących barmanów – wszyscy byli aktorami bez engagement – którzy przyrządzali skomplikowane koktajle o egzotycznych nazwach. Kelnerzy krążyli wśród gości roznosząc na tacach kieliszki szampana. Bogato zaopatrzone bufety czekały w salach recepcyjnych. Orkiestra balowa i zespół rockowy zachęcały do tańca. Oczywiście muzycy ci grali w dwóch salach na przeciwległych krańcach domu, aby uniknąć kakofonii.

Anna wysiadłszy z auta czekała chwilę na męża, który szukał czegoś w pudle na rękawiczki.

– Co ty tam robisz? – zapytała ostrym tonem.

– Nie wiem, gdzie podziałem zapalniczkę! A, jest! – wykrzyknął.

Peter wysiadł z auta i powierzył je groomowi, który miał je odprowadzić na parking urządzony z dala od domu na rozległym trawniku. Małżonkowie weszli do willi i przywitali się z Harriet, która oczekiwała gości w holu. Uścisnęła chłodno rękę Anny, natomiast z widoczną przyjemnością przyjęła

O'Neill, gościa honorowego. Spotęowało to jeszcze niechęć jego żony, ale uśmiech nie zniknął z jej doskonale umalowanej twarzy. Obie kobiety ukradkiem zmierzyły się wzrokiem, aby wykryć początek schyłku, którego w pewnym momencie nie można już ukryć pomimo wszystkich interwencji chirurgicznych.

Bob przybył trochę później w towarzystwie Averil. Reporterzy telewizyjni prezentowali przychodzących widzom małego ekranu. Dowcipne komentarze miały rozproszyć monotonię wymieniania nazwisk.

– Oto Bob Flynn, fascynujący kandydat do Oscara. U jego boku pociągająca Averil Auberon, współbohaterka filmu i – jak mówią -- w niedalekiej przyszłości współtowarzyszka życia. Oto Gilbert Roland, bohater filmu „City Lights” wraz z małżonką Leilą. „Mój syn i moja żona położyli kres rozwiązłości kawalerskiego życia – powiedział nam. – Jeśli chcecie być szczęśliwi – to się ożeńcie!”

Anna ostentacyjnie opuściła męża i ruszyła na poszukiwanie młodych ludzi, którzy daliby się uwieść. Zauważyła młodziutkiego barmana, który najwyraźniej traktował tę pracę tylko jako doraźne zajęcie.

– *Daiguri*, proszę! – zamówiła obrzucając go powłóczytym spojrzeniem.

Skupił całą uwagę na odmierzaniu składników koktajlu, żeby uniknąć spojrzeń otwarcie wyrażających pożądanie i lubieźność. Nie krępowała się podrywać go na oczach wszystkich gości. Jedna z dam podeszła do niej i starała się nawiązać z nią rozmowę o najnowszych plotkach hollywoodzkich, lecz spostrzegłszy, że Anna jej nie słucha, wzruszyła ramionami i zrezygnowała ze swych dobrych intencji.

Podnosząc szklanę Anna poruszyła upierścienionymi palcami, jak by chciała zahipnotyzować chłopaka. Niby przypadkiem dotknęła jego ręki.

– Nie kusi pana przypadkiem kariera filmowa? Mogłabym panu pomóc. Jestem żoną O'Neilla...

Harriet, zamieniając po kilka uprzejmych zdań ze swymi gośćmi, skierowała swe kroki ku O'Neillowi, który oparł się na kontuarze mniej uczęszczanego baru, obsługiwanego przez jowialnego Murzyna. Samotny, zamyślony i w kiepskim nastroju, z daleka śledził wzrokiem Boba, który nie mógł się wyrwać z kręgu dziewczyn, które chciały go zagarnąć na resztę wieczoru. Słuchał grzecznie ich szczebiotania i uśmiechał się rozbawiony. Mówiły wszystkie na raz, parskały śmiechem, żartowały, rade z tego, że udało im się wyłuskać go z towarzystwa.

Harriet położyła delikatną dłoń na ramieniu O'Neilla. Delikatne żyłki zdradzały jej wiek.

– Mój biedny przyjacielu! – powiedziała z czułością. Drgnął i odstawivszy szklanę odwrócił się ku niej.

– Jesteś prawdziwą przyjaciółką. Odgadujesz wszystko, co dzieje się w mej duszy.

– Wart jesteś tego, żebym tak troszczyła się o ciebie. Detektywi rozproszyli się po całym domu, żeby ciebie chronić. Jestem szczęśliwa mogąc przysłużyć się temu, abyś dobrze się poczuł...

– Nie zasługuję na twoją wielką dobroć.

– Wiesz, co mnie tak przybliżyło do ciebie? To, że w mojej obecności odrzucasz maskę pozornego cynizmu... Jesteś równie wrażliwy jak ja... Mój mały paluszek mówi mi, że nie czujesz się szczęśliwy...

Ujął jej rękę i ucałował mały paluszek.

– To prawda. Cięży mi samotność. Ale praca pomaga mi o niej zapomnieć.

– Zeszczuplałeś...

– Kwestia wieku, Harriet. Jedni na starość tyją, inni chudną. Ty natomiast zawsze jesteś bardzo młoda...

– Twoja grzeczność jest niezawodna.

Łzy zaćmiły jej wzrok.

– Kocham cię, Peter! Upływ czasu nie osłabił mojej miłości do ciebie. W moich myślach zawsze jesteś tym samym młodym człowiekiem, którego poznałam... ile to lat temu? Nie, nie liczymy już lat!

Wzrok O'Neilla znowu zatrzymał się na Bobie. Harriet podążyła za jego spojrzeniem.

– Twój protegowany jest bardzo pięknym chłopcem. Gdzie go znalazłeś?

– Siedział na schodkach przed domem na nędznej uliczce w Nowym Jorku. Przypadek płata nam najdziwniejsze figle.

– Przypadek to wymówka hipokrytów. Gdyby to nie był Bob Flynn, znalazłbyś innego chłopca, równie pięknego i czarującego jak on... W głębi duszy chciałeś go spotkać.

– Nie jestem pedkiem.

– Podświadomość okrywa mrokiem ukryte skłonności...

– Gdybym nim był, możesz być pewna, że nie krępowałbym się do tego przyznać. Wielu młodym ludziom dałem szansę wybicia się. Nie zawsze miałem szczęśliwą rękę. Ale Raymond Rhys, Jeffrey Blyth, Jared Dahl, a zwłaszcza Bob Flynn nie zawiedli moich oczekiwań.

– Bob ma w sobie coś szczególnego. Bardzo szczególnego. Znam cię zbyt długo, żebym się mogła mylić.

– Głupstwa...

– Nie gniewaj się. Nie mam nic przeciwko żrebakom... Nie zastanawiałeś się nigdy, czy w głębi swych instynktów nie jesteś biseksualistą?

– Mogę zadać ci to samo pytanie?

Parsknęła śmiechem. Białe, drobne zęby miały blask pereł.

– Spróbowałam wszelkich przyjemności, Peter. Dozwolonych i niedozwolonych. Spojrzenia, jakimi obrzucasz Boba, zdradzają gorące zainteresowanie. Podkreślam: gorące!

– Czy mam zdawać rachunek?

– Nie wsiadaj na wielkiego konia! Nigdy nie miałeś przede mną tajemnic... Zresztą granica między homo- i hetero-seksualizmem jest płynna...

O'Neill zaniepokoił się. Czyżby nie potrafił ukryć natury swoich uczuć? Czyżby zdradzały go własne myśli? Harriet podała mu gałązkę oliwną; jak zwykle okazała umiejętność przechodzenia do porządku nad trudnymi problemami. A zmieszanie O'Neilla naprawdę ją poruszyło.

– Wypijmy kieliszek szampana za sukces twego ostatniego arcydzieła i zapomnijmy o troskach! Wieczór jest piękny, obsypano cię pochwałami, honorami. Czego chcesz więcej?

– Nie ma prawdziwego szczęścia, Harriet. To tylko złudzenie. Najwyższe szczęście ulatnia się i pozostawia jedynie wielki smutek za sobą. Napijmy się i postarajmy zapomnieć o przyszłości, o dobrych i złych niespodziankach, które nam gotuje.

Bob spostrzegł, że pani domu i reżyser wpatrywali się w niego. Był szczególnie czuły na zainteresowanie, jakie wzbudzała jego osoba. Dawny zawód nauczył go czujności. Notował w myślach wszystko, co mogło go dotyczyć.

Świergotanie dziewcząt, które cisnęły się dookoła niego było mu obojętne. Odpowiadał monosylabami na ich żarciki, na ich zaczepki.

Ray pojawił się w drzwiach prowadząc Shirley O'Neille. Bob poczuł ukłucie zazdrości, ale zdał sobie sprawę, że była całkiem bezpodstawna. To, że wybrał sobie na partnerkę córkę swego reżysera, nie pociągało żadnych konsekwencji. Ray pozostawał jego przyjacielem. Nigdy by nie zawiódł jego zaufania. Od czasu tamtej nocy spędzonej obok niego na plaży Bob znalazł oparcie i pociechę. To było istotne...

Ray i Shirley podeszli do Harriet i przeprosili ją za spóźnienie. Bob podążał wzrokiem za nimi. Przed spotkaniem Raya samotność w Los Angeles była dla niego zabójcza. Z nadejściem nocy leżąc samotnie w łóżku nieraz wybuchał płaczem. Coraz bardziej pragnął stąd uciec. Piękny dom, niewiarygodna kariera, przyszłość, zwłaszcza przyszłość – wszystko budziło w nim lęk. Podczas przerw w pracy był osamotniony. Nieśmiałość czy strach – uczucia nader niejasne – powstrzymywały go od szukania towarzystwa ludzi, od nawiązania rozmowy. Później zbuntował się przeciwko własnym obawom i własnej inercji. Zerwał wyimaginowane łańcuchy, zaczął wyjeżdżać z domu i wracać późno w nocy.

W ciemnych okularach zasłaniających połowę twarzy, w skórzanej kurtce i dżinsach, jakie noszą niemal wszyscy młodzi ludzie, zatrzymywał swój luksusowy wóz na rogu ulicy, przechodził pieszo kilkadziesiąt metrów i wstępował do pierwszego lepszego baru. Lubił nędzne bary, gdyż nikt nie mógłby podejrzewać, że Bob Flynn, czyli James Dean lat osiemdziesiątych, zapuściłby się do takiego szynku. Jared ożywił jego wspomnienia, otworzył gniazdo żmij. Kładł białe dłonie na ladzie i zamawiał whisky. Bez wody i bez lodu. Nawykły od czasu swego wyniesienia do najdelikatniejszych i

najdroższych trunków miał wrażenie, że barman podawał mu pomyje, które ledwo zapachem przypominały whisky. Przyzwyczajony w przeszłości do namiastek, nawet nie protestował. Niekiedy dziwki – nocne ćmy – albo pijaczkowie próbowali go naciągnąć. Był bliski tego, aby spełnić ich życzenia, lecz opanowywał się i odsuwał łagodnie, gdyż rozumiał ich samotność, potrzebę znalezienia kompana na resztę nocy. Seks był tylko pretekstem... Młodzi łajdacy szukali z nim zwady. Umiał wyjść bez szwanku z tych rozróbek, miał bowiem za sobą bogate doświadczenie. Aczkolwiek nie cierpiał bójek bez powodu, odpowiadał gwałtownie na zaczepki. Niekiedy nawiedzała go pokusa sięgnięcia po narkotyk, który przyniósłby mu zapomnienie, ale jak zawsze opierał się namowom narkomanów i ofertom sprzedawców kokainy... Pił pomyje i prosił, by mu ponownie napełniono szklanę. Nie upijał się. Wracał do domu trzeźwy. Im bardziej rozjaśniał mu się umysł, tym bardziej dręczył go niepokój... Dowiedział się później, że Joan Harlow, „wielka Harlow”, włożywszy czarną perukę wychodziła w nocy incognito, pozwalając zaczepiać się nieznajomym i szła z nimi do podejrzanych hotelików. Przykład jej przynosił mu ulgę. Nie był jedynym człowiekiem, który poniżał się w spelunkach Los Angeles...

Pewnej nocy wyszedłszy z podłego baru nie znalazł swojego auta. Kradzież nie wywarła na nim szczególnego wrażenia. Ponieważ zajęty był kręceniem filmu, nie mógł sobie pozwolić na szukanie nowego wozu. Poprosił więc agenta, aby mu kupił ferrari. Agent obiecał spełnić polecenie, zwrócił mu jednak uwagę, że wydaje za wiele pieniędzy. Powinien pomyśleć o przyszłości. „Właśnie pomyślałem o niej” – odparł Bob. – Niech mi pan kupi ferrari i lamborghini. Potrzeba mi dziesięciu wozów, żeby zastąpić te, które mi ukradną. Czy przekonuje pana takie rozumowanie?

Podczas gdy dziewczęta nadal gadały bez przerwy, uwagę Boba zwróciła nagle młoda studentka o złośliwych oczach, którą spotkał był w barze uniwersyteckim. Szukał jej na próżno i oto drogi ich skrzyżowały się ponownie.

Przeprosił swoje wielbicielki i wymknął się raczej niezręcznie. Poczuli się obrażone jego odejściem. Bob skierował kroki ku młodej nieznajomej, która z roztargnieniem słuchała subtelnego wywodów łysego antykwariusza na temat amatorów zachwycających się sztuką lat trzydziestych. Spozrzęła Boba i uśmiechnęła się do niego jak do starego przyjaciela. Miał wrażenie, że prosi go wzrokiem: „Niech pan przybędzie na ratunek! Ten nudziarz mnie zamorduje!”

Bob wziął ją grzecznie za ramię i przerwał dyskurs pełen emfazy:

– Niech mi pan wybaczy, ale mamy sobie coś do powiedzenia z moją przyjaciółką.

Antykwariusz zapomniał języka w gębie. Bob poprowadził dziewczynę do sali tanecznej, gdzie orkiestra grała „*Moonlight Serenade*” Glenna Millera. Pary w pewnym wieku tańczyły ze staroświeckim wdziękiem na parkiecie w stylizowane kwiaty.

– Stwierdził pan, że jest moim przyjacielem, nie znając nawet mojego imienia – powiedziała przekornie.

Bob odzyskał poczucie humoru:

– Pani podziękowanie jest raczej chłodne – odparł wesoło.

Używała delikatnych perfum, których zapach wdychał z przyjemnością.

– To nie moja wina, że pani odleciała jak spłoszony ptaszek.

– Spłoszony? Dlaczego?

Zaśmiała się radośnie, z wdziękiem nieskalanej młodości. Niewinność tej dziewczyny była dla niego cudownym odkryciem.

– Jestem Laura Lamont. Lorrie dla przyjaciół. Pan uzyskał prawo zaliczać się do nich.

– Mam na imię Robert. Ale przyjaciele i publiczność nazywają mnie Bob. Robert poszedł w zapomnienie.

Zdawała się nad czymś zastanawiać.

– O czym pani myśli?

– Bob to banalne. Wolę imię Robert.

– Przyjmuję pani wybór.

Ray ukazał się w drugim końcu salonu. Na widok Boba twarz jego pojaśniała. Kiedy jednak spostrzegł dziewczynę, z którą rozmawiał, znowu czoło jego spochmurniało. Zawrócił na pięcie i odszedł. Poczł szaloną chęć wypicia czegoś. Oparł się łokciami na pierwszym napotkanym barze. Zamówił mocny koktajl. Najmocniejszy.

– *Indiana spilt* mógłby zwalić z nóg Statuę Wolności, panie Rhys. Nie zauważył nawet powabnego uśmiechu barmana. Przy drugim

końcu kontuaru zasiadł O'Neill. Harriet opuściła go z żalem, gdyż musiała zająć się również innymi gośćmi. Reżyser był wyraźnie zajęty swoją towarzyszką, Sue Brions, ambitną rywalką Brooks Shields. „Przewyższę ją, bo jestem młodsza” – mawiała Sue. Peter zachował swój ironiczny uśmiech, lecz jego spojrzenie rozsnuwało pajęczą sieć wokół dziewczyny. Chciał ją zafascynować. Świadoma czaru, jaki roztaczała, dziewczyna poczerwieniała, usta jej zmysłowo się rozchyliły, piersi unosiły się coraz szybciej. Peter skinął na barmana.

– Jeden *Dream of Granada* bez alkoholu dla panienki i jeden *Egg Nog* dla mnie.

– Dlaczego bez alkoholu dla mnie? – zapytała zirytowana Sue.

– Nie wolno podawać alkoholu nieletnim.

– Ale uwodzić je wolno? – odparła z prowokującą kokieterią. Peter chętnie ustąpił.

– Dwa *Egg Nogg*, młody człowieku!

Barman, Irlandczyk o piegowatej twarzy i ognistych włosach przyrządzał koktajle przyjmując korzystne pozy, aby O'Neill, odkrywca gwiazd zwrócił nań uwagę. Stwierdził jednak z goryczą, że reżyser wpatrywał się tylko w dziewczynę. Zawiedziony postawił szklanki na kontuarze. Peter podał jedną z nich Sue.

– Za twój czar! – powiedział pieszczotliwym tonem.

– Za nas oboje! – odpowiedziała akceptująco. Byli w pełnej zgodzie.

Isabelle wyłoniła się za ich plecami. Oczy jej ciskały błyskawice.

– Mała dziwko, chcesz zdobyć sławę pchając się do łóżka reżysera? Czar prysnął. Sue i O'Neille odwrócili się do wzburzonej aktorki.

Dziewczyna patrzyła na nią zdrętwiała. Peter pojednawczo uniósł szklanke.

– Za twoją sławę, której nikt nie może ci odebrać.

– Nie chcę jej dzielić z twoją ladacznicą!

– Isabelle, kochanie, panuj nad językiem!

– Zapłacicie mi za to obydwój!

Ujrzała Raya, podeszła do niego i namiętnie oparła się na jego ramieniu.

– Dzisiaj wszyscy śpią ze wszystkimi! Nie chcesz zabrać mnie do siebie? A może wolisz moje mieszkanie? Mam łóżko, które kołysze się jak łódka na falach.

Ray uśmiechnął się zakłopotany.

– Dziś wieczorem odprowadzam Shirley do domu...

– Niech ją pan puści samą! To także dziwka. Znajdzie tuzin chętnych do ciupciana się z nią!

Peter powściągając zdenerwowanie, wściekły, że Isabelle ośmieliła się obrażać jego córkę, mówił dobrotliwie:

– Za dużo dziś wypijaś. Byłoby lepiej, gdybyś wróciła do siebie i poszła spać.

– Wcale nie chcę spać!

– Podwójną kawę dla pani! – powiedział O'Neill do barmana zmieszanego tą sceną, która przekreślała jego nadzieje na karierę aktorską. – Mocna kawa przywraca przytomność.

– Starasz się mnie skompromitować! Puściła ramię Raya i spojrzała nań pogardliwie.

– Ty także podlizujesz się O'Neillowi! Odeszła trochę się zataczając.

– Isabelle jest dziwaczką, Ray! Łatwo się unosi. Nie przejmuj się tym. Jutro rano, kiedy się wyśpi, wstanie spokojna i zapomni o tej absurdalnej scenie.

– Nie można tego łagodniej określić! – dorzuciła obrażona Sue.

– Zatańczmy! – zaproponował Peter.

Odstawił puste szklanki na kontuar i wziął ją za rękę. Ray nie spuszczał oczu z tej pary, która swobodnie poruszała się na kręgu tanecznym. Peter zapomniał o swoim wieku.

– Jeszcze jeden *Indiana Spilt*, mister Rhys? – zapytał barman.

– Tak, poproszę.

Incydent spowodowany przez Isabelle zaszokował go tym bardziej, że widok Boba zajętego uroczą towarzyszką trochę go poruszył. Były to mało ważne zdarzenia, lecz pogorszyły jeszcze jego samopoczucie.

Podniósł do ust szklanekę, lecz nie zdążył jej wypić, kiedy czyjaś dłoń położyła się na jego ramieniu. Jeszcze jeden natręt zakłócający jego samotność.

– Hallo, Ray! Rad jestem pana widzieć.

Errol Brent, dobrze już pijany, chwycił go za ramię, żeby nie upaść.

– Nogi uginają się pode mną... Dziwne uczucie, nieprawdaż? Doznał go pan kiedy?

– Gdy za wiele wypilem.

– Od pewnego czasu piję jak smok... Piję ze strachu... Podwójną wódkę, proszę! Pan nie wie, co to strach, bo pan jest młody.

– Ależ wiem, mister Brent! Strach w ciemności, strach przed złodziejem, który przyłożył mi nóż do gardła, strach przed trudnym egzaminem na uniwerku...

Errol drżącą ręką podniósł szklanekę i wychylił jej zawartość jednym haustem.

– Jeszcze jedną! Czy kiedykolwiek bał się pan przyszłości, Ray? Bał się pan stracić wszystko, co zdobył pan w ciągu całego życia? Bał się pan starości? Swojego reżysera? Czy słyszał pan o śmierci cywilnej? Śmierć artystyczna ma podobne skutki. Peter może spowodować śmierć artystyczną. Używa i nadużywa aktorów. A gdy uzna, że z nich wszystko wycisnął, wyrzuca ich do śmieci... Właśnie tak postąpił z biedną Barbrą West... Potraktował ją jak

szmatę... Płakała z upokorzenia na moim ramieniu... To dlatego się zalewam. Żeby zapomnieć o nadchodzącym zmierzchu...

Ray spróbował podnieść go na duchu.

– Sam pan wie, że w Hollywoodzie liczy się tylko ostatni film. A pański ostatni film był sukcesem.

– Sukcesem? Pan mnie rozśmiesza! Marniutki sukces, który ani ziębi ani grzeje. Chce pan mieć dowód?

Uścisnął ramię Raya.

– Peter nie zaproponował mi żadnej roli w filmie, który zaczyna w Nowym Jorku... Barman, jeszcze jedną podwójną wódkę!

Dwie łzy spłynęły mu po obwisłych policzkach.

– Jestem człowiekiem skończonym! Wyrzuconym na śmietnik przez mego dawnego przyjaciela! Przez mojego kumpla! Wszyscy aktorzy, nawet nagrodzeni Oscarem, są dla niego tylko mięsem armatnim, gównem! Powiadają, Ray, że okres dojrzewania to wiek niewdzięczny... Ale niewdzięczny, niebezpieczny wiek przychodzi między czterdziestką a pięćdziesiątką. W tym okresie człowiek żyje bez poczucia stabilności. Jedna droga wiedzie w górę, druga w dół. Trzeba wejść na tę wstępującą... Ale Peter spycha mnie w gówno! I kiedy ja krzyczę z rozpacz, on tańczy z dziewczuszką, która mogłaby być jego wnuczką... Po przyjęciu będzie ją ciupciać... Teraz znalazł sobie nowe żrebaki! Młode, ładne, gotowe wszystko zrobić dla sukcesu... To oni spychają nas w przepaść!

Ray poczuł się urażony, lecz nie dał tego poznać po sobie.

W tejże chwili ogłuszający huk wprowadził w drżenie szyby. Orkiestra umilkła, tancerze znieruchomieli. Zaskoczenie było tak nagłe, że ludzie zamarli. Drugi wybuch nastąpił w chwilę później. Oba miały miejsce w

ogrodzie. Detektywi wmieszani między gości wybiegli czym prędzej. Dwaj goryle z rewolwerami w dłoniach stanęli przy O'Neillu, żeby go osłonić przed ewentualną napaścią. Wywnioskowali, że eksplozje miały na celu odwrócenie uwagi obrony, aby morderca korzystając z zamieszania mógł podejść do O'Neilla i podziurawić go kulami.

Panika ogarnęła wszystkich. Kobiety krzyczały albo mdlały, mężczyźni kręcili się i biegali bez celu. Thukły się szklanki. Wazony pełne kwiatów spadały na ziemię.

Harriet stanęła przed starym przyjacielem, jakby chciała osłonić go własnym ciałem.

Dwaj detektywi powrócili z ogrodu i wymownym gestem poprosili o ciszę.

– Niechże się państwo uspokoją! Na parkingu jeden rolls się zapalił i płomień rozszedł się na dwa sąsiednie wozy. Nie ma zabitych ani rannych. Niebezpieczeństwo zostało zażegnane.

Goście się uspokoiли. Kilka osób zażądało dodatkowych informacji.

– Powiadomimy państwa, gdy tylko zdobędziemy dane, które pozwolą nam wyciągnąć słuszne wnioski.

Na polecenie pani Lamont, orkiestry znowu zaczęły grać do tańca. Bary były obleżone, gdyż strach pobudził pragnienie.

Powiadomieni bezzwłocznie porucznik Hatcher i Gideon Spack przybyli na miejsce wypadku. Wkrótce potem dowiedziano się, że wybuch zniszczył samochód O'Neilla – z pewnością będącego celem zamachu – i wywołał pożar dwóch innych. Kierowcy, którzy znajdowali się na parkingu nie zeznali nic istotnego. Nikt z nich nie widział, aby ktokolwiek zbliżał się do zniszczonego rollsa. Spack stwierdził, że wybuch musiał być spowodowany przez bombę

zegarową, która nie wybuchła we właściwym czasie; dlatego też O'Neill wyszedł cało z kolejnego usiłowania zamachu. Anna, pobladła z przerażenia, oświadczyła, że nigdy więcej nie odważy się wsiąść razem z mężem do auta. Harriet popatrzyła na nią z pogardliwą litością. Podziwiano zimną krew O'Neilla.

– Rzeczą policji jest zajęcie się tą sprawą. Nie mam tu nic więcej do powiedzenia.

Incydent ten zepsuł miły nastrój przyjęcia. Goście – jeszcze zaszokowani tym przykrym wypadkiem – zaczęli się rozchodzić. Przebywanie w pobliżu O'Neilla stawało się niebezpieczne. Można było wraz z nim wylecieć w nieskończoność; perspektywa tego uskrzydliła ludzi zbyt wrażliwych. Damy, które często wydawały przyjęcia, pomyślały, czy nie należałoby wykreślić nazwiska O'Neilla z listy ich stałych gości.

Harriet oddała swoje auta do dyspozycji tych, którzy utracili własne. Część przyjaciół, którzy chcieli okazać jej swoją solidarność, bawiła się nadal, piła i tańczyła, jakby nic nie zaszło.

– Rad jestem, że nie musimy rozstać się tak prędko – powiedział Bob do Lorrie Lamont. – Dopiero co spotkaliśmy się ponownie.

– Jest pan jeszcze bardzo naiwny mimo sławy, jaka pana otacza. Nie należy nigdy ujawniać głośno swoich uczuć. Jeśli chce pan zdobyć dziewczynę, powinien pan okazywać większą powściągliwość, tajemniczość. Co prawda, jest pan w nieco szczególnej sytuacji. Nie musi pan uganiać się za dziewczynami. To one pana napastują.

– W pani przypadku to się nie sprawdza.

– Nie cierpię kobiet-pijawek i unikam młodych ludzi zbyt pociągających, gdyż powodują komplikacje. Piękno łączy się często z brakiem rozsądku, umiaru. Z grona tych piękniśków rekrutują się gigolo.

Bob spojrzał na nią podejrzliwie. Czyżby robiła aluzję do jego przeszłości?

– Pani również jest bardzo piękna.

– Przykro mi, gdyż mimo woli wzbudzam najniższe instynkty.

– Lubi więc pani brzydotę?

– Większość ludzi nie wyróżnia się urodą. Zapomina się o ich wartościach moralnych i intelektualnych. Aby mieć powodzenie u kobiet, muszą wykazać się sukcesem, pieniędzmi albo świetną inteligencją. Dopiero wówczas mogą sobie pozwolić na kupno tego, co piękni otrzymają darmo. Zawsze jednak ponoszą ryzyko, że są zdradzani. Pan jest dla mnie zbyt przystojny. Gdybym przywiązała się do kogoś w pańskim typie, musiałabym ciągle być czujna, gdyż dziewczyny, które chcą uwieść przyjaciół swoich znajomych, rzucają się na szyję bez żenady.

– Jest pani zbyt surowa.

– Nie boję się.

– Coraz lepiej.

Averil zbliżyła się do nich.

– Przepraszam, chciałabym już wyjść. Możesz odprowadzić mnie, Bob?

Przeklął w duchu swój obowiązek. Ze względu na Averil musiał znowu rozstać się z Lorrie. Wprawdzie Averil była od niej piękniejsza, lecz jej uroda była zbyt wyszukana, zbyt wyzywająca. Świadoma tego, używała całej gamy środków, aby uwodzić każdego, na kim jej zależało. Naturalność Lorrie potęgowała jej wdzięk.

– Jestem wstrząśnięta tym ostatnim zamachem. Biedny Peter! Kto się tak uwziął na niego?

Słowom Averil towarzyszyły wystudiowane, wytworne gesty, jakby kamery i reflektory były skierowane na jej cenną osobę. Bob nie mógł się wymówić. Protokół hollywoodzki narzucił mu ją jako partnerkę nieodzowną dla reklamy.

– Proszę mi wybaczyć, Lorrie.

– Spełnia pan tylko swój obowiązek.

Averil uniosła końce wyskubanych brwi, okazując niezadowolenie.

– Obowiązek? – zapytała. – Sądziłabym, że to przyjemność.

– Niemal zawsze przyjemność splata się z cierpieniem – odparła Lorrie łagodnie.

– Mówi pani tajemniczo.

– Powtarzam znaną prawdę. To wszystko.

– Idziemy, Bob, czy mam poprosić Harriet o samochód?

– Idę z tobą, Averil.

– Trzeba się wysypiać, odpoczywać, żeby zachować świeżość cery – powiedziała Lorrie złośliwie.

– W takim razie pani musi być śpiącą królową – odparła Averil.

Bob stwierdził z rozbawieniem, że stał się stawką w pojedynku słownym. Averil i Lorrie przypominały dwie kotki gotowe rzucić się na siebie z pazurami.

– Chodźmy, Bob! – rzekła Averil lodowatym tonem. – Dobranoc, panno Lemont.

Lorrie skinęła główką. Miała drwiącą minkę. Naśladowała złośliwy uśmiech O'Neilla.

– Do widzenia, Lorrie! – rzekł Bob.

– Do zobaczenia! I prowadź rozważnie!

Averil obróciła się na pięcie i podeszła do Harriet, aby podziękować jej za „boskie przyjęcie”, o którym całe Hollywood długo będzie pamiętać.

Bob uśmiechnął się do Lorrie, jakby raz jeszcze chciał ją przeprosić za przedwczesne rozstanie.

– Wolałbym kontynuować naszą rozmowę.

– Ja również. Ale mamy czas. Jesteśmy jeszcze młodzi.

– Muszę wyjechać do Nowego Jorku. W przyszłym tygodniu zaczną się zdjęcia.

– Może spotkamy się w Nowym Jorku.

– Bardzo bym się cieszył.

Oddalił się ku żalowi Lorrie.

Zagadkowy uśmiech błakał się jeszcze na delikatnie umalowanych wargach dziewczyny.

Policja przeszukiwała najdalsze zakątki ogrodu, kiedy ferrari Boba ruszyło z miejsca. W drodze do domu na bulwarze Wilshire Averil milczała urażona. Przed wyjściem z auta zwróciła się do Boba:

– Dzięki. Nie wstąpiłbyś napić się czegoś?

Jej błyszczące oczy wyrażały gorętsze zaproszenie, które Bob rozumiał doskonale. Nie był jednak przygotowany na to, by spędzić noc w łóżku Averil.

– Wybacz mi, proszę, ale muszę wcześniej się położyć. Jutro o szóstej rano odbywam swój codzienny jogging.

Averil poczerwieniała z gniewu. Bob po raz drugi jej odmawiał. Zmieniła ton:

– Żałuję że przeszkodziłam ci w rozmówce, jaką na stronie prowadziłeś z Laurą Lamont.

Nie patrząc nań więcej skierowała się do wejścia. Bob wyskoczył z auta, żeby odprowadzić ją do drzwi. Nie odwracając głowy przeszła obok młodego portiera, który uklonił się jej i otworzył drzwi do holu.

Bob stał chwilę zmieszany, a portier się uśmiechał. Wyobrażał sobie wściekłość ulubionej aktorki. Najgorętszym jego marzeniem było pochwycenie w ramiona jej nagiego ciała. Ale mimo młodości, mimo przyjemnego wyglądu, nie udało mu się nigdy zwrócić na siebie jej uwagi. Panna Auberon przechodziła koło niego obojętnie, z wysoko podniesioną głową, jak królowa. W jego pokoju wszystkie ściany wytapetowane były fotosami Averil wyciętymi z pism, które kupował, aby znaleźć jej zdjęcie. Miał nawet skarb najcenniejszy z całej kolekcji, afisz z Playboya, na którym Averil pozowała nago, z rozchyłonymi nogami, zapraszając do miłości. Często oddawał się samotnym rozkoszom, podczas gdy jego wyobraźnia stwarzała złudzenie kopulacji. Szczytował z oczyma wlepionymi w seks Averil.

Bob wrócił do samochodu zirytowany uśmiechem portiera. Siadł za kierownicą i szybko ruszył z miejsca. Wybierał się tej nocy do Raya. Wspomnienie jego twarzy przeleciało mu przed oczyma zacierając uśmiech Lorrie. Dojechał dość szybko do Palos Verdes dzięki autostradzie przecinającej całe miasto.

Znalazł przyjaciela jak zwykle leżącego na plaży, blisko piasku zwilżanego falami, które przyplýwały niemal do jego bosych stóp. W promieniach księżyca jego ciało wydawało się przezroczyste. Bob zszedł na plażę i siadł obok Raya, który miał na sobie kąpielówki.

- Wyszedłeś wcześniej niż ja – rzekł opierając brodę na rękach skrzyżowanych nad kolanami.
- Wynudziłem się po królewsku. Errol Brent, ten stary pijak przyczepił się do mnie i wylewał przede mną wszystkie żale.
- Szukał instynktownie pocieszenia. Czy wiesz, Ray, że twoja twarz, twoje gesty, twój słodki, kojący głos budzą zaufanie, więcej, ludzie są przekonani, że mógłbyś spełnić ich najtajniejsze życzenia za dotknięciem twej czarodziejskiej różdżki? Poruszasz najczulsze struny ludzkiej duszy... Unosisz się nad śmiertelnikami jak anioł stróż...
- Nie mogę sobie wyobrazić, że miałbym anielskie skrzydła... Ach, Bob, jakiś ty naiwny!
- To już drugi raz tego wieczoru ktoś nazywa mnie naiwnym.
- Postaraj się zrozumieć, że to cielesna powłoka młodych przyciąga mimo woli, że rozbudza żądze, skłania do nierządu... A propos! Mała Laura Lamont i Averil podniosły tarcze i kopie, żeby stoczyć o ciebie śmiertelny pojedynek.
- Ach, proszę cię...
- Dlaczego stronić od prawdy? A ty śledziłeś ten pojedynek wszczęty na ubitej ziemi, wzruszony zużyciem energii, jakiej nie szczędziły, żeby ciebie zdobyć.
- Czyżbyś był zazdrosny?
- Właśnie o to się pytam...
- Dowiedz się zatem, że mam dla Lorrie tylko uczucie przyjaźni i podziwiam jej szczerść. Nic więcej. Co zaś do Averil... to kobieta, jak wiele innych, która mnie wcale nie interesuje. Pociesz się, Ray! Nic między nami nie zaszło.

– Dzisiaj nie. Ale jutro?

Bob uśmiechnął się gorzko.

– Nie mówmy o jutrze.

– Wybacz, jeśli cię zraniłem.

– Między przyjaciółmi nigdy nie ma mowy o wybaczeniu.

Wzrok zagubił się na horyzoncie.

– Tej nocy ocean jest wspaniały. Namawiam cię, żebyś rzucił się na fale...

Bob złożył swe ubranie na srebrzystym piasku. Został w samych slipach.

– Zdejm je. Kiedy wyjdiesz mokry, jak się ubierzesz nie plamiąc wodą ubrania?

– To wyzwanie?

Bob zdjął slipy i stanął nago przed przyjacielem. Ray mu się przyjrzał.

– Przypominasz mi Dawida, tego pięknego chłopca wyrzeźbionego przez Michała Anioła, chlubę Florencji.

– Kto był jej chlubą: Michał Anioł czy chłopak?

– Obydwaj, jeśli chcesz...

Bob podbiegł do oceanu.

– Nie oddalaj się zbyt daleko. Fale są zdradzieckie! – zawołał Ray. – Jak syreny.

Bob już go nie usłyszał. Zmierzył się z pierwszą falą. Chłodna woda orzeźwiła jego organizm, wysmagała mięśnie. Pływał dobrze i posuwał się coraz dalej od brzegu. Ocean go przyzywał. Regularne ruchy nóg i ramion przybliżały go do horyzontu. Upojenie płynną równiną brało go w posiadanie. Od dawna już stracił grunt pod nogami. Tafle wodne rozbijały się przechodząc mu nad głową. Przeciwstawiał im się energicznie. Posuwać się wciąż dalej!

Coraz dalej! Kiedy obejrzał się za siebie, stwierdził zdziwiony, że brzeg i jego drżące światła bardzo się oddaliły. Popłynął naprzód. Zapomniał o swych lękach, o swych troskach. Przepłynął strefę rozbijających się fal i dotarł do miejsca, w którym fale kołyszą się lekko na powierzchni oceanu. Wspiął się na płynne wzniesienia i zniżał w doliny. Nagle ogarnęło go zmęczenie. Ramiona stały się ociężałe, nogi były jakby obciążone ołowiem i ciągnęły go na dno. Pomyślał o otchłani, która otwierała się pod nim, później o rekinach, które zapuszczały się blisko brzegu. Pomyślał, że nie starczy mu sił na powrót. Słyszał, że ludzie tonący przeżywają w kilka sekund całą przeszłość. Nie odczuwał jednak strachu. Szedł drogą, którą mu wyznaczył los: miał zginąć w głębiach oceanu. To było lepsze... Ledwo utrzymywał się na falującej powierzchni wód. Zamknął oczy, kiedy fala przetoczyła się nad jego głową. „To koniec!” pomyślał, aż tu nagle poczuł, że czyjaś ręka pochwyciła jego ramię i wyciągnęła na powierzchnię... Zwrócił oczy ku temu nieoczekiwanemu oparciu. Nie był zdziwiony, gdy jak przez mgłę zobaczył zatroskaną, lecz uśmiechniętą twarz Raya.

– Nie bój się! Starczy mi sił, żeby wyciągnąć nas obu z tarapatów! Odwagi! Byłem zawodnikiem olimpijskim!

Bob czuł bliskość Raya, znajdował w nim oparcie. Nie był zdolny do żadnego ruchu. Po chwilowej utracie przytomności odzyskał jasność myśli. Zdawał sobie sprawę z wysiłków Raya, który bronił go przed zalewem fal. Dopłynęli do brzegu oceanu, tam, gdzie fale rozpryskują się z ogłuszającym hukiem. Ray przekazał mu część swej energii, gdyż Bob zaczął się poruszać, żeby oszczędzić siły swego wybawcy. Ray uchronił go od niechybnej śmierci, wyciągnął go z chwilowego kryzysu. Zawdzięczał mu ocalenie.

Dotarli na plażę, Ray musiał go niemal nieść na rękach, żeby mu pomóc w wejściu po schodach do willi. Położył go ostrożnie na kanapie. Zniknął na chwilę w łazience i przyniósł stamtąd wielki ręcznik. Wytarł ciało Boba i rozmasował je silnie, żeby przywrócić mu krążenie. Ciepło ogarnęło go całego. Poczul się znakomicie, powieki zaczęły mu ciążyć. Zasnął, podczas gdy jego przyjaciel powoli masował jego mięśnie. Z zamkniętymi oczyma, z wyrównanym oddechem, z rozluźnionymi rysami twarzy wyglądał jak duże dziecko.

Ray posłał łóżko w pokoju gościnnym, zaniósł tam Boba i położył na wznak. Po raz ostatni spojrzął na piękne, gładkie ciało, po czym je przykrył, bo noc była chłodna.

Skierował się ku drzwiom, zgasił światło i wyszedł.

Był szczęśliwy...

* * *

Promienie słońca padły na twarz O'Neilla, który odwrócił głowę na jedwabnej poduszce, aby go nie raziło oślepiające światło. Dawno się już obudził, lecz nie poruszał się, aby nie zmącić snu dziewczyny śpiącej obok niego. Wylegiwanie się w łóżku było dlań zbytkiem, na który pozwalał sobie tylko w przerwach między dwoma filmami. Spojrzął na delikatny, czarujący profil Sue. Brak doświadczenia w miłości wynagradzała młodością, olśniewającą urodą, chęcią podobania się jemu, gotowością dania mu pełnego zadowolenia. Nie pierwszy raz mu się oddawała. Sceny zazdrości, jakie robiła Isabelle, były uzasadnione. Sue, młodsza od niej o sześć lat, poprawiała jego samopoczucie. W jego wieku tylko młodość partnerek pobudzała jego energię i rozpaliała zmysły. Tej nocy stanął na wysokości zadania i pełnia sił przede wszystkim jego zachwycała. Nie oznaczało to, że miałby porzucić Isabelle. Ale

współzycie z jedną tylko kobietą było nużące. Zszedł z łóżka i ujrzał swe odbicie w wielkim, ściennym lustrze. Krytycznym okiem zbadał swe nagie ciało, stwierdził, że mięśnie jego zaczynały już wiotczeć. Włożył szlafrok, by okryć mało powabną nagość. Nie chciał, by Sue po przebudzeniu spostrzegła jego fizyczne braki. Co prawda wiedział, że Sue rzuciłaby się do jego łóżka nawet gdyby dobrze przekroczył sześćdziesiątkę, nawet gdyby był brzydki jak Quasimodo i okazał się żaloszny w praktykach miłosnych... Bo Sue chciała się wybić... Za wszelką cenę... Mając lat szesnaście znajdowała się wśród najlepiej notowanych gwiazd. Peter tworzył dla niej role, które doskonale jej odpowiadały. Najpierw *remake* „Lolity”, którą zagrała mając lat czternaście, wzbudzając dreszcz pożądania wśród widzów obojga płci. Wtenczas już została kochanką O'Neilla. Później zagrała w czterech filmach, teraz zaś miała wystąpić w roli młodzianki córki wielkiego finansisty, który z nią sypiał; intryga nieco przypominała film Polańskiego „Chinatown”. Ale kazirodztwo było w modzie. Wszelkie ekscesy seksualne, pederastia, miłość lesbijska, nimfomania – znajdowały coraz większe wzięcie u publiczności, pomimo głośnych protestów ze strony purytanów, którzy mieli nadzieję, że za prezydentury Busha zwyciężą koncepcje konformistów. Twierdzili z oburzeniem, że świat stacza się na skutek perwersji, narkotyków, niczym nie uzasadnionej agresji. Wymagano od hetero-seksualistów, aby mieli nieskazitelną przeszłość. Należało więc spuścić zasłonę na burzliwe przeżycia ojców rodzin, pozostawić w cieniu ich pozamałżeńskie związki. Potępiano nawet filmy eksponujące budzenie się uczuć erotycznych wśród młodzieży, gdyż pokazując ekshibicjonizm podlotków dawały zgubny przykład i przyczyniały się rzekomo do szerzenia się chorób wenerycznych, a zwłaszcza AIDS. Domagano się gloryfikacji najsurowszej moralności, która jest jakoby

filarem zdrowego społeczeństwa amerykańskiego. Gdyby dowiedziano się, że Sue, niewinna studentka, nieśmiało wypowiadająca pierwsze słowa miłości, praktykuje niemal wszystkie pozycje Kamasuthry, które jej pokazał reżyser, wybuchłoby powszechne oburzenie. Purytanie wszakże nie widzieli, co dzieje się za kulisami, nie znali hollywoodzkich pogwarek, których nie odważali się publikować najchciwsi poszukiwacze **scoops**.

Wzrok O'Neilla śledził linie piersi, które wznosiły się i opadały w rytmie oddechu Sue. Młoda i pełna, wzbudzała w nim szczególną tkliwość. Do tej pory uganiał się tylko za przyjemnościami, nie dbając o ich stronę uczuciową. Sue pragnęła mu ich dostarczyć. Sprzedawała swoją młodość, aby zrealizować swój cel, on zaś czynił wszystko, by urzeczywistnić jej marzenia, które utożsamiał z własnymi projektami. Potrzebował udawanej miłości Sue, albowiem w jego wieku byłoby śmieszne wyobrażać sobie, że mógłby zdobyć, zafascynować młodziutką dziewczynę. Lustro było jego największym wrogiem, gdyż odbierało mu resztkę złudzeń. A złudzenia były mu niezbędne, gdyż namiastki pomagały mu świadomie się oszukiwać.

Sue otworzyła oczy błyszczące jak gwiazdy; było to wyświechtane, lecz jakże trafne porównanie, myślał Peter. Miał szczęście posiadać ulubienicę młodego pokolenia, które tworzyło już wokół niej żywą legendę.

Odrzuciła nakrycie i naga wyciągnęła ku niemu ramiona. Byłby z radością skorzystał z tej zachęty, lecz obawiał się, że tym razem ją zawiedzie. Pochylił się nad nią i pocałował w usta.

– Niestety, mam spotkanie z Brynerem.

Zadzwoił.

Kim, który za drzwiami czekał na wezwanie swego pana, wszedł niosąc na stoliczku o czterech nóżkach królewskie śniadanie. Nie brakowało ani koronkowej serwetki ani czerwonej róży.

Kim, idealny służący, widział nie patrząc i słyszał, nie postrzegając dźwięków. Stał się przedmiotem, meblem. Widział wiele dziewcząt, zawsze młodziutkich, które wyciągały się na tym łóżku. Pan jego starzał się, lecz jego partnerki zachowywały ten sam wiek. Były to rozkwitające dziewczęta, odrzucane, gdy osiągnęły dwudziestkę. Żadna nie przekroczyła tej granicy, z wyjątkiem Isabelle, której się to powiodło. Kim żywił się okruchami z uczyty boga. Niekiedy dziewczyny, które na próżno pukaly do drzwi wytwórni, podejmowały ostatnią próbę, stawały pod bramą willi i czekały na wyjście lub

12 Hollywood piekło marzeń

przyjście wielkiego reżysera z nadzieją, że je zobaczy. Jeśli szczęście dopisze, może zwróci na nie uwagę. Kim znał te sztuczki i korzystał z okazji. Zaczepiał je, mamił ewentualnym wstawieniem się za nimi u swego pana, zapraszał je do siebie. Znalezienie się w willi O'Neilla wydawało im się rzeczą niebywałą. Przyjmowały z radością propozycje Kima. Przyszedłszy do jego sypialni płaciły haracz w naturze, czekając na spełnienie cudu. Zaspokoiwszy swe pragnienia Kim schodził do gabinetu pana domu, żeby – jak twierdził – wstawić się za petentką. Po odegraniu tej komedii powracał do siebie, okłamywał dziewczynę, obiecując jej kontrakt w przyszłości. Prosił o podanie adresu i numeru telefonu. Miał ją powiadomić, kiedy jego pan będzie gotów ją przyjąć. Następnie odprowadzał dziewczynę do bramy, żegnał przy wyjściu i natychmiast o niej zapominał.

Sue przywykła do obecności tego lokaja-przedmiotu, który podawał śniadanie do łóżka za każdym razem, ilekroć spędzała noc z O'Neillem. Jeśli ją

widział naga, tym lepiej dla niego. Nasyciłby oczy jej widokiem, później zobaczyłby ją we śnie i westchnąłby z przyjemnością. Sue nie wstydziła się swojego ciała. Było tak piękne, tak doskonałe, że obnażała się z dumą.

Peter poprosił, aby sama zjadła śniadanie i wszedł do łazienki. Nęciłaby go ciepła pływalnia, lecz musiał się spieszyć na spotkanie z Brynerem. Skończywszy toaletę wrócił do sypialni i szybko ubrał się przy pomocy Kima, podczas gdy Sue nie spiesząc się jadła omlet po duńsku.

W białym, eleganckim ubraniu Peter wyglądał młodziej, niż by to wynikało z jego metryki.

– Zostawiam cię samą, Sue. Bardzo żałuję, ale obowiązek... Przygotuj swoje bagaże. Juro lecimy do Nowego Jorku. Do widzenia!

Posłała mu pocałunek na czubkach palców.

Opuścił pokój trochę niespokojny o spotkanie, którego Bryner się domagał.

George Bryner, który pracował w swoim gabinecie, podniósł głowę, kiedy sekretarka oznajmiła, że przyszedł mister O'Neill. Mimo że jego syn zginął w wypadku spowodowanym przez Robby'ego, mimo że Peter wywołał skandal, który mógł być pozbawić Brynera fotela przewodniczącego, George utrzymywał poprawne stosunki zawodowe z reżyserem. Panował nad sobą, choć go nienawidził. Chciał go zniszczyć, lecz cierpliwie czekał na sprzyjający moment, gdyż O'Neill miał jeszcze w ręku mocne atuty. Nawet Lombardo, nowy utajony patron, szanował i wychwalał talent znakomitego reżysera. Nazywał go „kurą, która znosi złote jajka”.

Bryner musiał ukrywać swe plany pod pozorami życzliwości. Hipokryzja była bronią, którą posługiwał się po mistrzowsku.

– Poproś go, niech wejdzie, Lucy!

Ilekcroć Bryner ją wzywał, czuła ścisnienie serca. Jego rozkazujący ton, jego surowość onieśmiały ją i przerażały.

Prezes nigdy nie sypiał ze swymi sekretarkami ani z bliskimi współpracowniczkami, nawet jeśli były pociągające i rozpały w nim krew. Unikał wszelkiej poufałości, aby zachować niewzruszony autorytet.

O'Neill wszedł, skłonił się z drwiącym wyrazem twarzy, tak irytującym otoczenie, i siadł w fotelu vis-à-vis Brynera nie czekając na jego zaproszenie.

– Dzień dobry, George! Ładna pogoda, prawda?

Bryner nie podjął tego niewinnego tematu. Nawet wobec O'Neilla chciał pozostać prezesem. Starannie i rozważnie dobierał słowa.

– Wezwałem cię, żeby sfinalizować razem kilka spraw dotyczących następnego filmu.

Bryner miał ochotę powiedzieć: „zaprosiłem cię”, lecz taki zwrot stawiałby ich na równej płaszczyźnie, czego już nie tolerował.

O'Neill zrozumiał to, lecz nie dał po sobie poznać. Należało wpierw się dowiedzieć, czego chciał Bryner. Że George był mu niechętny, to nie ulegało wątpliwości. Pod pozorami uprzejmości wyczuwał wrogość. Nie ulegało wątpliwości, że Bryner knuł coś przeciw niemu.

– Słucham, George.

– Przeczytałem dwukrotnie scenariusz „Tytanów”. Po przeanalizowaniu go doszedłem do wniosku, że można zrezygnować z wielu epizodów, co skróciłoby czas kręcenia filmu. Zaoszczędzilibyśmy sporo pieniędzy. Większa część filmu miałaby się toczyć w Nowym Jorku, Las Vegas lecz także na Lazurowym Wybrzeżu we Francji, w Rzymie, Wenecji, w Hong Kongu. Czemuż by nie rozegrać tych scen w Atlantic City? To znacznie bliżej Nowego Jorku, a są tam równie luksusowe hotele i kasyna gry, jak w Las Vegas.

Wydatki bardzo by się zmniejszyły. Można by zrezygnować ze scen rozgrywających się na Lazurowym Wybrzeżu...

– Czekam na propozycje, żeby filmować sceny w chińskiej dzielnicy Nowego Jorku, których tłem powinien być Hong-Kong.

– Właśnie tak!

Krew zawrzała w O'Neillu, lecz powściągnął gniew.

– Przepraszam, George, lecz nie rozumiem, do czego zmierzasz. Czy to ma być propozycja z twojej strony?

– Dyspozycja, mój drogi. Chłodno rozważyłem całą sprawę. Zmiany są konieczne. Powiedziałbym nawet – niezbędne.

– Przypominam ci, George, że scenariusz, budżet i program pracy, podobnie jak miejsca, w których będziemy robić zdjęcia, wszystko już zostało zatwierdzone.

– Zmiany zawsze mogą zajść w toku realizacji. Musisz to zrozumieć. Najważniejsze są oszczędności.

– Chyba żartujesz!

– Wcale nie żartuję!

– Wobec tego twoje propozycje, czy dyspozycje, jeśli wolisz, są nie do zrealizowania.

Prezes powściągnął gniew.

W ostatnim filmie zrezygnowałeś z wielu scen. Barbra West skarżyła mi się, żeś jej rolę skrócił wręcz karykaturalnie.

– Dla dobra filmu. Podczas montażu skrócono kilka sekwencji. Na końcu okazało się, że miałem słuszość. Zresztą twoja Barbra West już się skończyła.

– Dlaczego moja?

– Bo tyś mi ją narzucił.

Bryner nie wpadł w pułapkę zastawioną przez reżysera. Machnięciem ręki zakończył tę dygresję.

– Później pomówimy o Barbrze. Teraz chodzi o twój następny film. O wprowadzenie zmian.

Odpowiedź O'Neilla spadła jak ostrze gilotyny:

– Nie ma o tym mowy, George!

– To rozkaz. '

– Zapominasz się, mój drogi. Możesz rozkazywać swoim podwładnym, ale nie mnie.

Bryner walnął pięścią w stół.

– To ty zapominasz, że mogę cię zwolnić.

– Zrób to, George. Ale ja ci nie radzę. Mogłoby cię to drogo kosztować.

Bardzo drogo!

Bryner zacisnął zęby. Z największym wysiłkiem opanował ton głosu.

– Nie chciałem bym dość do próby sił.

– Ani ja. To ty grozisz mi wyrzuceniem.

– Gotów jesteś zrobić cięcia i zmiany, o których mówiłem?

– Nie! – Odparł O'Neill zrywając się ze swego fotela. – Nie ruszajcie mego scenariusza. Zabraniam!

Bryner wstał również z wypiekami na twarzy. Wybuchnął gniewem.

– Jak śmiesz! Ja tu jestem prezesem!

– Jesteś pasożytem. Ty i cały twój sztab! Wszyscy jesteście pasożytami!

Wszyscy żyjecie kosztem tych, którzy tworzą filmy, którzy pchają tę ciężką maszynę, jaką stała się administracja wytwórni. Od tej pory nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia. Jeśli w przyszłości będziesz miał coś do zakomunikowania, przekaż mi swoje wspaniałe pomysły na piśmie!

Bryner patrzył nań w osłupieniu. Nigdy dotąd nikt nie stawiał mu czoła z takim tupetem, z taką pasją.

– Jesteś zwolniony!

– Mam to gdzieś!

O'Neill wyszedł trzaskając drzwiami. Sekretarka, która słyszała rozmowę, drżała ze strachu.

Bryner chwycił statuetkę z brązu, która zdobiła jego biurko, i z wściekłością cisnął ją o ścianę.

O'Neill nie otrzymał listu zwalniającego go z jego funkcji. Groźby Brynera nie miały żadnych następstw. Ale Bryner nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

VII

Gideon Spack nie mógł ochłonąć z gniewu. Ostatni zamach na O'Neilla, który miał miejsce w Beverly Hills podczas przyjęcia u Harriet Lamont, doprowadził go do wściekłości. Prokurator okręgowy ostro mu wymawiał brak inicjatywy, brak kompetencji. Czerwony jak rak Weinstein obciążał go odpowiedzialnością za brak postępów w śledztwie.

– Powierzyłem panu te cholerne akta przekonany, że pan szybko upora się z tą sprawą, zgodnie z pańską wiedzą i doświadczeniem. Ale się zawiodłem. Do diabła, czyżby liczne zamachy na życie O'Neilla poraziły pana? Czy może oślepił pana blask tych gwiazd, które jeżdżą rollsami i śmieją się panu w nos? Bo przecież sprawca jest wśród nich. Mamy jeszcze zabójstwo tego gigolaka, który zginął zamiast O'Neilla. Pożar w burdelu! Niech tylko się pan nie ośmieli powiedzieć, że umarza pan śledztwo z braku dowodów! Przejrzałem akta i zdumiałem się widząc, ile osób możnaby podejrzewać! Czy pan je należycie zachęcił do zeznań? Jakie pan przedsięwziął środki? Dzienniki rozpisują się o każdym nieudanym zamachu na życie O'Neilla. Nie tylko burmistrz, ale gubernator stanu zmył mi głowę tak, że nieprędko to zapomnę. Niech mi pan da wreszcie wyniki śledztwa. Niech pan postawi na nogi tę kurewską policję! Jasne?

Gideon ze spuszczoną głową wyszedł z gabinetu prokuratora. Weinstein uniósł się, gdyż zbliżały się wybory i zabójstwo sławnego reżysera zniszczyłoby jego karierę.

Spack raz jeszcze zaczął studiować akta sprawy; strach, że go zwolnią z powodu niekompetencji spotęgował jego dociekliwość.

Prokurator okręgowy nie mylił się sądząc, że Gideon czuł się przytłoczony świetnością środowiska filmowego. Jednakże od tej chwili powinien był wyzbyć się drobnomieszczańskiego poważania dla tych uprzywilejowanych pyszałków, którzy są przekonani, że wszystko im wolno! Lecz jak walczyć z nimi, skoro policja nie dostarczała mu żadnych dowodów, na podstawie których mógłby aresztować kogokolwiek? Każdy sprytny adwokat bez zbytniego wysiłku obaliłby jego oskarżenie. Uzyskałby zwolnienie klienta i umorzenie sprawy przez sędziego, po czym śmiały się w nos Spackowi.

Gideon połknął niezliczoną ilość powieści kryminalnych, obejrzał setki filmów, żeby ukształtować swój sposób myślenia na systemie rozumowania ich autorów. Był zafascynowany ich inwencją, subtelnością, komplikacjami, które pojawiały się co chwila, jak również pomysłowymi rozwiązaniami, które wprawiały go w zachwyt. W ciągu wielu lat swojej zawodowej pracy w sądzie, miał do czynienia ze znacznie prostszymi przypadkami. Były to zbrodnie popełniane z niskich pobudek, czasem zabójstwa w afekcie, albo całkowicie dowiedzione morderstwa. Adwokaci, którym stawiał czoła, starali się uzyskać dla swych klientów zwolnienie tymczasowe za niewielką kaucją, wygłaszali łużawe tyrady, żeby wzruszyć sędziów, bądź doszukiwali się błędów proceduralnych, żeby oszczędzić więzienia dla najgorszych złoczyńców.

Sprawa O'Neilla była doprawdy ponad jego siły. Czemuż nie był przebiegły jak porucznik Colombo, który wykrywał zbrodnie popełnione przez ludzi na świeczniku, pozornie bez najmniejszej plamki? Aresztowanie winnych następowało po nagłym zwrocie sprawy, całkiem nieoczekiwanie. Brakowało mu jednak subtelności porucznika. Zresztą Colombo był w służbie policyjnej, podczas gdy on, Spack, reprezentował wymiar sprawiedliwości. Zauważył, że

prokuratorzy byli raczej źle traktowani przez autorów powieści kryminalnych i scenarzystów telewizyjnych. Okazywali się zazwyczaj śmieszni lub ograniczeni i zawsze przegrywali w starciach z adwokatami tego pokroju co Matlock, albo z tymi, którzy występowali w serii „Prawa Los Angeles”, detektywi Mike Hammer, Kojak i inni traktowali prokuratorów jak niedołęgów, którzy tylko gmatwają sprawy.

Sam zresztą zawsze czuł się biedny i niepozorny wobec idoli filmowych, zawsze pięknych i zgrabnych. Lecz od tej chwili zmieni taktykę. Pokaże tym zadufkom, że nie można bezkarnie szydzić ze sprawiedliwości. Prostował swą krępą postać, wypinał pierś, która mimo jego wysiłków pozostawała w tyle za brzuchem. Ponaglał policjantów, zwiększał ilość przesłuchań, domagał się ponownych rewizji, tworzył rozmaite hipotezy. Ale poddawszy je szczegółowym rozważaniom, stwierdzał, że poszedł w złym kierunku i ustawał. Jego zapał bojowy nagle stygnął. I znów podejmował pracę Syzyfa.

Niekiedy miał przykre uczucie, że jak pies kręci się za swoim ogonem.

* * *

Spokojny i obojętny na wszystko O'Neill wsiadł na pokład samolotu, który miał go przenieść do Nowego Jorku. Ekipa techników i część aktorów oczekiwała go już w cieniu Statui Wolności. Kręcenie filmu miało zacząć się w najbliższych dniach. Wybrano miejsca, sporządzono umowy, uprzedzono władze.

Kłótnia z Brynerem wcale go nie zaszokowała. W przeszłości miewał ostre konflikty niemal ze wszystkimi pracownikami wytwórni.

Tak zaaranżował wszystko, żeby podróżować samotnie; powiedział Sue, że w ostatniej chwili ustalił pilne spotkanie w Los Angeles. Odleciała w towarzystwie Jareda i Chris. Monotonny, równy lot bez żadnych wstrząsów

pozwalał O'Neillowi uniknąć pogawędki z jakimś przypadkowym towarzyszem podróży. Odczuwał potrzebę długiego rozmyślenia. Wspominał przeszłość, zastanawiał się nad teraźniejszością, nad nowym filmem, nad pomysłami, które mu przychodziły do głowy. O dalszej przyszłości wolał nie myśleć. Jego samolot mógł eksplodować na skutek zamachu, ryzykował, że wpadnie pod samochód na rogu ulicy, że trafi go kula podczas jakichś porachunków między dwiema rywalizującymi między sobą bandami. Miał tysiąc wariantów i to w krótkim terminie. Żeby uniknąć czarnych myśli skoncentrował się na swoim najbliższym filmie.

Najpierw powinien był odwiedzić siedzibę konglomeratu. Przed odlotem z Los Angeles otrzymał telefoniczne wezwanie od Leslie Cartera, który pragnął go zobaczyć. Zdziwiło go, że wspomniały Leslie Carter osobiście raczył z nim rozmawiać. Może Margaret była tego przyczyną. Życie robiło czasem śmieszne niespodzianki.

Przeszedł do baru. Miał już dosyć soków owocowych, które pijał codziennie. Może czysta whisky uśmierzy tępy ból żołądka. Postanowił zrobić wyjątek i napić się trochę alkoholu. Co za znaczenie mogło mieć małe odstępstwo od wskazań lekarza. Prędzej czy później dzwoni dla wszystkich.

Usiadł na taborecie i zamówił whisky. Palący płyn ukoił trochę jego cierpienia. Poprosił o drugi kieliszek. Poczul czyjąś rękę na swoim ramieniu.

– Hallo, O'Neill!

Ogarnęło go nedorzeczne rozdrażnienie. Odwrócił głowę i ujrzał Arthura Bryanta, prezesa sieci hoteli, który patrzył nań z uśmiechem. Uśmiechem nieco zażenowanym, Peter przypomniał sobie jego napaść podczas pamiętnego

zebrania Rady administracyjnej konglomeratu. Sprzeczność między okazaną wówczas wrogością a obecną uprzejmością była co najmniej dziwna.

Bryant usadowił się obok niego.

– Poproszę **Barett!** – zamówił. – Nie mogę przywyknąć do samotności w tłumie, drogi mister O'Neill.

Reżyser dobrze znający naturę ludzką zrozumiał, że pod pozorem dobroduszości rozmówcy krył się niepokój. Bryant porównał wieczne lato Kalifornii z chłodną i deszczową pogodą w Nowym Jorku.

– Odwiedziłem moje hotele na Zachodnim Wybrzeżu. Zazdroszczę, że pracuje pan w Kalifornii.

– Muszę ją na pewien czas opuścić. Kręcę film w Nowym Jorku.

– Ma pan do dyspozycji moje hotele w tym mieście. Posiadam ich całą gamę. Od pałaców w wielkim stylu do hoteli dostępnych dla osób średnio zamożnych. Gdzie pan zamieszka?

– W hotelu Plaza.

– Szkoda. Byłoby mi przyjemnie służyć panu gościem w Grand Hotelu. Atmosfera retro, przyciszona, luksusowa, przypominająca przedwojenny Orient Express.

Bryant opowiadał wesoło o pobycie w San Francisco, o pulchnych dziewczynach, które dały mu niezapomniane rozkosze.

Peter słuchał znudzony. Byłby go opuścił pod pretekstem bólu głowy, ale chciał wypić jeszcze jedną whisky.

Czoło Bryanta zasepiło się.

– Carter mówił panu o swoich kłopotach?... Sądzę, że barak się rozleci.

– Barak?

- Konglomerat. Między sobą nazywamy go barakiem. Idzie coraz gorzej!
- Nie mógł powstrzymać się od zwierzeń. – Jesteśmy na krawędzi przepaści.
- Przecież konglomerat przynosi duże zyski. Akcje zwyżkują.
- To niepokojące. Rywalizująca z nami multinarodówka chce nas połknąć.

Ironiczny uśmiech znów pojawił się na twarzy O'Neilla.

– Wieczna walka między rekinami! Mój najbliższy film dotyczy tego właśnie tematu.

– Nasza walka wzbogaci pana dokumentację... Część naszych przyjaciół przeszła z bronią i taborem do obozu przeciwnika.

– Na przykład George Bryner, prawda?

– Co pan o tym wie?

– W Hollywoodzie wszystkie sekrety krążą w końcu po ulicach.

– Zazwyczaj wielkie bitwy finansowe interesują tylko kręgi biznesmenów... i akcjonariuszy. W przededniu OPA sprzedają akcje temu, kto da więcej i uzyskują znaczne zyski.

Bryant spojrział surowiej na swego rozmówcę.

– Nie chciałbym, aby nasz konglomerat przeszedł w ręce mafii oraz banków, które ją utrzymują. Dzięki wybielonym pieniądzom chcą położyć łapę na wielkiej finansjerze i wielkich przedsiębiorstwach.

Peter opróżnił swój kieliszek, zapłacił i zszedł z taboretu.

– Było mi bardzo miło spotkać pana, mister Bryant.

– Odchodzi pan? – zapytał z żalem Bryant, lękając się samotności.

– Nie czuję się dobrze. Do widzenia!

– Do widzenia! – odparł tamten bezbarwnym głosem.

Peter wrócił na swój fotel. Tępe bóle znowu odezwały się w jego wnętrznościach. W tejże chwili znalazł dominującą nutę swego przyszłego filmu: strach...

Bob miał koszmarny sen. Szedł bez celu 42. ulicą w Nowym Jorku. Światła krążyły dookoła niego. Węże świetlne wciskały się w tłum, który zajmował nie tylko chodniki, lecz i jezdnię. Wszyscy ludzie poruszali się w groteskowych maskach. Nagle oczy tłumu skierowały się na niego. „Oto on!” Te dwa słowa powtarzane przez tysiące ust całkiem go ogłuszyły. Zbiorowe szaleństwo ogarnęło tłum. Kobiety bezwstydnie zadarły spódnice, mężczyźni wyciągnęli swe członki i cała ta różnobarwna, mrowiąca się ciżba rzuciła się rozpustnie na niego. Zdjęty przerażeniem zaczął uciekać. Słyszał za sobą odgłos kroków na asfalcie, zdyszane oddechy. Rozpasanie ich paliło mu ciało... Biegł wprost przed siebie. Nagle znalazł się w ślepych zaułku... Przed nim wznosił się wysoki mur... Przyłgnął do wilgotnych cegieł... Napadnięty, upadł pod żywą masą. Czuł usta, które go dotykały, ssały, gryzły. Krzyknął, jakby go obdzierano ze skóry...

– Bob! Bob! Zbudź się!

Otworzył oczy i ujrzał sufit pokoju gościnnego w willi na Palos Verdes. Ray lekko potrząsał jego ramieniem.

– Miałeś zły sen.

Łagodny głos Raya stopniowo uciszył jego serce.

– Musisz się ubrać, Bob! W południe odlatuje nasz samolot do Nowego Jorku. Jesteś już spakowany? Mamy jeszcze cztery godziny do odlotu. Ale czas szybko płynie. Śniadanie czeka. Chodź!

Bob usiadł, wciąż jeszcze zdjęty strachem. Otarł ręką kroplisty pot z czoła.

– Masz rację – szepnął.

Zrzucił okrycie i został nagi. Ray pomógł mu włożyć szlafrok.

– Odlecieć do Nowego Jorku! – wyjąkał jak automat.

Posłusznie przeszedł za swym przyjacielem do kuchni. Na stole czekało obfite śniadanie. Wypił łączywie szklanę oranzady.

– Dziękuję ci, Ray, za tę noc... Ty...

– Nie mówmy już o tym!

– Ty mi uratowałeś życie...

– Zrobiłbyś to samo.

– Ale jak mogłeś zdążyć tak szybko?

– Płynąłem za tobą.

– Dlaczego?

– Czułem, że coś jest nie tak.

Bob uśmiechnął się.

– Cóż mogę jeszcze dodać?

– Nic! Jedz i odzyskaj siły. Moje bagaże są gotowe. Pojedziemy do ciebie. Pomogę ci się spakować.

Bob ledwo skosztował plasterka bekonu.

– Nie jesteś głodny?

– Nie.

Odłożył sztucce obok talerza.

– Boję się, Ray.

– Czego?

– Wyjazdu do Nowego Jorku.

Zamilkł. Ray nie przerywał jego milczenia. Przyglądał mu się zatroskany.

– Wiesz, jakie życie prowadziłem w Nowym Jorku. Sypiałem z ludźmi za forszę, pozwalałem się fotografować za forszę... Jednym słowem prostytuowałem się za forszę.

Ray uśmiechnął się dobrotliwie.

– Cała skandalizująca prasa odkryła twoją przeszłość przed publicznością. I co z tego? W ten czy inny sposób wszyscy ludzie się prostytuują. Sprzedają swoje ciała, młodość, inteligencję, wiedzę, talenty, geniusz... Ja też się sprzedaję. Dla pieniędzy oddaję część siebie. Niczego nie dostaje się za darmo.

– Nie bądź cyniczny, Ray! Nie do twarzy ci z taką pozą.

– To nie poza. Mówię prawdę. Nawet najczystsza miłość jest w rzeczywistości wymianą. Daj mi twoje ciało, a ja dam ci swoje. Posag, bogactwo, które jedno z małżonków daje drugiemu, biednemu, czyż nie jest formą kupna? Prostytucją w świątecznym stroju zalegalizowaną przez mera. Miliony ludzi zaprzędają się swoim patronom. A oni zaprzędają się bankom. A banki rozsprzedają się w formie akcji. Wielkie, ogromne targowisko. Haniebne błędne koło. Świat jest brudny. Strasznie brudny.

Bob powrócił do swego niedoszłego utonięcia.

– Tej nocy... siły mnie nagle opuściły... Kiedy wskoczyłem do wody, czułem, że mogę przepłynąć ocean... A później pękłem, chociaż jestem dobrym pływakiem. Całą młodość spędziłem na brzegu oceanu. Jego słone wody mnie oczyszczały... Wczoraj wieczorem czułem potrzebę oczyszczenia.

– Podróż odmieni twoje myśli. Kiedy opuściłeś Nowy Jork, byłeś byle jakim chłopcem. Pociągającym, oczywiście, lecz niczym więcej. Teraz odbędziesz wjazd tryumfalny. Jesteś sławny... Jesteś gwiazdą.

– Nie przesadzajmy. Biję się o to, żeby zdobyć sławę, ale jej nie osiągnę.

– Dlaczego? Jesteś jeszcze młody, bardzo młody. Osiągnąłeś najwyższy poziom wśród swoich rówieśników. Jesteś równie dobry jak Bob Lowe, Tom Cruice, Robby Benson, James Spader...

– Dosyć! Dosyć! Nie mówmy już o tym, Ray! Musimy się pospieszyć!

Noc zapadała nad Nowym Jorkiem, kiedy stewardessa oznajmiła pasażerom, że mają zapiąć pasy, gdyż samolot wylądjuje na lotnisku Kennedy'ego.

Serce Boba zabiło żywiej. Wykonał polecenie, zacisnął dłonie na oparciach fotela. Spojrzał przez okienko na galaktykę światła nieruchomych i poruszających się z całą prędkością pod brzuchem samolotu. W dali drapacze chmur na Manhattanie świeciły jakby wszystkie gwiazdy z nieba spadły na ziemię. Przejął go wewnętrzny dreszcz. Poczł dłoń Raya na swojej. Przekazał mu prąd elektryczny i ogrzał jego lodowate ciało.

Averil Auberon, która gniewała się na niego odkąd ponownie odmówił wstąpienia do niej, spostrzegła ten ruch i zrobiła pogardliwą minę. Siedziała w tym samym rzędzie po drugiej stronie przejścia. Samolot miał na pokładzie szesnaście wielkich gwiazd Hollywoodu, sprowadzonych do Nowego Jorku przez O'Neilla. Ich astronomiczne gąże obciążały i tak już przeciążony budżet superfilmu.

W czasie lotu kapitan nieustannie czuł ciężącą na nim odpowiedzialność. Gdyby wspaniała maszyna, którą prowadził, rozbiła się na skutek wypadku, jaki zawsze może się zdarzyć, świat filmu poniósłby ciężką stratę. Poczucie obowiązku przypominało mu o istnieniu pozostałych stu pięćdziesięciu pasażerów anonimowych. W razie katastrofy dzienniki podałyby mimochodem ich liczbę. Ale nazwiska gwiazd figurowałyby co do jednego we wszystkich

dziennikach. Byli to bowiem przybysze z innej planety, z planety Hollywood... Nekrologi ich wypełniłyby całe strony gazet.

Samolot łagodnie wylądował na lotnisku.

Bob i Ray wsiedli razem do taksówki. Bob pragnął być pod czyjąś opieką. Lękał się samotności, stale towarzyszącej mu niegdyś. Samotności przerywanej krótkimi spotkaniami w domach schadzek, w korytarzach metra, w ustronnych zakątkach ogrodów publicznych.

Podczas trzech lat pracy pod kierunkiem O'Neilla przywykł do luksusowych samochodów, do prywatnych samolotów i jachtów. Ale tu, w Nowym Jorku terażniejszość się zacierała, przeszłość podnosiła smoczy łeb. Odnajdywał dawne, brudne otoczenie. Wnętrze taksówki cuchnęło. Bob odwykł już od przykrych zapachów. Nowy Jork przypominał mu biedę, przemoc, upokorzenia, jakich doznał w dzieciństwie. Na próżno starał się zapanować nad emocjami.

Aby oderwać go od przykrych myśli, Ray mówił o przyszłym filmie, o czekającej ich pracy, o przyjemnościach, które staną się ich udziałem, o popularności. Przez cały czas jazdy trzymał Boba za rękę.

Taksówka zatrzymała się na podjeździe przed hotelem Plaza na rogu **61.** ulicy, w eleganckiej części miasta, którą Bob odwiedzał szukając bogatej klienteli. Służba podbiegła, żeby wnieść ich bagaże. Portier usłużnie otworzył drzwi. Rozległy się radosne okrzyki. Reporterzy i ekipy telewizyjne rzuciły się ku nim. Z obu stron wejścia do hotelu tłoczyli się ludzie, jak podczas wielkich premier w Los Angeles.

Bob patrzył ze strachem na tę ciżbę ludzką, która nacierała, jak w koszmarnym śnie. Pytania dziennikarzy krzyżowały się ze sobą i zagłuszały

wzajemnie, stawały się niezrozumiałe. Departament reklamy dobrze spełnił swoje obowiązki.

– Nowy Jork oczekiwał pana ze wzruszeniem! – wołał ktoś podsuwając Bobowi mikrofon. – Co czuje pan na widok tłumu wielbicieli?

– Jakie ma pan projekty?

– Jak nazywa się dziewczyna pańskich marzeń?

– Czy jest pan zatwardziałym kawalerem?

– Jakimi zasadami kieruje się pan w miłości?

– Amerykańskie dziewczyny ubóstwiają pana! Proszę przekazać dla nich parę zdań!

– Jest pan wzorem dla wielu młodych ludzi. Co by im pan doradził?

– Lubi pan Nowy Jork?

– Błyskawiczna kariera nie przewróciła panu w głowie?

– Fotosy, do których pozował pan nago, bardzo ładne zresztą, nie krępują teraz pana?

– Pański przykład świadczy o tym, że kariera amerykańska to nie mit, że można szybko wspiąć się po drabinie społecznej. Czy to nie wspaniałe?

– Pańskie kasety video podbiły Nowy Jork. Nie uważa pan tego za bezwstydną reklamę?

– Jak pan sobie radzi z natarczywością kobiet?

– A z natarczywością mężczyzn?

Podobne pytania zadawano Rayowi, który odpowiadał cierpliwie, nie dając się zbić z tropu.

Powściągliwość aktorów nie miała zresztą żadnego znaczenia. Dziennikarze i tak mieli rozwinąć ich odpowiedzi, dopasować je do gustów publiczności.

Korzystając z tego, że nadjechała taksówka z parą innych gwiazd, Ray wyciągnął Boba z otaczającego ich tłumu. Powtórzyły się owacje i pytania dziennikarzy.

– Wyszliśmy cało! – zaśmiał się Ray wchodząc do holu.

Dyrektor hotelu, mężczyzna dystyngowany i pełen godności, świetnie prezentujący się w garniturze od Ceruttiego, osobiście powitał obu aktorów.

– Życzymy panom miłego pobytu u nas. Apartamenty są przygotowane. Dzisiaj o dziesiątej wieczorem odbędzie się w Pal Cour przyjęcie wydane przez nasz hotel na cześć panów i całej ekipy. Mam nadzieję, że zaszczycą nas panowie swoją obecnością.

– Nie odmówiłbym sobie tej przyjemności – odparł Bob, siląc się na spokój.

Ray podziękował również i spojrzawszy na Boba spostrzegł jego zdenerwowanie. Ucisnął przyjacielsko jego ramię.

– Zachowałeś się tak, jakbyś od urodzenia był wielką gwiazdą – szepnął.

Poprzedzeni przez dwóch służących w liberii, którzy nieśli klucze do ich apartamentów, skierowali się do windy. Znalazłszy się u siebie Bob obejrzał salon i sypialnię umeblowaną w stylu Ludwika XVI. Lokaj odebrał bagaże przywiezione windą dla służby, rozwiesił ubrania w szafie i umieścił przybory toaletowe w łazience z zielonego marmuru.

Bob powoli ochłonał. Atmosfera Plazy przerwała łańcuch lęków i obsesji. Nie było różnicy między przepychem Los Angeles i cieplarnianą atmosferą hotelu nowojorskiego. Muzyka taneczna rozbrzmiewała cichutko.

– Życzy pan sobie włożyć biały smoking? – zapytał lokaj.

Bob skinął głową. Wdychał z przyjemnością woń kwiatów zdobiących salon i docenił wyborne alkohole i egzotyczne owoce sprezentowane przez dyrekcję hotelu.

Lokaj, który rozłożył na łóżku strój wybrany przez Boba, spostrzegł jego spojrzenie.

– Życzy pan sobie, żebym odkorkował butelkę koniaku czy szampana? Pozwalam sobie polecić panu Fine Napoleon. Kieliszek Dom Perignon jest nader wskazany dla zaostrzenia apetytu... Nazywam się Barnes, proszę pana.

– Szampana, Barnes!

– Bardzo proszę.

Bob ubrany w biały smoking od Cardina wszedł do sławnego Palm Court w Plazy, udekorowanego jak na wielkie święto. Maitre d'hôtel przyjął go z szerokim uśmiechem i wręczył mu program wieczoru. Przewidziany był wystawny obiad, którego menu wraz z listą gości dołączono do programu.

Odruchowo przejrzał się w olbrzymim lustrze, jednym z wielu, które zdobiły salę. Uroczą twarz i elegancja mogły wzbudzić zazdrość Pięknego Brummela. Ray opowiadał mu o tej fascynującej postaci, która w swojej epoce tyranizowała towarzystwo uganiające się za przyjemnościami. Bob uznał, że jego powierzchowność doskonale odpowiadała wizerunkowi dandysa. Jednakże wewnątrz jego istoty poddawało się lękom i wątpliwościom. Bał się pociągu do ohydneho świata, który porzucił dzięki O'Neillowi. Był to pociąg chorobliwy, gdyż przemieszany z odrazą. Przybycie do Nowego Jorku wzmogło jeszcze te przeciwstawne uczucia.

– Jestem szczęśliwy, bardzo szczęśliwy, że pana spotkałem! – powiedział młody człowiek o zniewieściałym sposobie bycia, ubrany w purpurowy

smoking. – Nazywam się Fulton. Herb Fulton. Fotograf gwiazd. Ulepszone wydanie Cecila Beatona – dodał bawiąc się własnym żartem.

Bob z pogardą rozpoznał w nim jednego z tych ciot, tak postponowanych przez młode pokolenie.

– Koronowane głowy, członkowie najznamienitszych książęcych domów, członkowie najlepszego towarzystwa, sławni malarze, modni piosenkarze, gwiazdy filmowe, wszyscy zgodzili się pozować mi do zdjęć.

Zdziwiła go powściągliwość Boba. Znał jego przeszłość, bo mnóstwo plotek krąży na temat hollywoodzkich gwiazd. Uznał, że Bob chciałby na tym dobrze zarobić.

– Oczywiście otrzymałby pan odpowiednie wynagrodzenie. Pańska twarz byłaby ozdobą mojej kolekcji.

Bob nie uśmiechnął się.

– Proszę zwrócić się do departamentu reklamy mojej wytwórni. Żegnam pana.

Odwrócił się od Fultona zdumionego takim traktowaniem. Ale już krąg nowojorskich wielbicieli z najlepszego nowojorskiego towarzystwa otoczył Boba. Krótkie błyski fleszy oślepiły rozmawiających. Kelner podszedł z tacą, na której w kryształowych kieliszkach perlił się szampan. Wzniesiono toast na cześć młodego aktora. Usłyszał okrzyki zachwyty:

- Jakież on cudowny!
- Czarujący!
- Wskrzeszony Antinous!
- Podobno jest pedkiem.
- Szykownym w każdym razie.
- Trochę nadęty.

– Nic dziwnego. Ten cały tłum wielbicieli każdemu przewróciłby w głowie.

Ray spostrzegł zażenowanie przyjaciela, nie mógł jednak przyjść mu z pomocą, gdyż sam był również uwięziony przez uczestników przyjęcia.

Pańszczyzna ta trwała przeszło pół godziny. Odpowiadając lakonicznie na pytania i pochwały Bob myślał o dobrych i złych niespodziankach, które los mu zgotował. Kontrast między przeszłością i teraźniejszością ujawniał się w całej pełni i rozjaśniał jego umysł. Ci wszyscy ludzie, którzy dzisiaj płaszczyli się przed nim, po prostu go nudzili. Wczoraj to on schylał kark przed nimi. Jak długo potrwa ten sen? Jak długo pozostanie ośrodkiem zainteresowania? Jak długo będzie wcieleniem amerykańskiego mitu? Jamesem Deanem lat osiemdziesiątych? Może już jutro inny chłopak wstąpi w jego ślady. Jutro? Może jeszcze przed świtaniem...

Obiad odbył się w atmosferze przepychu, do której Bob się przyzwyczył. Siedział między Sue a dojrzałą małżonką jakiegoś senatora. Orkiestra grała cichutko, aby ułatwić rozmowy bez potrzeby podnoszenia głosu. Goście nowojorscy przywykli do przestawania wśród znakomitości – sami zresztą będący znakomitościami – zachowywali się z taką naturalnością, że Bob na pozór się uspokoił, aczkolwiek w głębi serca odczuwał wzrastające poruszenie, którego sam nie rozumiał.

Sue patrzyła nań z dziecinnym podziwem, ukrywając swe cielesne pragnienia, żeby go nie rozgniewać. Małżonka senatora pieściła go wzrokiem. Rozmawiała z nim na niewinne tematy, ale drżenie jej głosu zdradzało zakłopotanie. Gotowa byłaby popełnić dla Boba szaleństwo, należało jednak znaleźć sprzyjającą okazję.

Ray siedzący przy drugim końcu stołu od czasu do czasu rzucał zatroskane spojrzenie na przyjaciela. Odczuwał na odległość jego zdenerwowanie. Ray chciałby go rozpogodzić, dodać mu otuchy. Tylko on miał tę władzę, lecz znajdował się zbyt daleko, żeby mu pomóc.

Sue zastanawiała się, czy Peter, który siedział na honorowym miejscu przy obiedzie, miał zamiar spędzić noc w jej towarzystwie, czy też będąc wolną mogłaby się wśliznąć do apartamentu Boba, znajdującego się vis-à-vis jej sypialni.

Uczta zbliżała się ku końcowi. Kawy, likiery, szampan przepłukiwały gardła. Piękne przyjęcie skończyło się około drugiej nad ranem.

Bob wrócił do siebie i rozebrał się przy pomocy wszechobecnego lokaja. Ray zjawił się, gdy jego przyjaciel wkładał szlafrok.

– Chcesz się położyć?

– Tak, Ray, jestem bardzo zmęczony.

– W twoim wieku?

– Mam już sto lat.

– Szkoda! Chciałbym w twoim towarzystwie pobawić się w lokalach.

– To znaczy?

– Zakosztować przyjemności nocnego życia w Nowym Jorku, jak to czynili niegdyś książęta rosyjscy.

– Jutro wieczorem, Ray.

– Wobec tego muszę iść spać, jak ty.

– Nie mów, żeś nie znalazł miłej dziewczyny, z którą mógłbyś spędzić noc poza hotelem.

Ray wzruszył ramionami.

– Do jutra, Bob!

Lokaj powiesił smoking w szafie o rozsuwanych drzwiach, których powierzchnię okrywały ogromne lustra.

– Do jutra, Ray i nie gniewaj się.

– Na ciebie?

Wyszedł wzruszając ramionami.

Bob chciał go o coś zapytać, lecz się powstrzymał. Z nieczystym sumieniem, jakby zamierzał dopuścić się zdrady, zwrócił się do lokaja, kiedy drzwi za Rayem się zamknęły.

– Jest pan wolny, Barnes.

– Dziękuję, proszę pana.

Kiedy został sam, Bob otworzył szafę. Przywiózł ze sobą, jak trzeba, ubrania na wszelkie okazje. Nawet kurtkę i spodnie skórzane zrobione na miarę w firmie Battaglia. Jakiś mus wewnętrzny, niemożliwy do określenia, kazał mu wymknąć się ze swego apartamentu i odnaleźć miejsca, gdzie niegdyś uprawiał swój zawód. Nocne wypadki w Los Angeles były jedynie namiastką tego, co znajdował w Nowym Jorku. Nie chciał wszakże przekroczyć granic wyznaczonych jego obecną pozycją. Pragnął jedynie rzucić okiem na miejsca swoich dawnych przygód. Obejrzeć je obojętnym wzrokiem osoby nie zainteresowanej, mającej mnóstwo forsy, nie potrzebującej się sprzedawać.

Odrzucając zaproszenie Raya dopuścił się nie tylko zdrady, lecz popełnił nieostrożność. Przyjacieli obroniłby go przed pokusami... Dreszcz przeszył jego ciało. Dreszcz podniecenia, silniejszy niż rozsądek... Chciał przez moment zrezygnować z nocnej eskapady, lecz nie był zdolny oprzeć się wołaniu zmysłów.

Machinalnie wyjął z szafy skórzany ubiór. Niebieska kraciasta koszula i teksaskie buty dopełniły szyku. Ujrzał w lustrze chłopaka, który błąkał się po

ulicach Nowego Jorku w poszukiwaniu klientów. Był tak piękny, tak olśniewający, że omal nie uwiodło go własne odbicie. Ponownie przeszył go gwałtowny, nieprzewycięzalny dreszcz wywołany tym narcystycznym obrazem... Wyjście na miasto w tym stroju narażało go na ryzyko... Ryzykował, że zostanie napadnięty, skompromitowany... Skandal mógłby zniweczyć jego karierę...

Uśmiechnął się gorzko. Jego kariera... Myśleć o karierze... Cóż za arogancja, cóż za nieświadomość... Dreszcze napadły go znowu, jak fale, z którymi zmagął się w Palos Verdes, kiedy śmierć zajrzała mu w oczy... Wówczas ocaliła go opatrnościowa interwencja Raya. Opatrnościowa to niewłaściwe określenie, zakładające element przypadku. Ray płynął za nim świadomy niebezpieczeństwa, na jakie narażał się jego przyjaciel i gotów był ponosić konsekwencje, jakie z tego faktu mogły wyniknąć.

Włożył okulary o dużych, ciemnych szklach, zasłaniających niemal połowę twarzy. Mógł opuścić hotel nie będąc rozpoznany. Wyszedł z apartamentu i skierował się do windy. Sue, która uchyliła drzwi, aby mu złożyć nieoczekiwaną wizytę, ujrzała go wychodzącego i cofnęła się rozczarowana. Dobrze się stało, bo właśnie w tejże chwili zadzwonił telefon. O'Neill zapraszał ją do siebie. Z udawaną radością Sue odparła, że czekała na jego wezwanie i że przyjdzie lada chwila. Odłożyła słuchawkę. Przeżywała zawód rybaka, który spodziewa się złowić wielką rybę, a znajduje na końcu linki dziurawy portfel. Ale i tak poczeka na Boba. To jedyny mężczyzna, którego pragnęła i nie mogła zaspokoić swych pragnień.

Tymczasem Bob schodził już do wielkiego holu, niemal pustego o tej nocnej porze. Miał nadzieję, że nikt ze służby go nie rozpozna. Mimo ciemnych okularów, zarówno portier, jak służący w liberii natychmiast go

zidentyfikowali, ale rozumiejąc, że chciał zachować incognito, udali, że go nie spostrzegli.

Tuż za drzwiami hotelu Bob znalazł się w środowisku, które opuścił przed trzema laty. Nowy Jork nigdy nie śpi. Sporo było przechodniów, a ruch pojazdów niewiele mniejszy niż w ciągu dnia. prostytutki, stręczyciele, sprzedawcy narkotyków wychodzili jak szczury ze swych kryjówek.

Fasada hotelu wznosiła się na wschodnim krańcu Central Park South; taką nazwę przyjęła **59.** ulica w sąsiedztwie wspaniałej, zielonej przestrzeni w sercu Manhattanu.

Bob czuł bolesne pulsowanie krwi w skroniach i przyspieszone bicie serca. Chętnie wszedłby do Central Parku. Staw, który często okrążał, znajdował się całkiem blisko, lecz nie odważył się zapuścić w alejki pogrążone w mroku, gdyż gałęzie drzew przesłaniające lampy elektryczne pozostawiały jedynie wąskie wyspy światła wśród rozległych plam ciemności. Było to idealne miejsce dla podejrzanych spotkań, ale również niebezpiecznych zetknięć z bandami przestępców, którzy świetnie władali bronią i wypruwali flaki swym ofiarom. Gangi Bandidos, Pagans, Outlaws, Wanderers, Diabolos i wiele innych grasowały tu niemal bezkarnie. Bob ich nie zapomniał. Obrabowywały przechodniów, mordowały ich, gwałciły. Zastraszanie ludzi sprawiało im rozkosz. Była to zbieranina ludzi wyzutych ze wszystkiego, którzy bili się również między sobą, znajdując przyjemność w rozlewie krwi, w zadawaniu cierpień, w szerzeniu strachu.

Bob chciał ponownie zobaczyć Times Squer, serce Nowego Jorku, przejść **42.** ulicą, zajrzeć do baru-teatrzyku, w którym występował nago przed tłumem podnieconych kobiet. Zszedł 7. Aleją do Times Square, rojącego się od ludzi. Zdjął ciemne szkła, gdyż zbytby ściągał na siebie uwagę nosząc je w

nocy. Pochłaniał wzrokiem reklamy świetlne, tłum cisnący się jak na targowisku.

– Chcesz się zabawić, synku? – zapytała go jaskrawo umalowana prostytutka.

Mógłby ją minąć nie rzucając na nią spojrzenia.

– Kiedy indziej, ślicznotko! Dziś jestem zajęty.

Pozwalał jej zachować twarz. Uśmiechnęła się do niego. Zaczepiły go inne. Chłopcy włączyli się do współzawodnictwa. Mógł wybierać i przebierać. Nieletni – wszyscy ładni – byli liczniejsi niż dawniej i stroili miny do starych, którzy nie zwracali uwagi na ich umizgi. Dla tych chłopaczków wszyscy, którzy skończyli trzydziestkę, byli wapniakami. prostytutki mające więcej niż dwadzieścia lat nazywano szyderczo emerytkami. Klienci obojga płci szukali krytycznym wzrokiem partnerów na tę noc. Uciekali od samotności swoich mieszkań. Poznawało się turystów, którzy zachwyconym wzrokiem oglądali jasno oświetlone witryny, fasady domów, wejścia do barów.

Bob chciał jak najprędzej zobaczyć znowu wszystko, co przypominało mu przeszłość. Czyżby to było skryte pragnienie powrotu do źródeł?

Brodaty facet próbował namówić go na narkotyk, lecz Bob minął go pogardliwie i szedł dalej.

Nagle ktoś chwycił go za ramię.

– Bob!

Drgnął i spojrzał na młodego człowieka, który uśmiechał się do niego. Rozpoznawał miło brzmiący głos. Ale twarz o pergaminowej skórze okrywającej wystające kości nie kojarzyła mu się z nikim.

– To ja, Percy! Percy Barton! Byłem tancerzem, jak ty! Nie pamiętasz mnie, Bob?

Szept jego nagle się załamał.

– Nie! Już mnie nie poznajesz! Jestem oszpecony! Oszpecony! Chodzący trup...

Bob uśmiechnął się i objął go ramionami. Percy był tylko szpetnym cieniem tamtego pięknego chłopca, który wzbudzał pożądanie klientek i zazdrość kolegów. Bob nie dał poznać po sobie zmieszania i litości, jaką odczuwał dla dawnego kolegi.

– Żartujesz! To spotkanie tak mnie zaskoczyło, że z początku nie mogłem nawet okazać swej radości.

– Śledziłem twoją piękną karierę, Bob, i cieszyłem się z twego sukcesu.

Wybuchnął szlochem.

– Ja jestem człowiekiem skończonym! Mam AIDS.

Bob odniósł wrażenie, że ktoś grzmotnął go pięścią w splot słoneczny.

Percy ścisnął jego ręce z bezsilną pasją.

– Miałem zapalenie płuc... Wówczas stwierdzono, że jestem seropozytywny... Wyleczyłem się z tego zapalenia... Lecz wiadomość o mojej chorobie dotarła do teatru... Kiedy przyszedłem do właściciela, wypędził mnie z pokoju. Teraz żyję z dnia na dzień... Sąsiedzi mego małego mieszkania, które zajmowałem dotąd, zażądali, żeby mnie usunięto z domu...

Bob słuchał jak skamieniały.

– Żeby się czymś pożywić, sprzedałem ubranie, zegarek, złoty zegarek odziedziczony po ojcu... Zresztą nie potrzebuję już ubrań. Wystarczy mi to, co mam na sobie. Męczy mnie tylko jedna myśl. Sypiałem jedynie z kobietami. Jestem hetero... Jak mogłem złapać AIDS?

Bob patrzył przerażony na spustoszenie, dokonane przez chorobę w jego dawnym koledze. Percy był ruiną człowieka. Drżącą ręką wyjął kilkaset dolarów.

– Weź to, Percy, i daj mi swój adres. Będę ci regularnie przysyłał pieniądze, żebyś mógł się zająć leczeniem nie martwiąc się o codzienne wydatki. Przyjaciele powinni sobie pomagać.

Był poruszony do głębi, lecz starał się to ukryć. Oczy Percy'ego zaszkliły się łzami.

– Nie jestem żebrakiem!

– Oczywiście! Zwrócisz mi pieniądze, kiedy się wyleczysz i będziesz miał pracę.

– Wiesz dobrze, że ci, których dotknęła ta choroba, nie mogą się wyleczyć.

– Weź forszę, Percy! I nie mów głupstw.

Po chwili wahania chłopak wsunął banknoty do kieszeni.

Bob miał ściśnięte gardło. Ledwo mógł mówić. .

– Chodźmy się czegoś napić!

– Nie chcę cię zatrzymywać, Bob!

– Nie mam nic lepszego w programie. Kieliszek alkoholu dobrze ci zrobi. Mnie również.

Weszli do baru, siedli na wysokich taboretach i oparli się na kontuarze. Bob zamówił whisky.

– Najlepszą, jaką macie! – dorzucił. – Chvas!

Zwrócił się z uśmiechem do kolegi. Jego wygląd budził przerażenie. Jedyne oczy nadal pozostały piękne. Oczy o długich, podwiniętych rzęsach, oczy dziewczęce, kontrastowały z sinobladałą cerą, z jego trupią czaszką.

Percy pił powoli. Wychudzone palce ledwo mogły utrzymać kieliszek.

– Widziałem filmy z tobą, Bob. Nie mogłem się powstrzymać, żeby powiedzieć sąsiadom, którzy siedzieli obok mnie. Obcym ludziom. Bob Flynn to mój kumpel. Wielka gwiazda. Gwiazda pierwszej wielkości. Pewno pomyśleli, że się przechwalam...

Dyszał jak po długim, wyczerpującym biegu.

Wyszeptał:

– Dla mnie to dosyć. Chciałbym wrócić do siebie. Jestem zmęczony. Okropnie zmęczony. Dziękuję za whisky.

Bob zapłacił. Wyszli na ulicę.

– Weź taksówkę, Percy. Masz teraz forszę.

– Jestem tak bardzo rad, że cię spotkałem. To promień światła w moich ciemnościach.

– Podczas pobytu w Nowym Jorku wpadnę jeszcze do ciebie. Gdzie mieszkasz?

– W nędznym domu. South Bronx. Koło Crotona Park. **169.** ulica. Numer 75. Ale będzie ci trudno znaleźć mnie w tej okropnej dzielnicy, zapomnianej przez Boga i ludzi.

– Nie martw się! Dam sobie radę. Znam Bronx jak własną kieszeń. Nie przyszedłem na świat w pięknych dzielnicach, Percy. Jeśli będziesz mnie potrzebował, znajdziesz mnie w hotelu Plaza.

Żaloszny uśmiech rozjaśnił wychudłą twarz Percy'ego.

– To adres łatwy do znalezienia. Uścisnęli sobie ręce na pożegnanie.

Percy odszedł pochylony, powłócząc nogami jak starzec.

Bob zakrył twarz rękoma. Przechodnie potrącałi go. Opuścił ramiona i wszedł do baru. Chciał zapomnieć o Percym, o jego nieszczęściu, o jego bliskiej śmierci. Wypił dwa kieliszki whisky i wyszedł.

Dał znak przejeżdżającej taksówce.

– Do hotelu Plaza!

Zatrzymał wóz na rogu 7. Alei i Central Park South. Zapłacił, wysiadł, popatrzył na gwiazdy świecące nad drzewami parku. Wciągnął w piersi powietrze przesycone wonią kwiatów i zieleni. Chciał ochłonać w samotności, wygnąć z myśli obraz Percy'ego. Przeszedł ulicę i skierował się do parku. A nuż jakiś szaleniec wbije mu nóż między łopatki.

Powoli zagłębiał się w aleję. Plamy światła rzucanego przez elektryczne latarnie otoczone koronami drzew kontrastowały z głęboką ciemnością nieoświetlonych miejsc. Nie widział żywej duszy, ale do jego uszu wciąż dochodziły szmery, będące mieszaniną różnych dźwięków; podobnie jak w tropikalnym lesie, gdzie za ścianą przepysznej roślinności wyczuwa się obecność niewidocznych zwierząt, węży, płazów i olbrzymich owadów, tak tutaj, w parku, wśród szelestu liści i trzasku gałązek, wśród ledwo dosłyszalnych prześlizgiwali w gąszczu zieleni, można było wyróżnić jęki rozkoszy, stłumione szepty, rżenie, ściszone kroki. Nagle te znajome szmery wzbudziły w nim obrzydzenie. Zbierało mu się na wymioty. Upragniona samotność stała mu się wstrętą.

Z ciemności wyszedł brodacz około trzydziestki, muskularny, o zmierzwionych włosach, w dżinsach i czarnej skórzanej kurtce, podszedł do Boba i powiedział tonem, który miał zabrzmieć przyjacielsko:

– Szukasz partnera? Właśnie go znalazłeś!

Bob nie odpowiedział i szedł dalej. Wiedział, czego od niego oczekiwano, ale właśnie tego już nie chciał za nic. Brodacz wzruszył ramionami i zniknął w ciemności jak szczur. Bob poczuł, że fala nienawiści ogarnia całą jego istotę. Szczury buszujące nocą w Central Parku wzbudzały w nim zgrozę. Przebłysk świadomości rozproszył zamęt panujący w jego myślach. Po co wszedł do parku pogrążonego w ciemnościach? Do tego nocnego piekła, które o świcie przybierało wygląd rajy?

W owalu światła padającego na asfaltową dróżkę spostrzegł sylwetkę Raya, który niespiesznie się oddalał. To był on! To jego krok, to jego wąskie biodra. Serce Boba zabiło żywiej. Ray starał się go znaleźć. Troszczył się o niego. Uratował go od utonięcia i teraz przybywał mu na ratunek! Kochany Ray!

Pobiegł w ślad za nim. Dopędziwszy go, z niewymowną radością chwycił go za ramiona:

– Ray!

Mężczyzna odwrócił głowę zaskoczony. Bob stał jak wryty. Miał przed sobą obcego człowieka. Całkiem obcego człowieka, który mierzył go wzrokiem od stóp do głów. Był młody, sympatyczny, uśmiechnięty.

– Cóż za niespodzianka – zażartował nieznajomy.

– Proszę mi wybaczyć! – wyjąkał Bob. – Wziąłem pana za kogoś innego.

– Czy nie mógłbym zastąpić pańskiego przyjaciela? Skorzystajmy z szansy, że los nas połączył.

Bob zawrócił na pięcie i odszedł szybkim krokiem. Kilka prostytutek pojawiło się to tu, to tam wzdłuż alei. Niemal nagie, prowokacyjnie poruszały piersiami i biodrami. Twarze ich przesadnie umalowane przypominały groteskowych klaunów.

Bob skierował się ku wyjściu z parku. Miał jeszcze szmat drogi do świateł na 5. Alei. Dławiło go obrzydzenie. Przechodził koło małego jeziora, kiedy trzech osobników o szubienicznych twarzach wyłoniło się z mroku i zastąpiło mu drogę.

– Hej, piękniśiu!

Bob znał ten rodzaj łajdaków. Uskoczył w bok i przemknął obok nich jak strzała. Podnieceni jego urodą i rozwścieczeni odmową rzucili się w pogoń za nim. Ale Bob zyskał już dobrą przewagę. Słyszał stuk ich butów na asfalcie, ich świszczące oddechy, ich przekleństwa.

Strach dodał mu sił. Nareszcie dostrzegł bramę parku. To był ratunek. Kiedy wybiegł w aleję, pościg się zatrzymał.

Widok wozu policyjnego, który patrolował ulicę, sprawił mu niewymowną radość, aczkolwiek dotąd uważał policjantów za swych nieprzyjaciół. Kontury hotelu rysowały się na wygwieżdżonym niebie. Bliskość Plazy dodała mu otuchy. W jej ścianach schronił się Ray... Ray, którego oszukał... Przed poznaniem go nie przyszłoby mu na myśl, że można tak bardzo i wyłącznie przywiązać się do jednego chłopaka. Obecnie cały jego system myślenia, logika postępowania uległy gruntownej zmianie. Ta szczerą miłość, usprawiedliwiona zaletami przyjaciela, była czymś więcej niż egzaltowanym zachwytem. Towarzyszył jej wzrastający pociąg fizyczny, którego nie umiał sobie wytłumaczyć.

Plaza, studio w Los Angeles, plaża w Palos Verdes, bary, które odwiedzali razem, nabierały szczególnej wartości, ponieważ łączyły się z obecnością Raya. Bob, który nigdy nie zaznał miłości, mimo że miewał aż za często tak zwane miłosne stosunki, odkrywał po raz pierwszy wyłączność

uczucia, jego intensywność, nieuchronność połączenia się z ukochanym. Budynek Plazy utożsamiał się z Rayem, ponieważ Ray był w jego wnętrzu.

Zastanawiał się niekiedy, dlaczego miłość nie wyidealizowała Shirley, Isabelle, czy innej z wielu dziewczyn, które rzucały mu się do łóżka. Wy tłumaczył to sobie tym, że one nie oddawały mu się z miłości, lecz dla satysfakcji posiadania pięknego chłopca i oddawania się komuś, kto został idolem nie tylko Ameryki, lecz całego świata, gdzie tylko istniały ekrany. Kobiety i mężczyźni pragnęli go jednakowo rozpalonymi zmysłami. Nawet samcy, którzy nienawidzili pederastów, uwielbiali Boba i bezwiednie starali się upodobnić do niego.

Tendencje narcystyczne drzemiące w każdym człowieku budziły się w jego obecności.

Wszedł do holu, tym razem nie bacząc na to, czy go ktokolwiek rozpozna. Znalazłszy się w korytarzu swojego piętra, skierował najpierw kroki do swego apartamentu, ale zawrócił i podszedł do drzwi Raya. Ze wzruszenia serce biło mu jak młotem.

Wejść do niego o tak niestosownej porze? A czemuż by nie? Ray był dla niego kimś więcej niż wyidealizowanym przyjacielem. W stosunkach między nimi zacierała się granica między przyjaźnią a miłością. Ray był dla niego przystanią, wybawcą, istotą nieomal nadprzyrodzoną. Był mu drogi.

Delikatnie obrócił gałkę, drzwi ustąpiły. Wślizgnął się do skąpanego w ciemnościach salonu. Przez szparę w drzwiach widział oświetloną sypialnię Raya. Czyżby zasnął nie zgasiwszy nocnej lampki? Bezszelestnie zbliżył się, pchnął drzwi i objął spojrzeniem łóżko.

Ray czytał książkę. Na widok Boba twarz jego rozjaśniła się. Głos zabrzmiał pieszczotliwie:

– Jakże się cieszę, żeś przyszedł, Bob... Spojrzenia ich się spotkały.

Ray odłożył książkę na nocny stolik. Oczy mu rozbłysły. Milczące wezwanie trochę zmieszało Boba. Więc Ray nie miał mu za złe samotnej eskapady? Jednym uśmiechem rozproszył obawy swego przyjaciela.

Bob podszedł bez słowa, pochylił się nad Rayem i uściśnął go tkliwie. Była to komunia uczuć i nie wyznanych namiętności.

– Chciałem cię uściskać, zanim pójdę spać.

– Bardzo to sobie cenię, Bob. Bardzo to sobie cenię.

– Czułem potrzebę powiedzenia ci, że jestem ogromnie szczęśliwy z pozyskania twojej przyjaźni... twojej miłości...

– Jestem wzruszony, Bob. Wiesz dobrze, że podzielam twoje uczucia. Nie zapomniałem tej nocy na plaży.

– Jestem tak szczęśliwy, że nie mam słów, aby ci wyrazić, to co czuję... Zostawiam cię teraz. Nie chcę ci przeszkadzać w czytaniu.

Bob chciałby stopić się z ciałem Raya, zespolić z nim, utożsamić, stać się jedną wspólną istotą. Zdawał sobie sprawę, że jego namiętność prowadziła do szaleństwa.

Nie odważył się ponownie uściśnąć przyjaciela. Upajała go pieśczoła jego wzroku. Ray go kochał. Odczuwał tę miłość jak zalewającą go falę światła i to napełniało go szczęściem.

– Do jutra, Ray. Dobranoc.

Ray uśmiechnął się z jakże cenną, jakże podnoszącą na duchu słodyczą.

– Dobranoc, Bob. Do jutra.

Bob rzucił mu promienne spojrzenie i wyszedł na palcach.

Leslie Carter przyjął O'Neilla w swoim gabinecie, którego okna wychodziły na południową część Manhattanu, Battery Park i Statuę Wolności. Wspaniały widok, który Peter ocenił okiem znawcy. Mógł posłużyć jako tło czołówki jego filmu „Tytani”.

Prezes konglomeratu wstał od swego ogromnego biurka, na którym znajdowały się tylko trzy aparaty telefoniczne, interfon i skórzana podkładka do pisania. Harmonizowały one barwą z fotelami i skórzanym obiciem ścian. Powitał gościa uściskiem dłoni i wskazał mu jeden z foteli stojących dokoła niskiego stolika. Książki o wyzłoconych brzegach stały rzędem na półkach biblioteki. Dywany i sufit utrzymane były w podobnej ciepłej tonacji. Ładna i zgrabna sekretarka przyniosła na tacy dwie kawy. Carter zapytał uprzejmie:

– Co wolisz, Peter? Koniak, whisky, Martini, koktajl? Moja sekretarka jest mistrzynią w sztuce przyrządzania koktajli.

– Zazwyczaj pijam tylko soki owocowe. Tym razem jednak zrobię wyjątek. Dobry koniak sprawi mi przyjemność.

– Dwa koniaki Hennessy Napoleon, ze specjalnego zamówienia! Młoda kobieta nacisnęła guzik i część ściany vis-à-vis biblioteki obróciła się na zawiasach, ukazując duży bar dobrze zaopatrzony w butelki o różnobarwnych nalepkach. Podała cenny trunek w pękatach, kryształowych kieliszkach i zostawiła odkorkowaną butelkę na niskim stoliku, po czym bezszelestnie wyszła.

– Zaprosiłem cię, Peter, żeby ci zakomunikować mało pocieszającą wiadomość. Przypuszczam, że domyśliłeś się, co przesądziło o zatrzymaniu Brynera na czele wytwórni.

– Przyznaję, że różne podejrzenia przychodziły mi do głowy. Spodziewałem się, że po tym skandalu zostanie zwolniony tak samo jak jego wspólnik. Oczywiście bez odwoływania się do sądu.

– Jasne! Prasa rozdmuchałaby taki proces ze szkodą dla naszych interesów. Co się tyczy naszego przyjaciela Brynera, to cieszy się on teraz protekcją mafii.

– Mafii? To zakrawa na powieść sensacyjną.

Peter nie wspomniał o spotkaniu z Bryantem. Wolał poznać wersję Cartera.

– A jednak to prawda. Wytwórnia praktycznie przeszła pod kontrolę mafii. Lombardo, postać dosyć podejrzana, gra setkami milionów, tak jak ty grałbyś w bilard.

– Przecież niedawno mafia została rozgromiona. Giuliani zamknął wszystkich szefów i wielu podwładnych.

– Giuliani jest niezwykle upartym i konsekwentnym prokuratorem. Przypomina mi Dewaya swoim nieprzejednaniem i siłą woli. Nie mógł jednak zatrzymać całego sztabu złodziei, którzy jeżdżą rollsami. To zadanie nawet ponad jego siły. Nowi mafiosi przyjęli styl biznesmenów na pozór bardzo poprawnych. Dysponują olbrzymimi kapitałami w bankach szwajcarskich: zyski pochodzą z handlu narkotykami, żywym towarem, no i oczywiście z gier hazardowych. Kontrolują sieć hotelową, wiele banków, tak zwane uczciwe przedsiębiorstwa i dyktują swoje prawa. Brudne dochody nadal wypełniają ich sejfy. To są miliardy dolarów. Używają skomplikowanej sieci pośredników, nieuczciwych bankierów, przekupnych adwokatów i policjantów, kasyn i urzędów skarbowych, aby brudne pieniądze wymienić na czyste. Dzięki kapitałom przenikają do konglomeratów i stają się panami ważnych grup

finansistów. To rak, to AIDS naszej finansjery. Dochodzi do tego, że w końcu nie wiadomo, czy ma się do czynienia z uczciwymi ludźmi, czy z przestępcami. Są jak wirusy, jak rakowate komórki, mnożące się w nieskończoność, atakujące później i niszczące komórki zdrowe.

– To aż tak poważne?

– Bardziej niż przypuszczasz.

Peter zamyślił się, odmówiwszy cygara, którym Carter go poczęstował.

– Możemy podjąć ten temat w „Tytanach”. Wystarczy wprowadzić kilka zmian.

Carter dał wyraz swego rozczarowania.

– W ostatnich latach nakręcono dziesiątki filmów o mafii. Nie mówię już o „Ojcu chrzestnym” Coppoli, który był szczytowym osiągnięciem. W Stanach Zjednoczonych unika się nawet słowa „mafia”. Twierdzi się, że ona nie istnieje. Nic nowego nie mogłoby zaskoczyć publiczności.

– Nie wierzę. Sądząc z tego, o czym mówiłeś przed chwilą, po tym, co zaszło we Włoszech i nawet tutaj, u nas, w Stanach Zjednoczonych, nastąpiła duża zmiana. Podczas gdy stara mafia płonie na stosie, z jej popiołów rodzi się nowa mafia.

– Odradza się jak ptak Feniks.

– Właśnie. Zdemaskować ukryte strony tej organizacji na pozór uczciwej. Postawić ją pod pręgierzem...

– Wątpię, czy mógłbyś to zrealizować... Natknąłbyś się na tajemne i tym groźniejsze siły, drogi przyjacielu.

Po raz pierwszy Carter tak właśnie nazwał O'Neilla, który zauważył to z pewnym rozbawieniem. Bo Carter liczył się z każdym słowem.

– Uwielbiam stawiać czoła niebezpieczeństwu. Przywykłem już do tego, że jestem celem wielu nieprzyjaciół.

– Mafia to niewidzialna armia, która nie przebacza.

– Puzo dobrze sobie z nią poradził.

– Jego film pośrednio zrobił reklamę mafiosom. Pamiętasz pana domu, który odmówił handlu narkotykami? To była niemal apologia mafii. Podczas gdy w rzeczywistości narkotyki są głównym źródłem jej dochodów.

– Teraz, gdy dawni przywódcy znajdują się za kratkami, zmieniły się przesłanki działania. Lombardo jest archetypem nowej szkoły.

– Nie myślę, żeby Bryner zaaprobował zmiany scenariusza. Ja mam związane ręce. Teraz Lombardo jest jego panem.

– Podejmę się tego, Leslie.

– Na własne ryzyko i odpowiedzialność. Czekam ze strachem na najbliższe zebranie ogólne naszych akcjonariuszy. Mafiosi potajemnie kupili przez pośredników dużą część naszych akcji. Żyję na beczce prochu. Nie mówię już o niektórych naszych dyrektorach, będących pod wyraźnym wpływem mafii.

Zdenerwowany, wypił jednym haustem swój koniak. Nalał drugi kieliszek.

– Nalać ci, Peter?

– Dziękuję. Ledwie skosztowałem...

Carter ogrzał w dłoniach pękaty kieliszek.

– Poprosiłem cię, Peter, nie tylko po to, żeby mówić o trudnościach, ale również po to, żeby przedłożyć ci pewien projekt, nad którym się zastanawiam. Stwórz nową wytwórnię. Dam ci kapitał, obejmiesz prezesurę. Jak widzisz, myślę o przyszłości.

O'Neill potrząsnął obojętnie głową.

– Ach, przyszłość!

– Dlaczegoż by nie? Skończyłem sześćdziesiątkę, lecz nie myślę dawać za wygraną. Co sądzisz o tym projekcie? Wszystkie talenty „XXI Century” podążą za tobą. Twoje odejście byłoby dla nich końcem kariery.

– W Hollywoodzie talenty rodzą się na kamieniu. Na początku prawie nic nie kosztują. Bryner łatwo znajdzie nowe.

– Ale na to potrzeba czasu. Lombardo znalazł we mnie nieustępliwego przeciwnika. Pomyśl o mojej propozycji. Nie proszę cię o natychmiastową odpowiedź.

O'Neill wstał.

– Pomysł jest kuszący. Przemyślę go, zgodnie z twoją radą. Na razie kręcenie „Tytanów” zajmie mi cały czas. Chcę zrobić arcydzieło. Nie wiem, czy publiczność mi dopisze jak dawniej, ale zrobię ten film najlepiej, jak potrafię.

– Publiczność zawsze ci dopisze.

– Nigdy nie jestem pewnym jej gustów, jej kaprysów. Coppola doznał wielkich niepowodzeń po olśniewającym sukcesie. Nasz zawód jest narażony na wiele niespodzianek. Knoty nieraz wywołały zachwyty, a doskonałe filmy zrobiły klapę.

Uścisnęli sobie ręce. O'Neill chciał wyjść przez sekretariat, lecz Carter go powstrzymał.

– Zjedziesz moją osobistą windą.

Za naciśnięciem guzika uchyliły się drzwi w ścianie ukazując kabinę wyłożoną mahoniem. O'Neill podziękował gospodarzowi za to wyróżnienie, ale drwiący uśmiech nie zniknął z jego twarzy.

VIII

Kręcenie „Tytanów” zaczęło się nie bez pewnych niespodzianek. Umiejętnie operując ruchem kamer O'Neill realizował najsubtelniejsze nastroje i uwydatniał wątek dramatyczny. Najazdy kamery, travellingi tylne, boczne i półkoliste pozwalały mu na wzbogacenie techniki narracyjnej. Montaż postaci na krótkich, wielkich planach, zmiana kątów, nieoczekiwane wstawki, śmiała gra światła, wszystko to dawało godne podziwu osiągnięcia formalne i stwarzało pożądaną atmosferę filmu. Suchy trzask klapsów, krótkie rozkazy: akcja, cięcie, nakładały się na polecenia, które technicy wykonywali precyzyjnie; instrukcje dla aktorów padały w piekielnym tempie, wymagały wielkiego napięcia nerwowego.

W odróżnieniu od Scorsesego, który dawał protagonistom pewną swobodę interpretacji, O'Neill nie dopuszczał nigdy do tego, co nazywa się współpracą reżysera z jego aktorami. Sam podejmował decyzje, które zawsze okazywały się słuszne.

Chciał ukończyć film we właściwym czasie, przestrzegając skrupulatnie programu zajęć. Męczące wymagania, szybkość pracy, jaką inni reżyserzy osiągalni z wielkim wysiłkiem, nie przeszkadzały mu w kilkakrotnym powtarzaniu scen, z jakich nie był zadowolony.

Po kilku powtórzeniach z Nelly Robins, O'Neill podjął z nią rozmowę na osobności.

– Nie chciałem przy technikach robić uwag aktorce tej miary, co ty. Ale co się z tobą dzieje? Szarżujesz, brak ci naturalności. Mylisz się. Twoje repliki brzmią fałszywie. Wiem, że masz pewne problemy. Ale twoje małżeńskie nieporozumienia nie powinny ci przeszkadzać w skupieniu się na roli.

Mówił cicho, lecz surowym tonem.

Nelly z twarzą zalaną łzami, odparła szlochając:

– Spodziewałam się, że będziesz bardziej wyrozumiały...

– Współczuję ci w twoich kłopotach. Musisz jednak spełnić swój obowiązek wobec ekipy, wobec wytwórni, wobec tego filmu. Twoje nazwisko jest na czołówce afisza. Wszyscy ludzie, którzy pracują bez wytchnienia, żeby dotrzymać terminów, czekają z założonymi rękoma na twoje kaprysy. Podpisałaś kontrakt na półtora miliona dolarów. Wywiąż się z niego przyzwoicie!

Nelly podniosła na niego swe piękne oczy. Mimo skończenia pięćdziesięciu lat nie wyglądała nawet na trzydziestkę. Nagle nerwy ją poniosły. Nie bacząc, że wszyscy ją słyszą, zaczęła rozpaczliwie krzyczeć:

– Frank płaci swym kochankom moimi pieniędzmi! Wydaje ogromne sumy nie pytając mnie o zgodę. Przepuszcza moje dochody nie zarabiając ani grosza. Byłam szczęśliwa mogąc go zadowolić, dostarczać mu środków, żeby się ubierał jak dandys, kupował sobie motorówki i biżuterię... spełniałam jego wszystkie kaprysy!

Ironiczna mina O'Neilla doprowadziła ją do furii.

– Patrzysz na mnie, jakbym cię okłamywała!

– Ależ nie! Gdybyś z równą pasją grała swoją rolę, zadowolilibyś wszystkich.

– Zapominasz, że jestem kobietą nieszczęśliwą! Frank nie tylko sypia ze wszystkimi dziewczuchami, które pobudzają jego libido... Ilekroć robię mu uwagi, traktuje mnie jak szmatę, któregoś dnia mnie uderzył... Udaje zazdrość o Boba, Raya, Jeffa, nawet o Jareda, który jest żonaty.

Osuszyła nozdrza jedwabną chusteczką, nie dotykając oczu, aby nie naruszyć makijażu. Ale zło już się dokonało. Łzy popłynęły i ślady tuszu pozostały na gładkich policzkach.

– Popatrz, popsulaś sobie makijaż! – rzekł z irytacją. – Musisz iść go poprawić.

Peter podejrzewał, że Nelly gra komedię.

– Słusznie! Już idę! – westchnęła z pokorną miną. Zniecierpliwiony O'Neill spojrział na zegarek. Ta rozmowa miała wiele kosztować.

– Wybacz mi! – dorzuciła Nelly spiesząc do swojej garderoby.

Przed ludźmi, którzy patrzyli na nią z ciekawością i zniecierpliwieniem okazywała swe cierpienia i przygnębienie. Ledwo jednak znalazła się w garderobie uspokoiła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Narobiła tyle szumu, żeby zgromadzić korzystne dla siebie zeznania w procesie rozwodowym, który miała zamiar wkrótce rozpocząć. Prasa publikowała już artykuły dotyczące tego skandalu, chętnie czytowane przez ludzi lubiących plotki.

Podczas gdy specjalistka od makijażu usuwała spustoszenie spowodowane płaczem, Nelly myślała o swoim życiu uczuciowym, tak bogatym w różne perypetie. Kupiła sobie Franka, dwudziestopięcioletniego mężczyznę, tak jak się kupuje suknię, którą, gdy wyjdzie z mody, oddaje się pokojówce, wyrzuca, lub – jeżeli ma się zmysł praktyczny – sprzedaje szmaciarzowi. Niegdyś wołano: „Król umarł! Niech żyje król!” Nelly miała własną dewizę: „Miłość wygasła! Niech żyje nowa miłość!”

Czy była temu winna, że jej zmienne usposobienie udaremniało jej dotrzymanie wierności? Frank był gburem, który nie godził się zejść elegancko

ze sceny i zniknąć bez protestu przed wejściem następnego wybrańca. Początkowo serce Nelly oscyloowało między Bobem Flynnem a Jaredem Dahlem. Ale Bob traktował ją obojętnie, co obrażało jej próżność... Jared natomiast odpowiedział na jej awanse, gdyż to ona zazwyczaj, wykazywała inicjatywę... Nelly kilkakrotnie spotykała się już potajemnie z Jaredem i oczarowała go nie tyle swym wdziękiem, ile niby to przypadkowym pokazaniem mu swego majątku. Kilka milionów dolarów w akcjach i obligacjach, willa w Beverly Hills, inna w Palm Spring i apartament w Nowym Jorku w superluksusowym wieżowcu Trum. Jared wyznał jej, że woli kobiety dojrzałe, które podnoszą miłość do rangi sztuki i wyrafinowania.

Po poprawieniu makijażu Nelly wróciła na plan uśmiechnięta.

* * *

Sue, w otoczeniu Boba, Raya i Jeffa, który się w niej zakochał, weszła do dyskoteki Limelight na 46. ulicy. Lokal ten urządzone w dawnym kościele, co dodawało pikanterii temu siedlisku rozpusty, bardzo lubianym przez stałych klientów. Bywali tam zarówno ludzie z towarzystwa, jak znani homoseksualiści, gwiazdy showbiznesu i modelki otrzymujące gaże sześćo- i siedmiocyfrowe. Wnętrze tonęło w rozproszonym świetle, rozświetlanym od czasu do czasu przez elektryczne błyskawice i efekty stroboskopowe. Kierownik sali zaprowadził całe towarzystwo do zarezerwowanego stolika przyciągającego wzrok wszystkich gości.

Sue olśniewała urodą. Towarzystwo przystojnych, eleganckich kolegów budziło w niej uczucie euforii, pobudzenia zmysłowego. Noce spędzone w łóżku O'Neilla, który mimo namiętności nie mógł zaspokoić przedwcześnie rozbudzonych zmysłów swej partnerki, domagały się bardziej urozmaiconych kontaktów i to z ludźmi w zbliżonym do niej wieku. Próbowała zdobyć Boba,

lecz on potraktował ją grzecznie ale powściągliwie. Dwa czy trzy razy przespała się z Rayem, jednakże jego chłód, właściwy dandysem, którzy raczą ustępować kobietom, bardzo ją rozczarował. W rzeczywistości Ray nie był dandysem, ale nie przywiązywał większego znaczenia do przelotnych przygód. Napastowany przez dziewczęta zafascynowane jego urodą, przyjmował ich hołdy i pieszczoty, godząc się od czasu do czasu na zbliżenie bez dalszych następstw, które dawało niewielką satysfakcję. Natomiast Jeff okazywał Sue gorące uczucie, co ją zachwycało. Myślała, że się w niej zakochał. Dla niego wszakże miłość była jedynie zabawną grą. Zapisanie jak największej liczby podbojów na liście dawało mu ogromną satysfakcję. Porównywał się z Casanovą, którego pamiętniki przeczytał. Naśladował jego cynizm i sposób postępowania. Wierność, przywiązanie, czułość nie miały dla niego żadnego znaczenia. Bob jakby nie dostrzegał, co się wokół niego dzieje. Zdawało się, że śpi z otwartymi oczami. Stały cień błąkał się na jego czole. Ray patrzył nań zatroskany, daremnie starając się odgadnąć powód tak osobliwego zachowania.

Przy sąsiednim stoliku usiedli Jared Dahl z żoną, Isabelle i Fulton, jeden z najmodniejszych fotografów. Jared okazywał wyraźną oziębłość żonie, która odpowiadała mu pięknym za nadobne. Isabelle prezentowała ekscentryczną suknię Giorgio Armaniego i klejnoty z firmy Van Cleef i Arpels. Fulton pysznił się smokiem w kolorze starego złota. Chris była jakby znudzona hałaśliwą muzyką, szaleńcami tańczącymi i piekielną dynamiką świateł. Mąż jej odpowiadał monosylabami na entuzjastyczne komentarze Fultona, który w dyskotekę dopatrywał się twórczej atmosfery, podczas gdy Isabelle popisywała się swą pięknnością i zbytkiem.

Chris miała powód, żeby nie czuć się najlepiej, Isabelle zaćmiewała ją blaskiem urody i elegancją, Jared zaś udawał zainteresowanie jej osobą, chcąc

ukryć intymne związki z Nelly Robins. Jared – myślała Chris – nie był dobrym aktorem, gdyż jego gra była zbyt przejrzysta, żeby mogła ją oszukać. Plotki w Hollywoodzie krążą po ulicach. Zachować sekret życia prywatnego było niepodobieństwem, gdyż reflektory rzucały na aktorów światło nie tylko w atelier, lecz również w zaciszu ich domów. Zbyt wielu ludzi kręciło się koło nich – służba, sekretarki społeczne, przyjaciele i tak zwani przyjaciele – żeby nie wiedzieć o wszystkim, co się dzieje. A że prasa dobrze płaciła za szkalujące aktorów plotki o skandalach, zawsze znajdowała osoby gotowe udzielić informacji.

Pomiędzy stolikami Jareda i Jeffa wznosił się niewidoczny mur, ponieważ ich nienawiść znajdowała odpowiednik w rywalizacji między Sue a Isabelle.

– W Hollywoodzie nie spotyka się prawdziwej miłości, takiej, jaką opiewają poeci! – twierdził Fulton podnosząc głos, aby go usłyszano pomimo ogłuszającej muzyki. – Ludzie zawierają małżeństwa, żeby uspokoić opinię publiczną, a później rozwodzą się i zmieniają partnerów. Wiele kobiet rodzi dzieci tylko po to, żeby zatrzymać mężów, uczynić z nich swoich niewolników. Kobiety, które nie mają osobistego majątku, dobrze wiedzą, że w razie rozwodu stracą wszystkie przywileje związane z pozycją swych mężów. Rozwódki, nawet jeśli sąd przyzna im wysokie alimenty, stają się pariasami. Nie przyjmuje się ich w najlepszym towarzystwie. Mogą bywać jedna u drugiej, wychodzić razem i patrzeć z melancholią i zazdrością na gwiazdy i ich obecne małżonki.

Chris uznała, że słowa Fultona odnoszą się do niej i spiorunowała go wzrokiem.

– Jesteś pedziem, więc nie cierpisz dzieci.

Fulton, który nie wiedział, że Chris jest w ciąży, popełnił następną gafę, zwracając się do Jareda:

– Jestem pewien, że podzielasz moją opinię, chociaż jesteś kobieciarzem.

A propos, może jednak jesteś biseksualistą?

Jared pochwycił piłkę w locie.

– Nie trzeba uogólniać. Ale w zasadzie masz rację. Co do drugiej kwestii: jestem wielbicielem wszystkich pięknych kobiet.

– I ze wszystkimi gotów jesteś się przespać! – rzuciła z wściekłością Chris.

Jared wzruszył ramionami. W sprawie dzieci przyłączał się do opinii Fultona. Nie ucieszył się wiadomością, że wkrótce zostanie ojcem, gdyż Chris stała się już dla niego ciężarem. Gdy tylko Nelly rozwiedzie się ze swoim głupim mężem, Jared odeśle Brynerowi Chris wraz z dzieckiem.

Chris podjęła atak. Zwróciła się do Fultona z zapytaniem:

– Dlaczego nie mówisz o mężach nie mających grosza przy duszy ani uregulowanej sytuacji materialnej, którzy niecierpliwie czekają, aby ich bogate żony obdarzyły ich dziećmi? Jeśli biedaczka umrze, szczęśliwy ojciec bachora położy łapę na rodzinnym majątku.

– Jesteśmy więc zgodni co do tego – odparł Fulton w dobrym humorze – iż tak czy owak dziecko jest po prostu haczykiem u wędki. Od czasu do czasu aktor ze szczęśliwym uśmiechem pokazuje się z dzieckiem na ręku w telewizji. Przy jednym ogniu piecze dwie pieczenie. Widzowie, przywiązani do swoich rodzin patrzą rozczeni na ulubionego aktora, który jednocześnie reklamuje bieliznę niemowlęcą, za co dostaje kupę forsy.

– Jesteś cyniczny, Fultonie! Cyniczny i obrzydliwy! – odparła Chris. – Zakamieniały pedzio!

– Z tego względu nie narażam się na zazdrość Jareda. Jesteś zazdrosny, Jared?

– Nie cierpię na tę chorobę.

– Pochlebiasz mi, Jared! – powiedziała Chris.

– Przynajmniej jest szczery – wtrąciła Isabelle nie zmieniając pozy.

– Budzicie we mnie wstręt! – wykrzyknęła Chris.

W rytmie ogłuszającej muzyki tancerze ogarnięci szałem kołysali się, kręcili, wyginali na boki, pochylali do przodu, przyklękali, robili skoki i podskoki, wywijali piruety. Wyczyny te były bardziej podobne do konwulsji, spazmów i rozdygotanych derwiszów niż do ekstrawaganckich ewolucji tanecznych Travolty, Debry Winter czy Patricka Swayzego.

Sue zatańczyła z Jeffem, który dyszał zmysłowością. Fulton poprosił do tańca Isabelle.

Ray zostawszy z Bobem obrzucił go niespokojnym spojrzeniem.

– Widzę w twych oczach smutek, który mnie intryguje. Mówiąc szczerze, martwię się o ciebie. Masz wszystko: urodę, młodość, sławę, bogactwo. W tej przepelnionej sali jesteś człowiekiem, któremu najbardziej zazdroszczą. Stałeś się idolem. Żywym bóstwem! Czego chcesz więcej?

Bob położył rękę na dłoni Raya.

– Świat jest ohydny! W tym chaosie tylko ty jesteś moim przyjacielem, moim jedynym punktem oparcia. Powtarzam ci to, co już raz powiedziałem.

Ray uśmiechnął się z wdziękiem.

– Stary filozof grecki utrzymywał, że gdyby miał punkt oparcia, mógłby wziąć glob ziemski na ramiona. Od jego śmierci upłynęły wieki. Ale te słowa wryły się w ludzką pamięć... Przyjaźń, prawdziwa przyjaźń jest silniejsza niż

miłość. Tak się mówi. Ale ja myślę, że łączy się ona z miłością. Ja również się powtarzam.

Musieli mówić głośno, żeby się usłyszeć. Był pewien rozdźwięk między tonem jego głosu i uzewnętrznionymi uczuciami. Ale Bob wychwytywał niuanse mimo hałasu. Zrozumiałby Raya bez pomocy słów, patrząc mu tylko w oczy.

Spoceni, zdyszani Sue i Jeff wrócili do stolika.

– Pół godziny tańca mogłoby zastąpić godzinę gimnastyki w instytutach wyposażonych w najwymyślniejsze aparaty – stwierdził Jeff.

Sue wzięła torebkę. Ręce jej trochę drżały.

– Wybaczcie. Pójdę do toalety.

– Źle się czujesz! Odprowadzę cię! – Jeff był gotów do usług.

– Dziękuję. Czuję się świetnie. Muszę tylko poprawić makijaż. Poradzę sobie sama. Nie grozi mi tu zgwałcenie – powiedziała figlarnie.

W toalecie wstąpiła do kabiny. Wyjęła z torebki pakiecik kokainy, wysypała zawartość na lusterko i podzieliła ją na dwie części, które kolejno wdychała różowymi nozdrzami. Samopoczucie jej poprawiło się niemal natychmiast, opuściło ją zdenerwowanie. Włożyła wszystkie przedmioty do torebki. Zachowała jeszcze jedną, niewielką dozę proszku jako rezerwę na dalszą część nocy i umieściła ją w pudełeczku po tuszu do rzęs. Od kilku miesięcy podwoiła codzienną dawkę narkotyku. Wyszła z kabiny i spotkała w westybulu Isabelle malującą wargi przed lustrem nad umywalką.

Intuicja podszeptała Sue, że rywalka ją śledziła. Stara Murzynka, babka klozetowa siedząca przy wejściu, robiła wrażenie czarownicy. Obrzucała badawczym wzrokiem klientki, mamrotała zaklęcia, rzucała uroki. Łokciem wspartym na stoliku wskazywała talerzyk, na który kładziono kilkadziesiąt

centów albo dolara nie jako napiwek, lecz jako ofiarę. Nikt nie przypuszczał, jak wiele mogła opowiedzieć dziennikarzom z Enquirerera o klientkach lesbijkach, które zamykały się w kabinach, albo o tych, które się narkotyzowały. Ileż używanych strzykawek znajdowała po wyjściu owych dam, ile pustych torebek, które zapominano wrzucić do muszli klozetowych przed spuszczeniem wody! Stara kobieta znała z nazwiska wszystkie sławne klientki.

Nie bacząc na obecność Murzynki, Isabelle stanęła przed Sue z rękami na biodrach, z oczami płonącymi złością.

– Biedny Peter! – westchnęła. – Gdyby wiedział, że co pewien czas lubisz pofikać nóżkami z którymś z filmowych amantów, nie byłby tym uszczęśliwiony.

– Nie wiedziałam, że prowadzisz rejestr, z kim i kiedy sypiam – odparła Sue z pogardliwym uśmiechem.

– Chciałam pomówić z tobą o czymś innym. Czytałaś dzisiejsze gazety?

– Nie! I co z tego?

– Miło mi będzie podzielić się z tobą dobrą wiadomością. Shirley rozgłasza wszędzie, że to ty dostarczasz narkotyków jej bratu. Całe Los Angeles to komentuje.

Sue pobladła.

– Shirley ma mi za złe, że ukradłem jej ojca. Ty też jesteś zazdrosna.

Przybrała wyzywającą minę.

– Jeśli chodzi o Petera, możesz się z nim ciupciać, ile tylko zechcesz. Mogę ci go nawet całkiem odstąpić. Zresztą wcale z ciebie nie zrezygnował. Odsunął cię tylko na drugi plan.

– Dziwka!

Isabelle podniosła rękę chcąc wymierzyć policzek dziewczynie, lecz ona chwyciła ją za rękę i unieruchomiła z taką siłą, jakiej nikt by się po niej nie spodziewał. Zawdzięczała ją uprawianiu body building.

– Z radością zobaczę cię za kratkami! – powiedziała przez zęby Isabelle.

Wyrwała rękę z uścisku rywalki. Nagły ruch sprawił, że torebka Sue upadła na marmurową posadzkę i otworzyła się, a jej zawartość rozsypała się dookoła. Pokrywka pudełeczka z tuszem odskoczyła i saszetka z kokainą wypadła ze schowka. Spostrzegła to zarówno Isabelle jak i babka klozetowa. Stara nie dała tego poznać po sobie, lecz Isabelle wykrzyknęła z satysfakcją:

– Shirley mówiła prawdę! Handlujesz narkotykami!

Sue schyliła się, by zgarnąć rozrzucone przedmioty do torebki. Drżała, była bliska nerwowego załamania.

– Będiesz miała na procesie jeszcze dwóch świadków oskarżenia.

Isabelle nie posiadała się z radości. Zawróciła na pięcie i wyszła z toalety.

Sue poprawiła makijaż przed lustrem, starając się odzyskać spokój. Zła wiadomość powtórzona przez Isabelle, a później groźba złożenia obciążających zeznań na ewentualnej rozprawie, zupełnie ją załamała. Jak zareagowałby Peter? Czy wystąpiłby w jej obronie? Przyjrzała się swojej twarzy w lustrze. Była piękna. Zachwycająco piękna. Olśniewała O'Neilla swą urodą, rozbudzała w nim pożądanie bardziej niż wszystkie inne dziewczęta, które posiadał korzystając z prawa suwerena. On sam zachęcił ją do wyjścia wieczorem, do zabawienia się gdyż musiał pracować w nocy z Davidem Sellersem nad zmianą scenariusza. Dorzucił nawet: „Zabierz Boba, Raya i Jeffa, żeby bawić się w większym i przyjemnym towarzystwie”. Czy Peter był zazdrosny? Pójście do lokalu w większym towarzystwie narzucało pewną

powściągliwość. Wyprawa we dwoje byłaby bardziej niebezpieczna. Jeśli chodzi o Robby'ego, to dała mu kilkakrotnie narkotyk, ale za darmo, ponieważ nie miał go już wcale i cierpiał jak potępieniec. Wyczerpał pieniądze, dawane mu co miesiąc przez ojca, spore zresztą, i nie śmiał go prosić o więcej. Czym to miał usprawiedliwić? Zwyczajną ceną narkotyku? Chciwością handlarzy, którzy gwałtownie podwyższyli cenę?

Sue miała powody do niepokoju. Wprawdzie nie można jej było oskarżyć o handel narkotykami, jak by tego pragnęły Shirley i Isabelle. Ale samo posiadanie narkotyków było surowo karane. Wielu aktorów poniosło przykre konsekwencje. Nawet ci, których kariera nie została jeszcze całkiem złamana, musieli zgodzić się na pobyt w Instytucie Odwykowym. Przypomniała sobie tragiczny koniec Frances Farmer. Łzy napłynęły jej do oczu. Dreszcz przeszył wątłe ciało dziewczyny... Zapanowała jednak nad sobą. Wróciła do kabiny, wrzuciła do muszli torebkę po kokainie i spuściła wodę. Odtąd będzie musiała być ostrożna. Przede wszystkim nie dopuścić do tego, aby policja znalazła przy niej bodaj minimalną dawkę narkotyku. Isabelle mimo woli oddała jej cholerną przysługę uprzedzając o knowaniach dookoła jej małej osóбки.

Upuściła banknot dziesięciodolarowy na dłoń babki klozetowej – chciała, żeby wszyscy byli zadowoleni – i powróciła na salę. Usiadła przy stoliku i rzuciwszy pogardliwe spojrzenie Isabelle zaprosiła Boba do tańca.

Instyktownie wyczuł zdenerwowanie Sue i jej rywalki. Wprawdzie nie miał ochoty wejść na krąg taneczny między tłum ludzi, którzy kręcili się w zawrotnym rytmie rocka, lecz nie chciał odmówić Sue, czekającej już na niego.

Wstał z trudem.

– Sue, pokażmy tym ludziom, że w porównaniu z nami Ginger Rogers i Fred Astaire wyglądaliby na debiutantów!

Scenariusz zmieniony przez Davida Sellersa i O'Neilla dotarł w kilka dni później na biurko Brynera, żeby uzyskać jego zgodę. Kiedy prezes przeczytał nową wersję, krew uderzyła mu do głowy. Poczerwieniał tak, jakby mu groził udar mózgu. Scenariusz w nowej formie wprowadzał miliardera, którego przeszłość nikła w cieniu. Obracał ogromnymi kapitałami, pochodzącymi – dowiadywano się o tym pod koniec filmu – z pieniędzy, które przeszły cały cykl zanim trafiły do sejfów szacownego szwajcarskiego banku.

Bryner zaklął siarczyście. Przywołał sekretarkę.

– Bilet na pierwszy samolot odlatujący do Nowego Jorku. Rezerwacja w hotelu Plaza.

Nowa wiązanica przekleństw wywołała rumieniec na twarzy dziewczyny, której ręce drżały. Nigdy dotąd nie widziała szefa w takim stanie. Szybkim krokiem przemierzał gabinet od ściany do ściany, wywijając kulkami w powietrzu i zaciskał szczęki, jak dzika bestia spragniona krwi. Chciał zmiażdżyć O'Neilla i Dawida Sellersa. Co powiedziałyby Lombardo, gdyby wytwórnia, którą kontrolował potajemnie, wylansowała film atakujący ludzi ocalałych po zawziętym polowaniu, przeprowadzonym przez prokuratora okręgowego Giulia-niego wśród przywódców mafii?

– Bilet pierwszej klasy i luksusowy apartament?

– Oczywiście. I niech czeka na lotnisku wynajęty dla mnie samochód.

– Z kierowcą?

– Tak!

– Czy zależy panu na jakiejś marce samochodu?

Spojrzał na nią zdziwiony jej głupotą. Przypomniawszy sobie, że jest to nowa pracownica, polecona przez emisariusza Lombarda. Udawała niewiniątko, ale z pewnością otrzymała polecenie szpiegowania swego szefa.

– Cadillac lub Lincoln! – odparł zdenerwowany. – Żeby szyba oddzielała mnie od kierowcy! To najważniejsze!

– Dobrze, proszę pana.

– Niech pani powiadomi moją żonę, że wyjeżdżam na kilka dni do Los Angeles.

W godzinę później jego samolot odlatywał do Nowego Jorku. Bryner nie miał czasu na przygotowanie swego bagażu. Kupił potrzebne mu rzeczy w Nowym Jorku.

Mógłby był wprawdzie wezwać obu winnych do siedziby wytwórni, lecz nie chciał, by go obwiniono o zakłócanie produkcji filmu. W Los Angeles mógł ich postawić przed radą administracyjną, jak przed sądem. Nie dysponował jednak czasem niezbędnym na taką procedurę. O'Neill mógłby mu zabić klina w głowę, ale Bryner wiedziałby, jak go usadzić. Nie cackałby się z nim dłużej.

Chcąc uspokoić nerwy i zmienić tok myśli kupił stos dzienników i czasopism. Przerzucił kilka gazet, nic z nich nie rozumiejąc, gdyż gniew go rozstroił. Nie uspokoi się, zanim nie zmusi O'Neilla żeby ugiął się przed jego wolą, przed jego władzą. Wziął inny dziennik i rozchylił go gwałtownie. Wzrok jego padł na wiadomość z ostatniej chwili zamieszczoną u dołu pierwszej strony.

Robby O'Neill, syn sławnego reżysera P. O'Neilla, którego filmy odniosły wielki sukces, zmarł na skutek przedawkowania heroiny. Nazwisko młodego O'Neilla pojawiło się już raz w kronice sądowej. Spowodował

wypadek samochodowy, w którym stracił życie Herb Bryner, syn prezesa wytwórni „XXI Century”. Niedawno młoda tancerka kabaretowa wszczęła proces przeciwko młodemu O’Neillowi, oskarżając go o to, że zaraził ją opryszczką. Uderzający wzrost liczby młodych ludzi, którzy zmarli na skutek przedawkowania narkotyków, budzi szczególny niepokój opinii publicznej, która domaga się...

Bryner był wstrząśnięty. Wiedział, że Chris i Gloria również od dawna się narkotyzują. Groźba śmierci przez przedawkowanie wisiała więc i nad jego rodziną. Na razie jednak zgon Robby’ego sprawił mu radość. Herb został pomszczony. Gorzka to i spóźniona satysfakcja.

Myśli jego poszybowały ku O’Neillowi. Śmierć syna zapewne go poruszy i osłabi jego wolę walki. Możliwa była jednak i przeciwna reakcja. Zrozpaczony utratą syna wyleje całą gorycz na Brynera. Popełni jednak błędy w ocenie sytuacji, ponieważ nie będzie miał jasności rozumowania.

Mniej się przejmował scenarzystą. Jeśli będzie się opierał, to się go zwolni. Naraziłby się tym może na proces. Ale Lombardo umiałby go obronić. Płynęli na jednym statku.

Ray potajemnie, lecz żarliwie badał charakter Boba. Świetne, produktywne okresy euforycznego nastroju, kiedy wszystko wydawało mu się łatwe, kiedy nie odstraszał go żaden wysiłek, ustępowały okresom przygnębienia, objawiającym się złym humorem i depresją, zupełnym brakiem zainteresowania dla wszystkiego, co go otaczało. Symptomy typowe dla cyklotymika, wyraźne wzloty i spadki... A może inne przyczyny powodowały te zmiany samopoczucia? Pewne spostrzeżenia potwierdzały domysły Raya. Nie przyjmował ich jednak do wiadomości, nie chciał ich nawet brać pod rozwagę... To, że Bob pragnął wymazać swą przeszłość, było całkiem

zrozumiały. Lecz gdy jego odraza przekształcała się w zgrozę, w rozpacz, optymistyczne hipotezy Raya waliły się w gruzy. Pozostawało tylko jedno jedyne wyjaśnienie...

Przed kamerami, w świetle reflektorów Bob utożsamiał się z bohaterami filmowymi, wcielał się w nich po prostu.

W „Tytanach” grał rolę pierworodnego syna miliardera. Był utracjuszem, zbuntowanym przeciwko wszystkim i wszystkiemu, narkomanem i namiętym graczem przy zielonym stoliku. Nie unikał otwartych konfliktów z ojcem, który potępiał jego postępowanie. Zakochał się w tancerce z Atlantic City – tę rolę O'Neill powierzył młodej Francuzce Giselle Aubry – ona zaś skontaktowała go z kierownikami kasyna. Ilekroć młody człowiek przegrywał większe sumy pieniędzy w *chemin de jera* lub w ruletkę, mafiosi udzielali mu pożyczki. Oprócz namiętności do gier hazardowych bohater filmowy uwielbiał gwałtowne sporty. Ryzyko było jego drugą naturą. Polo, łodzie motorowe rozwijające zawrotne prędkości, konne polowania z psami gończymi, wyścigi formuły pierwszej – to były jego żywioły.

Bob zazwyczaj świetnie wywiązywał się ze swych ról i nie dbając o gniew O'Neilla odmawiał, by kaskaderzy zastępowali go w scenach zbyt niebezpiecznych. Uparł się, żeby go nauczono prowadzenia off shores, którymi kierował z przyjemnością i wprawą zadziwiającą mistrzów tego sportu.

O'Neill wzywał go do siebie i przedstawiał mu niebezpieczeństwa, na jakie się narażał. Mimo obietnic, że będzie w przyszłości ich unikał, Bob ruszał do wyścigu, ilekroć scenariusz tego wymagał, nie bacząc na sprzeciwy kaskaderów.

O'Neill z wzrastającym niepokojem śledził grę Boba. Pokonując wszelkie trudności znakomicie odtwarzał zarówno subtelne konflikty z ojcem, miłość do

Giselle, jak i gwałtowne bijatyki z bandziorami, w towarzystwie których się obracał. Reżyser był wzruszony jawnym pragnieniem Boba, żeby go zadowolić, spełnić wszystkie polecenia, zasłużyć na jego pochwały.

Kręcono właśnie bal we wspaniałej siedzibie rodzinnej na Long Island. Bob tańczył z Sue, grającą rolę córki bogatego nafciarza z Texasu, którą ojciec przeznaczył mu na żonę. Powinien był okazywać znudzenie, trochę pogardliwą wyższość wobec młodziutkiej dziewczyny, która patrzyła na niego z zachwytem. Wszystko szło dobrze, póki w pewnej chwili Bob nie dotknął ręką czoła i chwiejnym krokiem nie podszedł do kanapki, omal nie osuwając się na jej poduszki.

O'Neill przerwał kręcenie filmu i podbiegł do Boba. Na twarzy reżysera malował się dziwny wyraz; był jakby mniej zaniepokojony stanem Boba, niż zaintrygowany symptomami jego niedyspozycji. Po chwili Bob potrząsnął z lekka głową.

– Wezwijcie lekarza! – zawołała przestraszona Sue.

– Nie trzeba – szepnął Bob. – Miałem lekki zawrót głowy. Oślepiło mnie światło reflektora. Ale wszystko przeszło. Gotów jestem wrócić przed kamery.

Zmusił się do wstania. Aktorzy i statyści podjęli pracę. Kamerzyści i elektrycy stanęli za swoimi aparatami. Travelling miał się nasunąć na tańczących.

– Akcja! – rozkazał O'Neill.

Trzasnął klaps. Rozpoczęto zdjęcia.

Ray ze ściśniętym sercem śledził niedyspozycję swego przyjaciela. Odetchnął z ulgą, kiedy Bob wrócił na plan.

Pary zaczęły tańczyć na parkiecie w stylizowane kwiaty.

Podczas przygotowań do następnej sekwencji, która miała się toczyć w przepysznej bibliotece o ścianach zasłoniętych tysiącami wspaniale oprawnych książek, Eddie Tuchman z gazetą w ręku niespiesznie podszedł do reżysera.

– Nie lubię być zwiastunem złych wiadomości – rzekł zmartwiony. – Ale życie zmusza nas niekiedy do wypełniania przykrych misji.

Podał O'Neillowi dziennik. Kiedy pochylił się, aby wskazać reżyserowi wzmiankę o śmierci Robby'ego, prawie całkiem łyśa czaszka zalśniła w blasku reflektora.

O'Neill wziął gazetę i przeczytał wskazaną notatkę. Ani jeden mięsień nie drgnął w jego twarzy. Oczy jednak przyćmiły się łzami. Nie skomentował wiadomości, zwracając Tuchmanowi gazetę.

– Moje kondolencje, Peter! – powiedział niskim głosem asystent reżysera. – Robby był dzielnym chłopakiem.

– Dziękuję, Eddie – odparł O'Neill nie okazując swoich uczuć. Dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo kochał syna. Czuł się

winnym jego śmierci. Napięte stosunki między rodzicami zawsze ciążyły na psychice dzieci. Shirley lepiej znosiła naelektryzowaną atmosferę domową. Charakter jej był bardziej odporny niż Robby'ego. Mimo że był chłopcem, wrodzona wrażliwość wyznaczała go na potencjalną ofiarę. Śmierć Herba i proces wszczęty przez tę podłą kobietę głęboko go dotknęły. Narkotyzował się, żeby zapomnieć o swoich niepokojach, o swojej słabości. O'Neill żałował poniewczasie, że nie zajmował się synem, że go porzucił, aby poświęcić się swemu zawodowi, żeby zagłuszyć własny strach. Nie był zresztą pierwszym ojcem w świecie filmowym, który tracił syna w tak okropnych okolicznościach. Ale to go nie pocieszało. Mimo woli poświęcił Robby'ego i teraz ponosił konsekwencje. Przerwie pracę nad filmem tylko na pogrzeb syna.

Wkrótce zresztą się spotkają. Myślał o majątku, jaki zostawi Annie i Shirley. Pierwsza roztrwoni pieniądze na utrzymanków, druga znajdzie męża, który afiszując się z miłością do niej, będzie także na jej utrzymaniu. Nigdy nie umiała znaleźć kochanka godnego siebie. I wszystko przeminie z wiatrem... A później? Kiedy skończy się jego własna egzystencja, nic go już nie będzie obchodzić.

Wezwał sekretarkę i wysłał ją do Los Angeles, aby zajęła się pogrzebem. Gdy wszystko będzie przygotowane, przyjedzie w ślad za nią. Nie zostanie tam dłużej niż będą tego wymagały ceremonie pogrzebowe. Wieczorem odleci do Nowego Jorku.

Wrócił do kręcenia filmu. Stłumił swe uczucia. Mimo bólu, który odczuwał, kierował aktorami z narzuconym sobie spokojem.

Wiść o śmierci Robby'ego rozeszła się szybko. Wszyscy dokładniej niż zwykle wykonywali rozkazy reżysera: w ten sposób okazywali szacunek dla człowieka, który postępował tak, jak mu nakazywał obowiązek.

Sue ze zdumieniem i niepokojem przyjęła wiadomość o śmierci Robby'ego. Pogłoski rozpowszechniane przez Shirley i groźby Isabelle z pewnością skonkretyzują się w najbliższej przyszłości. Policja wezwie ją na przesłuchanie. Pocieszające było jedynie to, że Sue znajdowała się w Los Angeles, kiedy chłopcu przydarzyło się nieszczęście. Nikt nie mógłby jej przypisać bezpośredniego udziału w tej sprawie. Ale nazwisko jej na pewno się pojawi. Nie uniknie szkalujących ją komentarzy. Może to zachwiać jej karierę. Z bijącym sercem czekała na rozwój wypadków.

* * *

Tego samego dnia Bryner przybył do Nowego Jorku. Nie udał się na miejsce kręcenia filmu. Tam, w swoim żywiole, O'Neill traktowałby go jak

równego sobie i kazałby mu wyczekiwać, aż skończą się przewidziane na ten dzień zajęcia.

Postanowił rozgościć się w swym hotelowym apartamencie i wezwać reżysera oraz scenarzystę, którzy popełnili ciężkie wykroczenie. Przyjmie ich siedząc za biurkiem i potraktuje odpowiednio.

O'Neill został poinformowany przez recepcjonistę hotelu, że mister George Bryner przybył z Los Angeles i chciałby z nim natychmiast rozmawiać. Powinien stawić się w towarzystwie mister Davida Sellersa.

Peter spojrzął na zegarek i odpowiedział:

– Jest siedemnasta. Nie mogę przerwać zdjęć, które potrważą jak zwykle do dwudziestej drugiej. Znajduję się obecnie na Long Island. Wziąwszy pod uwagę odległość i ruch uliczny bardzo ożywiony wieczorem, nie będę mógł przybyć do Plazy wcześniej niż o północy, kiedy zjem kolację. Jeśli mister Bryner zechce zjeść ją ze mną, rad będę go spotkać.

– Dobrze, mister O'Neill. Przekażę to panu Brynerowi. Proszę przyjąć nasze kondolencje. Byliśmy wszyscy wstrząśnięci tragiczną śmiercią pańskiego syna.

* **

Ponieważ sceny zaprogramowane na resztę dnia wymagały jedynie obecności starszych aktorów – członków wyższych sfer finansowych, którzy mieli mówić o interesach podczas obiadu – młodzi wykonawcy mogli wrócić do Nowego Jorku przed końcem zdjęć.

Bob wsiadł do swego ferrari, które kazał sobie przysłać pociągiem z Los Angeles, i opuścił Złoty Brzeg, szeroki pas na północy Long Island, usiany wspaniałymi rezydencjami, i skierował się do Manhattanu, podążając drogą nr **25.**

Pędził z taką prędkością, jakby chciał uciec przed własnym przeznaczeniem. Łzy ściekały mu po twarzy, osuszane przez prąd powietrza, nader silny w kabriolecie. Na szczęście nie spotkał motocyklistów z policji drogowej, którzy ruszyliby za nim w pogoń, gdyż znacznie przekraczał dozwoloną prędkość. Wiatr targał jego kędzierzawe włosy, pieścił policzki i chłodził odkrytą pierś. Zapomniał zmienić smoking na skórzane ubranie. Zrzucił więc marynarkę i czarną muszkę, rozpiął koszulę, żeby poczuć na skórze powiew wiatru. Slalom między autami, które wyprzedzał, wywoływał protesty kierowców, którzy dawali wyraz swemu oburzeniu naciskając klaksony. Nie przerażała go perspektywa śmiertelnego wypadku. Jedynie szybkość koła jego nerwy. Konieczność skupienia uwagi na prowadzeniu wozu pozwalała mu zapomnieć o tym, co go czekało. Ogarnął go rodzaj szaleństwa. Czuł się wolny. Mógł pędzić z prędkością przeszło dwustu kilometrów na godzinę, mimo że w miarę jak się zbliżał do Nowego Jorku ruch się nasilał. Mógł wpaść na bariery ochronne i skaptować, aby raz na zawsze skończyć...

Przejeżdżając przez most Queensboro zawieszony na mnóstwie lin stalowych jak na ogromnej pajęczynie, czuł pokusę nagłego skręcenia w prawo, tak by ze swym ferrari znaleźć się w wodach East River. Pomyślał jednak, że najwyżej ześliznąłby się na brzeg balustrady, zbyt solidnej, żeby ją przebić.

Zaparkował samochód na miejscu wolnym – chyba tylko dzięki zrządzeniu Opatrzności – przy 2. Alei. Wszedł do pierwszego napotkanego baru. Niedbałym wyglądem zwrócił uwagę kilku gości, uderzonych jego urodą.

Tom, młody barman, zarażony mikroblem filmu, rozpoznał go i podszedł czym prędzej, aby go obsłużyć, uradowany, że ma przed sobą idola, który z

nowojorskiego błota wzniosł się na firmament filmowych gwiazd. Dlaczegoż by on, pewnego dnia nie powtórzył tego wyczynu? Ameryka była osobliwym światem, w którym wszystkie marzenia mogły się urzeczywistnić, wszystkie możliwości mogły stanąć otworem.

– Co mogę panu podać, mister Flynn? – zapytał, uśmiechając się od ucha do ucha.

Bob nie zauważył, że barman zwrócił się doń po nazwisku.

– Podwójną whisky bez lodu i bez wody sodowej.

– Podam panu coś, co mamy najlepszego.

Odkorkował butelkę Chwas Regal na cześć klienta, który urzeczywistnił najśmielsze marzenia.

Bob wychylił kolejno trzy kieliszki i wyciągnął portfel.

– To poczęstunek naszej firmy, mister Flynn! – oświadczył Tom, ukazując w uśmiechu białe zęby.

Bob spojrzał ze zdziwieniem na piękny wykrój jego czerwonych warg. Wiedział, że barman zapisywał jego konsumpcję na własny rachunek, gdyż właściciel baru był nieobecny.

– Dziękuję panu – odparł z uśmiechem. – Jak pan się nazywa?

– Tom! Tom Stockwell do pańskich usług, mister Flynn!

– A bar?

– „Rafael”, mister Flynn.

Z wyraźną przyjemnością powtarzał znane nazwisko.

– Zajrzę tu jeszcze kiedyś.

– Będzie pan zawsze gościem naszej firmy, mister Flynn! Bob uściśnął mu rękę, czym Tom był doprawdy wzruszony.

Po wyjściu aktora dwie kobiety w ekscentrycznych, bardzo wydekoltowanych sukniach podeszły do kontuaru.

– To był naprawdę Bob Flynn? – zapytała pierwsza.

– We własnej osobie! – odparł z dumą Tom.

– Jest przystojniejszy niż na ekranie! – stwierdziła druga. – Widziałam go nagiego na video. Jest po prostu boski!

– Mam ogromny plakat z Bobem. Wisi w moim pokoju. Patrzę nań przed zaśnięciem – podjęła pierwsza kobieta.

– Jest ubrany czy nagi?

– Masz obsesję na punkcie nagości.

– A cóż w tym złego?

Bob zamknął się w swoim apartamencie i położył na kanapie z rękami założonymi pod głowę. Whisky wypita w barze pobudziła krążenie krwi, rozjaśniła jego myśli. Niestety, nie mógł się upić nawet jeśli wypił dużo alkoholu. Nie używał dotąd narkotyków, lecz teraz poważnie się zastanawiał, czy by nie spróbować. Cóż z tego, że człowiek się od nich uzależnia, że może umrzeć z przedawkowania, jak Robby? Nie ma co się martwić o dzień jutrzejszy! Robby! Zazdrościł mu odpoczynku.

Kilka osób zapukało do drzwi, lecz nie odpowiedział nikomu. Nikogo nie chciał widzieć. Nikogo!

Później poprosi, aby mu podano obiad do pokoju. Obiad zakrapiany szampanem. Obficie zakrapiany! Będzie szastał forszą jak szalony...

Zatelefonował do swego agenta w Los Angeles i zażądał lamborghini, o którym marzył.

– Wkrótce je pan dostanie. Zapewne w przyszłym tygodniu.

– Tutaj, w Nowym Jorku?

- Tak jak mi pan polecił... Czy mogę powiedzieć parę słów?
 - Proszę bardzo!
 - Wyrzuca pan pieniądze przez okno.
 - Niech mi pan nie prawi morałów, Bruce. Na nic się nie zdadzą.
 - Wydaje pan ostatnie rezerwy.
 - Moje gaże zapełnią pustkę.
 - Ma pan już ferrari, aston-martin, lagondę, dwa rolsy, z których jeden otwarty, de tomasso i duesberga. Czy to panu nie wystarcza?
 - Nie!
 - Wspominałem panu o tym biednym Fetchitcie, który miał w garażu dziesiątkę rollsów i na starość umarł w barłogu.
 - Mój kamerdyner opowiadał mi o nim. Gotów jestem zaryzykować. Agent westchnął.
 - Jak pan sobie życzy.
- Bob odłożył słuchawkę. Tylko raz prowadził swego aston martina. Lagondą pojechał kiedyś na garden party, a de tomasso wziął na jakiś mecz polo. Limuzyną rolls pojechał kiedyś na premierę...
- Ktoś znowu zastukał do drzwi. Bob usłyszał miły, kojący głos Raya.
- Otwórz, Bob. Wiem, że tam jesteś. Dlaczego ukrywasz się przede mną?
- „Dlaczego?” – pomyślał Bob. Ray miał rację, jak zwykle. Nie należało odpychać jedyne go przyjaciela. Zszedł z kanapy, odemknął drzwi i zatrzasnął je za Rayem.
- Kieliszek whisky? Albo Martini? Jeśli nie chcesz przypadkiem wypić szampana zamiast aperitif.
 - Posłuchaj, Bob! Nie przyszedłem do ciebie, żeby cokolwiek wypić i pogadać o byle czym.

Usiadł w fotelu. Powiedział z westchnieniem:

– Im więcej myślę o tobie, tym trudniej mi ocenić, tym sąd mój staje się mniej pewny...

– Czyżbym był dla ciebie tajemnicą? – zażartował Bob.

– Dzisiaj, kiedy widziałem, jak zrobiło ci się słabo podczas kręcenia filmu, ogarnęła mnie panika.

– Po cóż tak się martwić?

– Po co? Dlatego, że jestem do ciebie przywiązany wprost bezsensownie, że nie mogę się obronić przed tym uczuciem.

Bob zbliżył się do niego i ujął jego rękę.

– Kocham cię, Ray. I ty mnie także kochasz. Ray wstał i spojrzał mu w oczy ze wzruszeniem.

– Nie wstydzę się tego, że cię kocham. Nie uważam się za pedała, wzgardzonego przez społeczeństwo, ponieważ darzę cię takim uczuciem. Zresztą nic bym sobie nie robił, nawet gdyby ludzie traktowali mnie jak zadzumionego... Podobnie jak ty, sypiam z kobietami. Ale nie zaspokaja to w pełni moich zmysłów...

Głos jego zabrzmiał jeszcze tkliwiej.

– Nietzsche zapewniał, że prawdziwa przyjaźń polega nie tyle na dzieleniu cierpień z tymi, których się kocha, ile na dzieleniu ich radości. Jestem wręcz przeciwnego zdania. Prawdziwa przyjaźń polega w mniejszym stopniu na dzieleniu radości tego, kogo się kocha, bardziej na dzieleniu z nim jego cierpień... A czuję, że ty cierpisz...

Łzy zalśniły na rzesach Boba.

– Odkąd cię poznałem, Ray, zrozumiałem, że przyjaźń, jaką po raz pierwszy odkryłem dzięki tobie, rodzi i żywi miłość... Powstrzymałem się

wszystkimi siłami od wyrażenia moich uczuć dla ciebie. Chciałem cię oszczędzić, ochronić od złego... Muszę ci coś wyznać, Ray, choć wiele mnie to kosztuje... bardzo wiele...

Oswobodził z uścisku dłonie przyjaciela i podszedł do okna, wychodzącego na prześwitujące w mroku światła Central Parku.

– Jestem seropozytywny, Ray! Nastąpiła głęboka cisza.

Bob czekał, by jego przyjaciel po cichu się oddalił. Ale Ray ani drgnął.

– Wiedziałem o tym! Intuicyjnie... Bob obrócił się ku niemu.

– I nie bałeś się? – krzyknął zrozpaczony. – Nie unikasz mnie? Ray pokręcił głową.

– Nie! Ja się nie boję.

– Ale musisz rozumieć, że choroba powoli niszczy mój organizm. Że wkrótce umrę. Że mógłbym cię zarazić...

Ray powtórzył tym samym łagodnym, lecz stanowczym tonem:

– Nie boję się! Zostanę przy tobie!

– Jedynie O'Neill zna moją tajemnicę.

– Tym bardziej go teraz szanuję. Bob wyraził gestem swą bezradność.

– Nie można walczyć z tą chorobą... I po chwili dodał:

– Żeby zachować dobrą opinię sypiałem z kilkoma dziewczynami. Ale zachowując wszelkie możliwe ostrożności. Wiesz przecież... są pewne sposoby... Tylko jedna kobieta mnie... zgwałciła... zanim mogłem jej zapewnić bezkarność... To wydaje się śmieszne, ale jest szczerą prawdą...

– Anna O'Neill?

– Tak. I robię sobie wyrzuty...

– Dlaczego? „Sam chciałeś, Grzegorzu Dyndało...”

– Nie rozumiem.

– Zacytowałem replikę ze sławnej komedii. Bob rzekł w zamyśleniu:

– Dziewczyny były urażone, że nie chciałem ich całować w usta.

Wymawiały mi, że używam prezerwatyw, bo psuje im to przyjemność. .. Mówiły mi, że je obrażam, podejrzewam o chorobę weneryczną. .. Mimo to powracały... Coraz więcej ich było... Moja odmowa, nawet czasem obraźliwe dla nich zachowanie jakoś ich nie zrażało...

Padł na fotel, jakby wyzuty z sił.

– Przed poznaniem ciebie, Ray, strach i cierpienie były jedynymi moimi przyjaciółmi... Wkrótce umrę... Dzisiejsza niedyspozycja jest tylko jednym z wielu sygnałów, zapowiadających koniec... Jeszcze dzielnie się trzymam, ale nie ma dla mnie ratunku.

– Wola walki z chorobą, wola jej przezwyciężenia może poprawić twój stan. Czytałem artykuł o jej. dobroczynnej roli w walce z AIDS.

Bob uśmiechnął się gorzko.

– Twoje słowa dobrze mi robią. To tak, jakbym znajdował się na tonącym statku i nagle oparł się o koło ratunkowe. Tym kołem jest twoja obecność. Samotność stała się dla mnie nieznośna... Ty mi dodajesz otuchy... Pomagasz mi... Jesteś promieniem słońca w otaczających mnie ciemnościach... Jesteś...

Zaszlochał.

– Jesteś... moim słońcem, Ray...

– Jestem po prostu twoim przyjacielem. Przyjacielem, który cię kocha. Odpędźmy smutek, Bob! Odpędźmy ciemności!

Ray podszedł do barku stojącego w kącie salonu. Odkorkował wyjętą z lodówki butelkę szampana. Napełnił kieliszki.

– Za naszą przyjaźń, Bob!

– Szkoda, że to szczęście będzie krótkie... Spełnili toast.

– Po mojej śmierci moje wozy i wszystko, co mam wartościowego, przypadnie tobie – powiedział Bob.

– Nie potrzebuję twoich wozów! Potrzebuję ciebie! Co byś powiedział, żebyśmy zjedli razem obiad? Zarezerwowałem już dla nas stół.

Było już dość późno, kiedy zeszli do restauracji. Stół ich był tak umieszczony, że mogli wszystkich widzieć i sami być widziani. W przepelnionej sali wiele spojrzeń skupiło się na nich.

– Nasze tete a tete wywoła wiele komentarzy – rzekł Bob.

– Nie obchodzą mnie ci ludzie – odparł Ray z prostotą. – To tak, jakbym był z tobą na bezkresnej pustyni.

Isabelle i Jeff, niepoprawny Casanova, zatrzymali się przy ich stole. Ray nie poprosił, aby się przysiedli.

– Dziś wieczór – powiedziała Isabelle z czarującym uśmiechem – wydaję przyjęcie dla kilkorga przyjaciół. Nie chcielibyście dołączyć?

Bob się wymówił. Czuł się zmęczony, zapewne na skutek ранней niedyspozycji. Ray, bardziej bezpośredni, oświadczył, że nudzą go towarzyskie spotkania.

– Wolę zajmującą lekturę. Pożeram teraz powieść, która zdobyła nagrodę Goncourtów. Autor: Dominique Fernandez. Fajny typ.

Mówił językiem nieco odbiegającym od poprawności, bo mówiono nim w otoczeniu Isabelle i jej młodych przyjaciół.

– Lepiej byś uciął sobie drzemkę! „Filmy francuskie i francuska literatura są niestrawne dla umysłowości amerykańskiej”. Cytat z O'Neill, który natrząsa się ze wszystkich nagród Goncourtów.

Ray uśmiechnął się ironicznie.

– Mimo to zaangażował aktorkę francuską. Co więcej, sporo jej zapłacił.

– Giselle? Zapewne dobrze się spisuje w łóżku – powiedziała Isabelle z pogardą.

– To także sztuka – dorzucił Jeff.

Odchodząc Isabelle syknęła:

– Bawcie się dobrze we dwójkę, chłopaki!

Wybuchnęła śmiechem. Pociągnęła Jeffa, nieco speszzonego jej życzeniem; usiedli przy stoliku zarezerwowanym obok orkiestry.

– Żmija! – stwierdził Bob.

– Po prostu zakochała się w tobie. Chciałaby cię wodzić za nos. Po obiedzie zakropionym tylko szampanem Bob i Ray w dobrych nastrojach wrócili do swoich apartamentów. Po raz pierwszy odkąd Bob poznał wstrząsający wynik testu, śpiewał pod natryskiem.

Po kąpieli włożył szlafrok i położył się na łóżku. Wpatrzony w złoczone sztukaterie sufitu wybiegał myślami do Raya. Z rozmarzenia wyrwał go szmer otwieranych drzwi. Na progu stał Ray w niebieskim jedwabnym szlafroku, harmonizującym z jego błękitnymi oczami i płową czupryną.

– Chciałbym cię raz jeszcze zobaczyć przed spaniem – rzekł cicho. – Przekonać się, czy w wszystko w porządku.

– W najlepszym porządku dzięki tobie.

Długo patrzyli sobie w oczy. Bob pociągał go jak kochanek.

– Mogę położyć się przy tobie?

– Proszę cię, Ray.

Łóżko było tak szerokie, że cztery osoby mogły na nim wygodnie odpocząć.

Ray położył się na wznak obok Boba. Podobnie jak on przyglądał się złożonym arabeskom na suficie, jakby widział w nim coś fascynującego. Wyciągnął rękę i przykrył nią dłoń przyjaciela, który poczuł, że dreszcz przenika jego ciało.

Leżeli tak nieruchomi jak kamienni rycerze śpiący wieczystym snem na sarkofagach.

O'Neill i David Sellers weszli do apartamentu Brynera, który oczekiwał ich ponury i groźny. Nie przyjął zaproszenia na wspólny obiad wymawiając się niedyspozycją. Siedząc za stołem w stylu Ludwika XVI służącym mu teraz za biurko, zachowywał milczenie. Udał, że nie wie o śmierci Robby'ego, aby nie być zmuszonym do złożenia kondolencji, gdyż zakłóciłoby to atmosferę napastliwości, jaką pragnął stworzyć.

Wskazał im fotele z drugiej strony stołu.

Bez żadnego wstępu przystąpił do sprawy. Oświadczył im, że odrzucił zmieniony scenariusz, dziwiąc się, jak mogli ułożyć takie głupstwa. Mafia nie istnieje. Giuliani zniszczył organizację. Niedobitki to tałatajstwo, nie zasługujące na zainteresowanie. „Jeśli chcecie zrobić film o tych pospolitych przestępcach, zaproponujcie nowy scenariusz. Gotów jestem go przeczytać, aczkolwiek wątpię, że mógłby przykuć uwagę szerokiej publiczności. Ale nie ma mowy, żeby zmienić obecny scenariusz”.

O'Neill podjął kontratak.

– Utrzymujesz więc, George, wbrew oczywistości, że wielcy handlarze narkotyków, którzy utworzyli ośrodki działania w Kolumbii, Venezueli, w Panamie, w Meksyku, a nawet tutaj, w Stanach Zjednoczonych, nie istnieją? Że ci faceci nie piorą setek milionów, ba, miliardów dolarów pochodzących z handlu narkotykami? Śmiesz twierdzić, że znikły mózgi, decydujące o

wszystkim? Że nie manipulują one armią wykonawców, którzy wykonują ich rozkazy? Armią dystrybutorów, odsprzedawców i detalistów, którzy handlują narkotykami? Którzy zatruwają młodzież? Którzy sieją śmierć wśród naszych dzieci?

Bryner uznał, że należało zmienić taktykę. Wspomnieć o śmierci Robby'ego. Nie było to lojalne posunięcie, lecz Bryner nie miał skrupułów. Westchnął wyrozumiale.

– Przedwczesna śmierć twego syna, nad którą boleję, pogłębia jeszcze twoje błędne opinie. Musisz zrozumieć, że mafia amerykańska już nie istnieje. Stany Zjednoczone są może świetnym rynkiem dla obcych handlarzy. Co roku kręci się dziesiątki filmów i seriali o narkotykach. Co nowego można jeszcze dodać? Jeśli chcesz splajtować pokazując publiczności ograny temat, możesz to zrobić, ale nie za pieniądze naszej wytwórni. Żałuję, Peter, ale moja decyzja jest nieodwołalna. Nic nie może jej zmienić.

O'Neill wstał, a za jego przykładem podniósł się z fotela i Sellers.

– Oświadczam, George, że nie będę się liczył z twoim zdaniem. Jeśli każeś przerwać zdjęcia, zrobisz to na własne ryzyko i odpowiedzialność.

– Biorę to na siebie. Panie Sellers – zwrócił się do scenarzysty – zwalniam pana. Pańska kariera u nas jest skończona. I wątpię, czy inne wytwórnie zechcą w przyszłości skorzystać z pańskich usług. Zadbam o to, żeby je powiadomić.

– A więc mafia działa pod wysokim ciśnieniem – wtrącił ironicznie O'Neill. – Dzienniki zostaną o tym powiadomione. Przypuszczam, że kroki podjęte przeciw Sellersowi dotyczą również mojej osoby.

– W twojej sprawie wypowie się Rada administracyjna.

– Urzędnicy tak samo niekompetentni jak ty.

Bryner zzieleniał. Wstał wściekły.

– Przekonasz się, że nie żartuję.

O'Neill wybuchnął śmiechem.

– Wesolość jest nie na miejscu w dzień po śmierci syna. Wiem o tym. Ale twoja pyszałkowatość mnie rozśmiesza. Powiedz swoim przełożonym, że nie wykonam twoich rozkazów. Jeśli chcesz wojny, to ją będziesz miał... Hollywood ma czuły słuch, drogi George. Twój protektor nie będzie zbyt zadowolony, jeśli dojdzie do skandalu. Wyobraź sobie, że wiem, jak się nazywa. Chodźmy, Dawidzie! Pozwólmy Brynerowi przeżuć gniew w samotności. Może jutro rano odzyska pogodę ducha.

Nie żegnając się z prezesem, O'Neill wyszedł, a w ślad za nim pobladły ze strachu Sellers. Kiedy znaleźli się na korytarzu scenarzysta powiedział drżącym głosem:

– Miałem wrażenie, że wszyscy mafiosi ze Stanów Zjednoczonych przemawiali ustami Brynera. Pamięta pan scenę z „Ojca chrzestnego”, w której prezes znajduje w łóżku głowę swego ulubionego konia?

– Genialny pomysł! – stwierdził O'Neill tonem zawodowca.

– Rzeczywistość czy wyobraźnia?

– Pół na pół. Idź teraz na obiad.

– Po otrzymaniu wymówienia straciłem apetyt.

– W najgorszym razie możesz pracować dla wytwórni, którą założę.

– Kto ją sfinansuje?

– Na razie to moja rzecz... Do jutra na planie!

Przed wyjazdem do Los Angeles na pogrzeb syna, O'Neill odbył krótkie spotkanie z Leslie Carterem. Prezes konglomeratu był jak zwykle spokojny i

opanowany, lecz tym razem nie wyczuwało się w nim ukrytego podniecenia wywołanego zagrożeniem.

Po złożeniu kondolencji O'Neillowi z powodu śmierci jego syna, Carter zrelacjonował mu dość burzliwą rozmowę z Brynerem, który mimo kontaktów z Lombardem ostatecznie zgodził się na zmiany poczynione w scenariuszu.

– Można by wytłumaczyć to ustępstwo stanowiskiem samego Lombarda, który zapewne nie chce zaostrzać sytuacji ani mobilizować władz federalnych przeciwko sobie i mafii. Powierzyłem nasze interesy spółce adwokackiej „Sears, Scovil i Locke”, wyspecjalizowanej w transakcjach akcjami. Od sześciu lat płacę im słone honoraria w przewidywaniu ewentualnej rozgrywki, gdyż wolę ich mieć po swojej stronie... Dziś rano odwiedził mnie właśnie John Locke, „Zbadaliśmy akta konglomeratu – oświadczył – wasza sytuacja nie jest wcale zła. Przede wszystkim Lombardo zdołał zjednać sobie kilku dyrektorów z waszej rady administracyjnej. Posiada spory, nawet całkiem spory pakiet waszych akcji. Ale zgodnie z waszym statutem wybory odbędą się dopiero w przyszłym roku. A więc tymczasem ma pan wolną rękę, gdyż na razie dysponuje pan większością. Trzydzieści jeden głosów na pięciu zwolenników Lombarda. Istnieje kilka sposobów uniemożliwienia temu mafioso nabycie dalszych akcji nawet przez podstawionych ludzi. Pomówimy o tym we właściwym czasie”. I dodał jeszcze: „Wiem, że trudno jest walczyć z miliardami dolarów, które wielcy handlarze narkotyków rzucają na rynek. Stopniowo połkną oni multinarodówki, które nie potrafią się bronić przed lawiną brudnych pieniędzy. Na szczęście, pan nie jest jeszcze w takiej sytuacji. I nigdy pan nie będzie. Nasza firma postara się, żeby zamknąć dziób temu panu Lombardo”.

Carter powiedział to z pewną satysfakcją.

– Ma pan we mnie oparcie, Peter. Niech pan draży głębiej. Mogę poczęstować pana kieliszkiem szampana dla uczczenia tego zwycięstwa?

– Wygrał pan bitwę, Leslie. Ale wojna jeszcze nie skończona.

– Zgoda! Lecz w ciągu mej kariery nigdy nie poniosłem klęski. Więc kieliszek szampana?

– Dzięki. Mój samolot odlatuje za niespełna dwie godziny.

– Dobrze! Zobaczmy się po pańskim powrocie... Przed wyjazdem dam panu jedną radę. Niech pan będzie ostrożny. Możliwe, że jakiś płatny morderca weźmie pana na cel. Wynająłem dwóch goryli, którzy będą panu wszędzie towarzyszyć. Jak cienie.

– Myśli pan, że tak mi zależy na życiu? – uśmiechnął się drwiąco O'Neill.

– Jeśli zechcą mnie sprzątnąć, goryle nie zdołają temu zapobiec. Ale dam sobie radę sam. Do widzenia, Leslie, i raz jeszcze dzięki za dobre intencje.

Uradowany przywróceniem go do pracy Sellers uczcił je w barze hotelowym w towarzystwie Jeffa, Raya i Boba. Podniecony kilkoma koktajlami opowiedział im dokładnie burzliwą rozmowę między O'Neillem i Brynerem, nie wymieniając nazwiska Lombarda.

Dziennikarz, który przypadkiem gasił pragnienie w pobliżu Sellersa, nie uрониł ani słówka. Nie posiadał się z radości, gdyż zdobył wiadomość, która mogła wstrząsnąć całym Hollywoodem. Wspaniały skandal rysował się na horyzoncie.

Podczas gdy Sellers z werwą opowiadał dalej, Frank Spade, kierownik zdjęć, wszedł przygnębiony z gazetą w ręku. Sellers zaprosił go do towarzystwa. Skinął na barmana.

– Mocny koktajl dla mister Spade'a!

Spade wdrapał się na wysoki taboret.

– Dzięki, Dawidzie! Doprawdy, muszę się napić. Mój stary kumpel, Darrel Brighton, popełnił samobójstwo.

Rzucił dziennik na kontuar.

– Strzelił sobie w łeb po śmierci swojej eks-małżonki, którą wykończył rak. Brighton to był wielki aktor!

– Znałem go dobrze – stwierdził Sellers. – Grał w dwóch filmach, do których zrobiłem scenariusz. Nie wiem, czym wytłumaczyć jego samobójstwo. Rozwiódł się przecież z Rose i żył z inną kobietą.

– Może jego miłość do Rose nie wygasła mimo rozwodu. Darrela zniszczyła jego wrażliwość.

– Był wykończony – wtrącił Jeff. – Nie mógł dostać engagement.

– Publiczność jest kapryśna – westchnął Spade. – A urzędnicy wytwórni są bezwzględni. Nawet Peter nie chciał mu dać roli... Biedny Darrel...

IX

Gideon Spack miotał się w Los Angeles jak straceniec. Nie chciał uznać, że śmierć Robby'ego była przypadkowa. Był przekonany, iż ktoś siłą zaaplikował mu zwiększoną dawkę heroiny, że była to zbrodnia. Prasa, opinia publiczna, gubernator stanu – wszyscy się niecierpliwi. Po nieudanym zamachu na ojca zbrodniarze uwzięli się na jego syna. Gideon zażądał ekspertyzy, a niezadowolony z jej wyniku kazał przeprowadzić ponowne badania.

Wraz z porucznikiem Hatcherem uczestniczył w pogrzebie Robby'ego. Oprócz Anny, Petera i Shirley, którzy unikali się nawzajem, przyszło wielu aktorów i filmowców, pojawił się też tłum dziennikarzy, reporterów TV oraz nieznanym, powodowanych chorobliwą ciekawością. Agenci policji w cywilnych ubraniach rozsiani wśród żałobników szukali wzrokiem podejrzanych, którzy mogli byli wcisnąć się między setki ludzi zgromadzonych dookoła grobowca O'Neillów. Spojrzenia Gideona prześlizgiwały się również po twarzach i ciałach młodych aktorek. Był coraz bardziej podekscytowany ich zmysłowością. Fala lubieżności uderzała mu do głowy, rozpląmniała zmysły. Sprawa O'Neilla dała mu sposobność bywania w tym szczególnym świecie, gdzie marzenia rozbudzone przez filmy, a zwłaszcza ich bohaterki, stawały się namacalną rzeczywistością.

Ilekczo przeszłuchiwał je dla potrzeb śledztwa, wzrok jego błędził ukradkiem po ich krągłych, jędrnych piersiach i doszukiwał się seksu pod obcisłymi sukienkami.

Zawział się, aby iść tropem, jaki ukazał mu się po śmierci chłopaka. Miał teraz do rozwikłania tajemnicę dwóch zbrodni: jedną ofiarą był kochanek Anny

O'Neill, który spłonął w szczątkach ferrari znalezionej na dnie wąwozu, drugą Robby O'Neill. Oliwy do ognia dołączyły rewelacje, jakie Sellers poczynił swoim przyjacielom. Oscar Weinstein nie odrzucił jego hipotez.

– Mnie również intryguje śmierć młodego O'Neilla. Związki między Brynerem a Lombardem są co najmniej podejrzane. Ale muszę mieć dowody, Gideonie! Przeszukaj studio! Daję ci *carte blanche*! Zmobilizuj policję, która moim zdaniem, jest zbyt tolerancyjna. Umorzenie tej sprawy wzbudziłoby oburzenie opinii społecznej.

– Panie prokuratorze, wkrótce będzie miał pan upragnione dowody.

– Mam powyżej uszu tych obietnic, z których nic nie wynika. Zrób wreszcie coś! I to szybko!

Gideon wyszedł z gabinetu szefa unosząc pod pachą grube akta sprawy. Udał się do swego pokoju, który dzielił z trzema pomocnikami prokuratora. Jednym z nich był Will Prentice, facet zniechęcony do wszystkiego i zawsze gotów się wycofać, wielki amator piwa, czekający na emeryturę. Drugim Sam Fuller, typ młodego *macho*, który dbał o formę uczęszczając do klubów *body building*. Trzecią osobą była nowa pracownica, Sally Mills, adorowana przez wszystkich kolegów z Departamentu Zabójstw. Gideon nie stanowił wyjątku pod tym względem, aczkolwiek był żonaty i miał dwoje dzieci. Ale serce jego zaplątało się w sieci „XXI Century” i żywych wrózek tej wytwórni. Niezależnie od potrzeb śledztwa korzystał z każdego pretekstu, żeby zapuścić się w labirynt atelier. Towarzyszył policjantom, którzy przeprowadzali rewizje, i przesiadywał w garderobach młodych, bosko pięknych aktorek. Pożerał wzrokiem wspaniałe, olśniewające kobiety i jego męskość uśpiona u boku małżonki, raptem się obudziła, krew napływała mu do głowy, czuł, że seks jego twardnieje, a było to uczucie, o jakim prawie zapomniał.

U siebie w domu bywał roztargniony, rozlazły, poruszał się ospale. Prosił żonę, żeby mu nie przeszkadzała, ilekroć zamykał się w gabinecie, gdyż musi studiować akta ważnych spraw.

Sarah miała pełne kształty Wenus z Willensdorfu. Ogromne, ciężkie piersi zwisające jak dwa worki zboża, wystający brzuch, który zniekształcał wszystkie suknie, tęgie biodra trzęsące się przy każdym ruchu niby galareta, i jasne włosy, którym pozwalała spadać na ramiona jak za panieńskich czasów, mając nadzieję, że dzięki temu będzie wyglądać młodziej. Gideon żywił dla niej pewne przywiązanie, była bowiem matką jego dzieci. Czasami przypominał sobie, jak wyglądała za młodu, kiedy się poznali. Rodzice ich prędko doprowadzili do ślubu, jak to jest w zwyczaju u Żydów. I aczkolwiek teraz łączyła ich jeszcze serdeczna zażyłość, miłość dawno się ulotniła. Ilekroć Gideon porównywał żonę ze wspaniałymi aktorkami, ogarniało go obrzydzenie.

Zmartwiona postępowaniem męża Sarah poszła wyzalić się matce. Powiedziała, jak chłodno traktuje ją małżonek, jak bardzo zmienił się od czasu śledztwa w sprawie O'Neilla.

– Oczarowały go te dziwki – przepraszam cię za słowo. Któregoś dnia, kiedy ścierałam kurz z biurka, przypadkiem zrzuciłam plik akt. Wyobraź sobie moje zdziwienie, gdy pod spodem znalazłam pisma porno. Jeszcze teraz się czerwienię na myśl o tych świńskich fotosach. Obawiam się, żeby nie wpadły kiedyś w ręce naszych chłopców.

Zaniosła się szlochem.

– Od lat już nie sypia ze mną. Dzielimy wspólne łóżko, ale jesteśmy sobie obcy. Odsuwa się ode mnie, jakbym była bryłą lodu. Pewnego wieczora weszłam do łazienki bez pukania. Ilekroć bierze natrysk, zamyka się na klucz.

Tym razem zapomniał go przekreślić. Zobaczyłam go nagiego. On się... nie powiem, co robił, wstydzę się po prostu... przed plakatem nagiej aktorki, zawieszonym na ścianie. Na mój widok wpadł we wściekłość. Nazwał mnie szpiegiem, brudasem... Uciekłam z płaczem. Myślę o rozwodzie.

Stara kobieta pogłaskała jej ufarbowane włosy.

–. Moja mała Saro, w naszej rodzinie nikt się nie rozwodził. Uzbrój się w cierpliwość. Pewnego dnia wróci z pochyloną głową i poprosi cię o przebaczenie. Podobnie jak kobiety, niektórzy mężczyźni mają zaburzenia menopauzy... Robią szaleństwa... później z wyrzutami sumienia wracają na łono rodziny.

– Za późno, mamó. Budzę w nim wstręt. Jestem taka gruba. Przestrzegam surowej diety, żeby schudnąć. Prawie nic nie jem. Używam namiastki cukru. Wszystko na nic. Młode i piękne dziewczęta zawróciły mu w głowie.

– Masz nad nimi wielką przewagę, Sarah. Jesteś jego małżonką... Łączy was dwoje dzieci. Myślisz, że te młode i piękne dziewczyny zostaną oczarowane jego wyglądem? Podobny jest do ropuchy!

– Och, mamó, jak możesz tak mówić! Stara kobieta westchnęła.

– Kochasz go jeszcze. Dla ciebie jest przystojny. Przystojny i pociągający. Słuchaj, Sarah! Twój mąż wróci do owczarni. Wróci, Sarah!

Gideon budził antypatię Sama, który wyśmiewał się z jego łysiny, z okrągłego brzuszka, z krótkich i krzywych nóg, a wszystko to w obecności Sally, która parskała śmiechem. Gideon chętnie sprawiłby cięgi swemu koledze, lecz ostrożność nakazywała mu zachować spokój. Gdyby doszło do rozróby między nimi, z pewnością ukarano by go na gorze.

Zirytowany kpunami Sama, Prentice powiedział wreszcie:

– Przestań, Sam! Zmień płytę! Nie męczą cię te powtórki? Gideon cierpiał na kompleks niższości wobec okrutnego kolegi,

który górował nad nim swą młodością, ładnym wyglądem i agresywną męskością. Mimo wszystko miał nadzieję dorównać mu w miłosnych wyczynach, o których Sam opowiadał do znudzenia. Gideon przeczytał sławną książkę Kraffta Ebinga pod tytułem „Psychopatia seksualna” i kilka tomów Havelocka Ellisa, którzy twierdzili, że najdziwniejsze perwersje można spotkać na każdym kroku. Czarujące kobiety, dziewczyny o anielskich twarzach, zakochują się niekiedy w brzydalach, starcach, mężczyznach o wadach wrodzonych. Nawiedzały go sny na jawie. Jakaż by wzbudził sensację, gdyby przyszedł do biura pod rękę z Fay Dunaway, Meryl Streep albo Jessiką Lange. Pewnego dnia zdarzył się cud.

Will został wezwany przez Weinsteina, Sam reprezentował Ministerstwo na procesie wszczętym przez Stan Kalifornia przeciwko szalonemu mordercy, który zastrzelił siedem osób w centrum handlowym. Zapytany o powód masakry poprzestał na wzruszeniu ramion. Obrona powoływała się na demencję, lecz podczas śledztwa w tej sprawie Sam znalazł świadka, który twierdził, że wśród ofiar znajdowała się również dawna kochanka mordercy. Tak więc zaburzenia psychiczne były jedynie wykrętem, który Sam chciał zdemaskować. Z aktami pod pachą skierował się tryumfalnie do wyjścia. Przed zamknięciem drzwi za sobą wlepił oczy w Sally.

– Nikt mi się nie oprze! Ani przekłęci zbrodniarze, ani pokątni adwokaci, ani najbardziej odporne kobiety!

Potem zwrócił się do Gideona:

– Pilnuj Sally do mego powrotu! I bądź grzeczny, bo się pogniewam!

Po jego wyjściu młoda kobieta zwróciła się do Spacka:

– Czemu pozwalasz Samowi tak ciebie poniżać? Powinieneś okazać więcej godności.

Macierzyński instynkt Sally obudził się na widok pokornej miny Gideona.

– Dlaczego znosisz głupie żarty Sama?

Popatrzyła nań ze współczuciem.

– Mój mały Gideonie!

Oczy jego zrobiły się okrągłe ze zdziwienia. Sally podeszła do niego i pogłaskała go po twarzy zaczerwienionej ze wzruszenia.

Jeszcze pod wrażeniem tej nieoczekiwanej sceny zdobył się na odwagę i ucałował rękę Sally, która wróciła potem jak gdyby nic do swojego biurka i zagłębiła się w czytaniu akt sprawy.

Olśniony, z zapartym tchem, obrzucał ją od czasu do czasu ukradkowym spojrzeniem ponad szklami okularów. Sally Mills nie mogła wytrzymać porównania z aktorkami, w których potajemnie się kochał, lecz mimo wszystko była przystojną dziewczyną. Czyżby się w nim zadurzyła? Krafft Ebing i Havelock Ellis nie pletli przecież bzdur.

Sam wpadł do pokoju w stanie euforii.

– Mój zabójca został skazany przez sędziów na karę główną! – zawołał nie posiadając się z dumy i radości. – Dosłownie wgniotłem w ziemię obrońców, dwóch specjalistów od obchodzenia prawa i okpiwania sędziów. Wyeliminowałem z walki tych gówniarzy po sensacyjnym meczu boksu prawniczego.

Mrugnął złośliwie na Gideona.

– A ty wciąż jeszcze drepczesz przy tej pogrzebowej sprawie O'Neilla? Nie chcę cię zniechęcać, ale mam wrażenie, że mimo woli przyczyniłeś się do

narobienia tego bałaganu – dodał drwiąco. – Jeśli nie czujesz się na siłach, przekaż mi tę sprawę. Chcesz, żeby pomówić o tym z Weinsteinem?

Gideon nagle wybuchnął gniewem.

– Odpierdol się, gówniarzu! Ciesz się swoim sukcesem i nie nudź mnie więcej!

Sam z wyższością zmierzył go wzrokiem od stóp do głów.

– A co mi zrobisz, pocziwino? Może mnie zdzielisz pięścią? Nie radzę ci, kochasiu!

Gideon wziął nożyczki, które mu służyły do wycinania artykułów z prasy, zawierających wzmiankę o nim, otworzył je, wstał i wymierzył w brzuch Sama.

– Wpakuję ci je w twój obrzydły kałdun, pocziwino, i zafunduję ci bezpowrotny bilet na cmentarz przy tej okazji. Rozumiesz, pocziwino?

Łysy, brzuchaty Gideon nabrał godności, co pochlebiło Sally. Po raz pierwszy w życiu dwaj samcy starli się ze sobą na śmierć i życie, walcząc o jej względy. Tak przynajmniej się jej zdawało. Ten wybuch agresji, męskiej zadziorności i to w gmachu sądu był hołdem złożonym jej kobiecości.

Sam zaskoczony wściekłością malującą się na krągłej twarzy Gideona, cofnął się o krok.

– Chciałem ci oddać przysługę. Jeśli wolisz babrać się w tej cholernej sprawie – odparł cofając się przezornie za swoje biurko – to decyzja należy do ciebie.

Gideon się odprężył. Rywal jego spuścił z tonu. Odłożył nożyczki na biurko, siadł i zajął się urzędową korespondencją. Wśród raportów policji znalazł ręcznie napisaną notatkę, która wprowadziła go w dobry humor. Miał dobry dzień.

Porucznik Hatcher informował go, że wpadł na dwa tropy, które mogą daleko zaprowadzić. Znalazł gońca, który dostarczał narkotyków amatorom z „XXI Century”. Od wczoraj poddawał go obróbce i spodziewał się uzyskać wskazówki, dotyczące przyczyny śmierci Robby'ego O'Neilla. Ponadto Shirley O'Neill oświadczyła wielu świadkom, że Sue Brions dostarczała Robby'emu heroiny.

Porucznik Hatcher czuł się staro i nie chciał zostać gwiazdą. Dawaly mu się już we znaki pierwsze symptomy psychicznego i fizycznego zmęczenia. Prawie co noc śniło mu się, że do ostatniego tchu gonił jakiegoś złoczyńcę, który nagle stawał, wyciągał broń i wyciągnawszy ramię mierzył do niego z pistoletu.

Jednakże mimo podeszłego wieku nie stracił swych zalet gończych. Instykt policyjny podpowiadał mu, że chłopak przychwycony z narkotykami mógł go naprowadzić na interesujący ślad. Starał się więc ze wszystkich sił, aby dostarczyć prokuratorowi murowane dowody.

Gideon wpadł jak burza na posterunek policji. Znalazł tam starego porucznika, który cierpliwie przesłuchiwał Billy'ego Tempie, małego gońca, przerażonego tym, że znalazł się w rękach policji. Gideon również zaczął go wypytywać, nie dając mu ani chwili do namysłu. W końcu Billy się załamał. Fred Fisher, urzędnik księgowości, dawał mu torebki kokainy i inkasował należność ze sprzedaży. Billy dostawał śmieszne kwoty. Spotykali się w pawilonie administracyjnym wytwórni, w klozetach i tam dokonywali wymiany. Chłopak zakończył spowiedź szlochając. Przyrzekł, że nigdy więcej nie będzie handlował narkotykami.

Tej samej nocy Fisher został zatrzymany w swoim mieszkaniu. Odmówił składania zeznań i zażądał obecności obrońcy.

Nazajutrz Gideon i Hatcher złożyli ponowną wizytę w wytwórni. W dziale personalnym powiedziano im, że Fisher został zatrudniony niedawno. Gideon porównał daty. Okazało się, że Fisher otrzymał zajęcie w księgowości po odnowieniu mandatu Brynera na prezesa „XXI Century”. Od tej pory rozkwitł handel narkotykami wewnątrz wytwórni.

Gideon i Hatcher otrzymali od sędziego federalnego pozwolenie na założenie podsłuchu telefonicznego u Brynera i Lombarda. Nagrano wiele rozmów na niewinne tematy. Prezes często spędzał weekendy na pokładzie jachtu Lombarda, jadali razem obiad raz w tygodniu, a od czasu do czasu Bryner bywał gościem w rezydencji nowego przyjaciela.

Jednakże Lombardo był nieuchwytny. Nie ustalono żadnego związku między nim a sprzedażą narkotyków. Mimo swej mglistej przeszłości nigdy nie poniósł hańbiącej kary. Był teraz szanowanym finansistą, obracającym setkami milionów dolarów. Prywatni agenci zapewniali mu bezpieczeństwo, chmara adwokatów broniła jego interesów. Policja podejrzewała wprawdzie, że jest on ważnym członkiem mafii, lecz nikt, nawet Giuliani, nie potrafił mu tego udowodnić.

W tych okolicznościach Fisher został zwolniony za wysoką kaucją i zniknął ze sceny.

Gideon natomiast otrzymał dość nieoczekiwaną wiadomość, że Averil Auberon została kochanką Lombarda, który spędzał czas pomiędzy Los Angeles a Nowym Jorkiem. Averil grała w filmie kręconym przez O'Neilla. Spack miał nadzieję, że dzięki niej dosięgnie Lombarda. Weinstein poprosił policję nowojorską, żeby miała na nią oko i żeby jej rozmowy telefoniczne były kontrolowane. Wydawało się niepodobieństwem, by nie znała, bodaj częściowo, tajemnych działań Lombarda.

Wypadki przybrały szybszy obrót. Fisher wpadł w sieci zastawione przez policję w San Francisco; zatrzymano go i przesłano do Los Angeles, gdzie miał czekać na rozprawę. Gideon zaproponował Billy'emu Tempie pewien układ. Miał być świadkiem obciążającym Fishera w zamian za zwolnienie. Ponieważ był małoletni, miałby otrzymać niewielki wyrok z zawieszeniem. Billy, szczęśliwy, że wyjdzie z tej afery tanim kosztem, wyraził zgodę. Więzienie budziło w nim grozę. Gideon polecił, aby kontynuował swą działalność, jakby nic się nie zdarzyło. Myślał, że Billy odegra rolę haczyka dla handlarzy narkotyków. Był w cudownym nastroju. Wydawało mu się możliwe, że ustali powiązania między Brynerem a Lombardem, którzy prawdopodobnie byli moralnymi sprawcami zamachów na O'Neilla.

Jednakże w kilka dni po zwolnieniu małego gońca zdarzyło się coś, czego nie przewidział ani Hatcher ani pomocnik prokuratora. Po codziennych zajęciach Billy wracał do siebie i właśnie przechodził przez ulicę, kiedy z pędzącego samochodu padła salwa z karabinu maszynowego. Chłopak runął twarzą na asfalt, kałuża krwi rozlała się szeroko. Policjanci, którzy mieli go chronić, przybyli za późno. Zanim wyciągnęli pistolety, samochód skręcił za rogiem i zniknął wśród pędzących aut. Karetka odwiozła chłopca do szpitala, gdzie wkrótce zmarł.

Przygnębiony Gideon przedstawił swój plan Weinsteinowi. Po pierwsze należało upozorować, że Billy uszedł z życiem. Po drugie, trzeba było udać się do Nowego Jorku i przesłuchać Averil oraz innych aktorów, którzy mieli związek z mafią. Prokurator okręgowy długo medytował, zanim dał zielone światło swemu podwładnemu. Miał pojechać wraz z porucznikiem Hatcherem, który współpracował z policją nowojorską.

Wiadomość o wyjeździe Spacka do Nowego Jorku wywołała sensację w Departamencie Zabójstw. Sam zzieleniał z zazdrości. Taka podróż za państwowe pieniądze! To ci gratka! Prentice przyjął wiadomość z filozoficznym spokojem. Sally, która porównywała Gideona z brzuchatymi satyrkami, którzy mieli diabelskie kopytka, co nie przeszkadzało im uganiać się za najadami i kochać się z nimi, ucieszyła się, że dano Gideonowi szansę.

Tymczasem młody chłopak, nieco podobny do Billy'ego, mieszkał zamknięty w pokoju na dwudziestym piętrze hotelu w down town pod strażą policjantów, którzy kolejno się zmieniali. Niewielu ludzi było wprowadzonych w sprawę, gdyż Weinstein lękał się niedyskrecji przekupionych osób. Gideon miał blagować, powołując się na zeznania Billy'ego Tempie. Czy mafiosi przełknęliby taką pigułkę? Trudno było z góry przewidzieć.

Gideon i Hatcher odlecieli do Nowego Jorku na pokładzie samolotu TWA. Pomocnik prokuratora włożył na tę okazję najpiękniejszy, stalowoszary garnitur. Na wszelką ewentualność wziął jeszcze ze sobą garnitur granatowy. Chciał sprawić dobre wrażenie na kolegach ze Wschodniego Brzegu, którzy mieli mu pomagać. Specjaliści z brygady do walki z narkotykami również mieli mu okazać pomoc. Lombardo stawał się dla wszystkich upragnionym celem.

Gideon przybył do Nowego Jorku po zapadnięciu nocy. Przyglądał się w zamyśleniu światłom Manhattanu, zanim samolot wylądował na lotnisku Kennedy'ego. Stawiał teraz swą karierę na jedną kartę, miał walczyć z bardzo ważnym, bardzo niebezpiecznym wrogiem. Koniec Billyego był nader wymowny. Ale Gideon chciał wrócić do Los Angeles okryty sławą. Zdobyć taką popularność jak Giuliani.

Oddawał się tym marzeniom, kiedy stewardesa, piękna i smukła jak modelka, oznajmiła ciepłym szeptem:

– Pasażerowie są proszeni o zapięcie pasów...

* * *

Wróciwszy do Nowego Jorku, Peter O'Neill zabrał się całą parą do roboty. Wprowadzenie sekwencji, przeciw którym tak oponował Bryner, nie zakłóciło ustalonego harmonogramu zajęć.

Każdego ranka O'Neill przypominał aktorom, co mają zrobić w ciągu dnia i jakie sekwencje przygotować na najbliższą przyszłość.

– Zgodnie ze scenariuszem mamy pokazać Boba, jak po ostrym starciu z ojcem, błądzi z rozpaloną głową w labiryncie ulic i uliczek wśród okropnych ruder i opustoszałych placów w South Bronx. Musimy uwydatnić jego rozterkę, wyrzuty sumienia, jego nieszczęśliwą miłość do Flo. Dziewczyna ta nie jest godna jego uczuć i na złość jemu oddaje się Rhysowi czyli Walterowi w filmie. Mamy dziś przed sobą kilka mocnych scen. Napad motocyklistów z bandy „Diabolo”, zabójstwo włóczęgi w zaułku Melrose, rozpaczliwą walkę Boba, który usiłuje uratować Flo z rąk gwałcicieli. Musimy też pomyśleć o sławnych wyścigach *off shores*, w których Bob i Ray podejmą śmiertelną rywalizację, aczkolwiek tę scenę będziemy kręcić później. Między mocnymi scenami damy zebranie Rady administracyjnej multinarodówki; dojdzie na niej do starcia między ojcem Boba i ojcem Raya. Aby lepiej zrozumieć głębię nienawiści, która dzieli oba klany, przypomnijcie sobie waśń rodową z „Romea i Julii” Szekspira. U nas ta zawzięta wrogość obu rodzin ma swe korzenie w środkach, jakie zostaną użyte, żeby się nawzajem wykończyć: w czystych pieniądzach Talbota i brudnej forsie Harmswortha. Niemal zwierzęca nienawiść pełni tu rolę przeznaczenia, któremu ulega bohater antycznej

tragedii. Sue, jedyna nie zaślepiona postać, stara się pogodzić obie strony, lecz sama jest rozdarta jednoczesną miłością do Boba i Raya, nie potrafi dokonać wyboru. Sue i Flo są uosobieniem niszczącego ognia, Bob i Ray – wody, która zrywa tamy. Musimy zasugerować widzom przytłaczającą, obsesyjną atmosferę. Nienawiść, krew i śmierć. Następnie reżyser zwrócił się kolejno do każdego z aktorów:

– Bob, do tej pory dobrze wywiązywałeś się ze swojej roli. Chcę, żeby napięcie wzrastało stopniowo aż do końcowego wybuchu. Ray, odwaliłeś kawał świetnej roboty, ale od tej chwili musisz przejść samego siebie... Sue, znakomicie pokazałaś, jak czysta, niewinna dziewczyna może popełnić największe szaleństwa, gdy w grę wejdzie miłość... Averil, wcielasz się w rolę kobiety nieprzytomnie zakochanej w mężczyźnie, który ciebie nie dostrzega. Chciałbym jednak, żeby twoja gra była bardziej wycieniowana, zwłaszcza gdy dojdzie do wyjaśnień między tobą a Rayem, gdy plunie ci w twarz z pogardą. Wyglądasz mi na trochę spiętą. Dlaczego? Giselle, mimo młodzieńczej urody i dziecięcego wdzięku jesteś uosobieniem zła i wstrząsniesz widzami, których podnieciły Lolitki. Wzbogaciłaś postać Flo o wszystkie wyobrażalne wady. Mówię „wzbogaciłaś”, bowiem Flo, mała prostytutka okazuje się w końcu potworem perwersji, co niewiele aktorek w twoim wieku potrafiłoby zagrać. Rad jestem, że zaangażowałem cię do tego filmu.

Następnie obsypał pochwałami wszystkich wielkich aktorów, którzy ożywili tę superprodukcję; dzięki ich talentom będzie ona szczytowym osiągnięciem „XXI Century”.

– Wiem, że wymagałem od was nadludzkich wysiłków, że byliście czasem u kresu wytrzymałości. Przeszliście samych siebie. Dustin Hoffman, Robert Redford, Meryl Streep, Gene Hackman będą wam zazdrościć osiągnięć.

Zgarniecie wszystkie Oscary, jestem tego pewien. Ekipy techniczne zawsze były na wysokości swoich trudnych zadań. Mogę im tylko pogratulować.

Zwrócił się wprost do nich:

– Proszę was o utrzymanie tego szalonego rytmu pracy! Zwycięstwo będzie nasze!

Wybuchły oklaski. Wszyscy byli bardzo wzruszeni. O'Neill mówił poważnym, uroczystym tonem, jak człowiek, który po życiu wypełnionym pracą o wielkiej wartości, przystaje i pokazuje swój testament.

Czyżby pogrzebał swój cynizm, okrutną ironię, twarde, ostre słowa? Dlaczego nie wspomniał o przeszłości? Dlaczego tak zdumiewająco się zmienił? Dlaczego? Ludzie spoglądali po sobie zaintrygowani.

* * *

Nazajutrz po przybyciu do Nowego Jorku Gideon i Hatcher nawiązali kontakt z policją lokalną i prokuratorem okręgu Manhattan. Po długiej naradzie ustalili wspólnie obmyślony plan walki.

Następnie Spack wraz z kolegą postanowili udać się do O'Neilla. Wiedząc, że pracował cały dzień, zjawili się w Plazy dopiero po zapadnięciu nocy i czekali w holu na jego przybycie.

Trochę po dziesiątej O'Neill wszedł śmiertelnie znużony, z twarzą poszarzałą ze zmęczenia. Mimo że zdziwiła go ta nocna wizyta, zaprosił ich do swego apartamentu i spożycia kolacji w jego towarzystwie. Wymówili się twierdząc, że już jedli. zaproponował więc drinka.

– Co prawda jesteśmy na służbie – powiedział wesoło Hatcher.

– Ale dzisiaj zrobimy wyjątek.

Kelner przyniósł reżyserowi lekki posiłek – sztukę mięsa, sałatę i ser. Dla gości odkorkował butelkę Courvoisier. O'Neill poprzestał na wodzie mineralnej.

Groom przyniósł pudło bananów opatrzone nalepką: „Banany – Złote Wybrzeże”.

Twarz reżysera poweselała, zmarszczki się wygładziły.

– Otwórzmy je! Uwielbiam banany. Pasują nawet do koniaku.

Z wyraźną przyjemnością zdjął pokrywkę i wyjął wiązkę perłowożółtych bananów. Oderwał kilka z nich, kelner uroczyście położył je na tacy.

Nagle O'Neill krzyknął z przerażenia i gwałtownym ruchem odsunął talerz. Wstrętny, czarny pająk, długości około trzynastu milimetrów, zaplątał się w futro białego niedźwiedzia leżące pod niskim stolikiem.

Hatcher, który kilka lat służby spędził na Hawajach, zerwał się szybko i rozgniół nogą pajaka.

– To czarna wdowa – wyjaśnił nie tracąc spokoju. – Bardzo jadowity pająk. Zapewne została w pudle między bananami, o czym pański dostawca nie wiedział. Ale zastanawiam się, czy nie byliśmy świadkami nowego zamachu na pańskie życie.

Gideon ze strachem i obrzydzeniem wpatrywał się jak zahipnotyzowany w wielkiego owada. Kelner i groom stali nieruchomo. O'Neill odzyskał spokój.

– Często zamawiam pudła bananów.

– Zajmę się tą sprawą – rzekł Hatcher. – Ciekaw jestem, czy to pudło było zamówione przez pana, czy przez nieznaną osobę, której tożsamość spróbuję ustalić.

O'Neill otarł chusteczką czoło. Porucznik skinął na grooma.

– Przynieś czysty pojemnik na śmieci, taki, jakiego zwykle używacie do uprzątnięcia nieczystości.

Chłopak wyszedł. Po chwili wrócił w towarzystwie detektywa hotelowego i chłopca, który pomagał mu nieść pojemnik. Z zachowaniem należytej ostrożności, posługując się szczotką, wrzucili podaną reżyserowi potrawę na dno pojemnika. Detektyw obiecał przeprowadzić dochodzenie, po czym wycofał się wraz ze służbą, pojemnikiem na śmieci i pudłem bananów.

Gdy znaleźli się sami z jeszcze trochę zszokowanym O'Neillem, Gideon i Hatcher ujawnili mu domniemane przyczyny śmierci jego syna. Wszczęli rozmowę również o Averil, co go dosyć zdziwiło.

– Czy nie zauważył pan jakiejś zmiany w jej postępowaniu? – zapytał Hatcher.

– Nie. Życie prywatne moich aktorów mnie nie interesuje. Nic szczególnego nie dostrzegłem w zachowaniu Averil. Jest trochę nerwowa, jak każdy aktor przed wejściem na scenę. Po prostu trema!

– Nerwowość jej ma swe przyczyny nie tylko w pracy zawodowej – wtrącił Gideon. – Myślę, że zna ona przyczynę śmierci pańskiego syna. Jest kochanką Lombarda.

– Nawet jeśli to prawda, czy sądzicie panowie, że informuje ją o tym, co robi?

– Być może...

Spack i Hatcher pożegnali się z reżyserem. Po wyjściu z hotelu porucznik stwierdził ironicznie:

– Mieliśmy wieczór dość urozmaicony.

– Co by to było, gdyby O'Neill zginął na naszych oczach!

Wciągnął w płuca pachnące powietrze, którego powiew dochodził z Central Parku.

– Sądziłem, że Nowy Jork jest śmierdzącym miastem, w którym czuje się tylko zapach spalin, wyziewy metra i smrody ścieków. A oto róże i lilie napełniają wonią powietrze, jak w ogrodzie uniwersyteckim w Los Angeles. To lepsze niż nasz smog.

– Niech pan poczeka, aż zaprowadzę pana do Bovery, do Harlemu, do Bronxu. Wówczas podzieli się pan ze mną swoimi wrażeniami.

* * *

Bob krzyknął chrapliwie i ocknął się z niespokojnego snu. Otworzył podkrążone, błędne, rozszerzone strachem oczy i drżącą rękę zapalił nocną lampkę. Kiedy rozproszyła się ciemność, uspokoił się pod wpływem światła i znajomego otoczenia. Lecz zaraz przypomniał sobie, że śmierć unosiła się nad jego głową. Ledwo otrząsnął się z koszmaru: śniło mu się, że biegł po bezkresnej przestrzeni, zatopionej w bladym świetle, podczas gdy ogromna, zielona, przejrzysta, najeżona kolcami kula, toczyła się za nim i lada chwila miała go zmiążdżyć. Powiększony obraz wirusa HIV, który atakował i niszczył białe ciała krwi i unicestwiał obronę organizmu. Pięć, sześć lat najwyżej. Często śmierć przychodziła wcześniej.

Dawniej chciał spać, by zapomnieć o powolnym niszczeniu swego ciała. Sen okrywał woalem niepokoje, które ścigały go na jawie. Jednakże od pewnego czasu nawet to schronienie zostało mu odebrane. Sny, w których rozpaczliwie pragnął się pogrążyć, aby zapomnieć o śmierci, wydobywały z jego podświadomości dantejskie, piekielne wizje, dręczące go w dzień i w nocy. Spotkanie z Percym znowu zbudziło lęk, który przez jakiś czas nie dawał mu się we znaki.

Wstał z łóżka, narzucił szlafrok na piżamę. On, który zazwyczaj sypiał nago, stał się wrażliwy na zimno. Chwiejnym krokiem podszedł do barku, wyjął butelkę whisky i nalał do szklanki, nie wkładając do niej lodu, bo było mu zimno. Wypił, ale alkohol nie przyniósł mu ulgi. Bob spojrzął na zegarek. Położył się o wpół do dwunastej. Zdawało mu się, że krótki, nawiedzany koszmarami sen trwał całe wieki.

Odstawił szklanekę i podszedł do szafy. Gorączkowo wdział na siebie skórzane ubranie. Zatelefonował do garażu, żeby mu podstawiono auto.

Znalazł swoje ferrari przed wejściem do hotelu. Siadł za kierownicą i nacisnął pedał. Musiał koniecznie zobaczyć Percy'ego. Wyjechał przez Madison Avenue na północ, przemierzył Harlem, w którym wrzało nocne życie. Czarni obrzucali się wyzwiskami. Skręcił w prawo na **123.** ulicę, przemknął przez most na **3.** Alei i znalazł się w piekle South Bronxu. Szeregi ruder o ziejących pustką lub zabitych blachą oknach stały wśród pustych terenów, ruin jakichś budynków, odosobnionych, poczerniałych murów wypalonych domów. Mieszkańcy tej dzielnicy drwiąco nazywali ten obszar, w którym spotykały się wszystkie ludzkie nieszczęścia, „strefą zdemilitaryzowaną”, gdyż przypominała ona niemal całkiem zburzone miasto, które porzucono po bombardowaniu, po morderczych walkach. Arterie komunikacyjne prowadzące przez całkiem niezamieszkałe tereny ukazywały się tylko czerwonym i zielonym światłem na skrzyżowaniach.

Ulica, na której mieszkał Percy, podobna była do bezzębnych ust. Z rzadka wznosiły się odosobnione budynki, całkiem ciemne, gdyż były pozbawione energii elektrycznej, wody i ogrzewania, a większość lokatorów już je opuściła; sprawiały upiorne wrażenie w tej pustyni. Ludzie w łachmanach przemykali wśród ruin.

Percy!

Bob, aczkolwiek seropozytywny, żywił nadzieję, że choroba, jego choroba, nie rozwinie się w pełni. Że będzie jednym z tych szczęściarzy, którzy wymkną się z jej macek. Spotkanie z Percym rozproszyło jego złudzenia. Chciał go zobaczyć, przyjrzeć mu się i pomyśleć o własnej przyszłości.

Percy!

Z trudem odnalazł jego adres. Pięciopiętrowa kamienica oparła się buldożerom. Brakowało w niej drzwi wejściowych. Bob wszedł na korytarz potykając się o dziury w przegniłej podłodze. Na parterze chyba nikt nie mieszkał. Po schodach tak trzeszczących, jakby za chwilę miały runąć, dostał się na pierwsze piętro, gdzie w kilku pokojach byli jacyś mieszkańcy. Wszędzie czuć było smród moczu, fekaliiów i zgnilizny. Szczury biegały po korytarzu.

Bob oswoił się z nędzą. Jego dzieciństwo i wczesna młodość upłynęły w najgorszych częściach Manhattanu, Bronxu i Brooklynu. Ale ostatnie lata spędzone w przepychu zatarły te straszne wspomnienia. Teraz cała przeszłość jawiła mu się przed oczyma jak nieboszczyk powstały z grobu. Przejął go dreszcz zgrozy.

W szczelinie pod drzwiami dostrzegł słabe światło. Nacisnął klamkę i wszedł do pomieszczenia, którego ściany częściowo odarte były z tapet. Na taborecie – jedynym meblu w tym pokoju – stała świeca, oświetlająca brudny materac bez prześcieradła, na którym leżał Percy z zamkniętymi oczami, z wynędzniałą twarzą, oddychając z trudem. Resztki dziurawego dywanu okrywały część jego wychudłego ciała. Dwa okna były zabite deskami.

Na odgłos kroków Boba otworzył chłopięce oczy. Zacharczał:

– Chyba śnię... śnię...

Niemal przejrzyste powieki opadły znów na oczy.

– To ja, Percy! To ja, Bob! Nie śniesz, kochany! Przecież obiecałem ci, że cię odwiedzę.

– Bob?... To ty?

Żałosny uśmiech odsłonił zęby podobne do dwóch rzędów pereł, resztki niegdysiejszej urody.

Obok lichtarza Bob ujrzał kawałek pizzy i kromkę chleba na brudnym tekturowym talerzu.

– Myślałem najpierw, że to wytwór wyobraźni...

Bob się zawstydził. W pośpiechu zapomniał kupić coś dobrego do jedzenia. Należało to jakoś odrobić.

– Przyszedłem zabrać cię na kolację. Wyniszczona twarz Percy'ego trochę się rozjaśniła.

– Nie zapomniałeś o mnie...

– Jakże mógłbym zapomnieć? Tylko kręcenie filmu przeszkodziło mi przyjść wcześniej. No, Percy, ubieraj się! Jedziemy!

– Kiedy ja ledwo się ruszam... Chodzenie sprawia mi ból...

– Jestem autem. Będziesz miał do przejścia tylko kilka kroków. Pomogę ci...

Percy dyszał.

– Nie mam się w co ubrać... Sprzedałem wszystko, co się dało...

– Miałeś piękne ubrania. Byłeś najelegantszy z nas wszystkich.

Zdjął z ramion swoją kosztowną kurtkę.

– Weź ją na dzisiejszy wieczór. Twoje dzinsy są jeszcze w dobrym stanie.

Percy z trudem uniósł się na łokciu.

– Nie dam rady...

– Żartujesz! Spędzimy szampański wieczór! A jutro rano pójdziemy po zakupy, żebyś miał co powiesić w szafie.

Nadrabiał miną, ale wyniszczenie Percy'ego tak nim wstrząsnęło, że ledwo powstrzymywał łzy.

– Chętnie bym ci towarzyszył, Bob, ale nie chce mi się jeść. Zmusiłem się, żeby przełknąć kawałek pizzy...

– Zimna pizza jest obrzydliwa. Chodźmy! Pomogę ci się ubrać.

Niemal siłą podniósł Percy'ego z barłogu, przebrał go w czystsza, znalezioną na podłodze bluzę. Zjełczały odór potu nie budził w nim wstrętu. Wiedział, że ma do czynienia z biednym chorym. Ubrał go w dżinsy i bluzę, włożył mu zniszczone, brudne tenisówki.

– Poczekaj na mnie!

Zbiegł do auta po maszynkę do golenia, którą na wszelki wypadek miał w kasetce z rękawiczkami. Ogolił Percy'ego, uczesał jego jeszcze ładne włosy. Nie stracił ich do tej pory, jak to bywało u innych chorych.

Dlaczego tak troszczył się o Percy'ego? Czyżby chciał upiększyć schyłek jego życia? Czy bezwiednie naśladował postępowanie O'Neilla, który wziął go pod swoją opiekę, mimo że wiedział, iż Bob chory jest na AIDS?

Oporządziwszy jako tako Percy'ego, powiedział z udanym podziwem:

– Znowu jesteś ładnym chłopakiem!

– Tak myślisz? – nieśmiało zapytał jego przyjaciel.

– Z pewnością!

Ujął go pod ramię i podtrzymał prowadząc go do auta. Znalazł je przed domem, gdyż złodzieje nie zapuszczali się w ruiny, gdzie już nic ukraść

nie było można. Usadowił go na skórzanym siedzeniu i sam zasiadł za kierownicą. Znowu spojrzął na zegarek.

– Która godzina?

– Wpół do drugiej. Wyjechałem z hotelu po północy. Zanim przejechałem ten kawał drogi, zanim cię wystroiłem, minęło sporo czasu.

– Większość barów zamyka się o drugiej.

– Znam jeden na Chelsea, który jest otwarty całą noc. Ferrari ruszyło z miejsca mrucząc jak wielki kot.

Percy rozglądał się dookoła, jakby po raz pierwszy widział tę żalną dzielnicę. Obrazy przesuwane się przed jego oczyma miały jakby inne wymiary wówczas, gdy chodził tędy pieszo. Drapacze chmur o tysiącach oświetlonych okien rysowały się na horyzoncie, ogromne na tle nieba rozjaśnionego smugami reflektorów.

– Manhattan!... – westchnął Percy. – Kiedy wysiadłem z autobusu, który mnie przywiózł z mego miasteczka na Środkowym Zachodzie, myślałem, że raj otworzył mi swe wrota... Później ten raj zamienił się w piekło... Mimo to gdy widzę jego światła, zbiera mi się na płacz... Kocham je, choć one mnie zdradziły... Wstawałem z materaca i patrzyłem przez szpary w deskach, którymi zabito moje okna, patrzyłem na dalekie światła miasta... Wyobrażałem sobie, że jakiś czarodziejski dywan przeniesie mnie do tej konstelacji... Ale dywan nie przybywał na ratunek... Stałem uczepiony desek i płakałem... Płakałem w samotności, gdyż nie miałem przy sobie nikogo, komu mógłbym zwierzyć się ze smutku... To okropne płakać w samotności... W samotności...

– Nie jesteś już sam.

Gorzki uśmiech pojawił się na twarzy Percy'ego.

– Jestem ci wdzięczny, Bob...

– Nie zrobiłem nic szczególnego... Nie zostawia się przyjaciela w samotności... To obowiązek... święty obowiązek...

Pomyślał o Rayu, który podtrzymywał go na duchu z zadziwiającym oddaniem i serdecznością. Nie był już sam... Nie! Już nie był sam...

Percy mówił dalej. Odczuwał potrzebę podzielenia się z kimś swoim cierpieniem... swoim wyczerpaniem... swoją depresją...

– Kiedy przyjechałem do Nowego Jorku marzyłem, że cały świat będzie do mnie należał... Że dokonam cudów... Byłem młody i ładny... Wszyscy uśmiechali się do mnie... Patrzyli na mnie życzliwie... Nie zdawałem sobie sprawy, że kobiety, i dziewczęta mnie pragną. Byłem jak pijany... Mogłem pracować... Ale tak łatwo było żyć tylko dzięki mojemu urokowi... Prosiły, żebym brał od nich forszę... Klękały przede mną... Spadał na mnie deszcz pieniędzy... Dość było wyciągnąć rękę, żeby pojawiły się na niej zielone banknoty. Nie rozumiałem jeszcze, że sprzedaję własną młodość, urodę, własne ciało. Biegłem na oślep ku samozniszczeniu... ku śmierci. Sprzedałem nie tylko swoje ciało, sprzedałem życie... Później nadszedł kres... Okropne odkrycie choroby... Miałem rolexa, złote łańcuszki, bransoletki, które zmieniałem zależnie od kaprysu... Dysponowałem małym mieszkanie, urządzone dosyć elegancko... Tańczyłem nago, bo mi to sprawiało przyjemność...

Zgrzytliwy śmiech Percy'ego wyrażał zniechęcenie, bezgraniczną, absolutną rozpacz.

– Słyszałeś, Bob, o upadku aniołów? Moja babka brała mnie kiedyś na kolana i mówiła mi o upadku aniołów. Byłem wówczas dziesięcioletnim smykiem. Czyżby miała przeczucie tego, co miało mnie spotkać? Czytywała mi ustępy z Biblii, słuchałem ich znudzony. .. Upadek aniołów... Widziałeś

nore, w której zdycham... Kiedy dowiedziałem się, że jestem chory, jakby ziemia rozstała się pode mną, żeby mnie pochłonać... Nie wiem, w jaki sposób znajomi dowiedzieli się, że jestem nosicielem wirusa... Uciekali ode mnie jakbym był zadzumiony... Dzisiejszą dżumą jest AIDS... Wyrzucono mnie z baru, w którym tańczyłem, z mieszkania... Właściciel wypchnął mnie na ulicę, spalił meble... Z początku byłem tak zaskoczony, zaszokowany, tak nieszczęśliwy i przerażony, że przemykałem pod ścianami, żeby mnie nie widziano... Kiedy wyczerpałem wszystkie rezerwy, wróciłem do swego zawodu. Używałem prezerwatyw, żeby nie zarazić klientów... Byłem jeszcze ładny i przyciągałem je bez trudu. Niektóre z nich robiły mi wymówki, że używam prezerwatyw... „Boisz się, że mam opryszczkę, syfilis, rzeżączkę?” – pytały oburzone. I odchodziły wściekle... Czy mogłem im powiedzieć, że chciałem je ochronić? Na skutek tego straciłem wiele klientek. Później choroba się objawiła... Schudłem, straciłem na wadze, przeszedłem zapalenie płuc... W szpitalu pielęgniarki patrzyły na mnie z pogardą i robiły mi wyrzuty: „To z pewnością dlatego, że sypiałeś z mężczyznami! To zboczenie drogo cię kosztowało!” Krzyczałem, że nie jestem homoseksualistą i że tę chorobę złapałem od jakiejś kobiety... Nie chciały mi wierzyć, śmiały mi się w nos...

Percy umilkł wyczerpany tym potokiem słów, przerywanych co prawda długimi chwilami milczenia. Jakby chcąc położyć kropkę nad i oświadczył dobitnie:

– Nie jestem pedziem!

Nagle zrozumiał, że zrobił gafę. Za późno przypomniał sobie, że Bob sypiał zarówno z kobietami, jak i z mężczyznami.

Ale Bob go nawet nie słuchał. Myślał o własnym upadku, o widocznych objawach choroby. Złe samopoczucie, słabość, która go niekiedy ogarniała,

sprawiając że nogi uginały się pod nim – wszystkie te symptomy go przerażały.

– Mam pietra, Bob! Jestem skazany na śmierć chociaż nikogo nie skrzywdziłem...

Bob wzdrygnął się, wyrwany z własnych rozmyślań.

– Nie myśl o przyszłości, Percy!

Zaśmiał się. Ale śmiech, który miał być wesoły, zabrzmiał fałszywie.

– Nieszczęście daje ci szansę, której nie ma większość śmiertelników.

Percy spojrzał nań ze zdumieniem. Czyżby Bob stracił rozum?

– Szansę?

– Ależ tak! Pamiętasz, jak baliśmy się starości? Spotykaliśmy często chłopaków, którzy zbliżali się do trzydziestki, tyli, łysieli, mieli brzydką cerę. Rozpaczliwie szukali klientów albo samotnych kobiet... lecz tylko pijacy, którzy nie zdawali sobie sprawy z ich wyglądu, kupowali ich za kilka dolarów... Im bardziej posuwali się w latach, tym prędzej się staczali, tym większa ogarniała ich rozpacz. Lecz obok tych nieszczęsnych wraków ludzkich są też wybrańcy losu. Tak zwani wybrańcy. Pomyśl o modelkach, o gwiazdach, o aktorkach, pomyśl o tancerzach, dla których los wcale nie bywa łaskawszy. Starość zżera ich urodę, zniekształca niegdyś piękne ciała, odbiera im cały wdzięk. Ich upadek jest jeszcze boleśniejszy w porównaniu z minioną sławą. Spotykają się wszyscy na jednej płaszczyźnie degradacji fizycznej i psychicznej. Mówię ze znajomością rzeczy, bo żyję wśród nich i dostrzegam w ich wzroku lęk o przyszłość, o nieznane, o kres żywota. Osuwają się coraz niżej. Starość czyni z nich wraki ludzkie. Ci, co nie popełnią samobójstwa, zostają kelnerami, pomywaczami naczyń, zapełniają przytułki dla starców... Podczas gdy ty, Percy, ty skończysz życie pięknie.

– Pięknie? – zdumiał się Percy. – Spójrz tylko na mnie! Nie domyślał się, że Bob przemawiał także we własnej sprawie.

– Wymkniesz się starości. Okpisz ją. Wystrychniesz ją na dudka. Czytałeś w prasie, że Joe Weissmuler, piękny, niezrównany Joe Weissmuler, stał się na starość żywym trupem? Wymieniam go dla przykładu z tysięcy innych. A ty, Percy, możesz sobie pozwolić na luksus śmiania się w nos starości! Możesz patrzeć na nią i mówić z satysfakcją: „Nie dostaniesz mnie, wstrętna wiedźmo! Opuszczę świat w kwiecie wieku i zabiorę ze sobą swój największy skarb: młodość! Umarli pozostają młodzi... Byłeś kiedykolwiek na cmentarzu? Rzuciłeś okiem na napisy i zdjęcia umieszczone na porcelanowych płytkach? Przed grobami młodych ludzie przystają, spoglądają tkliwie, wzdychają. Starzy nie przyciągają niczyjej uwagi. Starzy muszą umrzeć. To normalne. Tylko młodych wspomina się z żalem. A starych? Niekiedy aż dziw bierze, iż żyli tak długo. Gdyby chociaż byli bogaci! Gdyż bogactwo sprowadza wszystkich do wspólnego mianownika. Bogaci się nie starzeją, bo mogą kupić młodość.

Bob zaśmiał się niewesoło.

– Ja również umrę młodo.

– Nie pleć głupstw!

– Tak, tak! Porównują mnie z Jamesem Deanem! Utożsamiają z nim.

Umrę równie młodo.

– Mówiąc w ten sposób ściągniesz na siebie nieszczęście.

– Jestem ponad szczęściem i nieszczęściem.

Korciło go, by wyznać Percy'emu, że również jest chory na AIDS, lecz zabrakło mu odwagi.

– Kiedy ci, co przybywają nad Styks, podziemną rzekę śmierci, patrzą jak przewodnik Charon zabiera na swoją łajbę zmarłych, którzy czekają na brzegu, żeby udać się na drugą stronę, na tamten świat. Starzy wloką się o kulach, albo idą na słabych, chwiejnych nogach i z wielkim wysiłkiem wsiadają do łodzi, podczas gdy młodzi wskakują do niej z brzegu jak ptaki, zrywające się do lotu...

– Skąd wiesz?

– Opowiadał mi o tym przyjaciel.

– Szczęśliwy jesteś, że masz przyjaciela, który cię nie opuszcza. Ja mam tylko AIDS i zmartwienie...

– Powtarzasz się! Chorym na AIDS zostaje kilka lat życia, które mogą spędzić, jak im się podoba. Iluż to ludzi w pełni zdrowia, przed którymi otwiera się rzekomo obiecująca przyszłość, nagle ginie w wypadkach, od kuli, od noża, lub umiera na skutek alkoholu i narkotyków... Wierz mi, Percy, w pewnej mierze chorzy na AIDS są uprzywilejowani.

Percy położył wychudłe dłonie na kolanach.

– Zastanawiam się, Bob, czy w tym, co mówisz, nie ma odrobiny szaleństwa.

Bob wybuchnął nerwowym śmiechem.

– Mój przyjaciel mówił mi, że pewien filozof, Erazm z Rotterdamu, napisał książkę o głupocie i szaleństwie. W szaleństwie bywa czasem coś dobrego. Śmierć umawia się na randkę z chorymi na AIDS. Tym niemniej zjedźmy coś i poszalejmy.

Bob wiedział, że słaby punkt jego rozumowania, opartego na sofizmatach, polegał na świadomości nieuniknionego zbliżania się śmierci.

Wszyscy ludzie umierają. Ale termin końca osnuty mgłą. Natomiast świadomość, że już wkrótce przestanie się istnieć, jest męczarnią.

Na skrzyżowaniu ulic, przy których stały domy pewno zamieszkałe, gdyż na parterach widać było sklepy zabezpieczone mocnymi kratami, ferrari natknęło się na bandę motocyklistów; na czarnych skórzanych kurtkach mieli emblematy diabła i swastyki. Równie jak Bob zaskoczeni tym spotkaniem mieli zbójckie gęby. Ich herszt w skórzanej czapce z trupa czaszką zawołał:

– Opróżnijmy ten gruchot z jego właścicieli i weźmy go ze sobą!

Bob nie czekał na spełnienie groźby. Motocykliści już ruszyli z miejsca, żeby go otoczyć i przyłożyć mu nóż do gardła. Dał gazu i z takim pędem wpadł na dwóch motocyklistów, że wylecieli w powietrze. Przejechał na czerwonym świetle przewracając motocykl. Jeden z członków bandy pośliznął się na dziurawym asfalcie i uderzywszy głową o krawężnik znieruchomiał.

– Cholerny szoferak uszkodził jednego z naszych! – zawył chrapliwie wściekły brodacz. – Zarżnijmy go jak świnię!

Bob jeszcze przyspieszył. Ferrari mknęło jak rakietka. W parę sekund przekroczył dwieście kilometrów na godzinę i prędkość błyskawicznie wzrastała: **250... 300... 350...**

Motocykle, mimo że osiągające dużą prędkość, nie mogły dorównać ferrari wykonanemu na specjalne zamówienie, wyposażone w silnik turbo dla rajdowców formuły pierwszej. Czerwone, tylne światła wozu oddalały się coraz bardziej wśród złorzeczeń i wrzasków motocyklistów, pędzących na pełnym gazie. Reflektory bolidu i motocykli omiały podziurawioną jezdnię. Warkot silników wprawiał w drżenie powietrze.

Bob nie posiadał się z radości. Ogarnęło go podniecenie wyścigu. Zapomniał o chorobie, o czarnych myślach. Żył terazniejszością i to niezwykle

intensywną. Czas ograniczył się do tej piekielnej pogoni. W lusterku widział światła ścigających go bandytów. Odległość między nimi a ferrari stale się zwiększała.

Percy ocknął się z odrętwienia. Gorączkowo rozkoszował się chwilami tryumfu. Dygotał w przyływie nowych sił. Przypomniały mu się brawa wielbicielek upojonych pięknem jego ciała. Przeżywał w mgnieniu oka najpiękniejsze chwile swego życia.

– Wydałem majątek na ten wóz, ale nie żałuję! – wykrzyknął Bob, przepełniony radością. Wyobrażał sobie zawód pozostawionych w tyle napastników.

Wóz policyjny wyjechał z bocznej ulicy. Ale kierowca szybko zrezygnował z pościgu za samochodem łamiącym przepisy ruchu drogowego, gdy tylko ujrzał w lusterku sforę motocyklistów, która nadjeżdżała z zawrotną prędkością. Patrol policyjny zrozumiał, o co tu chodziło. Spotkanie w środku nocy z rozwścieczonymi motocyklistami nie było wcale wskazane. Rozsądnie zawrócili w prawo ku spokojniejszej części miasta. Ferrari nie potrzebowało ich pomocy.

Za zakrętem zaznaczonym ruinami kościoła Bob stracił z oczu ścigających go bandytów.

– Dobrześmy z tego wyszli, prawda, Percy?

– O tak! – przyznał podniecony chłopak.

Bob przejechał przez most na **3. Alei**, później ruszył **2. Aleją** przez cały prawie Manhattan, żeby znaleźć się w Chelsea. Musiał zrobić objazd, żeby respektować ruch jednokierunkowy, i zatrzymał wóz w pobliżu restauracji „Empir Dinner”, otwartej całą noc.

Weszli do przepelnionej sali i zbliżyli się do baru. Gwar rozmów i wybuchy śmiechu zagłuszały muzykę płynącą z ukrytych głośników. Kierowcy taksówek, aktorzy filmowi i teatralni, malarze i nocni goście z najlepszego towarzystwa, modne modelki i luksusowe dziwki żarłocznie jedli i pili. Barman, który podał nowo przybyłym dwa Yellow Brid – koktajle na bazie rumu – poznał Boba i dyskretnie dał znać o tym właścicielowi, który choć nawykły do obcowania z gwiazdami, czym prędzej zaprosił go do wolnego stolika, obsypując komplementami. Prosił go o autograf na fotografii, którą obiecał oprawić w ramki i umieścić na ścianie poświęconej gwiazdom. Miał się tam znaleźć obok Franka Sinatry, Bette Davis i wielu współczesnych sław filmowych. Bob chętnie spełnił prośbę. Percy spoglądał nań z zachwytem, jakby miał przed sobą półboga. Ta adoracja ze strony dawnego kumpla krępowała trochę Boba.

Zamówił kawior, szampana, wszystko, co mieli najlepsze, ale właściciel rozplývając się w przeprosinach wyjaśnił, że podawano tutaj jedynie hamburgery i sandwicze. Jednakże dla gościa tej rangi mógłby przygotować specjalne, niezbyt wyszukane menu. Makaron, stek, ciastka i kawę.

– Mam też kilka butelek szampana Veuve Cliquot dla takich gości jak pan, mister Flynn.

Percy błagalnym wzrokiem spojrzał na przyjaciela.

– Mógłbym dostać taki koktajl, jaki piliśmy przed chwilą?

– Oczywiście! Dwa Yellow Bird! – zamówił.

Właściciel zatarł ręce z zadowolenia.

– Doskonale. To firma je panom oferuje!

Odszedł z promienną miną.

Dookoła baru był tłok, jak w metro w godzinie szczytu, z tą różnicą, że każdy trzymał w ręku szklanę. Młode i mniej młode kobiety, oparte na ladzie popijały swoje drinki, zaglądając głęboko w oczy pociągającym samcom.

– Spójrz na nie! – powiedział Percy z odrazą. – One są gotowe pofikać w górze nóżkami. Jedna z takich obrzydliwych szelm zrobiła ze mnie durnia, który jedną nogą stoi w grobie.

Bob nie znalazł odpowiedniego tematu, żeby go rozweselić. Podano koktajle i szampana. Percy pił łąpczywie, ale tylko skosztował apetycznie pachnących potraw.

– Myślę, że szampan pomoże mi zapomnieć, że muszę umrzeć... Zanim dowiedziałem się, że złapałem AIDS, nie myślałem o śmierci. Kiedy mnie uprzedzono, że wirus wśliznął się do mego ciała, że jestem skazany, wszystko dokoła mnie się zawaliło.

Wychylił następny kieliszek szampana. I dalej mówił posepnym tonem:

– Kiedy lekarz powiedział mi, że jestem seropozytywny, szok był tak silny, że nie zrozumiałem dobrze tego, co do mnie mówił. Miałem wrażenie, że chodziło o innego człowieka. Później uświadomiłem sobie, że to chodzi o mnie. Zdawało mi się, że wpadłem w pułapkę. Lekarz patrzył na mnie okiem zawodowca, chłodno, jakby mi oznajmiał, że dostałem kataru. Udzielił mi kilka wskazówek, których nie zapamiętałem, taki byłem wstrząśnięty... Po wyjściu ze szpitala miałem ochotę skończyć z sobą...

Przy sąsiednim stoliku rozległy się śmiechy. Siedziało tam trzech młodych ludzi i dziewczyna wyglądająca na sekretarkę z prowincji, jeszcze nie oswojoną z nowojorską atmosferą.

– Ale nie miałem odwagi tego zrobić – ciągnął Percy rzucając przelotne spojrzenie na gości, którzy zakłócali jego spowiedź swoją hałaśliwą

wesołością. – Zastanawiam się, czy między nimi nie ma przypadkiem kogoś seropozytywnego jak ja, kto jednak nie wie o tym jeszcze.

– Trzeba mieć nadzieję, że naukowcy znajdą szczepionkę – powiedział Bob bez przekonania.

– Może ją odkryją, ale po mojej śmierci.

– Ależ, Percy, trzeba być optymistą! Nauka robi wielkie postępy!

Upajał się własnymi słowami.

– Słyszałem, że liczba seropozytywnych podwaja się z każdym rokiem...

I pomyśleć, że to całe gówno przyszło do nas z Afryki... Myśmy im dali cywilizację, a oni nam AIDS...

Bob blado się uśmiechnął.

– Czyżbyś stał się rasistą?

– Nienawidzę wszystkich, którzy niosą nam śmierć! Czarnych, białych albo żółtych!

Bob spojrział na zegarek.

– Szósta! Muszę wrócić do Plazy, o wpół do dziewiątej zaczynamy zdjęcia.

– Wyjdźmy stąd! Nie chcę, żebyś miał przykrości z mego powodu. Wrócę metrem.

– Nic podobnego! Zrobisz to, co ci powiem.

Zapłacił rachunek i wyszedł odprowadzany spojrzeniami wielu gości. Percy z trudem podążał za nim. Bob odwrócił się i wziął go pod rękę. Wyszli w noc. Słońce dopiero trochę pojaśniało na wschodzie.

Bob otworzył drzwiczki samochodu.

– Wsiadaj! – rzekł do swego kumpla.

– Stracisz więcej niż godzinę odwożąc mnie do domu.

– South Bronx przestał być twoim domem. Wsiadaj!

Percy spełnił polecenie zdziwiony, ale nie protestował. Bob siadł za kierownicą, wśliznął się w potok samochodów, który już płynął ulicą i zatrzymał się przed świeżo pobielonym hotelikiem na **46** ulicy.

– Jest czysty, a ludzie nie za bardzo się przypatrują, jeśli dostaną w łapę.

Percy zawahał się.

– A jeśli się dowiedzą, że mam AIDS?

– Nie dowiedzą się. Gdyby zaszły jakieś komplikacje, masz oparcie we mnie.

Wysiedli z auta i weszli do przytulnego holu z mnóstwem egzotycznych roślin. Portier, człowiek w podeszłym wieku, pomarszczony jak mumia, poznał Boba. Oddawał mu przysługi w czasach, kiedy Bob przychodził w towarzystwie przypadkowych klientów. Teraz dawny chłopak stał się światową sławą.

– Jaki to zaszczyt dla nas, mister Flynn!

Przed kilkoma laty nazywał go po imieniu.

– Chcę mieć najlepszy pokój dla mego przyjaciela.

Wsunął mu nonszalancko sto dolarów.

– To dla pana, Mark. Za pokój zapłacę z góry na miesiąc. Może być czek?

– Doskonale, mister Flynn. Poślę chłopca po bagaże tego pana...

– Bartona. Bagaże pana Percy'ego Bartona zostaną dostarczone w ciągu dnia.

– Świetnie!

Skinął na grooma i wręczył mu klucz.

– Zaprowadź mister Bartona do pokoju **34**. Okna wychodzą na ulicę. Łazienka jest świeżo odnowiona.

Znalazłszy się w pokoju **34** Bob odprawił grooma wręczywszy mu pokaźny napiwek.

– Będzie ci tu lepiej – powiedział Bob wesoło otwierając okno. – Będziesz miał ładny widok. Zamiast patrzeć z daleka na światła Manhattanu, będziesz mieszkał w samym jego środku.

Ze łzami w oczach Percy objął spojrzeniem podwójne łóżko z czystą pościelą, fotele, szafę z lustrem i łazienkę, do której drzwi stały otworem.

Bob udał, że nie dostrzega jego wzruszenia.

– Żeby usprawiedliwić chęć pozostawania tutaj w ciągu dnia, będziesz zamawiał posiłki, nie zapominając o dużych ilościach alkoholu. Nie musisz wszystkiego wypijać. Wylejesz resztę do WC. Ale musisz udawać, że jesteś wciąż pijany. Mark jest usłużny i za suty napiwek będzie ci lizał buty. A ten hotel zachowuje pozory przyzwoitości. Mark już nie wynajmuje pokoi na godziny, lecz nie robi trudności klientom, którzy przyprowadzają partnerów na całą noc.

Uśmiechnął się ironicznie.

– W hotelach pięciogwiazdkowych jedynie goście, którzy zajmują apartamenty, mają prawo przyjmować w salonie tak zwanych przyjaciół. Wstęp do pojedynczych pokoi jest zabroniony osobom z zewnątrz. Pozory są więc zachowane. Luksusowa hipokryzja.

Percy uśmiechnął się rozbawiony. Jego twarz jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki odzyskała swą dawną urodę. Wesołość zatarła zniszczenia wywołane przez chorobę. Nagle jego uśmiech zamienił się w szloch. Wychudłymi dłońmi zakrył oczy.

– Nie chcę umierać, Bob! Nie chcę umierać!

Udawany dobry humor nagle opuścił Boba. Twarz jego pociemniała tak, jakby spadająca kurtyna zasłoniła światła sceny. Percy dodał z płaczem:

– Wszyscy lekarze, wszyscy naukowcy kręcą się w kółko, jak pies za własnym ogonem... A śmierć zbliża się do mnie... Co noc słyszę jej kroki...

Bob chciał krzyknąć, że go rozumie, że podziela jego mękę... Że poczuł również tchnienie śmierci... Tamtej nocy w Palos Verdes, później podczas zdjęć do filmu... W ciągu tej chwilowej niedyspozycji odczuł jej obecność. Kiedy poczuł się lepiej, oddaliła się, lecz dała mu znak, że powróci...

– Jestem ci tak wdzięczny za wszystko, coś dla mnie zrobił, Bob... Głos Percy'ego drżał ze strachu...

– Ten pokój hotelowy, który był świadkiem tylu scen miłosnych, zobaczy, jak śmierć mnie obejmie... Chce mnie posiąść, jak wszystkie kobiety, które na mnie leciały... Tylko ona weźmie mnie za darmo...

Percy patrzył w pustkę. Wyobrażał sobie damę okrytą przejrzystymi woalami, przez które prześwitywał szary szkielec.

– Nie chcę umierać, Bob...

Nogi ugięły się pod nim. Bob podtrzymał go i podprowadził do łóżka, Percy wyciągnął się na wznak. Bob zaniepokojony ujął go za rękę.

– Jeśli chcesz, wezwę lekarza specjalistę, albo umieszczę cię w najdroższej klinice nowojorskiej.

Percy pokręcił głową na znak odmowy.

– Za nic nie chcę lekarzy! Nie chcę umierać w białym pokoju szpitalnym! Niechaj nikt nie wie, że jestem chory... Przyjście lekarza wzbudziłoby podejrzenia. Będę rad, jeśli mnie odwiedzisz od czasu do czasu...

Z sąsiedniego pokoju doleciały odgłosy kłótni. Głos mężczyzny brzmiał silnie, głos kobiety był ostry, pełen złości.

– Życie toczy się dalej – szepnął Percy.

– Tak, ono toczy się dalej – przyznał Bob.

Słowa pociechy zabrzmiały fałszywie. Kłamstwa zawsze brzmią fałszywie. Prawda wychodzi na wierzch, jak pęcherzyki powietrza ze stojących wód stawu. Nie był już zdolny do kłamstwa, zwłaszcza że wiedział, co miało nadejść. Percy był już bliski kresu, on zaś musi jeszcze poczekać, aż przyjdzie jego pora.

– Chcesz, żeby ci przynieśli coś do picia?

– Wiesz, czego bym chciał, Bob? Dużej dawki heroiny, która by mnie szybko zabiła, żebym nie musiał znosić udręki konania, Bob!

– Tak, Percy.

– Możesz mi przynieść dużą dawkę heroiny?

Spojrzał na niego błagalnie.

Bob cofnął się.

– Oskarżają mnie, że pomogłem ci się zabić.

Percy zwiesił głowę.

– Rozumiem... Euta... euta...

– Eutanazja.

– Tak! Eutanazja jest karalna. Nie chciałem cię skrzywdzić. Odpłacić niewdzięcznością za twoją dobroć.

Westchnienie wyrwało się z piersi Boba.

– Dostaniesz heroinę! Wkrótce się zobaczymy.

Wyszedł szybko, żeby nie okazać wzruszenia i własnej słabości.

Po powrocie do hotelu czym prędzej się wykapał, ubrał i zjechawszy na dół wsiadł do auta. Pomknął do Bovery, gdzie miał nagrać scenę swego zstąpienia do piekieł, spowodowanego przez Flo. Giselle okazała się znakomitą

aktorką. Można by przysiąc, że jest wcieleniem zła. Kiedy krążyła między stolikami uginającymi się od szklanek i trunków, goście klepali ją po pośladkach, robiąc do niej oko i opowiadając sprośne żarty, co przyjmowała z prowokującym uśmiechem. Amatorzy bardziej namacalnych przyjemności zachęcali ją mrugnięciem, aby poszła z nimi do latryn. Bar był tak zatłoczony, kelnerki i właściciele tak zajęci, że nikt by nawet nie zauważył jej nieobecności. Podobnie zachowywała się późno w nocy, kiedy Bob przychodził, żeby ją odprowadzić do domu. Flo mieszkała w marnej klitce, w marnym domu, wśród marnych lokatorów. Bob zaproponował jej czyste, wygodne, obszerne mieszkanie, lecz ona odmówiła mu z pogardą. Lubiła go upokarzać, sprawiać mu ból, wzbudzać w nim zazdrość.

Powrót do Bovery w charakterze sławnej i bajecznie zarabiającej gwiazdy nie stanowił dla Boba rewanzu nad żalną przeszłością. Ta ulica, która jak kochanka przyciągała nowojorskie męty, była dla niego źródłem, do którego powracał mimo woli. Śniło mu się często, że muskularne ramiona, olbrzymie łapy o zakrzywionych palcach wyciągają go z łóżka i przenoszą do tego środowiska, w którym krążą włóczędzy i nędzarze, do niedawna jeszcze jego współtowarzysze niedoli.

Poszczególne sekwencje filmu kręcono nie w porządku przewidzianym przez scenariusz, ale w miejscu, gdzie one wszystkie się rozgrywały, na przykład we wspaniałej rezydencji na Long Island, nawet jeśli między nimi miały zajść inne wydarzenia, wymagające przeniesienia kamer do innych dzielnic miasta. Dzięki temu oszczędzano czas, starając się ukończyć zdjęcia w ustalonym terminie.

Kiedy Bob przybył na miejsce, gdzie cała ekipa z O'Neillem na czele już go oczekiwała, stwierdził, że spóźnił się o kwadrans. Peter rzucił mu karcące spojrzenie, ale powstrzymał się od uwag.

Miano filmować sekwencję, toczącą się o świcie w zaułku, gdzie Bob i Flo kłócili się wracając z nocnego baru. Włóczędzy i łotrzykowie, którzy spali w kątach zasłoniętych pudłami z kartonu, obudzeni głośną rozmową, wstawali jak duchy, otaczali ich, słuchali szydząc z nich coraz bezczelniej. Kilku oprychów nie zważając na opór Boba unieruchomiło go, podczas gdy ich kumple przewrócili kelnerkę na kupę śmieci i kolejno ją gwałcili. Nie broniła się zbytnio, rzucając drwiące spojrzenia Bobowi, który nie mógł się ruszyć, bo trzymały go silne ramiona, takie, jakie widział w swym koszmarnym śnie.

Podczas kręcenia filmu służby porządkowe powstrzymywały tłum gapiów, prawdziwych włóczęgów, którzy przepychali się, żeby przyjrzeć się widowisku.

Kiedy O'Neill dawał ostatnie instrukcje, zapaliły się reflektory i kamery umieszczano w odpowiednich miejscach, Bob i Giselle ucharakteryzowani i ubrani zgodnie z wymogami scenariusza, wchodzili do zaułka. Włóczędzy-statyści spali wśród śmieci. Popękany asfalt ociekał wodą. Szczury biegały tu i tam. Szczegóły starannie dobrane przez O'Neilla ukazywały przerażającą nędzę.

Zaczęto zdjęcia. Bob dobrze nauczył się swoich replik. Ale O'Neill zirytowany przerwał kręcenie filmu.

– O czym ty myślisz, Bob? Zamiast kłać, wyzywać swą partnerkę, okazując jednocześnie zazdrość, doprowadzającą ciebie niemal do szału, grasz jakby od niechcienia, w każdym razie bez przekonania, jakbyś miał głowę w chmurach. Nie spałeś tej nocy? Co się z tobą dzieje?

Bob przyjął napomnienie wiedząc, że jego interpretacja roli była oplakana. Wciąż jednak nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, jakie zrobiło na nim spotkanie z Percym. Gra w filmie, dialog, ruchy statystów i wysiłki techników – wszystko wydawało mu się bez znaczenia w porównaniu z agonią tego człowieka.

Zawodowcy pracujący z nim nie mieli pojęcia o jego wewnętrznych rozterkach. Kiedy O'Neill dał znak ponownego rozpoczęcia zdjęć, Bob skoncentrował się, chcąc pokonać zdenerwowanie i wejść niejako w skórę swej postaci. Ale błagalny wzrok Percy'ego, który prosił go o heroinę, powrócił mu w pamięci. Dał więc upust całej rozpacz, całej wściekłości na los, który wziął się, by zniszczyć jego przyjaciela. Całą swą boleść i beznadziejność przelał w słowa, które powinien był powiedzieć zgodnie ze scenariuszem.

Okazał się tak patetyczny, tak przekonujący, że po skończeniu tej sekwencji O'Neill, zazwyczaj chłodny jak sople lodu, wstał ze swego składanego krzesła, podszedł do Boba i uścisnął go serdecznie.

– Brawo! Jesteś wielkim aktorem, Bob! Naprawdę wielkim aktorem!

Bob płakał wyczerpany napięciem nerwowym.

Ekipa ze zdziwieniem patrzyła na O'Neilla. Od pewnego czasu sarkastyczny, nieugięty reżyser stał się innym człowiekiem. W jego ożywieniu dostrzegali wewnętrzny niepokój, niepojęty rozdźwięk między rzeczywistością zewnętrzną a intymnymi przeżyciami.

Sekwencja zbiorowego gwałtu wymagała ruchliwości kamer. Zbliżenia, zmiany planów dookoła postaci, kłębiących się nad Flo, ukazanie całej nienawiści i szyderstwa, z jakim owa dziewczyna, gwałcona przez łajdaków na oczach pogardzanego kochanka spoglądała niekiedy na niego, wydobyte z

twarży łotrów ich upodlenia i rozpasanej namiętności – wszystko to wymagało mistrzostwa operatorów.

Następnie cała ekipa przeniosła się do baru na Mulberry Street, gdzie filmowano rozwiąże postęпки Flo. Bob miał wystąpić dopiero pod koniec dnia, tak że zostało mu wiele czasu na rozmyślenia. Bar, wybrany po długich poszukiwaniach przez O'Neilla, był typowym lokalem tej kategorii. Reżyser zawsze wolał robić zdjęcia w naturalnym środowisku aniżeli w dekoracjach filmowych.

Bob, ubrany tak samo jak miliony młodych ludzi, noszący dzinsy, jaskrawą koszulę, skórzaną kurtkę i grube buty, wprost z planu wyszedł na Bovery, aby poszukać heroiny dla Percy'ego. Nie brakowało tu drobnych handlarzy narkotyków. Łatwo ich było można rozpoznać w tłumie. Przemykali pod ścianami, zawsze gotowi do ucieczki. Rozbieganym wzrokiem szukali klientów, spragnionych ich towaru.

Bob, który nigdy nie używał narkotyków i jak dzumy unikał handlujących nimi ludzi, nie wiedział, jak się zachować w tym osobliwym świecie. Torował sobie drogę w tłumie szukając okazji.

– Nie lubi pan pięknych snów? – szepnął mu do ucha Portorykańczyk w ciemnych okularach, który zauważył jego manewry.

– Heroina! – mruknął Bob.

– W pierwszorzędnym gatunku. Niech pan pójdzie ze mną w tę uliczkę. Boję się glin.

Bob z bijącym sercem ruszył za nim. Gdyby go przyłapała policja, to byłaby katastrofa. Bał się nie tyle skandalu, ile pozbawienia wolności. Rok więzienia oznaczałby dla niego wyrok śmierci.

Wśliznęli się w wąski, śmierdzący i błotnisty przesmyk między dwoma odrapanymi domami. Przecisnęli się między pojemnikami na śmieci, pustymi pudłami z kartonu, starymi gratami. Nagle trzech Portorykańczyków współdziałający z przewodnikiem Boba wyszli z korytarza, rzucili się na niego, pobili, zabrali mu pieniądze i wszystkie cenne przedmioty: rolex, złotą bransoletkę i łańcuszek. Jeden z nich znalazł w portfelu prawo jazdy.

– Zatrzymaj forszę i wyrzuć portfel ze świstkami! – rozkazał herszt, barczysty facet o twardym spojrzeniu.

Pomocnik wypełnił jego polecenie, po czym napastnicy wzięli nogi za pas.

Bob leżał, nie mogąc przyjść do siebie. Bolała go głowa, rozdzierający ból w okolicach żołądka i w żebrach nie pozwalał mu się poruszyć. Sięgnął tylko po portfel leżący obok niego i rozrzucone dokumenty. Wsunął je do kieszeni kurtki. Po chwili z trudem wstał i słaniając się ruszył w kierunku głównej ulicy. Znalazł się znowu w falującym tłumie, który nie zwracał nań wcale uwagi. Podbite oczy, strużka krwi ciekąca mu z nosa, ubranie – wszystko pasowało do otoczenia. Skinął na taksówkę, lecz na jego widok kierowca przyspieszył i odjechał.

Kuszyk, kuszyk, powrócił do baru i powłókł się do pomieszczenia, w którym pracowali charakteryzatorzy. Zdumieni jego żalosnym wyglądem położyli go na zaimprovizowanym łóżku i otoczyli opieką, przeklinając tę niebezpieczną dzielnicę. Bob stopniowo się uspokoił. Zmieniono mu ubranie, zatuszowano siniaki. Miał wkrótce wejść na plan. Stosując wszystkie środki, jakie były pod ręką, doprowadzono go do stanu, w jakim mógł wystąpić. Tym razem stawił się na miejscu bez spóźnienia.

Myślał, że wyszedł z tej przygody obronną ręką. Portorykańczycy mogli mu wbić nóż w brzuch, jak to już weszło w zwyczaj.

Późnym wieczorem wrócił wyczerpany do hotelu. Gorący natrysk nieco go ożywił. Mógłby zamówić sobie obiad do pokoju, ale miał jeszcze coś do załatwienia. Włożył biały smoking, z jedwabną koszulą i czarną muszką. Poprawił na ile się dało swój makijaż – nauczył się tego odkąd został aktorem – i włożył ciemne okulary, aby zasłonić podbite oczy. Brzuch i żebra wciąż jeszcze były obolałe.

W barze spotkał Raya w stroju wieczorowym. Wzmacniał się właśnie koktajlem *Between the Sheets*. Na widok Boba jego twarz rozjaśniła się, jakby padł na nią promień słońca.

– Taki sam koktajl dla mister Flynna! – zwrócił się do barmana. I dodał pod adresem Boba: – To wybuchowy napój, który pomoże ci widzieć świat w różowych barwach.

Podczas gdy barman przygotowywał koktajl, Ray bacznie przyjrzał się przyjacielowi.

– Jesteś nie w sosie! Co mogę zrobić, żebyś odzyskał formę? Barman podał swoje arcydzieło.

– Proszę, oto pański *Between the Sheets*, mister Flynn. Doskonała kompozycja! Biały rum, koniak, *Trupie Sec* i sok cytrynowy.

Kryształowa szklanka była przybrana krążkiem cytryny. Bob skosztował.

– Niezły.

Mrukliwość Boba zaintrygowała jego towarzysza.

– Zdaje się, że jesteś w moralnym niżu – zażartował.

Bob po chwili wahania opowiedział o spotkaniu z Percym i o swojej ostatniej przygodzie.

– Muszę mieć kilka porcji heroiny. Za wszelką cenę.

Nie wspomniał o tym, że Percy miał zamiar skończyć ze sobą. Ray uśmiechnął się.

– Odwykłeś od podejrzanych kontaktów. W ciągu kwadransa dostaniesz to, czego chcesz. We wszystkich wielkich hotelach, jak zresztą wszędzie, są ludzie – o których dodatkowym zajęciu dyrekcja zapewne nie wie – którzy mogą ci dostarczyć do wyboru: call-girl, call-boy, albo najsilniejsze narkotyki. Wystarczy dobrze zapłacić. Oddam ci tę drobną przysługę. Ale pod jednym warunkiem.

– Zgoda! – wykrzyknął Bob uradowany.

– Pójdiesz ze mną dziś wieczór do moich nowojorskich krewnych, którzy robią mi wyrzuty, że ich zaniedbuję. Właśnie miałem zamiar wstąpić do ciebie, żeby cię zaprosić.

Bob obejrzał się w lustrze umieszczonym za plecami barmana.

– Czy wyglądam na spragnionego zabawy?

– Ja o tym zdecyduję. Dobrze ci robi zmiana atmosfery. Kto mógłby cię lepiej znać niż ja?

– Jak mogę się pokazać na wieczornym przyjęciu w przyzwoitym domu mając na nosie słoneczne okulary?

– Wszyscy będą patrzeć na ciebie z uwielbieniem. Ekstrawaganckie sławy dostarczają tyle tematów do pasjonujących rozmów.

– Ekstrawaganckie? Zbite po mordzie, to byłoby bliższe prawdy wyjaśnienie.

– Każ podprowadzić sobie samochód. Ja tymczasem zajmę się tym, czego ci potrzeba.

Dziesięć minut później ferrari Boba ruszyło sprzed hotelu.

– Mam w kieszeni cztery pakieciki heroiny. Nie zdobyłbym ich dla ciebie, gdybym nie wiedział, że chodzi o kogoś ci bliskiego. Czy przynajmniej umie się posłużyć tym narkotykiem? Przedawkowanie otworzyłoby przed nim wrota Hadesu.

– Kto to jest Hades?

– Przyzwoity pan, który zajmuje się naszymi szczątkami. Tak przynajmniej utrzymywali Grecy.

Ukrył heroinę pod siedzeniem.

– Prowadź ostrożnie, Bob. Nie należy zwracać na siebie uwagi glin.

– Jestem speszony. Poniosłeś wielkie ryzyko, żeby zrobić przysługę Percyemu, człowiekowi, którego nie znasz.

– Chciałem tobie oddać przysługę. Jeśli idzie o Percy'ego, byłbym o niego zazdrosny, gdybym nie wiedział, że stoi na progu śmierci. Zresztą nie trzeba przesadzać. Nie ryzykowałem tak wiele. Za pieniądze wszystko można kupić. Hollywood nafaszerowane jest kokainą i heroiną. Z jednym zastrzeżeniem: nie wolno przekraczać granicy mając przy sobie bodaj najmniejszą dawkę narkotyku. Przemycanie pociąga za sobą ciężkie następstwa. Używanie jest mniej groźne.

Bob zrobił stropioną minę.

– Ty, Ray, należąc do elity społecznej, znasz więcej złodziejskich sekretów niż ja, urodzony wśród hołoty. Bronilem się jak straceniec przed łotrami, którzy chcieli mnie wciągnąć do handlu białą trucizną. Ile to ja dostałem cięgów, bo nie dałem się zwerbować! Którejś nocy tak mnie sprali, że zostawili mnie bliskiego śmierci. Ale nie ustąpiłem. Znudziło się im wreszcie mnie nagabywać.

Percy powitał ich z radością. Stał, mimo że nogi ugięły się pod jego ciężarem, aczkolwiek był to ciężar zredukowany już do minimum. Chciał jednak uhonorować swoich gości.

Przed podaniem mu heroiny Bob zadał sobie dramatyczne pytanie. Czy miał prawo podać mu śmierć na tacy? Odpowiedział na jego błagania. Lecz Percy postradał już jasność sądu. Był doprowadzony do rozpaczycierpieniami, myślą o zbliżającej się śmierci. Bob omal nie wykrzyknął: „Jestem równie chory, jak ty! Wszedłem już do przedsionka zagłady. Dla mnie, tak jak i dla ciebie, nie ma odwrotu. Idę tuż za tobą!”

Percy przyjął heroinę z zachwytem i wdzięcznością. Nagle zdławił go lęk.

– Zapomniałeś o strzykawce!

– Nie! – odparł Ray wyjmując ją z kieszeni. – Oto ona!

Bob poczuł wyrzuty sumienia. Uczynił Raya współnikiem swej zbrodni.

Percy przycisnął do serca narkotyk i strzykawkę, jakby stał się posiadaczem nieoszacowanego skarbu. Spojrzał z podziwem na obu młodych ludzi.

– Jacy jesteście piękni! Jak anioły, które zstąpiły z nieba. Moje dobre duchy.

Bob przybity słowami Percy'ego pomyślał: „Aniołowie śmierci! Aniołowie twojej śmierci! Aniołowie czy diabli?” Ray przerwał jego rozmyślenia.

– Tylko nie przedawkuj, Percy!

– Ależ nie! Chcę tylko złagodzić bóle... Życzę wam największych sukcesów! Z radością obejrzę wasz nowy film...

Przed odejściem Bob obiecał znowu go odwiedzić. Percy przyjął to za dobrą monetę. Po wyjściu gości upadł na łóżko. Nogi nie mogły go już dłużej utrzymać. Odetchnął z ulgą. Nareszcie był panem swego losu. Skończy z sobą. Ale odczeka kilka dni, żeby policja nie połączyła jego śmierci na skutek przedawkowania – z odwiedzinami przyjaciół. ..

– Wyjedziemy na 5. Aleję. Adres moich krewnych, o których ci mówiłem, bliski jest Plazy.

Zieleń Central Parku rozsiewała rozkoszną świeżość. Bob był jeszcze pod wrażeniem ostatniego spotkania z Percym. Wiedział, że będzie ono ostatnim.

– Powinieneś znać zabawne szczegóły dotyczące tak zwanego high life'u w Nowym Jorku, czyli wytwornego towarzystwa, bardzo zamkniętego i bardzo przeświadczonego o tym, że w żyłach jego członków płynie niebieska krew.

– Co takiego? – zapytał Bob wyrwany ze swoich rozmyślań.

– Żebyś czuł się swobodniej w tym arystokratycznym świecie, powinieneś wiedzieć, że jego początki są dość niepewne. Ci ludzie tak dumni ze swej rasy, otrzymali pewien połysk dzięki milionom dolarów odziedziczonych po przodkach, z których bynajmniej nie wszyscy odznaczyli się uczciwością. Najślawniejsze postaci z amerykańskiego almanachu gotajskiego mają wśród swoich protoplastów wielu biedaków, których nędza wygnała z Europy. Wielkie fortuny nigdy prawie nie powstały dzięki uczciwym środkom. Strawestuję maksymę Roche-foucaulda: „Uczciwość wielkich rodzin jest niczym innym niż sztuką udawania uczciwości”. Dzisiejsi spadkobiercy są jedynie bladymi, szacownymi cieniami dawnych awanturników. Wystarczy przeczytać dzieje naszych wielkich finansistów i przemysłowców XVIII i XIX wieku, aby zrozumieć tę smutną prawdę. Ich bogactwa powstały z tego, co nazywa się dzisiaj pierwotnym kapitalizmem.

– Po co mi mówisz to wszystko?

– Żebyś nie dał się zasugerować ich wyniosłym minom, za którymi kryją się często miernoty. Ale miernoty, których zasługą jest ściśle podporządkowanie się niepisanym prawom ich osobliwego świata. Nie bój się jednak; przyjmą cię z całą uprzejmością, gdyż lubią otaczać się sławnymi ludźmi. Snobizm jest dla nich normą postępowania, aczkolwiek temu przeczą.

– Sądząc z tego, co mi przed chwilą powiedziałeś, należysz właśnie do tej grupy uprzywilejowanych.

– Tak, ale się tym nie chwale. Zachowuję poprawne stosunki z tym towarzystwem, które mnie nudzi. Są takimi snobami, że mieszkańcy konserwatywnej 5. Alei unikają kontaktów z parweniusza-mi mieszkającymi na Park Avenue. Wszyscy ci *golden boys*, złota młodzież, pochodząca z przedmieść Nowego Jorku, która dorobiła się fortun na spekulacjach giełdowych, która dzięki inteligencji i pracy, jak również dzięki brakowi skrupułów, zdołała wspiąć się na szczyty wielkiej finansjery, to dla moich krewnych i ich znajomych jedynie dorobkiewiczze bez żadnej pozycji towarzyskiej.

– I ty myślisz, że będę się dobrze czuł wśród tych ludzi?

– Wzbogacanie wiadomości jest przywilejem istoty ludzkiej.

Ray mówił to, żeby Bob nieco się odprężył. Wyobrażał sobie jego przerażenie, jego lęk po spotkaniu z Percym. Przypuszczenie, że zamierza on popełnić samobójstwo i jemu przyszło na myśl. Był równie wzburzony jak Bob... Powtarzał jego imię jak zaklęcie... Bob... Bob... Bob... Zapytywał się, czy nie lepiej było pozwolić mu utonąć w Palos Verdes, jak Bob na pewno by sobie życzył... Ale przyjaźń, ale miłość Raya zagłuszyły rozum. Uratował Boba nie myśląc o tym, co nastąpi. O powolnym rozpadzie jego ciała, który

będzie się odbywał na jego oczach. Czyżby uratował go z pobudek egoistycznych? Bo nie mógł się pogodzić z myślą, że go straci? Że nie będzie go widywał, słyszał jego głosu, wyczuwał bicie jego serca, dotknięcia jego skóry... Usłyszał śmiech Boba.

– Zawsze chciałeś wzbogacić moje wiadomości. A ja zawsze podziwiałem, jak pięknie mówisz.

– Kwestia przyzwyczajenia.

Udawana wesołość Boba maskowała jego strach. Nie chciał martwić przyjaciela swoimi skargami. Ray był wzruszony jego delikatnością. Obaj unikali jedyne go tematu, który w równej mierze obchodził ich obu.

– Nie przyzwyczajenia, ale wykształcenia – odparł Bob z uśmiechem.

Prowadzili zdawkową rozmowę, jak ludzie, nie mający żadnych zmartwień.

* * *

We wspaniałym domu, który wznosił się na 5. Alei górując nad Central Parkiem, obrazy Bonnard'a i Van Gogha, Gauguina i Cezanne'a, Pissara i Degasa, Moneta i Matisse'a zdobiły ściany obite czerwoną i złotą tkaniną. Pan tego domu nie należał do ludzi, którzy kupują obrazy ze względu na ich zawrotne ceny, ale był prawdziwym znawcą sztuki, wybierał płótna określonej szkoły i to płótna najpiękniejsze.

Dawid Stafford, gospodarz, i jego żona Clarissa mieli oboje to, co nazywa się klasą. Nosili swe ubrania tak, jakby się w nich urodzili. Stroje wieczorowe, kostiumy do konnej jazdy i konnych polowań albo ubrania marynarskie, potrzebne podczas pływania na ich własnym jachcie, leżały na nich jak ulał. Elegancja, wykwint i dobry smak odróżniały ich od pospólstwa. Nie istniały dla nich problemy pieniędzy. Przyjęcia u nich stanowiły atrakcję

zarówno dla *jest-set* i arystokracji, jak i dla sławnych ludzi i dla modnej młodzieży. Klejnoty kupione na Place Vendôme, suknie – unikalne kreacje wielkich krawców francuskich i włoskich, od niedawna dyktujących modę na światowym rynku – smokingi angielskiego kroju, wszystko to nadawało szczególny charakter całości prezentowanych strojów.

Orkiestra cicho grała przeboje z lat czterdziestych, co również było dowodem dobrego smaku. Rozmawiano półgłosem, nie rozlegały się wybuchy śmiechu, jakby zbytne okazywanie wesołości było tutaj niestosowne.

Bob podziwiał swobodę, z jaką Ray obracał się wśród tych osób, które mimo uprzejmości i dobrego nastroju miały w sobie pewną sztywność. Przyjęto tutaj Boba z wszelkimi względami, jako przyjaciela Raya i jako sławnego aktora. Otoczyły go panie w różnym wieku, nie szczędząc mu komplementów. Ray obserwował go z daleka i cieszył się jego powodzeniem. Nie mógł poświęcić mu dość czasu, gdyż pani domu – jego ciotka – przedstawiała go swoim przyjaciółkom.

– Matka Raymonda Edwarda jest z domu Sunderland-Beauclair! Majątek, wykształcenie, wygląd fizyczny, działalność zawodowa – wszystko było niczym wobec najwyższego argumentu: arystokratycznego pochodzenia jego matki, które wycisnęło na nim swoje piętno.

– Raymond Edward – spieszczenia imion nie uznawano – uległ, moje drogie, czarowni kinematografii. Powiększył liczbę aktorów i reżyserów wywodzących się z arystokracji. Ira von Furstenberg, księżę Visconti, Elissa Landi z Habsburgów, obecnie zaś mój siostrzeniec Ray, prawdziwy potomek diuków de Sunderland.

Arystokratki amerykańskie, pochodzące z rodów, których korzenie były jeszcze znane, żywiły szacunek dla starego szlactwa Raymonda de Rhys i jego matki, gdyż jego przodkowie brali udział w wyprawach krzyżowych.

Otoczony rojem dziewcząt Bob spostrzegł stojącą na uboczu Lorrie Lamont, która uśmiechała się do niego trochę zagadkowo. Znowu poczuł pociąg bardziej intelektualny niż fizyczny do tej dziewczyny, która podbiła go od pierwszego wejrzenia. Najwidoczniej Lorrie znajdowała się w swoim świecie. Przeprosił rozmawiające z nim dziewczęta i utorował sobie drogę do Lorrie.

– Pani tutaj? – powiedział uradowany. – Co za niespodzianka!

– Podążałam za panem – odparła poważnie. – Jestem dziewczyną, która wie, czego chce i dąży bez wahania do celu. Postanowiłam poślubić pana. Nie należę do dziewcząt, które marzą o tym, aby je kochano dla nich samych, a nie dla ich pieniędzy. Jestem bogata i mam dwadzieścia milionów dolarów, które zostawiła mi w spadku moja matka. Ojciec nie ożenił się powtórnie i kieruje poważną firmą naftową, która warta jest około dziesięciu bilionów. Te pieniądze otrzymam po jego śmierci.

Bob był całkowicie zaskoczony.

– Niech pan nie sądzi, że sugeruję panu transakcję handlową. Pan ma własne gaże i to dosyć znaczne. Ale sława aktorów nie jest wieczna. Dzięki mnie zapewni pan sobie przyszłość, nawet jeśli pana własne dochody się zmniejszą. Miliony dziewczyn byłyby szczęśliwe mogąc mieć pana za męża. Kocham pana i mam wrażenie, że nie jestem panu obojętna.

Dobry nastrój Boba prysnął w jednej chwili. Rozwiały się jego złudzenia. Lorrie zaproponowała mu, że go kupi! Miał wstręt do takich transakcji. Chciał zapomnieć, że niegdyś żył z prostytucji. A czymże innym jest poślubienie

kobiety znacznie bogatszej od siebie? Lorrie znów przypomniała mu, co go czeka. Było to jak zaćmienie słońca, kiedy wszystko pogrąża się w mroku. Uświadomił sobie raz jeszcze, że jest skazany na śmierć i korzysta jedynie z odroczenia wyroku.

Lorrie spostrzegła, że twarz Boba nagle się zasepiła. Powiedziała ze smutkiem w głosie:

– Sądząc po pańskiej reakcji zdaje mi się, że wzięłam złudzenia za rzeczywistość. Przypuszczałam, że pan mnie kocha równie, jak ja pana. Omyliłam się.

– Bardzo mi pochlebia pani propozycja, Lorrie – powiedział na pozór ucieszony. – Ale małżeństwo bywa często jedynie przygodą, która źle się kończy. Albo połączeniem interesów, co budzi we mnie wstręt.

– Nie jestem dość ładna? Abstrahując od mego majątku.

– Jest pani bardzo ładna.

– Jesteśmy prawie w jednym wieku. Mam około dwudziestu lat. Ach, wiem, co pana powstrzymuje. Myśli pan, że kobiety szybciej się starzeją niż mężczyźni.

– Ależ nie! Pani zawsze będzie doskonała.

– Pan kpi ze mnie... – stwierdziła z wyrzutem.

– Mylnie pani tłumaczy sobie moje słowa. Ale pewnego dnia zrozumie pani wszystko.

Powoli przesunęła sznurek pereł w szczupłych palcach.

– To przykre być odepchniętą. Niech pan uważa moją ofertę za nadal aktualną. Noc przynosi dobre rady. Może jutro pan zatelefonuje i przekaże mi dobrą wiadomość...

Odzyskała swoją pogodę ducha.

– Nie przywykłam spotykać się z odmową. Nie wymknie mi się pan.

Zmienna jak wiosenny dzień uciekła ze śmiechem. Ray skorzystał z jej odejścia.

– Założę się, że Lorrie próbowała cię uwieść. Byłaby dobrą dziewczyną, gdyby miliony jej papy nie przewróciły jej w głowie.

Kamerdyner oznajmił z wyraźnym akcentem angielskim:

– Madame est servie!

Towarzystwo przeszło do ogromnej sali jadalnej z żółtego cętkowanego marmuru, sprowadzonego umyślnie z Włoch. Dziesięć okrągłych stołów, każdy dla dziesięciu osób, rozstawiono między korynckimi kolumnami i antycznymi posągami. Clarissa uwielbiała sztukę starożytnych Greków i Rzymian, toteż kazała swoim architektom urządzić pompejański perystyl na wielkie przyjęcia.

Karty o złożonych brzegach z nazwiskami gości wskazywały każdemu jego miejsce. Bob znalazł się między dwiema damami, które przebrały miarę zarówno we francuskich perfumach, jak i w ilości klejnotów. Stwierdził, że dłonie jego sąsiadki z prawej strony były gładkie jak kość słoniowa, natomiast na dłoniach sąsiadki z lewej pojawiły się już brunatne plamki, a żyły nabrzmiały. Chirurgom nie udało się jeszcze odmłodzić dłoni.

Obie damy zalały Boba potokiem słów nie pozwalając dojść do słowa. Prześcigały się w pochwałach jego talentu i osiągnięć artystycznych. Młodsza sąsiadka z prawej strony znalazła sposób, aby wsunąć mu niepostrzeżenie wizytówkę do kieszeni, rzucając przy tym obiecujące spojrzenia.

Sąsiadka z lewej, płonąc z ciekawości, wypytywała go o tysiące szczegółów w związku z zamachami na życie O'Neilla.

– No cóż! – westchnęła – sława i talent wzbudzają zazdrość i rywalizację.

Lorrie siedziała przy stole niedaleko Boba. Rzucała mu od czasu do czasu natrętnie spojrzenia, których starał się nie dostrzegać. Ray, siedzący naprzeciwko Lorrie śledził jej zachowanie z pewnym rozbawieniem i odrobiną pogardy. Lorrie, tak słodka, tak pociągająca, tak delikatna, stałaby się nieznośną żoną, trzymającą swego męża na smyczy, jak kosztownego pieska. Bobowi miały być oszczędzone starcia i przykrości, które mogłaby mu wyrządzić Lorrie.

Ten cyrk towarzyski, z jego małostkami i ubóstwem myśli jednocześnie bawił go i zasmucał. Mimo że odnoszono się do niego z największą atencją – potomek diuków godzien był wszelkich honorów – obojętnie przysłuchiwał się rozmowom, jakie prowadzono na jego temat. Zaproszono go już na polowania, na podróże statkiem, na wiele obiadów; wymówił się od nich mówiąc, że musi dokończyć zdjęcia do nowego filmu.

Oczy jego często zwracały się w stronę Boba. Jego rychła śmierć odbierała Rayowi chęć do życia. Spostrzegł niechętnie spojrzenie Lorrie. Nienawidziła go, gdyż intuicja kobieca mówiła jej, że ma w nim rywala. I to niebezpiecznego rywala, którego należałoby się pozbyć.

Okolo trzeciej nad ranem przyjęcie dobiegło końca. Przed rozstaniem się z Bobem Lorrie powiedziała:

– Będę czekała na pański telefon. Oczywiście, jeśli nie jest pan już zajęty.

Dwuznaczny ton jej słów wywołał uśmiech Boba. Zachwycający uśmiech, który umocnił jej chęć zdobycia go za każdą cenę.

Przy wejściu do budynku Bob w towarzystwie Raya czekał w tłumie gości, aż mu podstawią jego ferrari. Dał sowity napiwek służącemu i usiadł za kierownicą obok Raya.

Lorrie odprowadzała wzrokiem odjeżdżające auto, przygryzła wargi, po czym wsiadła do własnego wozu.

Bob zatopiony w myślach prowadził jak automat. Ray nie spuszczał go z oczu. Wyczuwał instynktownie, że jego przyjaciel jest cierpiący. Uczucie paniki budziło w nim dreszcze.

Nagle Bob zatrzymał wóz przy chodniku, przy czym zrobił to tak niezręcznie, że otarł się o dwa stojące samochody.

Oddychał z trudem.

– Siądź za kierownicą, Ray! Znów zrobiło mi się niedobrze, słabo, kręci mi się w głowie...

Ray wyskoczył z auta, okrążył je i zajął miejsce Boba, który z trudem przesunął się, dygocząc z zimna.

Ray zdjął marynarkę i okrył delikatnie ramiona przyjaciela.

– Pojedźmy do lekarza!

Bob pokręcił głową. Szczekał zębami.

– Nie trzeba... Moje zamroczenia są... coraz częstsze... po nich przychodzi ogólna słabość... i uczucie przejmującego zimna... symptomy... cho...

Nie dokończył słowa: choroby.

– Jedźmy do hotelu... Proszę cię, Ray... Jedźmy... Lekarz nie mógłby nic zrobić... absolutnie... nic...

Poruszony do głębi Ray ruszył z miejsca.

– Co mogę zrobić dla ciebie?

Bob zwiesił głowę.

– Nic... nic... Chciałbym umrzeć w świetle... reflektorów... w toku pracy... jak ten wielki aktor, o którym... mi mówiłeś...

– Molier!

– Tak... Molier! To śmieszne, że ten aktor... przychodzi mi na myśl...

– Nie męcz się! Nie rozmawiaj! Zachowaj siły.

Gorzki śmiech Boba przechodzący w szloch wstrząsnął Rayem.

– Mam nadzieję, że starczy mi sił... na skończenie filmu...

– Nie pleć głupstw! Twoje zaślabnięcia są przejściową niedyspozycją.

Wielu seropozytywnych nie zapada na tę chorobę. Przystudiowałem uważnie książki lekarskie...

Bob odpowiedział ledwo słyszalnym szeptem:

– Mówisz tak, jak ja mówiłem... jak mówiłem Percy'emu... Kłamałem... i on to wiedział...

Ray miał dziwne, rozpaczliwe uczucie, że czyta powieść, której zakończenie już zna. Nie chciał dopuścić do tego, żeby Bob umarł. Nie mógł się pogodzić z myślą, że go straci. Odsuwał tę myśl od siebie, mimo że uważał to za niedorzeczność, gdyż walka z losem była niepodobieństwem. Los żądał unicestwienia Boba... Ray był w rozpacz. Niemożność uratowania przyjaciela, bardzo drogiego przyjaciela, wyczerpywała go nerwowo. Przeżywał koszmar. Wszystko stawało się nie do zniesienia...

Ferrari stanęło przed wejściem do Plazy. Służba wybiegła na ich spotkanie. Ray nawet nie zwrócił na nią uwagi. Pomógł Bobowi dowlec się do holu.

Błada, ziemista twarz Boba zwróciła uwagę recepcjonisty.

– Mister Flynn źle się czuje? Może potrzeba lekarza?

Bob jak przez watę usłyszał śmiech Raya.

– Popiliśmy sobie! Ale ja jestem wytrzymalszy niż mój przyjaciel. Powtórzyły się w przybliżeniu okoliczności towarzyszące umieszczeniu Percy'ego w hotelu.

– Pomóc panu, mister Rhys?

– Nie, dziękuję.

Wsiedli do windy, weszli do apartamentu Boba. Lokaj pełniący nocny dyżur przyszedł, aby mu pomóc w rozbieraniu.

– Sam sobie poradzę – rzekł Ray. – Niech pan idzie spać.

– Muszę czuwać do świtu – odparł służący.

– Niech pan wyjdzie.

– Dobrze, proszę pana. Gdybym był potrzebny, proszę zadzwonić.

Służący uśmiechnął się nieznacznie zamykając drzwi. Ray zrozumiał, że jego postępowanie zostało mylnie ocenione. W rzeczywistości bał się, czy na ciele Boba nie wystąpiły plamy, co wzbudziłoby podejrzenia lokaja.

Troskliwie i delikatnie rozebrał Boba. Przeczytał gdzieś, że w niektórych przypadkach AIDS na skórze chorych występują brunatne plamy. Odetchnął z ulgą: ciało Boba nie miało jeszcze żadnych zewnętrznych oznak choroby. Rozwijała się ona poza nietkniętą jeszcze fasadą... Zauważył tylko, że Bob nieco schudł. Łzy napłynęły mu do oczu. Rozumiał niechęć Boba do poddania się oględzinom lekarskim. Udało mu się zachować tajemnicę swej choroby i chciał umrzeć nie ujawniwszy jej przed nikim.

Ubrał Boba w piżamę, okrył go troskliwie. Długo mu się przyglądał, wsłuchując się w jego regularny oddech. Uradowany zaśnięciem przyjaciela, przeszedł do swego apartamentu i zdjął smoking. Wziął natrysk, włożył szlafrok i powrócił do sypialni Boba.

Zostawił zapaloną lampkę na nocnym stoliku, gdyż chory bał się zbudzić w ciemności. Położył się na kanapce, żeby odpocząć, ale nie mógł zmrużyć oka. Sen go nie nachodził. Patrzył z czułością i przywiązaniem na przyjaciela. Kiedy spał i nie dręczyły go koszmary, twarz Boba miała dziecinny wyraz...

Spack rzucił roztargnione spojrzenie na zegarek. Trzecia rano.

„Cholerny świat! – pomyślał rozgoryczony – pieskie życie!” Spodziewał się, że w Nowym Jorku będzie prowadził wystawne, rozwiązłe życie, wśród pięknych aktorek, które w Los Angeles rozbudziły jego marzenia. Tymczasem nie miał nawet okazji, żeby włożyć swój granatowy garnitur. Zaplątał się w to śledztwo i nie doszedł do żadnych ustaleń. Niemal co noc Spack i Hatcher wraz z Herbertem Groverem, pomocnikiem prokuratora okręgu Manhattan, porucznika Clintona w policji nowojorskiej, Toma Akroyda z FBI i Rexem Ingramem z Biura Narkotyków przeszukiwali kilometry taśm magnetofonowych, na których zarejestrowane zostały rozmowy Lombarda z jego przyjaciółmi, współpracownikami a zwłaszcza z Averil Auberon, przy czym te ostatnie były dość pikantne. Sędziowie federalni z Los Angeles i Nowego Jorku dali zezwolenie na podsłuch telefoniczny.

Lombardo i Averil z przyjemnością wspominali rozmaite pozycje erotyczne, jakie już wspólnie wypróbowali, jak również te, które mieli wypróbować po powrocie Averil do Los Angeles. Podczas jej nieobecności Lombardo odbył błyskawiczne podróże do Las Vegas, do Chicago i Miami, spędził też kilka dni na morzu w towarzystwie biznesmenów i call-girls. Averil wściekałaby się z pewnością, gdyby wiedziała o miłosnych wyczynach swojego kochanka.

Zarówno Spack, jak i jego koledzy, uskarżali się na nieznośny szum w uszach po wielogodzinnym przesłuchiowaniu taśm, które nie przynosiło

żadnych informacji. Albo Lombardo był tak ostrożny, że rozmawiał jedynie o błahostkach, albo te błahostki miały ukryte znaczenie. Jego przyjaciele, zidentyfikowani przez policję, bankierzy, przemysłowcy, politycy, aktorzy, robili wrażenie erotomanów, gdyż ten temat był najczęściej treścią ich rozmów. Mówiono też o interesach, ale znacznie rzadziej, jakby wszyscy ci ludzie wyrzekli się poważnych zajęć i bawili się, jak uczniacy na wakacjach. Ale Spack i członkowie jego ekipy byli pewni, że w końcu uzyskają informacje obciążające Lombarda.

Rozmowy telefoniczne Averil z jej przyjaciółmi też miały cel erotyczny. Umawiała się kolejno to z pewnym kaskaderem, to znowu z nowojorskim adwokatem, z którymi dzieliła łóżko.

Pogawędki Lombarda z jego współpracownikami naszpikowane były nazwami dzikich i domowych zwierząt. Zniecierpliwiony tą niezrozumiałą gadaniną Spack posłużył się komputerem, żeby odkryć ich ukryte znaczenie. Nazwiska pojawiały się rzadko i to w rozmowach na tematy obojętne. Lombardo zamówił na przykład kiedyś tuzin jedwabnych koszul, kiedy indziej jakieś części ubrania. Jednakże powtarzanie się tych zamówień uczuliło policjantów.

Pewnego dnia Averil okazała się bardziej rozmowna niż zwykle. Przeklinała O'Neilla, który zaangażował Lavinie Parker do zrobienia reklamy Giselle, „tej dziwki”. Kampania reklamowa składała się z artykułów pochwalnych w wielkich dziennikach, z wywiadów, imprez dobroczynnych, które dowodziły, że Francuzka ma wiele współczucia dla chorych i ubogich.

– Uduszę ją własnoręcznie! – zawołała Averil. – Peter jest zakochanym idiotą, cierpliwie przygotowuje dla niej Oscara za najlepszą rolę kobiecą w tym roku, tego Oskara, którego ja powinnam dostać.

Następnie ją robić wymówki Lombardowi, że nie bierze jej w obronę, i że trzyma ją przy sobie tylko po to, żeby się z nią kochać.

Znudzony gadulstwem i pogrózkami Averil, że go porzuci, zapomniał o powściągliwości w rozmowach telefonicznych, przerwał potok przekleństw i powiedział swej kochance:

– Przyślę ci Rodrigueza i niech się to raz wreszcie skończy!

Spack i jego koledzy nie posiadali się z radości. Nareszcie Lombardo popełnił gafę!

Cała ekipa zajęła się poszukiwaniem Rodrigueza. Puszczono w ruch wszystkie komputery w FBI, w Biurze Narkotyków, w Interpolu. Bez rezultatu. Wśród ludzi o tym nazwisku byli złodzieje, handlarze bronią i narkotykami, sutenerzy, gwałciciele, nie było jednak płatnego mordercy. Lombardo używał zapewne pseudonimu.

Postanowiono więc w Los Angeles posłużyć się Fisherem, żeby dzięki niemu dotrzeć do jego szefów. Oznajmiono mu, że wszczęto proces przeciw niemu i że mały Billy Tempie będzie świadkiem oskarżenia. Groziło mu co najmniej dwadzieścia lat, gdyż zgromadzono przeciw niemu wielce obciążające dowody. Mordercy Billy'ego wiedzieli, że go trafili, lecz nie mieli informacji o jego śmierci. Trzymano ją w ścisłej tajemnicy. Fisher wszystko wyśpiewał i zaproponował transakcję, którą prokurator okręgowy zaakceptował bez dyskusji. Wyrok skazujący miał być zmniejszony do dwóch lat, jeśli w zamian dostarczy wiadomości, które mogły ułatwić zniszczenie sieci handlarzy, do której należał. Fisher podał nazwiska odsprzedawców i nawet kilku mniej lub bardziej ważnych handlarzy. Ale jego informacje urywały się na niskim poziomie, gdyż organizacja była skrupulatnie poprzedzielana, tak by drobne rybki nie znały nazwisk rekinów.

To wszystko nie dało żadnego rezultatu. Poza tajemniczym Rodriguezem, który pozostał postacią mityczną, prowadzący śledztwo nie dysponowali właściwie żadną poszlaką. Nadzieje złowienia Lombarda spełzły na niczym.

Spack był wściekły. Jego wysiłki nie osiągnęły skutku. Postanowił śledzić Averil. Cywilni agenci chodzili za nią jak cienie. Może dzięki temu udałoby się wpaść na trop Rodrigueza, a później Lombarda.

Raz jeszcze zabrano się do przesłuchiwania taśm. Marzenia Gideona o wywiadach, fotografiach na pierwszej stronie gazet, o występie w telewizji, zostały odłożone ad calendas grecas, czyli do bliżej nieokreślonej przyszłości.

Ilekczo przysłuchiwał się błahym słowom Lombarda, który jakby drwił sobie z niego, sen morzył Gideona. Zapadał w drzemkę. Tymczasem świt bielił się już za oknami...

* * *

Ray nie zmrużył oka tej nocy. Ilekczo zmęczenie po wyczerpującym dniu sprawiło, że powieki zaczynały mu ciążyć i ciało ogarniał bezwład, myśl o Bobie przeszywała go dreszczem. Sen natychmiast go odchodził, Ray wstawał z kanapki i na palcach podchodząc do łóżka patrzył ze ściśniętym sercem na śpiącego Boba. Wsłuchiwał się w jego oddech, chwilami nierówny, zdyszany, i przeklinał swoją bezsilność: nie mógł ani go uratować, ani nawet ulżyć mu w cierpieniach. Poświęciłby dla niego swoje życie i zdrowie, gdyby cudowną mocą ocaliło to Boba. Nie obawiał się śmierci. Tej nocy zrozumiał, że jego istota zespoliła się do tego stopnia z Bobem, iż śmierć jego pozostawiłaby Raya jak rozbitka wśród świata żyjących. Świat bez Boba wydawał mu się bezkresną pustynią...

Wracał na kanapkę i leżał pogrążony w myślach. Po kilkunastu minutach, które ciążyły mu jak wieki, ponownie wstawał i bezszelestnie sunął w stronę łóżka.

Z nadejściem świtu oddech Boba uspokoił się, sen był głębszy. Ray długo mu się przyglądał. Piękna twarz chorego przypominała mu młodzieńca wyrzeźbionego przez Fidiasza na fryzie Partenonu. Ray zgasił lampkę i westchnął z niewymowną goryczą. Ale światło rodzącego się poranka przenikające przez zasłony było tak szare, tak przygnębiające, że Ray ponownie zapalił lampę. Rozbłysły w mroku okucia na meblach w stylu Ludwika XVI.

Ray dotknął lekko ramienia Boba, który otworzył oczy. Na widok uśmiechniętej serdecznie twarzy pochylonego nad nim przyjaciela również się uśmiechnął.

– Jestem taki szczęśliwy, że widzę cię przy sobie!

– Podzielam to szczęście, Bob.

Może wolałby powiedzieć mu: „kochanie moje”. Ale to wyrażenie tak się spospolitowało! Miłość, prawdziwa miłość nie uzewnętrznia się w słowach. Słowa odbierają jej wartość. Najwięksi poeci nie potrafią wyrazić całej głębi i piękna tego uczucia.

– Jak dobrze nie być samym, Ray! Kiedy czuję twoją obecność, mam wrażenie, że obejmują mnie promienie słońca. Niegdyś małpowałem uniesienia miłosne nie wiedząc, co to miłość... Tyś mnie nauczył, co to jest kochać i być kochanym... To najpiękniejszy dar, jaki mogłeś mi zrobić... Niestety, niedługo już będę mógł cieszyć się tym szczęściem...

Ray ujął w dłonie gorącą rękę Boba.

– Cieszymy się dniem dzisiejszym! Zapomnijmy o przyszłości! Tylko chwila obecna się liczy! Wspomnienia nie mają żadnej wartości. Nie można ponownie przeżyć minionych dni. Wspominanie przeszłości jest takie smutne... takie smutne... Nawet jeśli była szczęśliwa. To jakby ktoś gorącym żelazem drażył ranę... Wiadomość, że nic już nie wróci. Nigdy. Jeśli terażniejszość jest szczęśliwa, tym lepiej. Gdyż przyszłość jest wielką niewiadomą, która nieuchronnie utożsamia się ze śmiercią... Ale dość filozofowania! Za niespełna godzinę musimy być gotowi. Dziś jest nasz wielki dzień! Wyścigi motorówek.

– Ostatnie sekwencje filmu. Wiesz, nie miałem nadziei, że go skończą...

Ray zatelefonował, żeby śniadanie dla dwóch osób przyniesiono do apartamentu mister Flynna.

– Pewno wszyscy sądzą, że spędziliśmy tę noc razem – powiedział Bob.

Ray obojętnie wzruszył ramionami.

– Czy to cię krępuje?

Bob uniósł się na łokciu i skrzywił się z bólu.

– Co się stało? – zapytał Ray z niepokojem.

– Boli mnie pod pachami. Dziwne, prawda?

Lewą dłonią obmacał prawą pachę.

– Węzły chłonne są obolałe. Ból jest lekki, ale uporczywy.

Ani jeden mięsień nie drgnął na uśmiechniętej twarzy Raya.

Zrozumiał wprawdzie znaczenie tego objawu choroby. Stan zapalny gruczołów limfatycznych w wielu wypadkach zwiastował zbliżający się koniec.

– To pewno skutek jakiejś drobnej infekcji. Przed kilku laty otarłem sobie palec u nogi. Nie zwróciłem na to uwagi, tym bardziej, że zadrapanie się zablizniło. Ale po jakimś czasie poczułem ból w pachwinie. Lekarz mi

wyjaśnił, że infekcja nadal istniała w moim ciele. Przepisał mi kilka zastrzyków penicyliny i wszystko przeszło... Tak jest i w twoim przypadku... Zapewne manikiurzystka zraniła cię powierzchownie w palec. Powstał stan zapalny, którego skutki teraz odczuwasz. Weźmiesz trochę antybiotyków i wszystko wróci do normy... Teraz idź pod natrysk. Szybko!

Bob wstał z łóżka. Miał na sobie niebieską piżamę.

– Chcesz, żebym dotrzymał ci towarzystwa? Natrysk we dwójkę jest przyjemniejszy.

– Zgoda!

Pod natryskiem śmiali się i baraszkowali, jak pętacy. Ale serce Raya krwawiło.

Po śniadaniu zadzwonił telefon. O'Neill wrzasnął z drugiego końca linii:

– Co wy tam robicie? Cała ekipa czeka w autobusach. Technicy, którzy przygotowują motorówki, od dawna są na Long Island. Pospieszcie się, do diabła!

– Idziemy! – odparł Bob.

Ledwo odłożył słuchawkę, telefon zadzwieczał znowu. Bob usłyszał zmartwiony głos Marka.

– Przykro mi, panie Flynn, oznajmić panu złą wiadomość. Tej nocy mister Barton umarł z przedawkowania heroiny. Karetka zabrała zwłoki. Policja przeszukuje pokój. Jestem zawsze na pańskie usługi, mister Flynn.

* * *

Słońce wzniosło się już na błękitne niebo, przejrzyste jak kopuła z kryształu.

– Bardzo piękny dzień! – stwierdził O'Neill nadzorując ostatnie przygotowania.

Obrał banana i jadł go ze smakiem.

– To moje śniadanie! – westchnął.

– Nieco za skromne – powiedział Frank Spade.

– W moim wieku ludzie nie potrzebują wiele pożywienia. Można by powiedzieć, że energia zgromadzona w młodości pomaga im utrzymać się przy życiu.

Kierownik zdjęć spojrział na O'Neilla krytycznym, trochę zdziwionym wzrokiem. Stwierdził że reżyser zeszczupłał. Rysy bladej twarzy się zaostrzyły. Postarzał się. Niezwykła żywotność i cierpka ironia rozplynęły się w nicości.

Reżyser odrzucił ze wstrętem resztkę banana, prześliznął się spojrzeniem po wyspach i kanałach wynajętych na ten dzień i niedostępnych dla publiczności. Aczkolwiek znikły osoby prywatne, to w cieśninie uwijały się stateczki spacerowe prowadzone przez kaskaderów oraz szybkie kutry wiozące ekipy kamerzystów, którzy mieli filmować różne fazy zawodów. Diabelskich zawodów, gdyż pośrodku Long Island Sound, w tym rajskim zakątku, między zielonymi wysepkami, na których wznosiły się prześliczne domostwa, O'Neill chciał rozpętać piekielne siły. Zacięty pojedynek między dwiema off shores, motorówkami o wielkiej mocy, prowadzonymi przez Boba i Raya – dwóch rywalizujących ze sobą braci – miał posiać panikę wśród stateczków. Zderzenia, kolizje, eksplozje miały następować jedno po drugim w rytmie oszłamiającym. Zaalarmowano kutry policyjne – również prowadzone przez kaskaderów – miały interweniować, żeby opanować zamęt. Ale dwaj nienawidzący się bracia nie przerwaliby ich apokaliptycznego wyścigu. Jeden z nich przyplaciłby go życiem, tylko tak mogłaby się skończyć ich dzika nienawiść.

Za kwadrans miano zacząć zdjęcia.

Stojąc na nadbrzeżu Bob i Ray przyglądali się, jak mechanicy kończą pracę przy ich off shores, które miały uczestniczyć w tej sekwencji mającej ogromne znaczenie dla filmu. Ten wyścig powinien był pokazać całą gwałtowność uczuć, nadającą ton scenariuszowi. Gwałtowność, która wyraża się nie tylko w ruchach, ile w nienawiści skrywanej przez obu braci; wybuchała ona niekiedy, podsycana intrygami Flo, która znajdowała perwersyjną przyjemność w sianiu niezgody między nimi. Atmosfera przemocy dojrzewała za fasadą wyrafinowanej grzeczności w klanie Talbotów. Widzowie powinni byli odnosić wrażenie, że jakieś fatum prześladowuje tę rodzinę.

Bob był obecny przy ostatnich przygotowaniach, ale ich właściwie nie widział... Myśli jego krążyły wokół Percy'ego... Spełnił swe pragnienie... Położył kres swym cierpieniom.

Przypomniał sobie, co powiedział Percy przed kilkoma dniami, kiedy popijali whisky w barze. „Przeklinam rodziców, którzy dali mi życie! Nie prosiłem się na świat! Oni ponoszą odpowiedzialność za moje męczeństwo na tej przeklętej ziemi! Spójrz na tych ludzi dokoła nas... Spokojnie się bawią, śmieją, wydają się przyjaźni i niegroźni. Ale w głębi serca wszyscy są drapieżnikami. Spekulują na słabych i ubogich, kupują za swoje brudne pieniądze istoty ludzkie, jakby kupowali śliwki albo opony do samochodów... Przeklinam swoich bliskich, przeklinam cały ten tłum, który powinien zginąć jak grzesznicy z Sodomy i Gomory...”

Bob westchnął. Teraz Percy uwolnił się już od męki. Wiedział, że wkrótce pójdzie za nim. Czarne woale śmierci muskały go pieszczotliwie.

Percy miał odwagę wybiec na jej spotkanie i rzucić się w jej ramiona. Bob także myślał o śmierci jak o cichej przystani.

Zrozpaczony Ray zdawał sobie sprawę, że nie mógł nic uczynić, aby rozproszyć niepokój, ukoić nerwowe roztrzęsienie, malujące się na ściągniętej twarzy przyjaciela. Czy będzie zdolny do wyęczenia wszystkich sił umysłu, całej energii, całej zręczności, aby podołać czekającej go próbie? Mistrzowie tego sportu i eksperci nauczyli go sztuki kierowania motorówką wyścigową. Wciągnął się w tajniki tego niebezpiecznego sportu tak przykładowie, jak grzeczne dziecko.

– Mister Flynn, pańska off shore jest gotowa do wyjścia w morze! – oznajmił główny mechanik.

Asystent reżysera, Eddie Tuchman, również zauważył zaskakujący, niespokojny wyraz twarzy Boba. Zbliżył się do niego i powiedział zatroskany.

– Zdaje mi się, że nie jest pan dziś w najlepszej formie, Bob. Mógłby pana zastąpić kaskader. Twarz pana pojawi się na wielkich planach. Mamy swoje sposoby, żeby nikt nie spostrzegł tego triku.

Bob drgnął, jakby wyrwany z transu.

– Nie ma mowy. Nigdy się nie zgadzałem, żeby kaskader odwał za mnie robotę.

Ray omal nie wykrzyknął: „A jeśli nagła niedyspozycja cię zaskoczy...” Nie ośmielił się jednak wtrącać do spraw Boba.

– Mister Rhys, pańska off shore może odcumować! – nalegał mechanik.

Obaj przyjaciele nosili ubrania sportowe: dżinsy i bluzy. Przed odpłynięciem aktorów, kamerzyści pod nadzorem kierownika zdjęć zrobili zbliżenia Raya i Boba, dwóch nienawidzących się braci, którzy spoglądali

sobie w oczy z dziką nienawiścią; należało zrozumieć, że stawką w tej walce będzie śmierć jednego z przeciwników.

Policjanci – tym razem autentyczni – przybyli ze Spackiem i jego kolegą na wybrzeże Mariana. Specjaliści zbadali dokładnie wszystkie statki, a szczególnie stateczek O'Neilla.

Gideon nie taił swego sceptyzmu.

– Nasi fachowcy nigdy nie będą mogli sprawdzić wszystkich zakamarków tych off shores ani szybkich statków, bo są one bardziej skomplikowane niż komputery.

O'Neill go pocieszył.

– Byłem pewny, że niczego nie znajdziecie. Moi mechanicy skontrolowali wszystko.

Bardziej niepokoił reżysera wygląd Boba. Przyzwyczajony do wykrywania najmniejszych nawet zmian w zachowaniu i fizjonomii aktorów, zauważył jego bladość, wzrok zmęczony i pełen smutku, nerwowość ruchów. Wiedział, że Bob miewał chwile złego samopoczucia, niewytłumaczalne dla niewtajemniczonych. Czyżby zbliżał się do kresu życia? Cyniczny O'Neill czuł niezmierną litość dla tego chłopaka, do swojego tworu. Miał poczucie wielkiej bliskości.

Zapanował nad uczuciami i dał znak, żeby rozpoczęto zdjęcia. Każdy wiedział, co ma robić. Dobrze przygotowany zamęt, który miał wybuchnąć za chwilę, nie pozwalał O'Neillowi być w kilku miejscach jednocześnie. Kierownik zdjęć dobrze wyszkolił swój personel. Kaskaderzy chcieli się wykazać niezwykłymi wyczynami.

Po raz pierwszy w życiu O'Neill miał uczucie, że jest jakby wyobcowany z kręcenia własnego filmu. Wsiadł sam na szybki stateczek, aby śledzić

swobodnie cały wyścig. Jego asystenci postąpili podobnie. Uzupełnił swój ekwipunek tubą, lecz przewidywał, że hałas zagłuszy jego rozkazy.

Off shores Boba i Raya, cacka w swoim rodzaju, wyposażone w silniki turbo – osiągały prędkość **160** mil na godzinę. Buzzati, mistrz świata w tej dyscyplinie, był konsultantem O'Neilla; twierdził, że użycie tych ultraszybkich jednostek między spacerowymi stateczkami może spowodować groźne wypadki. Reżyser odpowiedział, iż jego mechanicy i prowadzący łodzie, podobnie jak kaskaderzy, byli mistrzami w swoich specjalnościach i można było się obawiać tylko błahych incydentów.

Golden Star Boba i *Royal Princess* Raya zostawiały za sobą długie bruzdy pian i wzniecały fale, na których gwałtownie kołysały się spacerowe stateczki.

O'Neill ze wzrastającym zainteresowaniem śledził wyścig. Ogarnęło go podniecenie.

– Prędej! Prędej! – wykrzykiwał wywijając tubą jak sztandarem. Zawrotna szybkość motorówek pobudzała jego nerwy. Już kilka łodzi ze spokojnymi pasażerami zostało wywróconych przez gwałtowne fale. Jacht regatowy i Chris Craft z silnikiem wykonały fałszywy manewr – przewidziany w scenariuszu – zderzyły się ze sobą i eksplodowały. Panika ogarnęła ludzi zażywających przejażdżki. Dobrze przygotowane zderzenia następowały jedno po drugim.

Siła wiatru doszła do sześciu stopni Beauforta, rosły fale, grzbiety ich okrywały się białą pianą i rozpryskiwały z hukiem.

Ray prowadził swoją off shore z niewysłowioną przyjemnością. Gwałtowny prąd powietrza smagał jego twarz, targał włosy, zwiększał wydzielanie adrenaliny. Od czasu do czasu spoglądał na *Golden Star*, która

niemal unosiła się nad falami. Odwaga Boba budziła w nim zachwyt i lęk. Promieniał z radości ilekroć był świadkiem jego wyczynów. Myślał, że Bob jest urodzonym zawodnikiem.

Ekipy kamerzystów płynęły to za nimi, to ich wyprzedzały, szukając najoryginalniejszych, najpiękniejszych ujęć.

Bob miał uczucie, że pędzi jak bolid. Fale uderzały o burtę motorówki, wyrzucając ją nad powierzchnię wody, jak delfina, igrającego w swoim żywiole. W tej chwili nic nie liczyło się dla Boba poza tą motorówką, istnym cudem techniki. Zbudował ją inżynier Fabio Buzzi na zlecenie O'Neilla, który uwielbiał sporty wodne i niegdyś sam brał udział w zawodach. Buzzi wyposażył *Golden Star* w silnik, który dorównywał mocą sławnemu Seatekowi; odniósł on miażdżące zwycięstwo na mistrzostwach świata rozegranych w Key Wes na Florydzie. Motorówka z takim silnikiem mogła osiągnąć prędkość **190** mil na godzinę, co sprawiało rozkosz Bobowi. Wykorzystywał możliwości swej motorówki do granic szaleństwa, opanowany żądzą pędu. Wiedział, że chaos wywołany wśród spacerowych stateczków został dokładnie wyreżyserowany, aby Bob mógł swobodnie utorować sobie drogę.

Ostry świst wiatru był boską muzyką dla jego napiętych nerwów. Może podobna muzyka uwodziła towarzyszy Odyseusza, którzy przemierzali morza. Odyseusz miał wyraźny cel: powrót do ojczyzny i rodziny. Bob wiedział, że na końcu podróży oczekiwała go śmierć. Może wziąć przykład z Percy'ego i skończyć pięknie życie? Gdyby motorówka się wywróciła, z jego ciała pozostałyby tylko okruchy, gdyż przy tej szybkości woda stawała się twarda jak powierzchnia lodu okrywającego Biegun Północny. Ponieważ kokpit motorówki nie miał osłony z pleksiglasu, przejście z życia w niebyt

nastąpiłoby błyskawicznie. Mógłoby wpaść na jeden z wielu jachtów, które pływały po kanale. Nie dopuszczał jednak myśli, że na skutek tego kilku kaskaderów straciłoby życie. Pozostawała więc jedynie możliwość nagłego skrętu w lewo lub prawo. Motorówka wywróciłaby się, przekoziółkowała, nastąpiłoby wybuch... Ale z lewej strony płynęła off shore Raya. Z prawej posuwały się wolno stateczki spacerowe. Wpaść na nie? To byłoby karygodne!

Musiał więc płynąć korytarzem, który otwierał się przed nim zataczając łagodnie krzywizny, aby motorówki mogły skręcać bezpiecznie.

Mógłoby wreszcie rzucić się na brzeg jednej z tych zielonych wysepek na Long Island Sound – i roztrzaskać się w mgnieniu oka. Żeby jednak dotrzeć do lądu musiałby przecisnąć się przez zaporę stateczków, poważnie zagrażając ich bezpieczeństwu. Należało więc odrzucić i tę możliwość.

Mknął przeto na pokładzie *Golden Star*, której niewolnikiem stał się mimo woli...

Nagle siły zaczęły go opuszczać, słabość czyniła zeń bezwolną ludzką szmatę. Zwolnił bieg motorówki, żeby nie stracić nad nią kontroli i nie wpaść na któryś z jachtów, co skończyłoby się katastrofą – tym razem prawdziwą. Silnik zwolnił obroty...

Ray patrzył na to zdumiony.

Specjaliści czuwający nad wyścigiem wyobrazili sobie, że został uszkodzony napęd *Golden Star*. Nie mogli się domyślić, że to załamał się kierowca.

Bob zaszlochał. Jego off shore zatrzymała się pośrodku kanału. Nagle ustało wyreżyserowane zamieszanie.

O'Neill podejrzewał najgorsze. Jego superboat podpłynął do *Golden Star*. To, co ujrzał, potwierdziło jego obawy. Bob zwiesiwszy głowę nad kierownicą – płakał.

– Co się dzieje? – zawołał O'Neill. Chłopak podniósł ku niemu twarz zalaną łzami.

– Paraliżuje mnie słabość, której nie mogę sobie wytłumaczyć. Cienie jakież krążą dookoła mnie. Pan jest jednym z tych cieni...

Ostatnie zdanie Boba było zastanawiające. O'Neill poczuł ciarki przebiegające mu po skórze.

Szybkie statki kamerzystów podpłynęły z kolei do unieruchomionej off shore. Na wszystkich twarzach malowało się zdziwienie. Zdjęcia szły tak dobrze... i nagle ten incydent...

Wszyscy oczekiwali, że O'Neill krzyknie na Boba, że będzie mu robił wyrzuty, gdyż sekwencja została zmarnowana. Lecz reżyser przemawiał do niego łagodnie:

– To przejściowa niedyspozycja, mój mały! Nic poważnego. Przesiądź się na mój statek. Zastąpi cię kaskader. Podejmiemy kręcenie filmu w tym miejscu, w jakim zostało przerwane.

Bob przesiadł się na statek reżysera. Usiadł na ławeczce obok niego. O'Neill gładził go po głowie.

– Lekarze zajmą się tobą i szybko cię wyleczą.

Bob trzął się z zimna.

– Nie, mister O'Neill. Doszedłem do kresu swej drogi.

– Dopóki się żyje, nic nie jest stracone, mój chłopcze. Zaczynajcie zdjęcia! – zwrócił się do kamerzystów.

Golden Star odpłynęła, prowadzona przez kaskadera, który nie posiadał się ze szczęścia. Nareszcie miał możliwość pokazania swoich możliwości.

Ray był skonsternowany. Chciałby znaleźć się przy Bobie, pocieszyć go, uspokoić. Ale musiał wpierw skończyć ten przeklęty wyścig. Całe uniesienie, cały entuzjazm go opuścił. Podjął wyścig niemal automatycznie. Rzucił ostatnie spojrzenie na szybki stateczek O'Neilla. Spostrzegł Boba siedzącego z twarzą ukrytą w dłoniach.

Kontrolowane zamieszanie zapanowało znowu na wodach kanału, jak gdyby nic nie zaszło. Ponownie zderzyły się stateczki. Drobiazgowo przygotowany chaos trwał na szmaragdowym oceanie. Statki policyjne – z kaskaderami na pokładzie – pojawiły się i ruszyły w pogoń za *Golden Star* i *Royal Princess*. Ray okrążył wyspę i dostrzegł stateczek O'Neilla. Poszukał wzrokiem Boba, pochylonego na ławeczce.

Nagle wybuch rozerwał ich superboat. Płonące odłamki wyleciały w powietrze i spadły do wody, która je pochłonęła.

Jak co wieczór asystenci reżysera, Mason i Tuchman, dyrektor Spade, producent Santini, scenarzysta Sellers oraz grupka aktorów oglądali zdjęcia zrobione tego dnia. Brakowało tylko reżysera i Boba Flynn'a. Ich nagła śmierć ciążyła wszystkim. W ostatnim rzędzie sali projekcyjnej Ray siedział sam, przybity, ze łzami w oczach. Ilekroć na ekranie pojawiała się twarz Boba, jego przyjaciel nieco się ożywiał, po czym znów pogrążał się w rozpacz. Wyścig motorówek, cudownie sfilmowany, łabędzi śpiew O'Neilla, powinien był wywołać brawa, lecz zmarłych uczczono ciszą.

– Peter byłby rad widząc swoje arcydzieło – rzekł Spade, najdłużej współpracujący z O'Neillem. – Jestem przekonany, że film otrzyma wszystkie Oscary.

– Miałeś przywilej bycia jego najlepszym przyjacielem – powiedział złośliwie Mason.

– Powiedzmy... Ale była to jedynie względna przyjaźń. Jego jedynymi przyjaciółmi były filmy.

Wszyscy wstali.

– Dostali go w swoje łapy! – mruknął zasmucony Tuchman.

– Co za pech dla Flynna! – rzekł Sellers. – Mógł stać się top star Hollywoodu.

Było to jedyne epitafium, jakie mu poświęcono tego wieczoru. Większość aktorów, zwłaszcza młodych, którzy zazdrościli mu błyskawicznej kariery i sławy, po cichu się cieszyli. Gwiazda spadła. O jednego rywala mniej przy obsadzaniu głównych ról.

Ray opuścił salę projekcyjną nie odzywając się do nikogo. Miał spędzić tę noc samotnie w swoim apartamencie... Samotnie? Ależ nie byłby sam! Obraz Boba, jego ukochanego, dotrzymałby mu towarzystwa.

Cień Boba będzie spał u jego boku, na jego łóżku. To nie były chorobliwe przywidzenia. Wydawało mu się całkiem naturalne, że będzie go miał przy sobie. Dla Raya duch jego przyjaciela miał żyć wiecznie.

Cała prasa światowa skomentowała śmierć O'Neilla i Boba Flynna w perfidnie dokonany zamach. Filmowcy i światlejsi widzowie ubolewali nad stratą wielkiego reżysera. Natomiast śmierć Boba wywołała w całym świecie poruszenie, które można by porównać jedynie ze zbiorową histerią po zgonie Rudolfa Valentino, Jamesa Deana i Elvisa Presleya.

Ciskano gromy na amerykańską policję, która okazała się bezsilna. Domagano się głośnego ustalenia, kim są ci płatni mordercy oraz ich

mocodawcy. Lawina listów spadła na FBI i na Biały Dom. Wzburzenie opinii społecznej przybrało rozmiary niepokojące dla rządu.

Wzniesiono pomnik upamiętniający Boba Flynna, idola młodzieży. Nikt się nie dowiedział, że był chory na AIDS i że tragiczna śmierć oszczędziła mu okropnej agonii na łóżku szpitalnym.

Zamach dokonany na oczach policjantów i pomocników prokuratorów był policzkiem dla sądu i policji. Toteż zarówno policja nowojorska, jak i policja z Los Angeles podjęły zawzięte dochodzenia. Przesłuchano cały personel „XXI Century”. Przeczesano cały świat przestępczy. Zatrzymano wiele osób w areszcie. Ale po jakimś czasie wypuszczono wszystkich z braku dowodów.

Prowadzący śledztwo zachodzili w głowę, jakim cudem morderca dowiedział się, że stateczek przeznaczony dla O'Neilla zastąpiono innym. Można to było wytłumaczyć jedynie niedyskrecją któregoś z policjantów.

Spack doszedł do wniosku, że nie można dłużej działać w rękawiczkach. Postanowił zaatakować wprost Lombarda i jego protegowanego Brynera. Wraz z Hatcherem wrócił do Los Angeles.

Lombardo był bardzo zdziwiony, kiedy spocony, czerwony jak burak Gideon wpadł do jego gabinetu razem z porucznikiem Hatcherem. Lombardo przyjął ich wyniośle, z irytacją i pogardą.

– Czy moja sekretarka nie upредиła panów, że jestem zajęty i nie przyjmuję nikogo? – zapytał spokojnie. – Zwracam panom uwagę...

– Dosyć kłamstw, Lombardo! – Spack agresywnie przerwał mu w pół zdania.

– Panie Lombardo! – poprawił go finansista. – Macie pozwolenie przełożonych, żeby wchodzić do mnie tak obcesowo?

– Mam wszelkie upoważnienia, żeby pana przesłuchać. Oto one. Podpisane przez sędziego federalnego.

Pytania Spacka spadły na Lombarda jak seria z karabinu maszynowego. Pomocnik prokuratora chciał najpierw zbić go z tropu, następnie zaś zdzielić maczugą.

– Kim jest Rodriguez?

Lombardo uśmiechnął się z obraźliwą ironią.

– Założyliście więc podsłuch telefoniczny?

– Kim jest Rodriguez? – powtórzył Spack.

– Rodriguez?... To mój masażysta... Jego masaże mają dar uspokajania nerwów. Powiedziałem panie Auberon, że przyślę jej Rodrigueza, żeby poprawić jej samopoczucie. Panna Auberon cierpiała na depresję nerwową... Na razie mój masażysta wyjechał w odwiedziny do swojej rodziny w Bogocie.

– Znajdziemy go, Lombardo, w Bogocie, czy gdziekolwiek indziej. Znajdziemy go choćby na końcu świata.

Następnie Spack długo wypytywał go o powiązania z Brynerem.

– Wie pan, że odkąd Bryner ponownie został prezesem wytwórni, stała się ona ośrodkiem handlu narkotykami.

– Nie mam pojęcia. Zresztą mnie to nie dotyczy.

– Kontroluje pan działalność wytwórni za pośrednictwem Brynera.

– Proszę mi to udowodnić.

– Nie ma obawy. Przedstawimy panu dowody.

Włączenie Lombarda w sprawę zabójstwa O'Neilla i Boba Flynna wywołało sensację. Dziennikarzom, którzy zarzucali go pytaniami, oświadczył, że jest ofiarą kalumnii, że wniesie pozew o zniesławienie. Utrzymywał, że jego kapitały są czyste jak woda źródłana.

Prowadzący śledztwo nie byli na tyle naiwni, by w to wierzyć, ale jego pieniądze chodziły tak krętymi drogami, że żaden ekspert nie mógłby się rozeznąć w tym labiryncie fiskusa i banków, które potajemnie prały brudne miliony.

Lombardo pozbył się balastu.

Najpierw Bryner stracił prezesurę wytwórni. Wszyscy – nie mówiąc o tym głośno – uważali go za moralnego sprawcę zamachu na O'Neilla. Bliskie stosunki z Lombardem, o których rozpięły się dzienniki żadne sensacji, zniweczyły jego prestiż i zamknęły przed nim drzwi innych wytwórni filmowych. Aczkolwiek nie dowiedziono mu udziału w zamachu, zbiegi okoliczności dawały wiele do myślenia. Zresztą śledztwo trwało i zanosilo się na dalsze niespodzianki.

Utrata pracy spowodowała jego ruinę finansową. Nie mogąc płacić procentów od zaciągniętych pożyczek musiał opuścić willę na Beverly Hills, żeby bodaj częściowo spłacić swe zobowiązania wobec banków. Ponieważ nie mógł już zapewnić luksusowego życia Glorii, poszła za przykładem Isabelle i rozwiodła się z mężczyzną, który nie mógł już ułatwić jej kariery. Jared Dahl rozwiodł się z Chris. Skoro teść jego został zrujnowany, Jared nie widział już żadnych korzyści dla siebie w tym związku. Zaczął rozglądać się za korzystniejszą partią. Harriet Lamont, mimo podeszłego wieku, lubiła z nim sypiać. Najważniejszym argumentem przemawiającym za poślubieniem jej było to, że posiadała ogromny majątek. Ale gdy Jared poprosił ją o rękę, uznała go za łowcę posagów i odprawiła bez ceregieli. Zwrócił się więc do Lorrie, która go przyjęła, był bowiem przystojny i uroczy. Majątek dziewczyny zupełnie wystarczał dla nich dwojga.

Averil nie znalazła żadnego engagement.

W okresie międzywojennym opinia publiczna godziła się mniej lub bardziej na związki hollywoodzkich aktorek ze znanymi gangsterami.

Sławny Siegel zmarł podziurawiony kulami w willi swej kochanki, Wirginii Hill. Sprawca pozostał nieznany. Utrzymywano, że Thelma Todd i Mario Lanza zostali wykończeni przez mafię. Stosunki Franka Sinatry z klanem Gambino nie były dla nikogo tajemnicą. W kilkadziesiąt lat później Amerykanie dowiadawali się ze zdumieniem, że prezydent John Kennedy dzielił łożę z Judyty Exner z dwoma członkami mafii: Rosellim i Giancaną.

Ale obyczaje się zmieniały. Stowarzyszenia purytanów i konserwatystów odniosły zwycięstwo. Związki uczuciowe aktorów z członkami mafii były źle widziane. Po kampanii prokuratora generalnego przeciwko mafii opinia publiczna zajęła wrogie stanowisko wobec tych wszystkich przestępców w białych kołnierzykach i jedwabnych koszulach.

Averil poniosła wszystkie konsekwencje. Znalazła się na indeksie. Szczęściem dla niej Lombardo utrzymywał ją jak królową. Krążyły plotki, że ich związek zbliża się jednak do końca...

Jeff nigdy się nie ożenił, nic sobie nie robiąc z oszczerców, którzy pomawiali go o homoseksualizm. Śmiał się beztrosko i kochał wszystkie młode i ładne dziewczyny, które na niego leciały. Ale jego intymne życie miało swoje ukryte strony, jak księżyc.

Anna O'Neill – wesola wdówka – prowadziła nadal rozwiązłe życie, chrupiąc odziedziczone po mężu miliony. Shirley poślubiła młodego adwokata, który zrobił jej gromadkę dzieci, żeby położyć łapę na ogromnym majątku O'Neillów, co mu zresztą nie przeszkadzało sypiać ze wszystkimi sekretarkami.

Margaret Carter zginęła pod kołami samochodu, kiedy przechodziła 5. Aleję. Niepocieszony wdowiec poślubił Isabelle, która zrobiła najlepszy interes w swoim życiu. Nadal grała w filmach i zdobyła sławę światową, otrzymała też Oscara za najlepszą rolę kobiecą. Krytycy stawiali ją na równi z Meryl Streep i Isabelle Adjani.

Sue Brions zdobyła również sławę nie skąpiąc swoich wdzięków wszystkim potentatom filmowym. Stała się typem seksownej aktorki i otrzymała bajeczne propozycje z Playboya i Penthouse'a, pragnących umieścić jej akty na rozkładówkach.

Marzenia Gideona Spacka nigdy się nie spełniły. Aktorki hollywoodzkie całkiem go zignorowały. Ani jego wygląd, ani stanowisko pomocnika prokuratora nie miały dla nich nic atrakcyjnego. Zanim wrócił do Los Angeles, Sally, jego koleżanka, która zaczęła mu okazywać nieco zainteresowania, została przeniesiona do San Francisco. Gideon musiał więc zadowolić się swoją tęgą małżonką. Umiała ona jednak robić najlepsze koszerne kielbaski w całej Kalifornii.

Jeden tylko człowiek mógłby dać Gideonowi informację, wprawdzie niepewną, lecz pomocną w ustaleniu dość prawdopodobnej hipotezy w związku ze śmiercią O'Neilla i Boba Flynna.

Profesor Andrew Robertson, wybitny onkolog i przyjaciel reżysera, oznajmił mu po dokładnym zbadaniu, że jest chory na raka wątroby nie nadającego się do leczenia operacyjnego.

Pacjent bez emocji przyjął werdykt specjalisty.

– Ile czasu pozostało mi do życia?

– Rok, może dwa, jeśli będzie się pan stosował do moich wskazań.

Uciążliwa kuracja mogłaby ewentualnie przedłużyć pańskie życie.

– Moi wrogowie byliby bardzo radzi, gdyby się dowiedzieli, że mój koniec jest bliski. Ale nim umrę, dam się im we znaki.

Mówił swobodnie, jakby chodziło o inną osobę. Sarkastyczny uśmiech błędniał na jego twarzy.

– Nikt nie powinien wiedzieć, że jestem chory. Nikt! Rozumie pan?

– Uszanuję pańską wolę. Jestem związany tajemnicą zawodową.

– Tym lepiej.

Po tych słowach zaległa długa cisza. Robertson rozumiał stan ducha swego przyjaciela. To bolesne dowiedzieć się, że trzeba umrzeć w chwili, gdy osiągnęło się pełnię sławy.

Dziwny błysk pojawił się w oczach reżysera.

– Nie będę czekał, aż umrę na łóżku szpitalnym.

Po namyśle dorzucił:

– Muszę wpierw skończyć kilka filmów... Zostawić kilka dzieł, które przetrwają...

Gorzki uśmiech wykrzywił jego usta.

– Kiedy poczuje, że moje życie dobiega końca, powiem mu: „Żegnaj moja sławo!... Żegnaj moje szczęście!... Żegnaj moja przeszłości! Witaj śmierci! Nie dam ci czekać na siebie! Nie chcę, żebyś była świadkiem mej agonii!... Chcę pięknie skończyć! W trakcie pracy! Hollywood piekło marzeń Pośród aktorów, moich współpracowników! Wyznam ci coś, Andrew, boję się umrzeć sam.”

– Każdy umiera w samotności.

O'Neill ciągnął dalej nie zważając na wtęret profesora.

– Urządę się tak, żeby mieć przy sobie towarzysza drogi.

– Nie rozumiem pana. Chce pan wprowadzić tu hinduskie zwyczaje?

Umrzeć wspólnie z żoną?

O'Neill wybuchnął śmiechem.

– Z żoną? Obraża pan mój zdrowy rozsądek.

– A więc?

– Poszukam kogoś, kto znalazł się podobnie jak ja na brzegu otchłani...

Razem przejdziemy tę wielką próbę.

– Plecie pan głupstwa. Reżyser zaśmiał się szyderczo.

– Nic pan nie rozumie, Andrew! Jest pan zbyt przyziemny. Wiedza przeszkadza panu pojąć poezję życia i śmierci.

Wsunął ręce do kieszeni marynarki.

– Wspomniał pan o Indiach, drogi Andrew. Obyczaj palenia na stosie żyjących wdów obok zmarłego męża jest przestarzałym obyczajem.

Po chwili podjął z dziwnym uśmiechem w kącie ust:

– Ścigany przez śmierć...

– Słucham?

– Dobry tytuł filmu. Jeszcze nie zużyty...

– Wy wszyscy, scenarzyści, pisarze, poeci, reżyserzy, życie wyobraźnią...

Rozmowa toczyła się swobodnie, jakby jeden z jej uczestników nie dowiedział się przed chwilą, że dni jego są policzone.

– Albo lepiej: Sodoma i Gomora – powiedział Peter.

– Jeszcze jeden tytuł?

– Tak. Czy on nie daje panu do myślenia?

– O czym?

– O życiu! O życiu brudnym, marnym i okrutnym, którego jednak czepiamy się rozpaczliwie... Ponieważ lękamy się śmierci.

– Prawa natury są niezmiennie.

O'Neill puścił tę uwagę mimo uszu.

– Śmierć w obecnej formie jest przerażająca.

– Forma wyobrażona...

– Gdyby zmieniła wygląd, the look, czy nie byłaby bardziej pociągająca? Sympatyczniejsza? Gdyby pojawiła się w postaci pięknej kobiety lub uroczego młodzieńca? Jak to obiecywał muzułmanom Wielki Mistrz? Jako piętnasto- czy szesnastoletni chłopak byłem na filmie dość dziwnym... Nawet bardzo dziwnym... Śmierć miała rysy niezwykle pięknego młodzieńca. Grał go Frederic March, wówczas u szczytu swej urody. Pewnego dnia zakochał się w prześlicznej dziewczynie i zapomniał o swoich obowiązkach. Ludzie przestali umierać. Nawet najcięższe wypadki, nieuleczalne choroby, nawet wojny nie dziesiątkowały ludzi. Starzy starzeli się coraz bardziej, lecz nie przebywali Styksu. Ludność globu ziemskiego wzrastała zastraszająco! No cóż! To był tylko film. Zapalił cygaro.

– Zakazał mi pan między innymi alkoholu i tytoniu. To moje ostatnie cygaro.

Z rozkoszą zaciągnął się wonnym dymem.

– Dlaczego by nie myśleć o Leonidasie i jego wojownikach poległych pod Termopilami? Wojownik dojrzały i jego kochanek, młodziutki żołnierz umierali razem, zaciekle odpierając perskich napastników... To jest myśl!

– To znaczy co?

– Dziwne. Powiadają, że w obliczu śmierci odżywają wspomnienia pogrzebane w podświadomości. Przypominam sobie pewną powieść, którą

czytałem za młodu. Chciałem nawet zrobić film na jej kanwie... Tytuł sugestywny: „Klub samobójców”. Nie pamiętam nazwiska autora...

Zaśmiał się znowu.

– Proszę się nie obawiać! Nie myślę o samobójstwie. Nie chciałbym zrezygnować z pociechy kościoła...

Mefistofeliczny uśmiech przeczył jednak tym zapewnieniom.

Po przeczytaniu wielu artykułów dotyczących śmierci O'Neilla i jego towarzysza, profesor przypomniał sobie słowa swojego przyjaciela. Słyszał nieomal jego głos, jakby siedział obok niego w fotelu, perorując o życiu i jego zakończeniu.

„Boję się umrzeć sam!”

To zdanie wryło mu się w pamięć. Robertson mógłby je powtórzyć Spackowi, który prowadził śledztwo w sprawie O'Neilla. Był jednak związany tajemnicą zawodową.

Ray długo opłakiwał swego ukochanego przyjaciela. Nikt oprócz niego nie wiedział na pewno, że Bob był chory na AIDS. Peter... Ale Peter już nie żył. Teraz tylko on, Ray, znał tajemnicę, którą chciał zachować w głębi duszy.

Nagrobek Boba ozdobiony jego popiersiem, arcydziełem, które z wzruszającą wiernością przypominało jego piękne rysy – tonął w powodzi kwiatów. Pielgrzymki jego wielbicieli przychodziły dzień w dzień. Nowe naręcza kwiatów kładziono na wspaniałych, pachnących wiązankach złożonych w dniu poprzednim. Ten pomnik miał osobliwą wymowę. Pod marmurowymi płytami nie było szczątków Boba, które rozplynęły się w niebycie, wzbogacając legendę.

Ray codziennie przychodził, aby klęknąć przed kamieniem grobowym i składał na nim różę. Jedną, czerwoną różę, symbol swego serca.

Kusiło go, żeby zerwać kontrakt z „XXI Century”, powrócić do Anglii i podjąć w Cambridge przerwane studia. Później porzucił ten zdojny zamiar. Musiałby opuścić Amerykę. Ocean oddzieliłby go od miejsca, w którym Bob zginął na jego oczach.

Pociągały go chorobliwie ulice Nowego Jorku i Los Angeles, które niegdyś przemierzał jego przyjaciel. Zwłaszcza ulice Manhattanu, Brooklinu i Bronxu. Ilekroć dysponował czasem, chodził śladami Boba, patrzył jego oczami na przechodniów, pojazdy, witryny, bary. Wskrzeszał go, identyfikował się z jego istotą... Często zapominał o własnej tożsamości. A że był młody i przystojny zarówno mężczyźni jak i kobiety patrzyli nań pożądlivie. Wzbudzał ich pragnienia i sam to odczuwał... Przeżywał ponownie ponurą przeszłość swego idola... W odróżnieniu jednak od naiwnej niewinności Boba, jego arystokratyczny wygląd onieśmiał i powstrzymywał ludzi od wszelkich propozycji.

W chwilach pełnej świadomości zapytywał się, czy nie padł ofiarą jakiegoś oczarowania. Czy Bob nie rzucił nań uroku? Jeśli tak, przyjąłby z radością to duchowe zniewolenie. Nawet wówczas, gdy brał udział w kręceniu filmu, znajdował czas, żeby zanieść do stóp Boba swoją czerwoną różę.

Wiele biografii Roberta Flynna pojawiło się na witrynach. Wymieniano również Raya wśród partnerów tego idola. Pisarze wymyślali pikantne anegdoty i sentymentalne sielanki, aby upiększyć swoje opowieści.

Lavinia Parker, którą O'Neill zaangażował do zareklamowania swoich aktorów, bardzo ceniła Boba za jego talent i urodę. Próbowwała nawet go uwieść, ale bez powodzenia. Zatrzymywała się często przed nagrobkiem Boba i powracała myślami do jego osoby, do jego sławy jeszcze umocnionej przez tragiczną śmierć.

Zauważyła obecność Raya, który po złożeniu czerwonej róży rozmyślał ze zwieszoną głową. Powitała go grzecznie i odeszła. Stary ogrodnik, który porządkował bukiety i wieńce pozostawione na grobowcu, powiedział ze wzruszeniem:

– Ten młody człowiek codziennie przynosi tu czerwoną różę, a jeśli nie ma nikogo w pobliżu, klęka i modli się. Codziennie! – powtórzył. – Nigdy czegoś takiego nie widziałem. To aktor, prawda?

– Bardzo znany mimo młodego wieku.

– Tak jak Bob Flynn?

– Prawie. Ale wkrótce mu dorówna.

– Myślę, że był dobrym przyjacielem zmarłego.

Lavinia była zaszokowana powiedzeniem „przyjaciół zmarłego”

– Niekiedy – mówił dalej ogrodnik – sam ze sobą mówi o śmierci. Naturalnie szeptem. Żeby mu nie przeszkadzać, słucham go ukryty między nagrobkami... Wzrusza mnie jego boleść, i jego stałość... To bardzo rzadkie, proszę pani...

Lavinia dała mu sowity napiwek. Stary ogrodnik wzbudził w niej ciekawość. Dostarczył jej wspaniałej informacji. Lavinia była nader inteligentna i umiała w lot chwycić okazje, które wydawały się obiecujące.

Nazajutrz zjawiała się w wytwórni i przeprowadziła dyskretne rozmowy z aktorami i personelem technicznym, z którym Bob współpracował. Odpowiedzi na jej zręczne pytania utwierdziły ją w domysłach. Bob i Ray byli nierozłączni. Ale jej śledztwo dopiero się zaczęło. Udała się następnie do hotelu Plaza. Pod pretekstem napisania serii artykułów o personelu wielkich hoteli nowojorskich, przeprowadziła rozmowy z lokajami i groomami, którzy obsługiwali luksusowe apartamenty. Opowiedzieli jej o wybitnych

osobistościach, stanowiących najlepszą klientelę hotelu, o ich przyzwyczajeniach. Wspomnieli o kilku aktorach, między innymi o Rayu Rhys, który często spędzał noc w apartamencie Boba Flynna.

Lavinia dowiedziała się również, że oprócz gaży wyrażającej się cyfrą o sześciu zerach, Ray dysponował pokaźnym majątkiem osobistym, że kupił sobie willę na Long Island oraz łódź motorową, która nazywała się *Golden Star*. Spędzał na Long Island każdy weekend i każdy dzień wolny od pracy. Codziennie, o tej godzinie, o której stateczek O'Neill'a eksplodował, powodując śmierć Boba, Ray podjeżdżał swoją off shore na miejsce katastrofy i rzucał do wody różę, tylko jedną czerwoną różę.

Lavinia po kryjomu sfotografowała Raya z różą w dłoni klęczącego pod pomnikiem w Los Angeles. Podobnie postąpiła w Nowym Jorku, fotografując go, kiedy wrzucał różę do morza na Long Island.

To jej wszakże nie wystarczyło. Nie było niczym szczególnym, że Bob i Ray utrzymywali osobliwe stosunki. Wiedziano powszechnie, iż sypiali również z dziewczętami. Biseksualizm rozpowszechniał się w Hollywoodzie. Ten aspekt ich życia nie był istotny.

Przeszłość Boba również nie stanowiła tajemnicy. Lavinia zaczęła przeszukiwać nowojorskie śmieci. Bob nie figurował w kartotekach policyjnych, mimo że żył przez pewien czas z prostytutki i występował w filmach porno. Kontynuowała swe poszukiwania i obesła szpitale. Było wprost niemożliwe, aby Bob nie zaraził się jakąś chorobą weneryczną. Nie uzyskała jednak potwierdzenia swoich przypuszczeń. Zaczęła okazywać oznaki zniechęcenia. Zamierzała już wycofać się z walki, kiedy sensacyjne odkrycie dodało jej nowych sił. W jednym ze szpitali na Brooklynie znalazła kartę choroby szesnastoletniego chłopca nazwiskiem Phil Flynn, którego wyleczono

na zapalenie płuc, będącego następstwem AIDS. Ozdrowieniec uciekł nie zostawiając adresu. Pielęgniarki prowadzące kartotekę nigdy się nie domyśliły, że młody chłopak z Nowego Jorku jest sławną gwiazdą Hollywoodu. Dopiero przyjrzawszy się zdjęciom wielkiego aktora stwierdziły ze zdumieniem, że Phil i Bob Flynn są jedną i tą samą osobą.

Lavinia Parker była niezrównaną specjalistką w dziedzinie reklamy. Książka ujawniająca tak pilnie strzeżoną tajemnicę zdobyłaby olbrzymi rozgłos i stałaby się zapewne bestsellerem. Ale do jej układanki brakowało jeszcze ważnych elementów. Ilekroć chodziło o dobry interes, nie miała najmniejszych skrupułów.

Stworzyła już kilka hipotez dotyczących śmierci O'Neilla. Jako osoba odpowiedzialna za reklamę należała do jego bliskich współpracowników. Zauważyła powolne pogarszanie się jego zdrowia. Na pewno cierpiał na poważną chorobę. Czy pod pozorem zamachu nie kryło się samobójstwo?

Lavinia zabiegała o pozyskanie zaufania Daisy Nicholls, dawnej sekretarki O'Neilla. Okazywała jej ostentacyjną sympatię i chwaliła jej zalety. Zaprosiła ją kilkakrotnie na obiad i zaproponowała nawet lepiej płatną posadę w Agencji „Jameson, Irvong i Parker”. Daisy pochlebiało serdeczne zachowanie Lavinii, osobistości znanej w świecie showbiznesu, zachwycała ją perspektywa pięknej przyszłości, otworzyła się więc, jak kwiat egzotyczny, który rozchyła kielich, gdy tylko słońce ukaże się na horyzoncie.

Lavinia skorzystała z dobrego samopoczucia Daisy, żeby z nią melancholijnie pogadać o wielkim reżyserze.

– Na krótko przed śmiercią stał się cieniem energicznego, dynamicznego, pełnego inicjatywy człowieka, jakim był niegdyś. Twarz miał wychudłą...

Sekretarka westchnęła.

– Nigdy nie mówił o stanie swego zdrowia. Pewnego dnia Spase, jego najlepszy przyjaciel, zwrócił uwagę na to, że mizernie wygląda. „Zeszczuplałeś. Kiepsko się czujesz?” Mister O'Neill odpowiedział mu ze zwykłą sobie ironią: „Pilnuj swego nosa, Frank! W moim wieku nie mogę mieć pyzatej buzi niemowlęcia!” Biedaczysko ostatnio pijał tylko mleko i żywił się owocami... Lekarze budzili w nim lęk. Mawiał, że są szarlatanami.

– Nie miał wśród nich kogoś zaprzyjaźnionego? – zapytała Lavinia z bijącym sercem.

Daisy potrząsnęła głową z powątpiewaniem.

– Rzadko rozmawiał przez telefon z przyjacielem... z pewnym lekarzem... Robertsonem... Tak, Robertsonem... Andrewem Robertsonem. Chwileczkę, sądzę, że mam jego numer w notesie.

Otworzyła torebkę, wyjęła zniszczony notesik, przekartkowała go i wykrzyknęła tryumfalnie:

– Jest! Robertson Andrew.

Lavinia uradowana zanotowała numer.

– Zadzwoń kiedyś do niego, żeby wymienić nasze wspomnienia o drogim reżyserze!

Po obiedzie wzmocnionym świetnymi winami Lavinia zapłaciła rachunek.

– Proszę pamiętać o posadzie dla mnie w waszej agencji, panno Parker – przypomniała jej nieśmiało sekretarka.

– Z pewnością, z pewnością. Będziemy w kontakcie.

Lavinia usłużnie zaproponowała, że odwiezie ją swym autem do domu.

– Nie chciałabym pani sprawić kłopotu.

– Ależ to dla mnie przyjemność!

Daisy rozkoszowała się nocną przejażdżką siedząc obok Lavinii w jej pięknym lotusie. Przed domem zaproponowała mistrzyni reklamy, żeby wstąpiła do niej na drinka.

– Dziękuję, ale mam jutro ciężki dzień.

Pożegnały się serdecznie.

Lavinia ruszyła z miejsca. Nie posiadała się z radości. Daisy! Jeszcze jeden cenny świadek. Co zaś do doktora Robertsona, z pewnością otrzyma od niego klucz do tajemnicy.

Nazajutrz zebrała wiadomości o przyjacielu O'Neilla. Był profesorem uniwersytetu, znanym onkologiem. Ułożyła plan działania. Zadzwoiła do niego, prosząc o rendez-vous. Sekretarka odpowiedziała szorstko, że profesor jest bardzo zajęty, ale że mogłaby ustalić wizytę za dwa tygodnie, o trzeciej po południu.

W ustalonym terminie Lavinia zjawiała się w gabinecie o wpół do trzeciej. Trzydzieści minut wystarczyło, żeby pokonać wszelkie przeszkody. W razie potrzeby mogłaby się okazać równie skuteczna w działaniu jak trąby Jerycha.

Sekretarka, stara, brzydka i zgorzkniała kobieta poprosiła, żeby przyszła za pół godziny. Lavinia chciała jednak poczekać na miejscu. Później wspomniała, że Peter O'Neill, wspólny przyjaciel, polecił jej doktora Robertsona.

– Biedny Peter – powiedziała płacząco. – Wyznał mi kiedyś, że tylko opieka profesora przedłużyła mu życie.

Sekretarka spojrzała na nią podejrzliwie.

– Mister O'Neill tak pani powiedział?

– Osobiście! Czy mogłabym zobaczyć dokumentację mego drogiego, niezapomnianego przyjaciela?

Stara panna spojrzała na nią oburzona.

– Dokumentacja naszych pacjentów okryta jest tajemnicą zawodową. Profesor zwrócił mi szczególną uwagę, aby nikomu nie udostępniać dokumentacji mister O'Neilla.

Ostry ton ucinał wszelką dyskusję.

Wówczas Lavinia sięgnęła po bardziej przekonujące argumenty. Wyjęła z torebki paczkę dziesięciu tysięcy dolarów.

Sekretarka szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. Lavinia umiała wyzyskać sytuację.

– Dwadzieścia tysięcy, jeśli mi pani pozwoli sfotografować dokumenty.

– Pani chyba żartuje! – wyjąkała stara panna.

Lavinia rzuciła na stół jeszcze dwie paczki banknotów.

Twarz starej sekretarki poczerwieniała, jakby ją miał szlag trafić. „Ta dziwna osoba – pomyślała Lavinia – gotowa wziąć pieniądze i nazajutrz popełnić samobójstwo, ponieważ pogwałciła rozkazy swego szefa”.

Sekretarka jak zahipnotyzowana wsunęła pieniądze do szuflady. Potem, niemal automatycznym ruchem wyjęła metalową kartotekę, wyciągnęła z niej zieloną teczkę, na której widniało nazwisko O'Neilla.

– Oto one! – powiedziała zmienionym głosem. – Ale niech pani zrobi to szybko.

Lavinia posłużyła się swoim maleńkim aparatem fotograficznym. W ciągu kilku minut zdjęcia zostały wykonane. Zwróciła teczkę z dokumentami.

– Dziękuję pani i do widzenia.

– Nie poczeka pani na konsultację?

– Proszę powiedzieć doktorowi, że nie zgłosiłam się na wizytę.

Lavinia wyszła przeświadczona, że osiągnęła bardzo wiele. Wzięła dwutygodniowy urlop z agencji, zamknęła się w mieszkaniu i w rekordowym czasie napisała nową biografię Boba Flynna, tym razem opartą na niepodważalnych dowodach. Złożyła maszynopis wydawcy, który go przyjął z entuzjazmem za milion dolarów. Był przeświadczony, że zrobił złoty interes. Wydał pierwszy nakład w wysokości **500.000** egzemplarzy, które zostały rozchwyte w ciągu doby. Drukarnia pracowała dzień i noc. W czterdzieści osiem godzin później rzucono na rynek nowe wydanie – **2.000.000** egzemplarzy. Książka, reklamowana wszelkimi sposobami, została rozchwyta przez czytelników. Trzecie wydanie w czterech milionach egzemplarzy zostało skierowane do druku.

To był dopiero początek...

* * *

Ray jeszcze spał, kiedy słońce wyzłoćilo mu powieki. Otworzył oczy, wciąż pod silnym wrażeniem snu, który na latającym dywanie przeniósł go do Long Island. Prowadził swoją off shore po szmaragdowym oceanie. Obok niego siedział Bob na szerokiej, wygodnej ławeczce i skrzyżowawszy dłonie na karku spoglądał zachwycony na mewy, które kreśliły arabeski na bladoniebieskim niebie. Wiatr rozwiewał jego włosy i pieścił odkryty tors. Szeroko rozchylna koszula ukazywała harmonijnie rozwinięte mięśnie. Bob nie znosił kulturyzmu, który deformował ludzi, czynił z nich gladiatorów cyrkowych o małych głowach i ogromnych ciałach, jakby ich napompowano jakąś pompką. Kobiety o wydatnych mięśniach wydawały mu się śmieszne i nieco odrażające. Traciły swoją kobiecość i małpowały atletycznych macho.

Bob milczał. Ilekroć czuł się szczęśliwy, wołał zachować milczenie. Rozkoszował się życiem, terażniejszością, nie myśląc ani o przeszłości ani o

przyszłości. Jego błyszczące oczy zwróciły się w stronę Raya i przyglądały mu się z zachwytem. Ray był dumny z tego, że podziwia go półbóg, tysiąc razy piękniejszy od niego. Uroda i talent przyniosły im obu sławę, bogactwo i przywilej zaprzątania uwagi setek milionów widzów. Ray również milczał. Szczęście obywa się bez słów, kiedy je dzielą ze sobą dwie istoty, które się rozumieją, które są sobie bliskie psychicznie i fizycznie, które tworzą jedność.

Niestety, poranne słońce wyrwało Raya z królestwa snów i rzuciło go w sam środek brutalnej rzeczywistości. Ray westchnął; wprawdzie Bob nie znajdował się już obok niego, lecz nie był nieobecny, gdyż duchowo nigdy go nie opuścił.

Ray prowadził jakby podwójne życie. Jedno należało do marzeń i snów, w których Bob istniał, i drugie, materialne, z którego Bob został wyłączony.

Ray zszedł z łóżka, włożył szlafrok i udał się do kuchni. Przygotował śniadanie obfite i smaczne dla dwóch osób, po czym podał je na niskim stoliku w holu. Usiadł na krześle i wznosił szklanekę na cześć Boba, którego fotografia w ramce stała naprzeciw niego. Roześmiany, szczęśliwy Bob był jego stałym towarzyszem.

„Gdyby ludzie wiedzieli, jak się zachowuję, uznaliby mnie za szaleńca, czy choćby za nieszkodliwego świra.” Lecz Ray nic sobie nie robił z tego, co ludzie myślą o nim i jego zwyczajach.

Po śniadaniu wyszedł na taras i wylał oranżadę Boba na złoty piasek plaży. Wyniósł tacę z jedzeniem na schodki przed domem. Włóczędzy, albo bezpańskie psy zjadały pożywienie. W ten sposób karmił duszę Boba. Naśladował zwyczaje starożytnych Rzymian, którzy stawiali ofiary z żywności na domowym ołtarzyku swoich przodków.

Zamknął na klucz drzwi wejściowe, nie znosił bowiem, aby dziewczęta i koledzy ze studia odwiedzali go w domu bez uprzedzenia. Wziął codzienny natrysk, co było jedną z jego nielicznych przyjemności oprócz czytania, słuchania muzyki i pływania z piekielną szybkością na off shore.

Wreszcie się ubrał. Miał zamiar skorzystać z wyjątkowo pięknego dnia, gdyż nie było smogu, żeby udać się do miasta i kupić trochę książek. Wykorzystywał swój tydzień urlopu. Postać, którą interpretował w komediowym filmie reżyserowanym przez Tuchmana, nie brała udziału w obecnie kręconych sekwencjach.

Wsiadł do auta, pięknej i wygodnej lagondy, która bynajmniej nie przypominała bolidu i wyruszył z Palos Verdes w kierunku Bulwaru Wilshire. Zobaczył swoją twarz na kilku ogromnych plakatach reklamujących jego nowy film. Nie odczuł ani radości ani dumy. Jego rzeczywiste życie wydawało mu się mdłe i bez celu... Każdego dnia wstępował na cmentarz w Los Angeles i kładł czerwoną różę przed pomnikiem Boba. Ilekroć znajdował się w Nowym Jorku, wrzucał taką różę do wody w Long Island. Był to nieważny, mało znaczący dowód hołdu, lecz stał się dla Raya niemal obowiązkiem.

Różni reporterzy zadawali mu pytanie: „Dlaczego nie pomyśli pan o zredagowaniu biografii Boba Flynna? Przecież był pańskim najlepszym przyjacielem”. Ray odpowiadał im z uśmiechem: „Słowa drukowane byłyby za ubogie, żeby odmalować tak złożoną postać: był to wielki artysta i zarazem wielkie dziecko. Mnie wystarcza porównanie z Jamesem Deanem. To tak, jakby mi mówiono o bogach olimpijskich. Olimpem naszej współczesności jest kino”.

Ray zatrzymał wóz przed kwiaciarnią na Wilshire, gdzie regularnie kupował swe czerwone róże.

Ekspedientka, która zawsze podawała mu kwiaty, zaczerwieniła się z radości na jego widok. Wybrała dwie czerwone róże, najpiękniejsze ze wszystkich, i podała je Rayowi.

– Czy uważałby pan, że jestem zbyt śmiała, gdybym odważyła się poprosić pana o położenie w moim imieniu drugiej róży obok tej, którą składa pan u stóp pomnika mister Flynna?

– Skąd pani wie, gdzie zanoszę moje róże? – zapytał zaszokowany.

– Wszyscy to wiedzą – odparła nieśmiało.

Ray spochmurniał.

– Sądziłem, że sekret jest zachowany.

Dziewczyna chciała okazać się nader uprzejma.

– Nie czytał pan ostatniej książki o życiu mister Flynna?

– Tyle ich napisano!

– Mam na myśli nową książkę napisaną przez Lavinie Parker. Sprzedaje się jak świeże bułeczki. Udało mi się ją zdobyć po półgodzinnym staniu w kolejce. Pochłonęłam ją tej nocy.

I dorzuciła naiwnie:

– Podziwiałam pańską fotografię. Przedstawia ona pana składającego różę pod pomnikiem mister Flynna. To prawdziwie przyjacielski gest.

– Moją fotografię? – wykrzyknął Ray w osłupieniu.

– Tak! Pańską fotografię! Widziałam też zdjęcie, które bardzo mnie wzruszyło! Wrzuca pan róże do oceanu, tam, gdzie statek mister Flynna eksplodował.

Zdziwiła się bardzo, kiedy Ray wziął dwie róże, zapłacił należność i bardzo wzburzony niemal biegiem opuścił kwaciarnię.

Z bijącym sercem, niemal bez tchu wpadł do najbliższej księgarni. Nabywcy tłoczyli się przed stosem książek Lavinii Parker.

Właściciel spostrzegł go i przyjął rozpromieniony.

– Witam pana, mister Rhys! Widział pan ostatni bestseller o życiu nieodżałowanego Boba Flynna?

– Proszę o egzemplarz! Nie chciałbym stać w kolejce wśród tych wszystkich ludzi.

– To prawdziwe szaleństwo, mister Rhys! Ludzie wyrywają sobie tę książkę. Proszę chwilę poczekać!

Wrócił bardzo przejęty z książką w dłoni.

– Dziękuję panu za uprzejmość – rzekł Ray. – Ile jestem winien?

– Nic, mister Rhys. Firma ją panu ofiarowuje. Zapowiedziano właśnie książkę o pańskim życiu jako człowieka i aktora. Mam nadzieję, że gdy się ukáže, zechce mi pan dać swój autograf.

– Oczywiście, oczywiście!

Ray niecierpliwie obejrzał okładkę. Bardzo udany portret Boba poruszył go do głębi. Poniżej, złotymi literami tytuł: „Wieczny Bob Flynn”. Niewielki podpis Lavinii Parker udawał jej skromność.

Pod wpływem silnego wzruszenia Ray uściskał dłoń księgarza i wyszedł na ulicę. Głęboko wciągnął powietrze. Czuł bolesny ucisk pod mostkiem. Wsiadł do samochodu i nie ruszając z miejsca otworzył książkę. Liczne wielobarwne zdjęcia Boba dobrane ze smakiem przez znawczynię reklamy stanowiły doskonałą ikonografię postaci. Zamarł jednak ze zdumienia, kiedy ujrzał własną fotografię, przedstawiającą go z różą w dłoni na cmentarzu w Los Angeles.

Zdruzgotany znalazł rozdział, który omawiał chorobę Boba. „Ta dziwka wszystko zbrukała!” – wyszeptał.

Podobnie jak mała kwiaciarka pochłonał rozdział omawiający ten temat. „Phil Flynn i Bob Flynn to dwie różne osoby!” – wykrzyknął zapominając o tym, że jest sam. Zaślepiiony przez miłość negował rzeczy oczywiste. Był tak pochłonięty lekturą, że drgnął na widok twarzy, które przylgnęły do szyb jego auta. Wielbiciele i wielbicielki machali błagalnie książkami.

– Autograf, mister Rhys!

– Pański autograf przyda wartości książce poświęconej pańskiemu przyjacielowi!

– Proszę pana, mister Rhys, o autograf!

– Mały podpis, mister Rhys, na tej książce!

– Autograf! Autograf! Autograf.

Ray przeżywał koszmar. Zapisał silnik, żeby wymknąć się swoim dręczycielom. Był oburzony, wściekły...

Skierował się najpierw na cmentarz. Ohydny pamflet Lavinii nie mógł mu przeszkodzić w spełnieniu obowiązku. Przybywszy na miejsce ujrzał się nagle otoczony przez mnóstwo reporterów, którzy wycelowali w niego swoje aparaty. Jego obecność z dwiema różami w ręku potwierdzała teorie przedstawione przez Lavinie Parker. Zrecznie przemieszała zmyślenia z rzeczywistością, aby uwiarygodnić przedstawiane przez siebie dowody.

– Wiedział pan, mister Rhys, że Bob Flynn był chory na AIDS?

– Myśli pan, że Peter O'Neill popełnił samobójstwo powodując śmierć pańskiego przyjaciela?

– Związek pana z Bobem Flynnem przypomina legendę o Kas-torze i Polluksie! Jak zachowywał się Bob Flynn w bliższym współżyciu?

- Czy był wspaniałym kochankiem?
- Uznaje pan homoseksualizm?
- Jest pan zwolennikiem całkowitej swobody seksualnej?
- Bob Flynn był pańskim kochankiem?
- Nie myśli pan o małżeństwie? W ten sposób przeciąłby pan wszystkie

komentarze.

- Czy rzeczywiście był biseksualny?
- Usprawiedliwia pan homoseksualistów, którzy się żenią, żeby ukryć swe zbroczenie?

- Uważa pan homoseksualizm za coś normalnego?

Spadał na Raya deszcz pytań coraz ostrzejszych, coraz bardziej niedyskretnych.

- Nie lęka się pan, że złapał pan AIDS?
- Nie! – wykrzyknął Ray z wściekłością.
- Dlaczego dwie róże?
- Czy druga róża ma jakieś szczególne znaczenie?

Popychany przez dziennikarzy, którzy starali się znaleźć jak najbliżej niego, Ray zgubił kwiaty, które natychmiast porwano. Napierający tłum podeptał je, tak że na żwirowej ścieżce pozostały tylko dwie czerwone plamy.

Ray wyrwał się rozpaczliwie ze ścisku i w otoczeniu dziennikarzy, a także gapiów, dopadł swego auta. Żywa bariera otoczyła jego lagondę. Ale Ray nie ustąpił. Ruszył powoli rozpychając zderzakiem ludzi, którzy tarasowali mu przejazd i którzy w końcu zaczęli się cofać. Po raz pierwszy nie mógł złożyć róż pod pomnikiem Boba. Serce mu się krajało.

W Palos Verdos nowy tłum dziennikarzy oczekiwał go przed wejściem do domu. Brutalnie utorował sobie drogę do drzwi, które otworzył. Znowu zaczęły pstrykać aparaty fotograficzne, posypały się pytania.

– Nie sądzi pan, że AIDS przyćmi pamięć Flynna?

To pytanie ugodziło go i zapiekło jak pocisk wyrzucony przez miotacz ognia. Uniósł się gniewem:

– Nie ma chorób wstydlivych ani chorób cnotliwych. Podobnie jak cholera, dżuma, jak rak, AIDS jest plagą, która nie wybiera sobie ofiar. Pragnąłbym, aby uczeni jak najprędzej znaleźli szczepionkę dla ratowania ludzkości. Bo cała ludzkość jest zagrożona!

Wszedł do domu i przekręcił klucz w zamku. Odgrodziwszy się od tłumu upadł na fotel i otworzył książkę. Łzy ciekły mu z oczu. Nie odpowiadał na stukanie do drzwi ani na dzwonek telefonu, który w końcu wyłączył.

Przeczytał książkę z oburzeniem, że można z taką swadą i niewątpliwym talentem pokazywać najtrudniejsze strony życia. Uwielbiał Boba, lecz nigdy nie był jego kochankiem, aczkolwiek pożądał go cielesnie. Miłość była dla niego ogniem, który nigdy nie miał zagasnąć. Sypiał z kobietami, sypiał z mężczyznami. Nikt nie miał prawa wnikać w jego intymne życie. Nikomu nie zamierzał zdawać rachunków. Nic sobie nie robił z gromów, jakie ciskali duchowni i purytanie. Miłość nie zna granic ani wierzeń.

Był zrozpaczony, że Lavinia w poszukiwaniu sensacji podstępnie zohydziła pamięć Boba. Sądził, że jest jedynym i ostatnim depozytariuszem tajemnicy, która wymknęła mu się z rąk.

Dziennikarze upewniwszy się, że niczego więcej od Raya nie uzyskają, wycofali się po paru godzinach.

Następnego dnia zamówił telefonicznie bilet na pierwszy samolot odlatujący do Nowego Jorku. Opuścił dom bocznymi drzwiami i odjechał samochodem na lotnisko. Nosił duże, ciemne szkła, żeby nie być rozpoznany. Księgarnie na lotnisku pełne było biografii Boba napisanej przez Lavinie Parker.

Ray kupił poranne gazety i usiadł w samolocie, który wkrótce odleciał. Odetchnął z ulgą, gdyż udało mu się podróżować incognito. Była to oaza spokoju w oku cyklonu, wywołanego książką Lavinii.

Przejrzał prasę. Krytyka już zajęła się książką. Różnica nazwisk Phila i Boba Flynna została podkreślona przez kilku krytyków, którzy nie przyjmowali za literę ewangelii hipotez Lavinii. Nie było ważne, czy Bob chorował, czy nie chorował na AIDS. Wszyscy krytycy przyznawali mu niezwykły talent. Pozycja Rocka Hudsona nie ucierpiała z powodu jego choroby. Jego nazwisko i śmierć posłużyły za odskocznię do badań AIDS, choroby do tamtej pory pomijanej kłopotliwym milczeniem.

Lavinia pośrednio zdyskredytowała również O'Neilla. Przedstawiła go jako chorego na raka w ostatnim stadium. Przerażony grożącą mu agonią miał jakoby postanowić, że skończy ze sobą. W konsekwencji Lavinia oczyszczała z podejrzeń Lombarda, Brynera i wszystkich wrogów O'Neilla. Kilku recenzentów wysunęło tezę, że miss Parker napisała tę biografię, aby ukryć pewne wysoko postawione osoby, gotowe do poniesienia ofiar pieniężnych, byle wyjść z kłopotliwej sytuacji. Im większy skandal, tym więcej sprzedawano by książek.

Ray odrzucił gazety z rozczarowaniem.

Wypadek spowodowany przez zamachowców, w którym zginął Joe Shwaize, mały gigolo Anny O'Neill, i podejrzana śmierć Robby'ego O'Neilla zostały zρέcznie pominięte przez Lavinię.

Stojąc przed basenem koło swojej willi na Long Island Ray patrzył w zamyśleniu na jasną, niebieską jak dno basenu wodę. Woda go fascynowała. Podniósł wzrok i spoglądał na ocean. Przyciągały go rozpryskujące się fale.

Myśli jego uleciały do Boba. Od jego śmierci nie miał innych towarzyszy niż ból po stracie przyjaciela i coraz cięższy smutek samotności.

Stanowczym krokiem, nie oglądając się za siebie, zszedł do przystani. Wsiadł do swojej off shore, wyruszył w morze. Jego motorówka nazywała się *Golden Star*, tak samo jak łódź Boba.

Zmierzch rozpałił czerwoną łunę na zachodzie.

Nieokreślone uczucie, nieznana siła skłaniały Raya do zwiększania prędkości. Naciskał akcelerator... 100 mil na godzinę... 150... 180... 200...

Płynął wzdłuż brzegu.

Mała, skalista wysepka wznosiła się przed nim. Nadchodzący wieczór wypłoszył z niej spacerowiczów. Ostatnie jachty wróciły do przystani.

Ray miał przed sobą wolną drogę.

Wpadł na małą, skalistą wysepkę.

Olbrzymi płomień i ogłuszający huk wprawiły w drżenie czyste powietrze wieczoru.

Przestraszone mewy zerwały się do lotu. *Golden Star* przestała istnieć.

Śmierć Raya Rhysa dorzuciła jeszcze jeden dowód do argumentów Lavinii Parker. Miliony egzemplarzy kieszonkowych wydań opublikowano w wielu krajach świata. Biografię Flynna przetłumaczono na czterdzieści języków.

Lavinia zgromadziła fortunę i z dnia na dzień stała się światową sławą. Nagroda Pulitzera przyniosła jej uznanie.

Pewien amerykański wydawca zaproponował jej milion dolarów zaliczki na biografię Raymonda Rhysa, która miała być skończona w jak najkrótszym terminie.

Książka Lavinii, wzbogacona o liczne dokumenty, wywiady i fotografie dowodowe została przeczytana, zbadana i przemyślana zarówno przez prokuratora Oscara Weinsteina jak i przez jego współpracowników. Weinstein kazał wezwać do siebie również Gideona Spacka i porucznika Hatchera. Zmierzył ich pogardliwym spojrzeniem.

– Ta dziwka wystawiła was do wiatru!

Przedstawiciele FBI, policji z Los Angeles i Nowego Jorku, jak również delegaci z departamentu stanu spotkali się, by zweryfikować dane, przedstawione przez Lavinie Parker, a dotyczące śmierci O'Neilla i Boba Flynna. Zastanawiali się również nad materiałami w sprawie śmierci Joe Shweizego i Robby'ego O'Neilla.

Po długich naradach, podczas których okazało się, że brak niezbitych dowodów, Oscar Weinstein własnoręcznie napisał w aktach O'Neilla:

„Sprawa umorzona”

Dokładnie w dziesięć dni później do biura prokuratora Weinsteina przyszła depeza z Interpolu przekazana przez satelitę:

Rodriguez Santos, płatny morderca, mający na swoim koncie wiele ofiar, został ujęty przez policję duńską. Przed ekstradycją do Stanów Zjednoczonych zaproponował, że wyda materiały kompromitujące Angela Lombarda i jego rozgąszoną, tajną organizację w zamian za znaczne złagodzenie wyroku. Przyznał, że był zamieszany w sprawę O'Neilla.

Oscar Weinstein ponownie wszczął dochodzenie w sprawie O'Neilla. Gideon Spack promieniał.

– Cholerny świat! – powiedział. – Byłem pewny, że sprawa nie została skończona. I że książka tej kurwy składa się z mieszaniny kłamstw i zręcznie przykrojonej prawdy, a wszystko po to, by utrudnić śledztwo w sprawie Lombarda i jego kompanów. Tym razem już nam nie ujdą! Zgniotę ich jak pluskwy! Jutro pojedziemy do Nowego Jorku, drogi Hatcherze! Co za frajda położyć łapę na przesyłce tego Lombarda! Będę go wreszcie miał! Będę go miał!

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin Rodrigez Santos wysiadł na lotnisku Kennedy'ego w eskorcie czterech agentów FBI. Kiedy postawił nogę na ostatnim schodku, padł strzał z karabinu i trafił go w samo serce. Więzień osunął się na ziemię. Morderca, z pewnością zawodowiec, zniknął jak kamfora. Śledztwo podjęte przez FBI nie dało żadnych rezultatów...

KONIEC